

Amazonka

CABOT PATRICIA



calibre 0.7.28

Patricia Cabot

Amazonka

1

Lyming, Szkocja luty 1847Przewoźnik nie żył.

Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Nie miał tetna. Jego skóra była lodowato zimna. Zrenice rozszerzone, oczy szkliste i nieruchome. Reilly Stanton nie musiał być licencjonowanym lekarzem, by stwierdzić, że ową osobę znalazł się poza światem żywych.

Lecz to nie Reilly'ego należało przekonywać. Obok niego stał pomarszczony rybak, który zdawał się mieć co do tego jakieś wątpliwości.

-Co mu jest? - zapytał, a jego oddech zmienił się w obłoczek pary w mroźnym zimowym powietrzu.

-Właśnie. - Wątpliwości rybaka potwierdziło kilku jego kolegów, którzy zebrali się, by obejrzeć zwłoki, wraz z Reillym, któremu strzeliło do głowy, by wskoczyć do lodowatej wody i wylowić z niej tonącego.

-Obawiam się - powiedział Reilly, unosząc mokrą głowę ponad piersi zmarłego - że odszedł.

-Odszedł? - Najstarszy z rybaków zamrugał oczami. - Co to znaczy "odszedł"?

-Inaczej mówiąc, przeniósł się na tamten świat. - Na widok pozbawionych wyrazu twarzy Reilly spróbował jeszcze raz: - Dokonał żywota.

Takie sformułowanie zazwyczaj wyjaśniało sprawę rodzinom zmarłych pacjentów Reilly'ego w Mayfair*. Ale widząc, że wobec tych tu jego gości cała jego delikatność poszła na marne, Reilly dodał, z trudem, bo żeby czekały mu z zimna. - Obawiam się, że wasz przyjaciel nie żyje.-Nie żyje? - Stary rybak wymienił niedowierzające spojrzenie ze swymi towarzyszami. - Stuben nie żyje?

Reilly podniósł się na kolana, co stanowiło nie lada wyczyn, zwążywszy na to, że jego bryczesy były sztywne od zamrożonej morskiej wody, i tęsknym wzrokiem spojrzał w kierunku piwiarni. A przynajmniej w kierunku tego, co sprawiało wrażenie piwiarni. Był to dom położony najbliżej przystani, w której się znajdowali, i Reilly dostrzegł poprzez mgłę, że nad drzwiami kołysze się szyld, a w oknach płonie ciepłe, zachęcające światło. Piwiarnia czy burdel, dla Reilly'ego było wszystko jedno, było tylko znaleźć się tam i wyschnąć oraz rozgrzać się przy ogniu, najlepiej ze szklaneczką whisky w dłoni.

Ale najpierw, oczywiście, musiał obejrzeć martwego.

-To niemożliwe - upierał się bezzębny rybak. - Stuben nie mógł umrzeć. Nigdy przedtem nie umarł.

-Coż, na tym właśnie polega istota śmierci - powiedział Reilly z pełnym współczuciem uśmiechem. - Przydarza się nam tylko raz w życiu.

-Ale nie Stubenowi. - Zebrani wokół zwłok rybacy z przejęciem pokrecili kudłatymi siwymi głowami. - Stuben zniknął pod wodą wiele razy, ale nigdy dotąd nie umarł.

-Coż... - Reilly na próżno starał się wyobrazić sobie któregoś ze swoich lepiej wykształconych kolegów po fachu, na przykład Pearsona, z jego nieodłącznym cygarem, lub Shelleya, z dziwną laseczką o srebrnym uchwycie, której wcale nie potrzebował, stojącego na pomostie w przystani i dyskutującego z pstrokato ubranymi rybakami na temat tego, jak należy pojmować śmierć.

Zarówno Pearson, jak i Shelley mieliby dość rozsądku, by nie zatrudniać się w takim miejscu. Dostatek rozsądku i mniej porywczosci, cechującej złotowłosego Reilly'ego.

-No, coż, panowie. Obawiam się, że tym razem nie udało mu się. Bardzo wam współczuję z powodu straty. Ale najwyraźniej był upojony...

Delikatnie powiedziane. Przewoźnik był tak zalan, że Reilly omal nie spytał, czy nie ma tu jakiejś innej łodzi, która mogłaby się przeprawić na wyspę. Lecz powstrzymał się w ostatniej chwili. Co mogło go spotkać ze strony pijanego przewoźnika? Ze łodzi ugrzeźnię na mieliźnie lub, co gorsza, zatonię?

Najwyzej utonalby w lodowatych i wzburzonych wodach u gorystych wybrzezy polnocnej Szkocji. Wielkie rzeczy! I tak nie mial po co zyc! Pozostala w Londynie Christine dowie sie o tym, ze utonal, i bedzie musiala zyc ze swiadomoscia, ze Reilly Stanton zginal, usilujac zasluzyc na jej milosc...

Lecz w chwili, gdy ten glupiec stracil rownowage i wpadl do morza, akurat wtedy, gdy juz dobijali do przystani, Reilly nie przejal sie wlasnym bezpieczenstwem ani tym, co sobie pomysli panna Christine King. Bez wahania rzucil sie w lodowate odmety i wyciagnal z nich okropnie ciezkiego starca na lad.

Dopiero teraz, kiedy dygotal, ociekajac woda, przyszlo mu do glowy, ze oto stracil nastepna doskonala okazje, by obudzic w Christine poczucie winy. Romantyczna smierc przeszla mu obok nosa! Nieomal slyszal, jak rozmawiaja o nim damy w Mayfair:

"Slyszalas, moja droga? Mlody doktor Stanton, no wiesz, osmy markiz Stillworth, zginal we wzburzonych wodach, otaczajacych Hebrydy, usilujac ratowac zycie czlowieka. Nie potrafie sobie wyobrazic, co myslala ta pozbawiona serca Christine King, zeby odrzucic takiego mezczyzne. Chyba stracila rozum. Taki pelen poswiecenia, szlachetny dzentelmen... i przystojny, z tego co slyszalam. Teraz nieszczesna dziewczyna musi sie zamartwiac".

Tak, z cala pewnoscia pokpil sprawe. A poniewaz, pomimo jego usilnych staran, ten stary glupiec wzial i skoncal, Reilly nie moze nawet napisac do domu, wspominajac od niechcenia, ze juz w pierwszym dniu pracy udalo mu sie uratowac zycie czlowieka. Niech to wszyscy diabli!

Kiedy skonczy sie jego niefart?

-Przykro mi z powodu pana Stubena - powiedzial, zwracajac sie do przyjaciol przewoznika - ale jesli to moze stanowic jakas pocieche, umierajac, nic nie czul. Byl calkowicie odurzony. A teraz, jesli panowie nie maja nic przeciwko temu, chcialbym sie schowac przed tym wiatrem, jestem calkowicie przemoczony i zmarzniety...

-Slusznie. - Kilku starcow pokiwalo siwymi glowami. - Zabierzmy go z tego wiatru. I niech ktos skoczy po panne Brenne.

-Zrobione - zapewnil ich jakis bezzebny dzentelmen. - Jak tylko zobaczylem, ze Stuben poszedl pod wode, wyslalem po nia chlopaka.

-To swietnie, chlopie. - Stary rybak westchnal. - Ja chwyce za glowe, a wy za nogi. Gotowi? Hej, rup!

Reilly stal targany wiatrem, spryskiwany slona woda, podczas gdy sekate dlonie chwycily i uniosly cialo przewoznika. Nastepnie uroczysta procesja ruszyla z zatrwarzajacym brakiem pospiechu w strone najblizszego domu, który pelen nadziei Reilly uznal za piwiarnie.

Pozostawiony na przystani Reilly rozejrzal sie dookola. Miotany wiatrem i podrzucany na falach prom uderzal o nabrzeze przystani. Torby i kufer Reilly'ego wciaz znajdowaly sie na pokladzie, ale poniewaz byl on jedynym pasazerem promu, oprócz nich byly tam jedynie puste butelki przewoznika, ktore z brzekiem turlaly sie po deskach. Poza przyjaciolmi zmarlego przewoznika oraz wielka liczna krzykliwych mew wokol nie bylo zywej duszy. Wobec istniejacego stanu komunikacji z ladem Reilly nie spodziewal sie, ze zostanie uroczyste powitany, lecz myslal, ze ktos przynajmniej pomoze mu niesc bagaze...

Coz, trudno. W koncu zdarzyl sie smiertelny wypadek. Uznal, ze torbom nic sie nie stanie. Owinal sie przemoczona peleryna, chociaz nabita lodem tkanina stanowila kiepska ochrone przed chlodem, i podazyl za zmarlym i niosacymi go towarzyszami. Zmierzali ku jednemu, widocznemu we mgle, budynkowi, ktorego oswietlone okna obiecywaly, ze jest tam ogien, a moze i cos wiecej.

Reilly zrownal krok z rybakami i gdy jeden z nich poskarzyl sie, ze jest zmeczony, zastapil go i podtrzymal glowe zmarlego.

Nastepnie jeszcze jeden starzec odstepil od ciala, chwytajac sie za serce, i Reilly sam unosil nie tylko glowe, ale i gorna czesc tulowia przewoznika.

Wreszcie trzeci rybak zgial sie wpol i zanosl niepokojacym kaszlem, który wstrzasal calym jego cialem. Wkrotce Reilly zarzucil sobie zwloki przewoznika na plecy i dzwigal je zupełnie sam, podczas gdy pelni aprobaty przyjaciele Stubena pokrzykiwali zachecajaco. Dzieki Bogu, pomyslal Reilly, ze Christine sie o tym nie dowie. O ile smierc bylego narzeczzonego moglaby sie jej wydac romantyczna, to obecna sytuacja nie miala w sobie nic z heroizmu.

Zataczajac sie, dobrnal do piwiarni, teraz widzial, ze to z cala pewnoscia piwiarnia, choc jej nazwa wypisana na zniszczonym szyldzie - Pod Udreczonym Zajacem - nie byla specjalnie zachecajaca. Lecz gdy z otwartych drzwi buchnelo

na niego rozgrzane, przesiaknięte wonia piwa powietrze, Reilly z ulga stwierdził, że Udreczony Zajac, jakkolwiek był, jest przynajmniej ciepłym, suchym oraz wciąż czynnym lokalem.

I pełnym ludzi. Gdy jeden z nowych towarzyszy Reilly'ego oznajmił: "Stuben znowu się zalał, a ten tutaj go wylowił", rozległ się zbiorowy pomruk podnieconych głosów, a następnie zebrani w knajpie mężczyźni zniesli metalowe kufle, by zrobić miejsce kobietom, niosącym ogromną deskę, która następnie umieszcili na kilku lawach, ustawionych pośpiesznie w pobliżu paleniska.

-Połóż go tutaj - rozkazała wielka kobieta w średnim wieku, przybrana w biały czepek i przepasana czystym, białym fartuchem. - Tutaj, na stole.

Reilly posłuchał jej, chociaż słowo "stół" nie bardzo pasowało do prowizorycznej konstrukcji, na której złożył zimne, pozbawione życia ciało. Gdy tylko człowiek zwany Stubenem spoczał na twardych deskach, kobieta w pośpiechu wyswobodziła go z przemoczonego ubrania, warkliwie wydając polecenia wszystkim zebranym w pobliżu kobietom.

-Flora, przynies butelkę whisky! Maeve, koce z szafki na piętrze! Nancy, w kuchni na ogniu grzeje się garnek z wodą, przynies go tutaj i znajdź jakieś galgany. Czy ktoś poszedł po pannę Brenne?

-Wysłałem po nią chłopaka - zapewnił ją jeden z rybaków.

-Dobrze - powiedziała kobieta.

Znowu ta panna Brenna? Kimże, u diabła, jest panna Brenna? - zastanawiał się Reilly. Według niego nosiła szczególnie paskudne imię. Jego opinii podzielali obydwa przyjaciele Reilly'ego, Pearson i Shelley, którzy jednogłośnie uznali imię Brenna za najwstrętniejsze imię kobiece, no, może z wyjątkiem imienia Megan. Należało się spodziewać, że kobieta ochrzczona imieniem Brenna będzie oszpecona wieloma podbrodkami, przesadnie wielkimi siekaczami oraz powierzchownością upodabniająca ją do szkapy. I, jak dotąd, ta ich nie bardzo naukowa teoria nie została jeszcze zakwestionowana.

Po chwili przewoźnik leżał zupełnie goły. Na oczach wszystkich, którzy akurat znaleźli się pod Udreczonym Zajacem. Łącznie z personelem piwiarni, składającym się wyłącznie z kobiet, niektórych zadziwiająco młodych. Jeszcze bardziej zadziwiające było to, że owe młode damy ani trochę nie przejmowały się widokiem pozbawionego ubrania ciała. Nawet wtedy, gdy upokorzono je, zawijając w rozgrzane szmaty, i polewano parującą wodą z garnka trzymanego przez służącą o imieniu Nancy, żadna z twardych góralskich dziewczyn nie zaszczyciła trupa swoim spojrzeniem.

-Hm - z trudem wyjął Reilly, gdy szczekanie jego zębów ustąpiło na tyle, by mu na to pozwolić. Do tego czasu nieboszczyk został od stop do głów okryty gorącymi szmatami.

Kobieta, najwyraźniej właścicielka gospody, rzuciła na niego okiem.

-Maeve, nie stercz jak niedolega. Rozbierz dzentelmena z mokrego ubrania i nakryj go kocem.

Reilly spojrzał z przestraszonym na zbliżającą się do niego, bardzo stanowczą młodą damę. Cofnął się w pośpiechu i unosząc obie ręce, wykrzyknął:

-Nie, nie! Nie trzeba... to znaczy, nic mi nie jest. Naprawdę. Pomyślałem sobie tylko, że ktoś powinien poinformować panią, że ten człowiek jest...

Lecz Reilly, bywający w Szkocji wyłącznie na polowaniach, w czasie których miał niewiele, lub nie miał wcale, kontaktów z tubylcami, nie umiał się bronić przed pełnym prostoty zdecydowaniem typowej celtyckiej służącej. Panna Maeve w ułamku sekundy chwyciła jego pelerynę, a następnie płaszcz i zaczęła je z niego zrywać w sposób kazający podejrzewać, że nawykła do rozbierania opornych klientów... które to podejrzenie szybko zmieniło się w pewność.

Pozostawszy w koszuli i kamizelce, przekonał się, że w żaden sposób nie odwiedzi Maeve od osiągnięcia celu, którym było doprowadzenie go do stanu całkowitej nagoci, takiej samej jak nagoci spoczywających obok zwłok... zwłaszcza gdy znalazł się w przeciwnym końcu pomieszczenia, dosłownie przyparty do muru, teraz już także bez kamizelki i bez koszuli, a bardzo zdecydowane paluszki zajmowały się rozpinaniem jego bryczesów...

-To - powiedział Reilly, chwytając za nadgarstki ponad owymi paluszkami - w zupełności wystarczy, dziękuję.

Maeve lypnęła w górę, mrugając powiekami. Wyraz jej twarzy był zupełnie inny, niż się spodziewał. Bynajmniej nie speszona dziewczyna spoglądała na niego figlarnie.

-Powiedziała, że mam pana rozebrać z mokrych rzeczy - przypomniała mu.

-Owszem - przyznał Reilly. - Jednak, jeśli ci to nie sprawi różnicy, wolalbym zachować spodnie.

-Nie sądzę, by to było rozsądne - powiedziała Maeve. - Jeśli będzie się pan upierał, nabawi się pan ropnego zapalenia migdałków.

-Albo reumatyzmu - dodał inny głos kobiety.

I wtedy Reilly dostrzegł młodzieńca Nancy, służącą, która została wysłana po gorącą wodę dla przewoźnika. Stała obok i przyglądała im się z wielką uwagą.

-Właśnie - przytaknęła Maeve stanowczym tonem. - Albo reumatyzmu. Chyba nie chce pan zapasować na reumatyzm... - Maeve omiotła wzrokiem nagą pierś Reilly'ego. - Taki dorodny młody mężczyzna jak pan.

Reilly, teraz całkowicie pewny, że trafił do siedziska szalenców, scisnął nadgarstki Maeve tak mocno, że się podniosła. Następnie oderwał jej palce od swego paska, zachowując w ten sposób resztki godności.

-Zaryzykuje - powiedział i stanowczym gestem odsunął od siebie Maeve.

Przyodziały jedynie w ociekającą wodą bryczesy i równie przemoczone buty, Reilly stwierdził, że jego strach przed obnawieniem się na oczach całej wioski był całkowicie bezpodstawny: nikt, z wyjątkiem Maeve i Nancy, nie zwracał na niego najmniejszej nawet uwagi. Wszystko wskazywało na to, że goście Udreczonego Zajaca znacznie bardziej interesują się zawartością swoich kuflów niż nawet gólasem rozciągniętym na stole w centrum pomieszczenia.

Wszyscy, wyjawszy właścicielkę tawerny, która wykrzykiwała do przewoźnika:

-Stuben, obudz się! Obudz się, Stuben!

Wzruszony jej odmową pogodzenia się z tym, co oczywiste, Reilly powiedział łagodnie:

-Madame, z największym smutkiem muszę panią poinformować, że pan Stuben nie żyje.

Kobieta zastygła, dzierżąc w dłoniach parujące, rozgrzane szmaty, które miała właśnie narzucić na intymne części ciała przewoźnika. Spojrzała na Reilly'ego ze zdumieniem.

-Nie żyje? - powtórzyła.

Te słowa natychmiast przykuły uwagę gości. Wszystkie głowy zwróciły się w stronę Reilly'ego.

-Ee... tak. - Teraz, gdy w końcu udało mu się obudzić zainteresowanie prawie wszystkich obecnych, bolesnie odczuł swoją niemal całkowitą nagosc. Wspomniany uprzednio koc jeszcze do niego nie dotarł.

Jednakże miał do wypełnienia obowiązki, więc go wypełnił.

-Tak, proszę pani - ciągnął. - Umarł. Nie ma tętna i nie oddycha, odkąd wyciągnąłem go z wody. Mówię to z przykrością, ale obawiam się, że pani wysiłki, aczkolwiek bardzo chwalebne, są w tej sytuacji raczej bezużyteczne.

Reilly spostrzegł, że teraz, gdy usłyszeli, że człowiek rozciągnięty na deskach jest martwy, goście Udreczonego Zajaca nagle okazali mu znacznie więcej zainteresowania, niż wtedy gdy sądzili, że żyje. Niektórzy wyciągali szyję, by mu się lepiej przyjrzeć. Martwy przewoźnik, uznał Reilly, był znacznie bardziej godny uwagi niż żywy.

-Nie żyje? - Kobieta spojrzała na twarz nieboszczyka. - Stuben? Przecież nigdy przedtem nie umarł.

-Tak - powiedział Reilly, unosząc brew. Zastanawiał się, czy wszyscy w tej wiosce są durnowaci, a jeśli tak, to co on, jako jedyny lekarz, ma z tym zrobić. - Coz, obawiam się, że tym razem jego kąpiel okazała się fatalna w skutkach. Bardzo mi przykro, że przynosi złą nowinę. Zrobiłem dla niego wszystko, co w ludzkiej mocy, ale obawiam się, że woda była zbyt zimna, a on, jak sami widzicie, jest w raczej zaawansowanym wieku.

Reilly uznał, że rozsądniej będzie nie wspominać o stanie upojenia zmarłego w chwili śmierci. W końcu obecne były damy.

-Tym razem po prostu nie był wystarczająco silny, by to przetrzymać - powiedział. - A teraz, jeżeli nie sprawi to wam zbyt wielkiego kłopotu, może wysłałbyście kogoś na prom po moje rzeczy. Chciałbym się przebrać...

Przerwalo mu gwałtowne stukniecie otwieranych drzwi. Stanela w nich wysoka postac, spowita w cieзка ciemna peleryna, ktorej poly powiewaly na porywistym wietrze.

-Och, panna Brenna! - wykrzyknela z ulga wlascicielka Udreczonego Zajaca. - Dzieki Bogu, ze sie pani zjawila.

Reilly z zainteresowaniem przygladal sie postaci w drzwiach. A wiec to jest panna Brenna, o ktorej wszyscy mowili! Coz, w zadnym razie nie sprawila mu zawodu. Z cala pewnoscia byla wystarczajaco wysoka, by nosic imie Brenna. Zaledwie kilka centymetrow nizsza od niego, a on, na Boga, mierzyl ponad metr osiemdziesiat wzrostu. Peleryna maskowala jej figure, a kaptur ukrywal twarz, wiec Reilly nie mogl sie przekonac, czy reszta pasowala do imienia. Lecz z cala pewnoscia Brenna wygladala jak amazonka. Pearson i Shelley z przyjemnoscia o tym uslysza.

-Stuben znowu sie upil - poinformowal ja jeden z rybakow. - A ten tu twierdzi, ze nie zyje.

-Kto?

Glos byl dokladnie taki, jakiego Reilly oczekiwal u Brenny. Gleboki i pozbawiony wszelkiej kobiecosci. Reilly gratulowal sobie, ze jest takim doskonalem znawca kobiet, gdy spomiedzy fald peleryny wychynela dlon w rekawicze i odgarnela do tyłu kaptur... omal nie przyprawiajac go o apopleksje. Poniewaz nie bylo tam zadnego podwojnego podbrodka ani nic, co w najmniejszym stopniu przypominaloby konia, z wyjatkiem moze dzikiej grzywy lokow o miedzianej barwie, ktore splywaly na ramiona, nie przytrzymywane przez jakakolwiek siatke czy grzebien. Ta Brenna stanowila kwintesencje nadobnosci i piekna.

Co Reilly byl gotow zaswiadczyz, mimo ze pod peleryna dziewczyna nosila... tak, drugi rzut oka w pelni to potwierdzil... pare mskich spodni.

Tak, mskich spodni, ktore, scisle przylegajac do jej szczuplych ud, pobudzily wyobraznie Reilly'ego, i byly sciagniete w talii szerokim skorzanym pasem, pod ktory wepchniety zostal obszerny zielony sweter. Na nogach dziewczyna miala solidne skorzane buty.

Sweter i wysokie buty ukrywaly niektore z kobiecych atrybutow, lecz spodnie byly doskonale. Reilly nigdy dotad nie widzial kobiety w spodniach. Christine, byl o tym swiecie przekonany, predzej paradowalaby w worku na ziemniaki niz w czymś, co, choc w przyblizeniu, przypominaloby spodnie.

Jednakze byla to nowinka w dziedzinie mody, ktora Reilly, choc nie dotarla jeszcze do Paryza czy Londynu, poparlby z calego serca. Na ich widok doznal tak silnego wstrzasu, ze dopiero po chwili zdal sobie sprawe, ze dziewczyna znow przemowila.

-Kto powiedzial, ze Stuben nie zyje? - spytala tym swoim mskim glosem, ktory teraz okazal sie w wielkiej sprzecznosci z jej nadzwyczajnie kobieca powierzchownoscia.

Kilkanascie palcow wskazalo w kierunku Reilly'ego, ktory zaraz potem poczul na sobie przeszywajace spojrzenie pary oczu, bedacych nie tylko najbardziej niebieskimi, lecz z cala pewnoscia najbardziej bystrymi z wszystkich, jakie dotychczas widywal. Nie mial kapelusza, ktory moglby uchylic, by powitac panne Brenne. Maeve przywlaszczyla go sobie wraz z plaszczem i peleryna, wiec tylko sklonil sie lekko, bolesnie swiadom swej omal calkowitej nagosci.

-Ja - powiedzial, zaniepokojony jej przenikliwym spojrzeniem. - Ja to powiedzialem. Osobiscie go wylowilem i wyciagnalem z wody. Nie mial tetna. Byl lodowato zimny...

-Kim - zapytala, mrugnawszy powiekami - kim pan jest? Reilly spostrzegl, ze panna Brenna, w przeciwienstwie do wszystkich osob napotkanych po przekroczeniu granicy, nie wymawia po szkocku gloski "r", lecz mowi, jak przykazali pan Bog i krolowa, poprawna angielszczyzna bez zadnych nalecialosci.

-Stanton - powiedzial. - Reilly Stanton. To ja przyjalem stanowisko...

Juz na niego nie patrzyla. Zmierzala w kierunku zwlok przewoznika.

-...lekarza, ktorego poszukiwalescie poprzez ogloszenie. - Reilly patrzyl, jak przekreca cialo na bok, a potem pochyła sie nad nim. - Mam byc tutejszym lekarzem. Rozpoczac praktyke. - Stwierdziwszy, ze ludzie spogladaja na niego z calkowitym brakiem zrozumienia, dodal szybko: - Jestem dyplomowanym lekarzem, oczywiscie, mam swiadectwo Krolewskiej Akademii Medycznej. Jestem czlonkiem bractwa akademii, a takze uniwersytetu w Oxfordzie, i studiowalem w Paryżu... Jak juz mowilem, moze pani nie slyszala, ten dzentelmen jest naprawde zupełnie...

Ku jego zdumieniu, dziewczyna rabnela piescia - wystarczajaco silnie, by wywolac gluche dudnienie, co z pewnoscia by podzialalo, gdyby nie to, ze jegomosc juz nie byl - w sam srodek plecow nieboszczyka, dokladnie pomiedzy jego lopatkami.

-...martwy - mowil Reilly. - Bardzo mi przykro. Zrobilem wszystko, co moglem.

W tej wlasnie chwili przewoznik rozdziawil usta i bluznal na podloge fontanna rumu oraz slonej wody, opryskujac buty wszystkich zebranych dookol, nie wylaczajac Reilly'ego.

Mrugajac polprzytomnie, byly martwy przewoznik zdobyl sie na pelen zazenowania usmiech.

-Przepraszam za wszystko - powiedzial.

2

-Jakie ogloszenie? - spytala. Reilly uniosl wzrok ze zmartwychwstalego czlowieka i spojrzal na stojaca przed nim dziewczynie. Byla tak wysoka, ze by spojrzec mu prosto w oczy, z lekka tylko uniosla podbrodek. Christine siegala mu zaledwie do piersi.

-Jakie ogloszenie, panie Stanton? - powtorzyla.

-Ale on nie byl - uslyszal wlasne slowa. - Ten czlowiek byl martwy. Jego serce nie bilo. Przykladalem ucho do jego piersi. Nic nie slyszalem.

Zerknela od niechcienia na przewoznika, przyjmujacego gratulacje od przyjaciol i od sasiadow, bardzo zadowolonego, ze stal sie osrodkiem zainteresowania, a jeszcze bardziej z tego, ze ktos wetknal mu w rece parujacy kubek.

-Och - powiedziala. - Chlod zazwyczaj wstrzymuje na chwile prace serca. Zwykle wystarcza jedno lub dwa mocne uderzenia, aby je pobudzic na nowo.

Reilly pokrecil glowa.

-Nic dziwnego, ze wszyscy mowili, ze nigdy dotad nie umarl. Ile razy sprowadzila pani staruszka z Hadesu na ziemie?

-Raz czy dwa - odparla.

-Jestem pewien, ze nie mniej niz dobrych kilka razy - powiedzial Reilly z szerokim usmiechem. - Musze pani wyznac, ze, bedac w Paryzu, nigdy nie spotkalem sie z literatura, wspominajaca o tej szczegolnej metodzie ozywiania pacjentow...

-Och - przerwala mu, rozesmiawszy sie krotko. - Paryz. Wzruszyla ramionami. Najwyrazniej nie zrobilo to na niej wrazenia.

-Bo musi pani wiedziec - powiedzial Reilly, ktorego duma ucierpiala - ze studiowalem medycyne w Paryzu pod kierunkiem tamtejszych najtezszych umyslow.

-Ale owe najtezsze umysly nie nauczyla pana, jak przywrocic do zycia Stubena, prawda?

-Nie mam w zwyczaju grzmocic moich pacjentow po plecach - odparl Reilly z godnoscia.

-Moze powinien byl pan nabrac tego zwyczaju - podsunela mu dziewczyna tonem pelnym slodyczy. - Nie stracilby pan ich tak wielu.

Rzucil jej gniewne spojrzenie. Pomyslal, ze bedzie musial zmienic zdanie, jakie mial na jej temat. Umiala zawrocic w glowie, owszem, ale jednoczesnie byla nieco...

-Ale pan najwyrazniej ma zwyczaj tracenia rzeczy. - Niebieskie oczy mlodej kobiety powedrowaly z twarzy Reilly'ego poprzez jego nagie barki, w dol na porosnieta wlosami klatke piersiowa, by spoczac na pasie, przytrzymujacym bryczesy.

Po raz pierwszy od bardzo dawna Reilly poczul, ze sie czerwieni. Odczul rowniez natychmiastowa potrzebe ukrycia sie przed tym uwaznym wzrokiem.

Nie chcac pokazac jej, ze go wprawila w zaklopotanie, splotl ramiona na piersi i rzekl:

-Strata koszuli jest niewielka cena za to, ze sie wyratowalo zycie czlowieka. - Nawet, dodal w mysli, gdy jest to zycie glupawego pijanicy.

Nie wypowiedzial tych slow na glos, ale, sadzac po jej uniesionej brwi, panna Brenna najwyrazniej pomyslala to samo. Mozliwe jednak, ze zastanawiala sie nad tym, ze to wlasnie ona, a nie Reilly, ostatecznie uratowala zalosne zycie Stubena.

Lecz jeśli nawet jej myśli poddały tym torem, powstrzymała się przed ich wypowiedzeniem. Spytała jeszcze raz:

-Niech mi pan powie, panie Stanton, jakież to ogłoszenie przyniosło tutaj pana?

-Doktor - poprawił ją Stanton. - Doktor Stanton. Miałem na myśli ogłoszenie zamieszczone w "Timesie", oczywiście.

Dziewczyna, wciąż unosząc brew, spojrzała na niego z powatpiewaniem.

-W "Timesie" - powtórzyła bezbarwnym głosem. Najwyraźniej mu nie wierzyła.

Co ubodło go równie dotkliwie jak obraźliwy sposób, w jaki omiotła wzrokiem jego naga pierś. Rozejrzał się wokół, wypatrując swego przyodziewku, i dostrzegł Maeve, która najwyraźniej zapomniawszy o przyobiecanych mu whisky oraz kocu, rozwieszała ubrania przed paleniskiem.

-Otrzymałem odpowiedź na moją ofertę - powiedział Reilly, przemierzając salkę, by sięgnąć do kieszeni kamizelki.

Wierzchnia warstwa kamizelki była równie nasiaknięta wodą jak jej wnętrze, całość zamrzła na mrozie w przystani, a teraz stopniowo topniała w ciepłe pomieszczenie. Reilly potrzebował dłuższej chwili, zanim udało mu się wydobyć mokra kartkę papieru. Dopiero gdy wystawił ją na światło, stwierdził, że nie była to ta, której poszukiwał. Natrafił bowiem na list od Christine. Nosił go na sercu, odkąd go otrzymał. Teraz był to zaledwie mokry strzepek różowego papieru listowego, zbyt często składanego i rozkładanego, na skutek czego widniały na nim tylko fragmenty pisma, bez wątplenia kobiecego, jak zresztą wszystko, co miało związek z Christine.

Młoda kobieta, zwana panną Brenna, uniosła ciemne brwi.

-To nie wygląda jak ogłoszenie z "Timesa" - powiedziała.

Reilly skrzywił się i wepchnawszy różową papkę do kieszeni, wyłowił z niej inną kartkę papieru.

-Mam - powiedział. - Odpowiedź na mój list, który wysłałem w sprawie tego ogłoszenia. Od Iaina MacLeoda, hrabiego Glendenning...

Wtedy z ust dziewczyny padło plugawe słowo. Dotychczas Reilly słyszał je tylko raz. W dokach wschodniego Londynu, jednej z owych nocy, po zerwaniu zaręczyn przez Christine, gdy Pearson i Shelley uparli się, by wyszukać dla niego ładacznice, która złagodziłaby ból złamanego serca. Głos panny Brenny, bardzo donosny i charakterystyczny, dobiegł uszu właścicielki gospody, która natychmiast odstąpiła od przewoźnika.

-Co się stało, panno Brenno? Czy ten tutaj potraktował panią grubiansko? - Spojrzała na Reilly'ego z dezaprobatą. - Niech pan sobie zbyt wiele nie pozwala, sir. To przyzwoity lokal i nie życzę sobie, by ktoś obrażał moich gości. Jestem panu wdzięczna, że przytaszczył pan tutaj Stubena, ale nie pozwolę znieważać panny Brenny...

-Ależ proszę pani - powiedział Reilly, zbity z tropu. - Nie tknałem palcem waszej panny Brenny i nie podoba mi się, gdy ktoś podejrzewa mnie o nieodpowiednie zachowanie...

Przerwał nagle, bo osoba, która rzekomo tak dotkliwie zranił, wyjęła z rąk szynkarki butelkę. Reilly, który właśnie przychodził do siebie po szoku, jakiego doznał, usłyszawszy tak plugawe słowo, wypowiedziane przez piękną uścisk, teraz był jeszcze bardziej wstrząsnięty, widząc, że te same uściski przysysają się do butelki i młoda kobieta bezwstydnie pociąga z niej zdrowy haust whisky.

Reilly nigdy w życiu nie widział kobiety pijącej whisky prosto z butelki ani nawet ze szklaneczki. Christine od czasu do czasu popijała wino, lecz wyłącznie z kryształowych kieliszków, i z całą pewnością nie brała do ust nic mocniejszego.

Jednakże wstrząsy, których doznał, nie były wcale przykre. Był oto świadkiem zachowania, jakiego należało się spodziewać ze strony kogos, kto miał nieszczęście nosić imię Brenna. Dziewczyna odjęła flaszkę od ust i oddała ją właścicielce.

-Przepraszam, pani Murphy - powiedziała, bynajmniej nie speszona. - Nie chodzi o tego tutaj. Lecz znowu o niego.

Pani Murphy sprawiała wrażenie zaskoczonej, lecz, w przeciwieństwie do Reilly'ego, nie pijanstwem dziewczyny, a jej słowami.

-Masz ci los - mruknęła.

-Lepiej już pojde... - Ku wielkiemu rozczarowaniu Reilly'ego amazonka panna Brenna zebrała polę peleryny, skrywając przed jego wzrokiem swoje kształtne uda. - ...i sprawdzę, czy nie uda mi się tego naprawić.

-Ojej - westchnęła pani Murphy. - Myśle, że nie powinna pani iść sama, panno Brenno...

-Nic mi nie będzie. - Wepchnęła pod kaptur niesforne rude włosy i dodała: - Zatrzymajcie Stubena w ciepłe i niech mu pani da herbaty. Nie whisky, lecz herbaty. Zrozumiano, pani Murphy?

-Zrozumiano - wymamrotała starsza kobieta. - Tylko niech pani uważa, panno Brenno. Jest gęsta mgła i droga może być oblodzona...

Dziewczyna tylko machnęła ręką.

-Ale doktor Stanton może się napić whisky - rzekła na pożegnanie i, wskazawszy kształtną głowę Reilly'ego, ruszyła ku drzwiom. - I dajcie mu suchą koszulę, jeśli znajdzie się tu wystarczająco dużo.

Reilly pojął, że go całkowicie zlekceważyła.

-Jeszcze nie skończyłem... - zawołał, lecz drzwi zatrzęsły mu się przed nosem - ...rozmowy z panią!

-Niech pan sobie da spokój z panną Brenną - powiedziała pani Murphy macierzyńskim tonem. Podeszła do niego i w końcu zarzuciła mu na ramiona długo wyczekiwany koc. - Musi się pan wysuszyć i rozgrzać. Pewnie pan przemarzył do kości. Panna Brenna ma rację, w całej wiosce nie znajdzie się koszula dość duża na pana... no, może tylko u lorda Glerdenninga, ale jego lordowska moc nie zwykła pożyczać swoich koszul. Niech pan wypije szklaneczkę i pogrzeje się tutaj, dopóki nie wyschną pańskie rzeczy. - I nalala mu whisky z butelki, którą panna Brenna jeszcze przed chwilą trzymała przy ustach.

Reilly wziął szklanke od szynkarki, nie odrywając oczu od okna, przez które widział młodą kobietę, dosiadającą siwą klacz o nogach tylko nieznacznie dłuższych niż jej własne.

-Na oklep - mruknął sam do siebie. - A jakżeby inaczej. Nigdy przedtem nie widział kobiety dosiadającej konia na oklep. Prawde powiedziawszy, nie znalazł wielu kobiet jeżdżących konno. Jego matka i siostra stokrotnie bardziej wolały jeździć po parku faetonem*. A Christine straszliwie bała się koni. Z tego co wiedział, nie posiadała nawet stroju do konnej jazdy, a tym bardziej damskiego siodła. Coż, okazało się, że amazonka, panna Brenna, także go nie ma. Ale to jej nie powstrzymywało. Reilly patrzył, jak spieła piętami siwą klacz, i oboje zniknęły w gęstej mgle.

-Zupełnie jak królowa Bodicea** - powiedział Reilly w zadumie, zdawszy sobie sprawę, że wyraził swoje myśli na głos, dopiero wtedy, gdy pani Murphy mu odpowiedziała. - Tak - rzekła bez cienia entuzjazmu. - Ma pan rację, sir. Rozstanie się pan ze swymi spodniami czy przyrosły panu do siedzenia? I jeśli zechce pan oddać swoje buty, to Nancy włoży w nie prawidła, aby skóra się nie zdefasonowała.

Reilly usiadł i bez wahania zaczął ściągać buty.

-Kim jest ta kobieta? - zapytał, mocując się z nimi. - Nie jest tujejsza, prawda?

-Chodzi panu o pannę Brennę? - Pani Murphy stwierdziła, że Reilly nie poczynił z butami żadnych postępów, więc się schyliła i uniosła jedną jej nogę.

-Urodziła się w Londynie, mam rację?

But zsunął się z nogi, wydając głośne cmoknięcie, a pani Murphy zatoczyła się do tyłu. Z eleganckiej niegdys skóra wylała się słona woda.

-Bardzo przepraszam - powiedział Reilly na widok tworzącej się na podłodze kałuży. - Oczywiście, zapłacę za szkody, jeśli woda na trwałe zniszczy podłogę. Więc jak? Pochodzi z Londynu?

Pani Murphy zdążyła już napuścić dwie czy trzy służące na ową kałużę i wydawało się, że nie dosłyszała pytania Reilly'ego. Zabrała się do ściągania drugiego buta.

-Hampstead - powiedział Reilly, wyjmując z portfela kilka banknotów. - Oto skąd pochodzi. Mam rację?

Drugi but uległ wysiłkom szynkarki i posługujące dziewczyny zajęły się scieraniem wody, która z niego wyciekła. Reilly poruszył przemarzniętymi palcami w przemokniętych skarpetkach.

-Co tutaj może robić dziewczyna z Hampstead? - zastanawiał się głośno. - Wyszła za mąż za jakiegoś miejscowego jegomoscia? - Ale gdyby była meżatka, pomyślał, nie zwracano by się do niej panno Brenno...

Zresztą nie jest to coś, co by go szczególnie zajmowało. Nie przybył na tę wyspę, by dociekac, jaki jest stan cywilny kobiet, noszących nieszczęśliwe imię Brenna... choćby były nieprzeciętnie urodziwe, nosiły spodnie i jeździły konno na oklep. A już na pewno nie miał zamiaru interesować się tą, która okazała mu całkowity brak sympatii. A na dodatek była tak wyjątkowo pewna siebie.

Nie. On przybył tu, by udowodnić swojej narzeczonej, że nie jest jakimś dyletantem, amatorem, nieznającym się na sztuce leczenia. Miał szczerzy zamiar ratować ludzkie życie. Dlatego właśnie porzucił praktykę w Londynie, gdzie jego pacjenci mieli denerwujący zwyczaj niezapadania na choroby groźące utratą życia. Jakże miał udowodnić swe oddanie profesji lekarza, skoro nie miał chorych, których mógłby uzdrawiać?

I udowodni je, na Boga, nawet gdyby musiał wycierpieć obecność tysiąca pań o imieniu Brenna...

-Lyming - nieoczekiwanie odezwała się właścicielka piwiarni Pod Udreczonym Zajacem.

Reilly spojrzał na nią.

-Słucham?

-Panna Brenna - odrzekła pani Murphy, skinawszy głową. - Pochodzi stąd. Urodziła się i wychowała w Lyming.

Reilly był naprawdę wstrząsnięty.

-W Lyming?

-Tak - potwierdziła kobieta, najwyraźniej zakłopotana jego zdziwieniem.

Minęła dobra chwila, zanim Reilly przeanalizował te informacje. A zaraz potem nasunęły mu się następne pytania, dotyczące tej irytującej panny Brenny.

-Jak to możliwe? - zapytał wbrew sobie. - Najwyraźniej otrzymała staranne wykształcenie. I z całą pewnością posiada wiedzę medyczną. Ale nie może być akuszerką, prawda? Jest na to o wiele za młoda. Przecież ma nie więcej niż jakieś dwadzieścia lat.

Pani Murphy uważnie wysłuchiwała wszystkich jego pytań, lecz nie sprawiała wrażenia osoby, która ma zamiar na nie odpowiedzieć. Wprost przeciwnie. Sama zadała mu pytanie:

-Czy pan wspominał coś o jakimś kufrze, panie Stanton? Może znajdzie się w nim sucha koszula. I spodnie na zmianę.

Reilly natychmiast zapomniał o dreczących go wątpliwościach.

-Owszem. Zostawiłem kufer na promie. A także kilka toreb. Instrumenty lekarskie i inne takie. Wie pani, wygodniej by było, gdyby zanieśiono je wprost do mego domu.

-Do domu, proszę pana? - spytała, zaintrygowana.

Reilly skinął głową.

-Tak. Właśnie. Lord Glendenning napisał mi, że obejmując stanowisko, otrzymam dom. Tak się wyraził. A może domek? Tak, chyba tak. Nazwał go Bum Cottage.

Dziewczyny, które zajmowały się myciem podłogi, zamarły w bezruchu i uniosły głowy.

-Bum Cottage? - Pani Murphy przyjrzała mu się uważnie. - Napisał panu, że otrzyma pan Burn Cottage? Jest pan tego pewien?

-Całkowicie pewien - odparł Reilly. - Doskonale pamiętam, że dziwiłem się tej nazwie i miałem nadzieję, że domek zawdzięcza ją sąsiedztwu potoku, nie zaś tendencji do stawiania w płomieniach*. Rozesmiał się, ale widocznie Burn Cottage rzeczywiście od czasu do czasu plonał albo goście Pod Udreczonym Zajacem odznaczał się brakiem poczucia humoru, bo Reilly był jedyną osobą w pomieszczeniu, która rozbawił ten żarcik. Coż, Christine zawsze mu wytykała, że jego dowcipy bywają chybione. Widocznie teraz także trafił kula w plot. Służące, skarcone surowym spojrzeniem szynkarki, zerwały się z kleczek i pobiegły obsługiwać klientów. Wszystko wróciło do stanu sprzed przybycia przewoźnika. Nawet Stuben przebrał

sie w suche ubranie, ktore najwyrazniej trzymano tu na wypadek w rodzaju dzisiejszego.

-Mam nadzieje, ze nie strzelilem jakiejs gafy. Przez burn rozumiecie tu potok, prawda? - zapytal Reilly.

Pani Murphy usmiechnela sie do niego z sympatia.

-Oczywiscie, prosze pana. To naprawde sliczny domek. Tylko ze...

Reilly pokrecil glowa.

-Niechze pani mi powie, madame. I skonczmy z tym wreszcie. Najwyrazniej cos tu nie pasuje. Czy ten dom jest przeznaczony do rozbiorki? Slyszałem, ze zeszlego lata mieliscie przypadki zachorowan na cholere. Czyzby Burn Cottage podlegal kwarantannie?

-Nie, nie - pospiesznie przerwala pani Murphy. - Nie o to chodzi. Tylko ze... ze...

-Powiedzze mu, Moira! - zawolal jeden z mezczyzn przy szynkwasio.

-Idzie o to, ze... - Pani Murphy dojrzala wreszcie do decyzji i oswiadczyla stanowczo: - Chodzi o to, ze teraz, kiedy mgla jest taka gesta, trudno bedzie panu tam dotrzec. Wysle kogos do przystani po panskie rzeczy i na noc zatrzyma sie pan tutaj. Flora przeniesie sie do Maeve. Dobrze, Floro?

Flora, ktora Reilly zauwazyl dopiero teraz, miala ogromny brzuch, przewiazany brudnym fartuchem. W odpowiedzi wywrocila oczami i ruszyla ku rozchwierutanym schodom, widocznym w glebi pomieszczenia.

-Ależ - powiedzial pospiesznie Reilly. - Nie ma potrzeby, by panna... panna... ee... pani Flora przenosila sie do innego pokoju. Jezeli domek jest rzeczywiscie daleko stad, zostane tutaj, na dole. Nie zrobie najmniejszego klopotu.

-Stanowczo nie. - Pani Murphy sprawiala wrazenie zatrwozonej ta propozycja. - Flora nie ma nic do przenoszenia.

-Owszem, mam - dobiegly do nich slowa zadyszanej Flory. Lecz nie dosc zadyszanej, by nie doslyszala ich szynkarka, ktora pospieszyla za dziewczyna, groznie wznoszac plaska dlon.

-Dosyc tego, moja panno - oswiadczyla, lecz zanim zdazyla opuscic reke, uchwycil ja Reilly i scisnal tak, jakby pani Murphy byla jego ukochana, choc nalezy przyznac, ze jego uchwyt mial na celu jej powstrzymanie, nie zas wyrazenie czulosci.

-Powiedzialem przeciez, madame - rzekl z udawana wesoloscia. Uwazal, ze na swiecie nie ma nic gorszego od gospodynii bijacej sluzace, no, moze tylko maz bijacy zone. - Nie zaslugiwalbym na miano dzentelmena, pozbawiajac mloda dame jej pokoju.

Nie chce o tym slyszec... zwlaszcza w delikatnym stanie pani Flory. Gdyby moi koledzy uslyszeli o czymś takim, zostalbym wykluczony z bractwa...

Bylo to oczywiste bezczelne klamstwo. Niejeden rzekomo dystyngowany przedstawiciel zawodu lekarskiego bez oporow pozbawilby lozka kobiecie w ciazy, aby moc wygodnie odpoczac. Wielu kolegow po fachu roscilo sobie prawa, ktorych Reilly nie byl w stanie pojac.

Lecz pani Murphy z pewnoscia nie zetknela sie z wieloma lekarzami, wiec nie mogla sobie zdawac sprawy z tego zadziwiajacego faktu.

-A wiec, moja dobra kobieto - ciagnal Reilly, poluzowujac nieco uscisk - jesli zechce pani poslac kogos po moje rzeczy, przespie sie tutaj i po sprawie.

Pani Murphy nie byla jedyna osoba w pomieszczeniu, spogladajaca na niego ze zdumieniem. Maeve, Nancy, a nawet brzemienna Flora patrzyly na niego jak na jakis nieznanym okaz.

I byc moze w ich oczach byl kims dziwacznym. Zwyczajni goscie, bywajacy Pod Udreczonym Zajacem, nie nalezeli do kategorii ludzi, ktorzy upieraliby sie, by pozostawic ciezarna kobiecie w jej wlasnym lozku, nie mowiac juz o chronieniu jej przed uderzeniem pracodawczyni.

Z drugiej jednak strony spojrzenia kobiet mogly nie miec nic wspolnego z jego galanteria, lecz odnosily sie do faktu, ze gdy Reilly chwycil nadgarstek pani Murphy, koc zsunal sie z jego nagiej piersi, wystawiajac ja na chciwe i, sadzac z wyrazu ich

twarzy, wysoce aprobujące spojrzenia.

Pani Murphy pierwsza oderwała wzrok od nagiego torsu Reilly'ego.

-Sama nie wiem - powiedziała powoli. - Lord Glendenning nie byłby z tego zadowolony...

-Skoro lord Glendenning nie pochwaliby tego - odparł Reilly - to mógł mnie zaprosić do swego zamku.

Pani Murphy skinęła głową.

-Tak, mogłoby.

-W takim razie wszystko zostało omówione. - Reilly wypuścił pulchną rękę szynkarki, owinał się kocem, zapewniając mu kieszonką ochronę przed wścibskimi spojrzeniami Maeve i jej koleżanek, po czym unosił zapomnianą szklaneczkę z whisky. Wskazał nią w kierunku Flory. - A więc zdrowie dam...

I, spojrzawszy na przewoźnika, który, dzięki licznym kolejkom, stawianym mu przez towarzyszy, znowu zapadał w stan nieświadomości, Reilly odchylił głowę do tyłu i wlał sobie do ust zawartość szklaneczki.

Whisky była znakomita, o przepysznie dymnym smaku i tak mocna, że zapiekły go oczy. Palący płyn spłynął mu do gardła, rozgrzewając Reilly'emu całe ciało, włącznie z częściami, na których rozgrzanie utracił wszelką nadzieję. Pomysłał, że za szklaneczkę czegoś równie wysmienitego Pearson i Shelley musieliby zapłacić dwie do trzech koron, a on popijał trunki zupełnie darmo, za to, że wylowił z morza na wprost żywego przewoźnika.

A namawiali go, by pozostał w Londynie!

Dopiero gdy po kilku następnych szklaneczkach whisky Reilly przebrał się w suche rzeczy, pochodzące z jego kufra, przypomniał sobie jeden z powodów, dla którego Christine zerwała ich zaręczyny. Przyczyna, podana w liście, obecnie prawie nieczytelnym, suszącym się właśnie nad paleniskiem po troskliwym rozprostowaniu, było notoryczne pijanstwo Reilly'ego. Choć trzeba przyznać, że określenie "notoryczne" było cokolwiek przesadne. Reilly popijał nie częściej niż znani mu mężczyźni, a nawet rzadziej.

Lecz Christine, słodka, pobożna Christine, która nigdy nie opuściła niedzielnej mszy i należała do licznych stowarzyszeń: wstrzeźliwości, misyjnego, abolicji oraz wielu innych, których Reilly nie zliczyłby na palcach obu rąk, najwyraźniej uważała, że jedna czy dwie whisky w ciągu wieczora to o jedną czy dwie za dużo.

Coż, prawdopodobnie miała rację. Im więcej pił, a pod udreconym Zajacem panował nastrój bachanalii, któremu Reilly nie potrafił się oprzeć, tym bardziej zapominał o celu, w jakim przybył do tej oddalonej od świata wioski.

A przecież jego celem nie było przesiadywanie wśród miejscowych pijaków, co właśnie czynił, lecz praktykowanie zawodu, poświęcenie się dla innych ludzi, aby raz na zawsze udowodnić pani Christine King, że Reilly Stanton - by powiedzieć całą prawdę, lord Reilly Stanton, bo czyż nie był ósmym markizem Stillworth? - jest odważnym i zaangażowanym mężczyzną, który, aby pozyskać szacunek, nie musi powiewać swoim herbem. A już z całą pewnością nie jest pijaczem, pozbawionym charakteru nicponiem, za jakiego uważała go Christine.

I, na Boga, udowodni jej to, choćby miał ratować każdego cholernego pijusa na tej zatraconej skalistej wysepce.

-Stanton. - Jego rozmyślenia przerwał Adam Mac Adams, nowy przyjaciel Reilly'ego, najstarszy i najbardziej bezzębny spośród tutejszych rybaków, obejmując go ramieniem i belkocąc: - Pozwól, że ci postawię następną szklaneczkę.

-Och, nie, dziękuję - grzecznie odparł Reilly. - Już dosyć wypilem.

-Tylko jedna szklaneczkę. Uratowałeś mojego kumpla. Mego kumpla Stubena. Nie pozwolisz mi, abym ci postawił drinka, za to, że uratowałeś mego kumpla Stubena?

-Nie uratowałem go - odparł Reilly. - Uratowała go ta wasza panna Brenna.

-Tylko jedna szklaneczkę - upierał się Mac Adams. - Jedna jedyna.

Reilly nie pamiętał, by gdziekolwiek indziej przyjmowano go równie serdecznie. Naprawdę, jego przyjaciele bardzo się mylili. Gorale okazali się nadzwyczaj sympatycznymi i cywilizowanymi ludźmi. A mieszkańcy wyspy Skye byli najmiłszymi, najbardziej łagodnymi spośród wszystkich gorali.

-Dobrze - zgodził się, wzruszony do łez. - Jeszcze jedna. Ale tylko pod warunkiem, że będzie mi wolno wzniesć toast.

-Jasne - powiedział MacAdams. - Wznies toast. Reilly wysoko unosił szklaneczkę.

-Pragnę wzniesć toast za najpiękniejszą, najmiłą, najładniejszą damę w całym kraju, autorkę tego oto listu... - Wszyscy spojrzeli na strzępek różowej papeterii, suszący się przy ogniu. - ...czarująca, słodka i pobożna kobieta, która pragnę poślubić, o ile mnie zechce, godna szacunku, panne Christine King.

-Za panne King - podjęli rybacy.

Opróżnili szklaneczki, a Reilly zwrócił się do Adama MacAdamsa i zapytał:

-A teraz mi powiedz, o co chodzi z tym Bum Cottage. Lecz nie otrzymał odpowiedzi. A to z tej przyczyny, że wszyscy jego nowi przyjaciele przysnęli, zanim wymówił te słowa.

Przepelniony ciepłymi uczuciami koleżeństwa Reilly uznał, że nie przyłączając się do ich drzemki, nie zachowałby się po dżentelmeńsku... niezależnie od tego, co o tym wszystkim pomyślałaby Christine.

3

Zamczysko było stare, niektóre jego części liczyły całe wieki. Co dziwne, najszybciej zaczęły niszczyć jego najmłodsze fragmenty, wybudowane około 1650 roku. Mury kruszyły się od dziesiątków lat, fundamenty przeciekały. Corocznie, wiosną, podmałyły lochy. Wobec tego, że nie trzymano w nich więźniów, nikt się tym nie przejmował, lecz woda wyplaszala stamtąd szczury, które zadomowiły się pośród beczek z winem, i sprawiała, że wyносily się do zamieszkałych części zamku. Stanowiło to kłopot dla służby, lecz nie obchodziło właściciela zamku. Brenna była przekonana, że nawet gdyby szczur wielkości kuca rzucił się na piers lorda Glendenninga, ten nie zareagowałby, gdyby tylko zwierze nie przeszkodziło mu w popijaniu piwa.

Spoglądając beznamietnym wzrokiem na hrabiego, Brenna załowała, że wiosna jeszcze nie nadeszła.

Nie dlatego, że delectowała się perspektywą spotkania szkodnika w ciemnych i porośniętych pleśnią korytarzach zamku Glendenning. Z całą pewnością nie. Lecz przypuszczała, że Iain MacLeod, dziesiętnasty hrabia Glendenning, nie byłby taki wyrozumiały dla obecności szczurów w jego domostwie, gdyby posadziła ich przedstawiciela na hrabiowskim obmierzłym karku, na co zresztą lord w pełni sobie zasłużył.

Ponieważ jednak nie miała pod ręką żadnego szczura, Brenna zdecydowała się przejść przez komnatę i wymierzyć tego kopniaka w nogi, które hrabia wsparł na kominku.

Ogromne, obute stopy lorda Glendenninga zadudniły, opadłszy na kamienną posadzkę, budząc psy, które zwiniełe spaly w pobliżu paleniska. Psy natychmiast się poderwały i zaczęły hałasliwie ujadac, podczas gdy lord Glendenning szukał miecza w faldach udrapowanej na hrabiowskiej mosci peleryny.

-Stój, złodzieju! Jestem uzbrojony i umiem posłużyć się mieczem! - zakrzyknął.

Gdy w końcu udało mu się wydobyć groźny i starodawny miecz, jak powiadano, słuzacy jego rodzinie od czasów króla Artura, osoba, w której gardło wymierzył ostrze, wcale się tym nie przejęła. Ujęła je w dwa palce i spokojnie odepchnęła.

-Nie mogłeś mi przynajmniej wspomnieć - zapytała lodowatym tonem - że masz zamiar zatrudnić nowego lekarza?

Lord Glendenning powoli przytomniał. Zamrugnął bładoniebieskimi oczami o ciemnych rzęsach - oczami, które, jak wiedziała Brenna, przyprawiły o drzenie serca więcej kobiet, niż mogłaby zliczyć na wszystkich, razem wziętych, palcach rąk i nóg - i zapytał:

-Brenna? A więc to ty?

-Oczywiście, że ja. - Schyliła się i przeszła pod wciąż wzniesionym mieczem. Stała przy kominku i wyciągnęła przemarznięte po konnej jeździe dlonie w stronę ognia. Psy, rozpoznawszy Brenne, przypadły do niej, ocierając pyski o jej ręce.

-Lezec! - ryknął lord Glendenning na zwierzęta, które nie zwracając na niego uwagi, podskakiwały, by polizac twarz gościa, dopóki Brenna nie usiadła przy kominku plecami do ognia i rozkazującym tonem wydała polecenia: - Nie - a potem: - Siad! - natychmiast posłusznie wykonane przez wszystkie psy.

-Co tu robisz? - zapytał lord Glendenning, chowając miecz do pochwy. - Zmieniasz zamiar? - Odgarnął z twarzy długie, kruczoczarne włosy i przyjrzał się twarzy Brenny w świetle dogasającego ognia. - Na Boga, widzę, że tak. Wreszcie nabrałaś rozumu. Musimy to uczcić. Raonull! - Hrabia odrzucił głowę do tyłu i zawył głośniejszym niż którykolwiek z jego psów: - Raonull! Obudź się i przynies jakiegoś wina!

-Przestan się wydzierać - powiedziała Brenna, w roztargnieniu wyplatając rzep z sierści najbliższego psa. Ogar wywrocił z rozkoszy oczami i oparł ciężki łeb na jej kolanach. - Czyżbyś stracił resztki rozsądku, jakim obdarował cię Bog? Nie zmieniłam zamiaru. Chce się dowiedzieć, jak mogłeś, o tak, po prostu, nie mówiąc nikomu ani słowa, zatrudnić nowego lekarza?

Lord Glendenning spojrzał na nią nieco zszokowany.

-Zatrudnić nowego... - zamrugał powiekami. - Och! O wszystkim już wiesz, tak?

-Czy wiem wszystko? - Brenna pokręciła głową z powątpiewaniem. - Można tak powiedzieć. Jegoś wparował do Moiry jakieś pół godziny temu. Doprawdy, lordzie. Jak mogłeś? Powinieneś być przynajmniej wspomniewany...

-Pół godziny temu? - Glendenning opadł na wyscielany fotel, w którym przed chwilą drzemiał. - Ale miał się tu zjawić dopiero w środę - powiedział z przejęciem.

Brenna wzniosła oczy.

-Dzisiaj jest środa, lordzie.

-Ach.

Iain MacLeod spojrzał na swoje duże, pokryte odciskami dłonie, jakby spodziewał się tam znaleźć jakieś wytłumaczenie kłopotliwej sytuacji, w jakiej się znalazł. Brenna przyglądała mu się nieporuszona. Chociaż lord Glendenning rzadko robił coś, co się jej podobało, doskonale zdawała sobie sprawę, że nie postępuje tak, by ją osobiście obrazić, lecz tylko dlatego, że po prostu inaczej nie potrafi. Czasami, starając się zasłużyć na jej względy, przechodził samego siebie. Fakt, że te wysiłki nie odnosiły należytego skutku, niekoniecznie był winą hrabiego.

Tak przynajmniej tłumaczyła to sobie Brenna, ilekroć poczuła gwałtowną chęć, by chwycić go za masywny kark i mocno scisnąć.

-Przecież mogłeś - besztala go łagodnie, głaszcząc po uchu psa - powiedzieć mi o tym.

Lord Glendenning spochmurniał. Był przystojnym mężczyzną. Prawdę powiedziawszy, był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego Brenna kiedykolwiek widziała. Przynajmniej do niedawna. Teraz, po spotkaniu z Reillym Stantonem, nie była już tego całkowicie pewna.

Była jednak całkowicie pewna, że lord Glendenning prezentuje się dobrze, nawet z chmurnym wyrazem twarzy... z czego doskonale zdawała sobie sprawę. Hrabia był bardzo czuły na punkcie swojej powierzchowności, czego Brenna nie powiedziałaby o doktorze Stantonie, i świetnie się orientował, jakie wywiera wrażenie na młodych kobietach, a nawet na niektórych starszych. I bez najmniejszych skrupułów wykorzystywał swój wygląd, kiedy tylko było to możliwe.

Ale Brenna zbyt dobrze wiedziała, że powierzchowność hrabiego jest zwodnicza. Na oko lord sprawiał wrażenie anielskiego, lecz za tą niebiańską fasadą kryło się demoniczne serce. Dlatego mina hrabiego nie zrobiła na niej najmniejszego wrażenia. Ona także się nachmurzyła.

-To nie była uczciwa zagrywka - powiedziała, marszcząc czoło, aby dać mu do zrozumienia, że wcale nie jest nim zachwycona. - Mogłeś mnie przynajmniej uprzedzić.

Glendenning unosił podbródek. Miał mocno zarysowaną szczękę, w danej chwili niebieskawa od jednodniowego zarostu. W brodzie widoczny był dołek.

-Miałem zamiar ci powiedzieć - odparł butnie. - Tylko... zapomniałem.

-Ach, tak. - Brenna skinęła głową. - Zapomniales. Oczywiście, byłam głupia, sądząc, że postąpię tak celowo, aby wyprowadzić mnie z równowagi, bo miałeś nadzieję, że wtedy zycliwiej odniosę się do twoich... propozycji.

-Do diabła, Brenno! - Hrabia zerwał się z fotela i zaczął przemierzać komnatę, która, jako że kiedyś pełniła rolę zamkowej sieni, była dość długa. Z umieszczonego na wysokości sześciu metrów sklepienia nadal zwisały stare i obszarpane

chorągwie z godłem tutejszej galezi rodziny MacLeodów, przedstawiającym dwa walczące lwy na zielonym polu. - Czego ode mnie oczekujesz?

-Oczekuje, że będziesz się zachowywał jak mężczyzna - odparła Brenna. - A nie jak zepsuty dzieciak.

-Zachowuje się jak zepsuty dzieciak? Niby dlaczego? - zdziwił się hrabia, zwracając się ku niej tak gwałtownie, że długa peleryna, która miał na sobie, zatrzepotała za nim jak skrzydła ptaka. - Działam w najlepiej pojętym interesie moich poddanych...

-Zatrudniając lekarza, którego znalazłeś dzięki ogłoszeniu, zamieszczonym na łamach londyńskiego "Timesa"? - spytała Brenna ironicznym tonem. - Masz chociaż pojęcie, czy ten człowiek nadaje się na to stanowisko? Bo przecież może być zwykłym szarlatanem...

-Nie jest szarlatanem - warknął hrabia. - Przesłał mi z poł tuzina listów rekomendujących. Na miłość boską, Brenno, studiował w Oxfordzie. Jest członkiem Uniwersytetu Królewskiego...

-Akademii - poprawiła go Brenna. Hrabia wzruszył ramionami.

-Przeszło rok praktykował w Londynie. Niektórzy spośród jego pacjentów są członkami Izby Lordów. Jedną z pacjentek jest nawet wicehrabina...

-Właśnie. I człowiek z prosperującą praktyką w Londynie, leczący dobrze urodzonych i bogatych pacjentów, z ochotą porzuca swoje stanowisko, by zaszyć się w najbardziej wyludnionym oraz trapionym przez najstraszliwsze zarazy miejscu w całej Europie i pracować za psie pieniądze.

Glendenning zmroził ją wzrokiem. Niestety, był całkowicie odporny na wszelki sarkazm.

-Co ty opowiadasz?

-Mówię, że się dałeś podejść. Szkoda, że nie zasięgnąłeś mojej rady...

-Dlaczego myślisz, że dałem się podejść? Co jest nie w porządku z tym gościem?

Brenna zamrugła powiekami. Był taki prostoduszny. W niektórych sprawach naiwny jak dziecko. Lecz w innych aż nadto meski.

-Nic - odparła. - Przynajmniej nic, czego byś się spodziewał.

-Wiesz? - prychnął hrabia. - Z tego co powiedziałaś, mogłbym się spodziewać, że w najlepszym razie jest garbaty.

-Nie jest garbaty - odparła Brenna.

Prawdę powiedziawszy, wprost przeciwnie. Po krótkim spotkaniu z doktorem Stantonem odniosła wrażenie, że jest pełnym wigoru młodym człowiekiem. Gotowa była zaświadczyć, że nawet bardzo żywotnym. Nie zdarzało się, że wstąpiwszy pod udrezonego zająca, stanęła oko w oko z Apollinem, a właśnie tak stało się dzisiaj wieczorem.

A co gorsza, ów Apollo był pozbawiony koszuli i prezentował niepokojąco szerokie bary, płaski brzuch, wydatne mięśnie i brązowa, aksamitna skóra, lśniła w świetle płomieni paleniska. Brenna z trudem oderwała od niego wzrok, zwłaszcza gdy po bliższych oględzinach stwierdziła obecność gąszczy jedwabistych, ciemnych włosów, wijących się na piersi doktora w jej najszerszym miejscu, porastających wąską smugą twardy brzuch i znikających prowokacyjnie pod pasem bryczesów.

Jej uwagi nie uszedł również fakt, że doktor dorównuje wzrostem jednemu na wyspie, nie licząc jej ojca, wyższemu od niej mężczyźnie, to jest lordowi Glendenningowi. Ale doktor Stanton był nie tylko równie wysoki jak hrabia. Był, w sposób oczywisty, równie jak on silny, o czym świadczyły mięśnie na jego ramionach, które się uwydatniły, gdy skrzyżował ręce na szerokiej piersi. Brenna nie wiedziała, po co lekarzowi takie mięśnie, lecz właśnie dzięki nim mógł w pojedynkę wyciągnąć z wody Stubena, do czego normalnie koniecznych było czterech mężczyzn.

Brenna z największym trudem nie okazała swego podziwu, czego nie można było powiedzieć o personelu Pod Udreżonym Zajacem. Dziewczyny zachowywały się wobec przybysza zupełnie skandalicznie... zwłaszcza Maeve, która spojrzawszy na niego, za każdym razem traciła oddech. Brenna nie miała jej tego za złe. Doktor Stanton, ze swoim gładkim, umięśnionym ciałem, silnymi ramionami, wesołymi ciemnymi oczami i ujmującym uśmiechem, mógł się podobać.

Wiesz co, na Boga, porabiał na wyspie Skye?

-Najwyraźniej miał w Londynie jakieś kłopoty - powiedziała.

-Kłopoty? - Glendenning, który właśnie skierował kroki ku kredensowi, gdzie przechowywał zapas whisky, rzucił jej zdziwione spojrzenie. - O czym ty mówisz? Jakie kłopoty?

-Nie wiem - odparła Brenna. - Ale żaden inteligentny mężczyzna, a doktor Stanton niewątpliwie na takiego wygląda, nie przybędzie tu z własnej woli, aby otworzyć praktykę lekarską. A już na pewno nie ktoś, kto ma lukratywną pracę w Londynie. To byłoby czystym szalenstwem. Może się jedynie domyślać, że dopuścił się jakiegoś haniebnego czynu, za co zabrano mu licencję. To jest jedyne wytłumaczenie.

-Niczego takiego nie popełnił - poinformował ją lord z oburzeniem, napełniwszy dwie szklanki whisky. - Osobiście napisałem do jego bractwa, skąd otrzymałem zapewnienie, że doktor Stanton jest doskonałym kandydatem na to stanowisko, lecz jego decyzja, by je przyjąć, wszystkich wprawiała w zdumienie.

-Ha! - wykrzyknęła Brenna. - O to chodzi. Ma nie po kolei w głowie.

-Czy wygląda na niespełna rozumu? - zapytał Glendenning, podając jej szklanke whisky.

-Nno... nie. - Na nieszczęście, sprawia wrażenie zupełnie normalnego. Brenna zasepiła się i odstawiła szklanke, tak aby znalazła się poza zasięgiem psów. Zaraz potem jej oblicze pojaśniało. - Jednakże rzucił się do wody, by wylowić Stubena.

Hrabia się rozesmiał. Nie był to miły śmiech. Zabrzmił jakos triumfalnie.

-W takim razie doskonale się nadaje - oświadczył. - To jeden z nich.

-Niby kto? - spytała Brenna, spoglądając na lorda z zaciekawieniem.

-Rozprawiał może tam u Moiry o religii?

-O religii? Z całą pewnością nie. O czym tu mówisz?

-O Stantonie! - wykrzyknął Glendenning. - A o kimże innym? Myślę, Brenno, że będziesz musiała przyznać, że jegomość przybył tu, aby czynić dobro, pomagać tym, którym się nie powiodło, i inne brednie. Znasz ten typ. Gorliwiec. Entuzjasta straconych spraw. W Londynie roi się od takich.

-Jasne. Wysoko wykwalifikowani i dobrze opłacani lekarze słyną z tego, że pakuja manatki i wyjeżdżają z miast, w których zdobyli pozycję, aby rozpocząć kiepsko opłacaną praktykę w rybackich wioskach na Hebrydach. Zapomniales, lordzie, że mieszkałam w Londynie i wiem, jacy są jego mieszkańcy. To ludzie tego samego pokroju co ci, którzy pozbawili mego ojca praktyki lekarskiej. Nie ma wśród nich ani jednego, który zamieniłby wygodne życie na... - rozejrzała się po komnacie, krzywiąc usta - ...to.

-Tak się składa - powiedział dotknięty do żywego Glendenning - że to jest najstarszym zamkiem na wyspie Skye. I wciąż się trzyma.

-Nie mam co do tego wątpliwości - zapewniła go Brenna. Uszczesliwiony, że Brenna nie deprecjonuje jego domostwa, czego się najwyraźniej obawiał, hrabia wznosił w jej kierunku szklanke.

-Możesz rzucić na tego człowieka najgorsze kalumnie, Brenno - powiedział - ale zapewnił mnie, że przyjedzie, a teraz, gdy jest na miejscu, nie mam zamiaru go odsyłać z powrotem. Zostanie tutaj.

-Tylko - szybko podchwyciła Brenna - jest jedno pytanie. Gdzie zamieszka?

Glendenning od razu przestał się uśmiechać i głośno odstawił swoją szklanke.

-Dobrze wiesz gdzie, Brenno - powiedział głębokim głosem. Skinęła głową, nagle przygnębiona. Oczywiście, obawiała się tego, ale nie przypuszczała, że to się stanie. Nie podejrzewała hrabiego, że tak postąpi. Sądziła, że pomimo całej swej fanfaronady, był nieskomplikowanym człowiekiem, niezdołnym do przebiegłości i wybiegów. Przynajmniej do dziś.

-Wobec tego sytuacja trochę się zmieniła, prawda? - powiedziała.

Glendenning sprawiał wrażenie zakłopotanego, lecz stanowczego.

-Ani trochę - zaprotestował, przystając przed nią i krzyżując na piersi mocne ramiona. - Chyba się spodziewałaś, Brenno, że w końcu postawie na swoim.

-Po moim trupie - odparła, wzruszając ramionami.

Lord zacisnął zęby, uwydatniając widoczne w świetle migocących płomieni mięśnie niebieskawej od zarostu szczęki.

-Ależ Brenno - powiedział - bądźże rozsądna.

-Jestem rozsądna. Ale postąpiłaś nikczemnie. Przeszedłaś samego siebie.

-Daj spokój - powiedział, dotknięty do żywego, i spochmurniał. - Wydawało mi się, że okazałem ci wiele cierpliwości, Brenno. Wiecej, niż okazałby jej na moim miejscu jakikolwiek inny mężczyzna. Nie chciałem, żebyś się o tym dowiedziała w taki sposób, natrafiając na tego jegomścia u Moiry, ale nie mam ci zamiaru przepraszać, to nie jest w porządku, Brenno.

-Właśnie, i nie wyobrażaj sobie...

-Nie rozumiałaś mnie, Brenno. Ja jestem w porządku - zaprotestował. - To ty wszystko pokreciłaś.

-Ja? - Brenna zerwała się na równe nogi, zaniepokoiwszy psy, które przysnęły u jej stóp. - Ja wszystko pokreciłam! Paradne. Przecież tysiąc razy powtarzałam ci, że będę płaciła za wynajem. Gdybyś słuchał, co do ciebie mówię...

-Cała jesteś pokrecona, Brenno. Na miłość boską, popatrz, jak ty wyglądasz. Nosisz spodnie.

-A więc o to chodzi? - powiedziała, dając krok przez jednego ze sfory psów, aby stanąć naprzeciw lorda. - Żadnych dyskusji? Żadnych negocjacji?

Zauważyła, że stał się nieco skrepowany, prawdopodobnie na skutek jej bliskości. Ale się nie cofnęła.

-Żadnych dyskusji - odparł lord. - Mam ich dosyć. Wiesz, jakie jest moje stanowisko. A teraz wiesz również, że wygrałem.

Przykro mi, że zrobiłem to w taki sposób, ale nie pozostawiłaś mi wyboru. Więc kiedy mogę się ciebie spodziewać? Wybuchnęła śmiechem. Nie mogła się powstrzymać.

-Chyba żartujesz.

-Ani mi w głowie. - Lord starał się za wszelką cenę zachować godność. - Jestem śmiertelnie poważny.

-Możesz sobie być poważny, ale brak ci sprytu. Wiesz, że mam inne możliwości.

-Możliwości? - spytał zaniepokojony. - Jakie możliwości?

-Mogę opuścić wyspę.

-Możesz - odparł z godnym podziwu spokojem. - Lecz musisz przyznać, że nigdzie poza wyspą nie będziesz...

-Co?

-Akceptowana.

Posłała mu gniewne spojrzenie. Był najbardziej nieznośnym z wszystkich ludzi! Nawet jeśli miał trochę racji.

-Tak myślisz? Wyobrażasz sobie, że skoro woleł nosić spodnie, nie potrafiłabym przywdziać spodnicy? O toż wiedz, że potrafiłabym, milordzie. I oświadczam ci, że jeśli nie odkrecisz całej tej śmiesznej intrygi, ubiorę się w spodnicę i odejdę z tej nieszczęsnej wyspy...

Jej przemowa nie odniosła należytego skutku. Ponieważ zamiast potulnie ustąpić, lord Glendenning chwycił ją za ramiona swymi wielkimi, stwardniałymi palcami, i przyciągnął ku sobie.

-Posłuchaj mnie - powiedział, potraszając ją tak energicznie, że rude włosy zakryły jej twarz, a następnie znowu opadły na ramiona. - Nigdzie nie pojedziesz, rozumiałaś?

Niebieskie oczy hrabiego straciły blask i stały się lodowato zimne.

-Nie wyobrażaj sobie, że odpłyniesz stąd promem. Natychmiast bym się o tym dowiedział. Myślisz, że nie? To mała wioska, a ja jestem jej panem. W razie potrzeby osobiście sprowadzę cię tu z powrotem.

No i masz, czego chciałas, Brenno, pomyslala, z trudem przelykajac sline. Zawsze musisz posunac sie za daleko.

Lecz choc jej serce galopowalo, odezwała sie niezwykle pewnym glosem.

-Doprawdy, lordzie. Czy zawsze musisz sie zachowywac tak brutalnie? Wole, gdy okazujesz mi wiecej powsciagliwosci.

-Sama mnie do tego doprowadzasz - odparl oskarzycielskim tonem. - Dobrze o tym wiesz, Brenno.

Nastepnie uznal, ze cielesne wyrazenie swego zapalu odniesie lepszy skutek niz uciekanie sie do mdlych slow. Totez z calej sily przycisnal Brenne do piersi i wierzac, ze w ten sposob zarazi ja swoja namietnoscia, przywarl wargami do jej ust.

Daremnie. Jego nieokielznane emocje tylko przerazily Brenne.

Uczynila wiec jedyna rzecz, mozliwa w tych okolicznosciach, to jest rabnela lorda Glendenninga piescia w ucho.

A gdy, zaskoczony, oderwal usta od jej warg, ta sama piescia ugodzila go w prawe oko.

Hrabia krzyknal, natychmiast wypuscil ja z objec i zatoczyl sie do tyłu, chwytajac sie za twarz.

-Na milosc boska, Brenno! - ryknal. - Co ty wyrabiasz i dlaczego?

Brenna szybko usunela sie poza jego zasieg i stanela w przeciwnym koncu komnaty. Psy skupily sie wokol niej, ujadajac nerwowo.

-Doskonale wiesz dlaczego - odparla, nie dbajac o to, ze mowi drzacym glosem. - Zachowujesz sie jak brutal, wiec odplacam ci pieknym za nadobne.

-Tyle ze - odparl lord ponuro - nie musialas mnie walic tak mocno.

-A ty nie musiales mnie tak sciskac.

-Wiem. Tylko ze... - Lord opadl na fotel i siegnal po szklanke z whisky. - ...jestem w tobie tak cholernie zakochany.

-Wcale nie - powiedziala Brenna. Poczula do niego cos w rodzaju sympatii. Przeciez byl tylko wielkim dzieciakiem. - Tylko ci sie tak wydaje. Wciaz nie odrozniasz milosci od zwyklego pozadania.

-Nieprawda. Stale mi to powtarzasz, a to wcale nie jest prawda. Brenna westchnela. Gdy byl w takim nastroju, dyskutowanie z nim nie mialo najmniejszego sensu. Powinna byla stad wyjsc, gdy tylko spostrzegla pierwsze objawy.

-Odeslesz doktora Stanton z powrotem do Londynu? - spytala, czyniac ostatni wysilek.

-Nie - posepnie odparl hrabia. - I co ty na to?

Nie dowiedzial sie, bo zanim wymowil te slowa, Brenna obrocila sie na piecie i wyszla z zamku, pragnac, by wiosenna powodz nastapila wczesnie, a pogrzonego we snie lorda Glendenninga zywcem pozarly szczury.

4

Doktorze Stanton? Reilly skrzywil sie, lecz nie otworzyl oczu ani nie uniosl glowy.

-Doktorze Stanton? Jak sie pan czuje?

Reilly ostrocznie uchytil jedno oko i szybko je zamknal. To tylko sen. Najwyrazniej wraz z Pearsonem i Shelleyem zahulal zeszej nocy, a teraz ma kaca. Znow przydarzyl mu sie okropny sen o poetach romantycznych. A wszystko dlatego, ze Christine zaciagnela go na jeden z tych nudnych wieczorow poezji...

-Doktorze Stanton? Widzialam, ze otworzyl pan oczy. Wiem, ze pan nie spi.

Obok niego rozleglo sie donosne trzeszczenie, jakby ktos bardzo duzy usiadl na krzesle, ktore okazalo sie zbyt slabe, by wytrzymac jego ciezar.

-Niech pan zje ze mna sniadanie.

Reilly westchnal i otworzyl oczy. By natychmiast tego pozalowac.

Nie, to nie był sen. Obok niego siedział lord Byron.

No, dobrze, może nie Byron, bo przecież umarł jakieś dwadzieścia lat temu, lecz ktoś wyglądający zupełnie jak lord Byron... lub raczej ktoś, kto starał się do niego upodobnić. Mężczyzna, siedzący obok Reilly'ego, miał szerokie bary i wąskie biodra i nie miał ani grama tłuszczu. Same mięśnie i włosy. Miał mnóstwo włosów, bardzo ciemnych, opadających falami na ramiona, okryte szerokimi rekawami białej koszuli, rozchełstanej na szyi, ponieważ mężczyzna nie nosił fularu.

Twarz mężczyzny była gładko ogolona, poza miejscami, gdzie pojawił się nowy zarost. A ponieważ pora była bardzo wczesna, dawało to do myślenia. Mężczyzna był z całą pewnością bardzo meski.

Tym dziwniejsza wydawała się jego spodnica.

No, dobrze. To nie spodnica, lecz kilt. A obfitość włosów, porastających jego nagie kolana, była rzeczywiście imponująca.

-Kim - zdolał wychrypieć Reilly z wygarbowanego wódka gardła - kim pan jest?

-Glendenning - odparł mężczyzna. Jego donosny głos zadudnił w czaszce Reilly'ego niczym grzmot. Nie było to mile odczucie, zwąszywszy na delikatny stan, w jakim w tej chwili znajdowała się czaszka Reilly'ego. - Iain MacLeod, hrabia Glendenning. Przybyłem tak szybko, jak mogłem. Opóźniła mnie ta przeklęta mgła. Widzę jednak, że tymczasem niezłe się pan zabawiał.

Reilly rozejrzał się dookoła zapuchniętymi oczyma. Adam MacAdams i jego kumple osunęli się na szynkwasy w różnych stadiach nieswiadomości. Jedynie zmartwychwstały Stuben znalazł sobie wygodne miejsce do spania i wyciągnął się na posłaniu, które pani Murphy umościła dla Reilly'ego na wyscielanej ławie.

-Która? - zaczął Reilly i skrzywił się, po czym ciszył głos. - Która godzina?

-Dochodzi szosta. Zdaje się, że spędziliście razem mile chwile. Reilly spojrzał na swoich chrapiących towarzyszy popijawy.

Dziwne, noca sprawiali wrażenie znacznie mniej starych i paskudnych niż teraz w zimnym świetle dnia.

-Chyba tak - niechętnie przyznał Reilly, ponieważ, prawdę powiedziawszy, nie bardzo pamiętał, jak spędził minione chwile. - Nie rozumiem, dlaczego pani Murphy nie wyrzuciła ich, zamykając piwiarnię.

-Zamykając piwiarnię? - Lord Glendenning pokazał, że w szerokim uśmiechu. Reilly zdumiał się na widok ich rozmiaru, po czym nieco się odsunął, ponieważ w niemily sposób przypominały użebienie wilka. - Nie na wyspie Skye. Moira pozwala im pić, dopóki nie spiją się do nieprzytomności, przez wiele nocy. Założę się, że połowa z nich nie była w domu od miesiąca.

Reilly skrzywił się ze wstydem. To wyjaśniało, skąd brał się ten odor.

-Co nie oznacza, że ktoś za nimi tęskni - ciągnął lord Glendenning. - Ich żony to w przeważającej mierze bardzo apetyczne dziewczyny. - Mrugnął porozumiewawczo do Reilly'ego. - Ogrzałem już niejedno łóżko, podczas gdy ci nicponie przesiadują w gospodzie, upijając się do nieprzytomności.

Reilly słuchał go ze zdumieniem. Nie dlatego, że oburzyło go cudzołóstwo lorda Glendenninga, lecz fakt, że sypiał z żonami tych starców. Najwyraźniej sprawy na wyspie Skye miały się o wiele gorzej, niż sądził do tej pory.

Zauważywszy jego spojrzenie, Glendenning dodał z uśmiechem:

-Wiem, co pan sobie myśli, ale myli się pan. Widzi pan tego starego MacAdamsa?

Reilly skinął głową.

-Jego żonka nie ma nawet trzydziestki. Nic dziwnego. On sam liczy sobie nie więcej niż trzydzieści pięć lat.

Reilly aż się zachłysnął.

-Ale... na Boga, ja mam trzydzieści lat i...

-Wszystkiemu winne jest morze - wyjaśnił Glendenning, wzruszając ramionami. - Całe dni spędzane pod gołym niebem, bez względu na pogodę. Chłozcze ich wiatr, spryskuje słoną wodą... Starzeja się przedwcześnie.

-Nie przyszłoby mi to do głowy. Nigdy w życiu.

-Pewnie, że nie. Niby skąd? - Glendenning rozejrział się po izbie. - Dziewczyny jeszcze nie wstały? Myślałem, że pogadamy sobie przy śniadaniu.

-Chyba nie - odparł Reilly. - Nie szkodzi. Nie jestem wcale...

-A ja owszem. - Glendenning wstał, a jego stawy zatrzeszczały donośnie. - Sprawdź tylko, czy nie uda mi się namówić korejs z nich, by usmazyla nam kilka jajek - powiedział, kierując się ku schodom w głębi pomieszczenia. - Kiedy mi na czymś zależy, potrafie być bardzo przekonujący - rzucił przez ramię i znow mrugnął porozumiewawczo.

Reilly odprowadził go beznamietnym wzrokiem. Gdy tylko hrabia zniknął z pola widzenia, podniósł się i zerwał list od Christine, wieszający nad wygasłym paleniskiem. Jak mógł pozwolić, by suszył się na oczach wszystkich, jak jakiś przepis kulinarny lub kartka z referencjami? Mezczyzna nie afiszuje się z listem, w którym narzeczona oznajmia mu o zerwaniu zaręczyn.

Dzięki Bogu, morską wodą splukaną z niego niemal wszystko, co napisała Christine. Bez szkody dla Reilly'ego, bo i tak od dawna znalazł treść listu na pamięć. Nie należało jednak go wystawiać na widok publiczny, zwłaszcza że już wkrótce Reilly miał tu pracować.

Podszedł do swego kufra, który pani Murphy wyratowała z promu Stubena i umieściła pod szynkwasem. Unosił wieko, wsunął list do środka i wyjął dziennik, a także kalamarz z atramentem i ubrudzone pióro. Usiadł, otworzył dziennik, odczytał pobieżnie poprzedni zapis, po czym zanotował:

15 lutego 1847 roku

Ostatniej nocy wypilem zbyt wiele, a teraz mdli mnie. Christine ma rację: utracysz ze mnie i pijanica. Muszę jej udowodnić, że się myliła. Ale w jaki sposób? Oczywiście, poza zaprzestaniem picia.

Nie udało mi się uratować życia topielca. Zostałem zawstydzony na oczach całej wioski przez amazonkę w spodniach. Ma na imię Brenna, ale nie przypomina żadnej z dotychczas poznanych.

Przerwał na chwilę, zastanawiając się, jak ma dokładnie opisać te kobiety, tak niepokojąco atrakcyjną, a jednocześnie tak niewybaczalnie grubiańską. Uznał jednak, że zwążywszy na jego aktualny stan, taki wyczyn przekracza jego siły. Skupił się więc na łanie MacLeod.

Lord Glendenning jest przerazająco podobny do Byrona. Az lekam się spojrzeć na jego stopy, czy aby nie utyka.

Na razie nie było mowy o haggis*. Pearson i Shelley znow się mylili. Wygląda na to, że będa jakies klopoty z domkiem.

Unosił głowę, posłyszawszy jakies intrygujące odgłosy, docierające z góry. Zasiadł przy ładzie, zastanawiając się, czy kawa dobrze mu zrobi na ból głowy. Po chwili wrócił hrabia, a za nim szła rozchichotana Flora, usiłując pozapinać suknie. Reilly zdał sobie sprawę z przerazającą jasnością, że będzie spożywał posiłek w towarzystwie mezczyzny, odpowiedzialnego za obecny stan dziewczyny. Zaczął się zastanawiać, jak wiele bekartów zawdziecza lordowi Glendenningowi personel piwiarni Pod Udreconym Zajacem.

-Obecna tu panna Flora zgodzila się przygotować dla nas posiłek, doktorze - powiedział hrabia swym grzmiącym głosem. - Może siadziemy przy stole i zaczekamy na to śniadanie godne samego krola?

Na myśl o jakimkolwiek pozywieniu Reilly odczuwał mdłości, lecz usiadł z Glendenningiem przy najbliższym stole, ostrożnie przekroczywszy nieruchome ciało jednego ze swych nowych przyjaciół, którego imię w tej chwili wymknęło mu się z pamięci.

-A więc - powiedział lord Glendenning, unosząc szklanke, która napelniła dla niego Flora - zacznijmy od tego, co najważniejsze. Toast, doktorze Stanton. Panskie zdrowie. Witam na wyspie Skye.

Reilly spojrział ze wstretem na swoje piwo. Na wierzchu burzyła się warstwa piany.

-Świetnie - powiedział. - Za Skye.

I upił łyk gęstej, drożdżowej mikstury.

Poczuł przyływ mdłości. Przez chwilę był pewien, że zwymiotuje i obrzyga siebie, stol i lorda Glendenninga. Co na

pewno zrobiliby wrazenie na jego nowym pracodawcy.

I nagle poczul sie lepiej. O, tak. Piwo osiadlo w jego zoladku, a ucisk w glowie ustapil.

Ulga, jakiej doznal, musiala odmalowac sie na jego twarzy, bo hrabia rozesmial sie i rzekl:

-Wiedzialem, ze to poskutkuje. Siersc psa. Nigdy nie zawodzi. Reilly spojrzal na piwo z uznaniem.

-Nie moze uwierzyc. Pani Murphy powinna to opatentowac i sprzedawac napoj jako zdrowotny tonik. Amerykanie zaraz by to podchwycili.

Glendenning uniosl palec.

-Masz zle w glowie, czlowieku? Wyjechalaby stad i dokad mielibysmy sie udac po pomoc?

-Racja - Reilly nie mogl mu odmowic roztropnosc. - Swieta racja.

-No, dobrze. - Glendenning schylil sie i podrapal w miejsce, ktore nie byloby tak latwo dostepne, gdyby nie mial na sobie kiltu. - Po sniadaniu pojdzimy rzucic okiem na szpitalik. Musi pan pamietac, ze jest zamkniety od czasu ostatniego cyrulika.

-Lekarza - poprawil go Reilly.

-Slucham? - zapytal zdziwiony Glendenning.

-Lekarza. - Reilly znow popil piwa. Czul sie coraz lepiej. Wkrotce odzyska Christine. Musi tylko wyleczyc z cholery kilka osob i udowodnic, ze, niezaleznie od tego, co na ten temat mysli Christine, uzdrawianie ludzi jest dla niego o wiele wazniejsze niz to, ze jest markizem Stillworth, a wtedy ona sama bedzie go blagala, by ja poslubil. Z cala pewnoscia powroci do domu nie pozniej niz na przyszle swieta Bozego Narodzenia. - Szukal pan lekarza, nie cyrulika.

-Racja. - Glendenning odgarnal z twarzy swoje przesadnie dlugie wlosy.

Reilly pomyslal, ze Christine, jak kazda kobieta, uznalaby hrabiego za niewiarygodnie przystojnego mezczyzne. Lecz dla niego Glendenning byl paskudny, z tymi ogromnymi owlosionymi kolaniskami, nacierajacymi pod stolem na jego nogi, i ze zwyczajem nieustajacego drapania sie tu i owdzie. Choc zdawal sobie sprawe, ze w tej chwili on takze nie wyglada jak z obrazka. Czul wyrzynajacy sie zarost i wiedzial, ze wlosy wysunely sie z rzemyka, ktorym zwiazal je z tylu. Mial jednak nadzieje, ze mimo wszystko prezentuje sie lepiej niz Glendenning, ktory pozowal na zadumanego bohatera powiesci. Reilly nie bylby zaskoczony, gdyby sie okazalo, ze hrabia dosiada czarnego jak wegiel rumaka.

-Racja, lekarza - mruknal lord. - Co wyjasnia, dlaczego podpisuje sie pan dr Stanton, a nie mr Stanton, czyz nie?

Reilly skinal glowa.

-Musi pan im wybaczyć, jesli na poczatku beda sie do pana zwracali panie Stanton, nie zas doktorze Stanton. Nasz ostatni czlowiek nie dbal o to, wiec wiekszosc zwracala sie do niego panie Donnegał, bo takie mial nazwisko.

Reilly jeszcze raz skinal glowa.

-Rozumiem, ze pana Donnegała nie ma juz wsrod nas.

-Tak...

-Slyszalem, ze to cholera...

Glendenning spojrzal na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

-Tak, cholera. Ale nie bylo tak, jak pan myslili...

-Och, bez obawy - przerwal mu Reilly. - Nie przywiazuje wielkiej wagi do wlasnego zycia. Przekona sie pan, ze nie bede sie bal pacjentow chorych na cholere.

Reilly bardzo sie staral, zeby jego ton nie zdradzal, jak wielka rozsadzala go radosc. Doktor Stanton na mysl o walce z epidemia cholery odczuwal, w przeciwienstwie do kazdego innego lekarza, wielkie podniecenie. Wszak cholera byla najbardziej przerazajaca, niebezpieczna choroba, i jako taka mogla wyrzec wrazenie nawet na osobie tak krytycznej jak Christine. A gdyby poswiecil wlasne zycie, by uratowac kilka nieszczesnych dusz, na pewno ujrzalaby go w innym swietle.

Na szczescie, w tej wlasnie chwili do stolu podeszla Flora, dzwigajaca na tacy ogromna gore jedzenia, i lord Glendenning nie musial odpowiadac na zarliwe zapewnienie Reilly'ego.

-Ach - powiedzial hrabia, umieszczajac serwetke na froncie swej bialej koszuli. - Dziekuje, kochana.

Reilly poderwal sie i odebral ciezka tace od brzemiennnej dziewczyny, spostrzegajac, ze stal sie obiektem pelnych zdziwienia spojrzez sluzacej i jej pana.

-Dziekuje - powiedziala Flora tonem wyrazajacym zaskoczenie.

Na jej policzkach wykwitly jaskrawe rumience.

-Eee, tak - odezwal sie lord Glendenning, zaklopotany rumiencem Flory. - Sam bym jej pomogl, oczywiscie, ale przedwczoraj urazilem sie w palec...

-Bede go musial obejrzec - powiedzial Reilly, nakladajac jajka na talerz.

-Juz mi lepiej - zapewnil go hrabia. - Tylko troche pobolewa.

-Oczywiscie - rzekl Reilly tonem pelnym wspolczucia. A potem, pomyslawszy, ze ich znajomosc jest zbyt swieza, by pokpiwac sobie z pracodawcy, zmienil temat. - Porozmawiajmy o domku, lordzie...

-Ach, tak. - Glendenning wepchnal sobie do ust gore jajecznicy, po czym przemowil, rozpryskujac ja po calym pomieszczeniu. - Burn Cottage. W tej chwili sa z nim niewielkie klopoty...

-Doprawdy? - Pragne pana zapewnic, ze nie jestem kapryсны. Wystarczy mi dach nad glowa. Jesli dom nie jest wysprzatany...

-Och, nie o to chodzi - zapewnil go hrabia. - Po prostu nie pozbylem sie poprzedniej lokatorki.

Reilly uniosl brwi.

-Poprzedniej lokatorki?

-Tak. Jest uparta jak osiol. Widzi pan? - Wskazal palcem zaczerwienienie pod prawym okiem. - Uderzyla mnie! Wczoraj wieczorem rabnela mnie piescia prosto w twarz!

Reilly odlozyl widelec i pomyslal, ze sam chetnie przylozylby hrabiemu.

-Bylem przekonany - powiedzial Reilly glosem tak lodowatym jak woda, do ktorej wskoczyl poprzedniego dnia - ze domek jest przeznaczony dla wioskowego lekarza.

-I slusnie - powiedzial hrabia, siorbnawszy piwa. - Tak wlasnie jest.

-Wiec skoro poprzedniego lekarza nie ma juz wsrod nas... - glos Reilly'ego moglby zmrozic roztopione maslo - ...jak to mozliwe, by ktos mieszkal w domku lekarza?

-Och. - Hrabia wzruszyl masywnymi ramionami. - Zostala tam jego corka.

-Chce mi pan zakomunikowac, sir... - Reilly mial nadzieje, ze go zle zrozumial - ...ze chce pan wyrzucic sierote na mroz?

-Sierote? - parsknal Glendenning. - Bogac tam, sierote. Reilly znow pomyslal, ze z przyjemnoscia podbilby hrabiemu drugie oko. Nie bylyby to nawet trudne. Byli jednego wzrostu i wagi. Podczas studiow Reilly radzil sobie z o wiele wyzszyimi kolegami. A zaden z nich nie nosil spodnicy.

-Niech mnie pan poslucha, Glendenning - powiedzial z niesmakiem, odkladajac serwetke. - Nie zgodze sie na to, slyszy pan? Nie pozwole, by z mego powodu wyrzucil pan niewinna dziewczynke na snieg. Jesli bede sobie musial wynajac inne lokum, zaplace za nie, na Boga... co pana tak rozsmieszilo?

-Pan - odparl hrabia, krztuszac sie ze smiechu. - Nigdy dotad nie spotkalem kogos takiego jak pan, Stanton. Sadzilem, ze tacy ludzie przeszli do historii wraz z Okraglym Stołem!

Reilly zmierzyl go gniewnym spojrzaniem.

-Dlaczego? Dlatego, że się nie zgadzam z bogatym lordem, pozbawiającym dachu nad głową nieszczęsne sieroty po to, by oddać ich mieszkanie swemu osobistemu lekarzowi, który będzie leczył jego obolalę palec?

Teraz Glendenning rzucił serwetkę.

-Posłuchaj pan, Stanton - powiedział. - Nie podoba mi się pański ton. Po pierwsze, naprawdę uraziłem się w kciuk. Omal nie zdarłem sobie paznokcia. Widzi pan?

Reilly spojrzał beznamiętnie na palec, który hrabia podetknął mu pod nos.

-A po drugie, nie wynajęłem pana, aby był pan moim osobistym lekarzem. To prawda, że od zeszłego lata cierpię na pewne przypadłości. Ale sściagnąłem tu pana ze względu przede wszystkim na mieszkańców wioski. A po trzecie, co się tyczy owej nieszczęsnej sieroty, której tak zaciekle pan broni, to niech się pan dowie, że po pierwsze, nie jest sierotą, po drugie, ma prawie dwudziestkę i nie jest, jak pan sobie wyobraża, jakąś bezbroną istotą. Doskonale potrafi walczyć o swoje, o czym dobitnie świadczy fakt, że podbiła mi oko.

-Niech pan sobie przyłoży na to oko plaster mięsa - poradził Reilly bezbarwnym tonem. - To zapobiega opuchliznie. A kciuk należy wymoczyć w ciepłej wodzie.

Glendenning ze zdziwieniem spojrzał na skaleczony palec.

-Naprawdę?

-Tak. Dam panu proszek, który należy wsypać do wody. I powinien pan zabandażować palec. A teraz niech mi pan wyjaśni, co miał pan na myśli, mówiąc, że owa dziewczyna nie jest sierotą. Wydawało mi się, że pan Donnegal nie żyje.

Glendenning pokręcił głową, potraszając kruczoczarnymi lokami.

-Nigdy tego nie powiedziałem. Donnegal żyje i doskonale się ma.

-Żyje i... - Reilly przerwał i spojrzał zdumiony na swego pracodawcę. - Wydawało mi się, że zeszłego lata zabrała go epidemia cholery.

-W pewnym sensie tak - odparł Glendenning, wzruszając ramionami. - Zabrał żonę, spakował dobytek i odpłynął do Indii. Aby poszukiwać... jak to się nazywa? Ach, tak. Genezy azjatyckiej cholery.

-Dobry Boże! - wykrzyknął Reilly. - I pozostawił córkę samą? Glendenning wznosił oczy do nieba.

-A pan ciągle swoje. Nie, nie zostawił córki samej. Miała mieszkać z jego bratem w Londynie. A ona, jak zawsze samowolna i niewdzięczna, przy pierwszej okazji zabrała się i wróciła na Skye.

Reilly spojrzał na lorda w osłupieniu.

-Wróciła? Wróciła na Skye? Dlaczego?

-Skąd mam wiedzieć? Nie powiedziała mi. - Hrabia zmarszczył czoło. - Ale wiem z całą pewnością, że teraz, kiedy pan przyjechał, ona musi się wynieść z domku.

Reilly przyglądał się hrabiemu. Jedną z przyczyn, dla których opuścił Londyn, była nadzieja, że nie będzie widywał ludzi w rodzaju Glendenninga... Członków uprzywilejowanej klasy wyższej, którzy tak wiele myśleli o sobie, nie przejmując się losem tych, za których powinni być odpowiedzialni. Ludzi, którzy traktowali jego ambicje, by zostać lekarzem, z niedowierzaniem, a nawet pogardą. Nie mogli zrozumieć, po co ktoś, kto przyszedł na świat jako markiz, zawraca sobie głowę zdobywaniem wykształcenia i zawodu. Mogliby to pojąć, gdyby był drugim synem, lecz Reilly był pierworodnym.

Jego zapewnienia, że zawód lekarza fascynuje go, spotykały się z całkowitym brakiem zrozumienia. Determinacja, by zdobyć dyplom, stała się przedmiotem kpin w jego środowisku. Poza plecami Reilly'ego mówiono o "szalenstwie Stillwortha". A gdy osiągnął cel i upierał się, by pacjenci tytułowali go doktorem, a nie lordem Stantonem, obiekcje miała nawet Christine. Najwyraźniej fakt, że Reilly jest markizem, był ważniejszy niż jego status lekarza.

Lecz dla Reilly'ego, który osiągnął tytuł zawodowy dzięki ciężkiej pracy i zdecydowaniu, był on znacznie cenniejszy niż ten, który odziedziczył tylko dlatego, że jego ojciec skreślił sobie kark, spadłszy z grzbietu ulubionego konia.

Lecz wszystko wskazywało na to, że nawet na takim odludziu jak wyspa Skye nie mogli uciec od hipokryzji i samolubstwa

klasy, w której przyszedł na świat.

-Nie godzę się na to. Nie pozwolę, by z mego powodu pozbawił pan tę bezbronną kobietę dachu nad głową...

Glendenning wyszczerzył zęby.

-Niech pan odłoży swój miecz, Lancelocie. A może Galahadzie. Mam swoje powody, by usunąć tę damę z Burn Cottage.

-Poza tym żeby zwolniła dom dla mnie? - Reilly nieufnie spojrzał na hrabiego. - I jakież to powody?

-Bardzo proste. - Hrabia znowu zajął się swoim talerzem. - Chce, aby zamieszkała u mnie. A teraz - dodał, wzruszając ramionami - będzie musiała.

5

Reilly poderwał się gwałtownie. Jego krzesło upadło na podłogę z hałasem, który sprawił, że towarzysze wczorajszej bibki poruszyli się i jęknęli przez sen. Reilly nie dbał o to. Pochylił się i, oparłszy pięści po obu stronach talerza hrabiego, wyszczerzył zęby:

-Ty lajdaku. Gdybym miał przy sobie pistolet, przestrelilibym ci na wylot ten twój głupi łeb.

Glendenning zdumiał się, ale nie na tyle, by przestać przeżuwać.

-Uspokój się, Stanton - powiedział. - Chce się z nią ożenić.

-Co? - spytał Reilly, mrugając powiekami.

-Jasne, że tak. Wyobrazasz sobie, że biore kochanki siłą? Na takiego właśnie wyglądasz, pomyślał Reilly, ale głośno powiedział:

-Nie masz nic przeciwko sypianiu z żonami twoich przyjaciół, więc czemu miałbym ci wierzyć?

Twarz Glendenninga pociemniała.

-To nie są moi przyjaciele - zaprotestował energicznie, daleko bardziej obruszony implikacją, że mógłby się pospolitować z rybakami, niżli zarzutem cudzołóstwa. - Zartujesz sobie? To moi poddani. I na tym polega różnica. Prawa feudalne i inne takie.

Reilly z niedowierzaniem pokręcił głową.

-Prawa feudalne? - powtórzył. To było znacznie gorsze niż wszystko, czego wysłuchiwał w Londynie, gorsze nawet od tego, czego nasłuchiwał się w Oxfordzie.

-Tak. - Glendenning machnął nożykiem do masła. - Lordowi przysługuje prawo defloracji wszystkich dziewcząt w wiosce, i czemu nie? Co nie oznacza, że z niego korzystam... przynajmniej nie w ten sposób. Chodzi mi o to, że nie domagam się tego prawa. One po prostu przystają na to z ochotą. Sam nie wiem dlaczego.

Ale Reilly wiedział. Hrabia bił swoich rywali na głowę. Która kobieta o zdrowych zmysłach będzie wolą Adama MacAdamsa od Iainy MacLeoda? Glendenning był wielki jak dom i przystojny, jeśli się lubiło ten typ, a kobiety, z przyczyn niezrozumiałych dla Reilly'ego, najwyraźniej lubiły.

Na dodatek z całą pewnością nie przeszkadzało im, że Glendenning jest najbogatszym kawalerem w okolicy.

-A panna Donnegal? - zapytał Reilly. - Skoro kobiety na wyspie są takie chętne, by wskoczyć do twego łóżka, dlaczego musisz ją nakłaniać, by przeniosła się do zamku? Dlaczego nie lasi ci się do stop jak obecna tu Rora? - Reilly wskazał głową na drzwi kuchni, za którymi zniknęła służąca.

Glendenning zamyslił się, nie przerywając jedzenia.

-Z całą pewnością powinna - odparł. - Ale jest trochę... jak by to powiedzieć, jest uparta.

-Na tyle uparta, by nie wyjść za mąż za hrabiego? - Reilly unosił się, by przesunąć swoje krzesło, po czym znowu na nim usiadł. - Nie sądzę, by w Londynie znalazła się dziewczyna równie uparta. - No, może z wyjątkiem Christine King. Ale ona odrzuciła markiza, a nie hrabiego. I uczyniła tak między innymi dlatego, że Reilly czuł się przede wszystkim nie markizem,

lecz lekarzem.

Glendenning skinal głowa. Po raz pierwszy, odkąd podano im posiłek, przestał się napychac. Pochylił się do przodu i wyszeptał konspiracyjnie:

-Wiem. I powiem ci, Stanton, że zaczyna mnie to trochę... niepokoić. - Zniżył głos jeszcze bardziej. - Zaczynam podejrzewać, że dziewczyna mnie nie lubi.

Reilly także zniżył głos do szeptu, choć trzeba dodać, że jego ton był pełen ironii.

-Nie potrafię sobie wyobrazić dlaczego. Przecież tylko wyrzuciłeś ją z domu.

-Och, nie lubiła mnie na długo przedtem - zapewnił go hrabia. - Jak myślisz, dlaczego zniżyłem się do takich podstępów? Możesz mi wierzyć, że nie czerpię z tego najmniejszej przyjemności. Ale dziewczyna musi się przekonać...

-Jaki z ciebie miły i zmysłny facet?

Glendenning zamrugał powiekami, najwyraźniej biorąc jego słowa za dobrą monetę.

-Nie. Jaka jest głupia. Nigdy w życiu nie złapie nikogo lepszego ode mnie. Przynajmniej nie tutaj. Jestem najbogatszym, najprzystojniejszym i najlepiej wykształconym mężczyzną na tej wyspie.

O co nietrudno, pomyślał Reilly, zwążywszy na spotkanych dotychczas przedstawicieli tutejszej męskiej populacji.

-I najskromniejszym - dodał głośno.

Wszystko wskazywało na to, że Glendenning rzeczywiście jest całkowicie nieczuły na ironię.

-Tak. Ten wybieg z domkiem był ostatnią deską ratunku, naprawdę. - Hrabia zamilkł na chwilę, przyglądając się pozostawionym na talerzu resztkom jedzenia. Jego wzrok padł na kawaleczek bekonu. Lord poweselał i dodał: - Chyba że...

Reilly unosił brwi.

-Chyba że?

-Chyba że ty... - Był zbyt przejęty swoim pomysłem, by wyrazić się jasno.

-Chyba że co zrobisz? - zapytał Reilly podejrzliwie.

-Najwyraźniej jesteś inteligentnym człowiekiem. Wykształconym. Oxford i cała reszta. Myślę, że na niej powinno to wywrzeć wrażenie.

-Obawiam się - powiedział Reilly ostrożnie, niezadowolony z kierunku, w jakim zmierzała rozmowa - że nie rozumiem.

-No, po prostu przyszło mi do głowy, że gdyby ktoś taki jak ty... wykształcony... przedstawił jej sprawę, może zechciałaby ją rozważyć...

Reilly przyglądał mu się ze zdumieniem. Podejrzewał, że hrabia będzie zmierzał ku czemuś takiemu, ale żeby powiedzieć coś podobnego, ot tak, bez ogródek... nie wierzył własnym uszom.

-Człowieku, postradales zmysły? - wybuchnął. Lord Glendenning zdawał się go nie słyszeć.

-Nie. To doskonale rozwiązanie! - powiedział, zapalając się do swego pomysłu. - Ona zawsze rozprawia o jegomościach w twoim rodzaju, co to pisują rozprawy o właściwej pielęgnacji zębów i inne takie. Uszanuje to, co jej powiesz.

-Posłuchaj no - rzekł dotknięty do żywego Reilly. - Nigdy w życiu nie napisałem żadnej rozprawy, a tym bardziej nie o właściwej pielęgnacji zębów...

-Po prostu przedstawiś jej problem - ciągnął Glendenning, nie zwracając uwagi na słowa Reilly'ego - w naukowym świetle. To się jej spodoba. Powiedz jej, że powinniśmy się pobrać, bo należymy do tej samej klasy. Słyszałem pogłoski, że jej stryj, u którego powinna była zamieszkać, jest jakimś porem. Nie ma więc powodu...

-Lordzie Glendenning - Reilly przerwał swemu pracodawcy stanowczo. - Jestem lekarzem, a nie swatem. Z całą pewnością nie przyłożę ręki do zniewolenia tej młodej kobiety.

Hrabia najwyraźniej nie grzeszył rozumem. Był zbyt przystojny, by kiedykolwiek robić z niego użytek, żeby zdobyć to, czego pragnął. Reilly znalazł ten typ aż nadto dobrze. Połowa studentów Oxfordu była taka jak hrabia i na uczelni znalazła się nie po to, by zaspokoić głód wiedzy, lecz dlatego, że zyczyli sobie tego ich ojcowie i dziadkowie.

W przeciwieństwie jednak do znanych mu gogusiów, hrabia miał pewną chytrą, jakiś zwierzęcy zmysł przeczucia.

To właśnie, bo przecież nie wyrachowanie, sprawiło, że Glendenning powiedział:

-Szkoda. Wielka szkoda. Bo miałem nadzieję, że zabiorę ją z tego domku, zanim się zacznie wiosenna powódź. Kiedy mieszkali tu jej rodzice, wszystko było w porządku, ale tej wiosny znajdzie się tu po raz pierwszy sama, i z jej... problemem... nie jestem pewien, czy powinna zostać bez żadnej opieki...

Reilly nie chciał zadać oczywistego pytania. Zdawał sobie sprawę, że hrabia manipuluje. Nie potrafił się jednak opanować.

-Problem? - zapytał z ociąganiem. - O czym mówisz? Ta młoda dama ma jakiś... problem?

-Coż, nie miałem zamiaru o tym wspominać - odparł Glendenning zakłopotanym tonem. - A w każdym razie nie tobie. To naprawdę nic niepokojącego. Przynajmniej tak mi się wydaje. Tylko że odkąd tutaj wrocila, zachowuje się trochę dziwnie.

-Panna Donnegan? - zapytał Reilly, aby wyjaśnić sprawę do końca.

-Tak. To nic okropnego. Poza tym, że najwyraźniej uciekła spod opieki osoby, która miała się nią zająć, i bez powodu wrocila tutaj. Odkąd tu przyjechała, zachowuje się... dziwnie.

-Bo nie chce cię posłuchać?

-To też... ale są jeszcze inne dziwactwa. Nocami wchodzi się po cmentarzu i zapisuje coś w swoim zeszycie.

Reilly wytrzeszczył zdumione oczy.

-Zapisuje coś - powtórzył. - W zeszycie. Na cmentarzu. Nocami.

-Tak. Ale to nie wszystko. Chodzi po zmierzchu po wsi, z tym samym zeszytem, tym z cmentarza. Wchodzi do domów i coś pisze. A potem zamyka się w pokoju i nie chce nikogo widzieć. Nie mówi, co tam robi. Pewnie nic złego. Ale ludzie...

Glendenning wzruszył potężnymi ramionami, a potem ciągnął dalej.

-Ludzie gadają. I muszę ci wyznać, że nie byłbym zadowolony, gdyby ta młoda kobieta została sama, kiedy zaczyna się roztopić. Tu, na Skye, zimy są łagodne, ale możesz mi wierzyć, że nie jest tak miło, kiedy w gorach topnieją śniegi. I jeśli dziwactwa dziewczyny... posuną się dalej... nigdy sobie nie wybaczę, jeśli znajdziemy ją zamrożoną lub utopioną. Zapewniam cię, że nie chciałbym zawiadamiać o tym jej rodziców...

-Pewnie.

Reilly starał się, by jego głos nie zdradzał zaniepokojenia. Nie chciał okazać, że jest zdenerwowany. Glendenning prawdopodobnie przesadza, aby zmusić go do współpracy.

Ale jeśli choćby cząstka jego opowieści jest prawdziwa, młoda kobieta rzeczywiście może cierpieć na jakieś zaburzenia psychiczne. Dlaczego porzuciła bezpieczne życie wśród kochających ją bliskich krewnych i wrocila na wyspę Skye, by mieszkać samotnie? A wędrowki po wiosce, nie wspominając już o cmentarzu w środku nocy?

Serce Reilly'ego galopowało. Czyżby panna Donnegan miała być jego pierwszą pacjentką?

Zastanówmy się. Skoro dziewczyna naprawdę była niezrównowazona, dlaczego Glendenning pragnął ją posłuchać?

-Sądzi, że to oczywiste - odparł lord, gdy Reilly postawił mu to pytanie. - Kocham ją.

Po prostu. Dwa słowa, a niosły z sobą tak wiele informacji. Doprawdy wzruszające poświęcenie dla neurotyczki, która najwyraźniej potrzebowała medycznej pomocy Reilly'ego.

A błędzenie po ciemku z pewnością wynikało z demencji.

Niech no tylko opowie o tym Pearsonowi i Shelleyowi! Zzielenieją z zazdrości.

Jednakże nie chciał okazać entuzjazmu. Wszystko wskazywało na to, że Glendenning ma bzika na punkcie tej kobiety.

-Przypuszczam - powiedział Reilly z namysłem - że nie zaszkodzi, jeśli ja zbadam. Aby wyrobić sobie zdanie o naturze jej, hm, rozstroju.

Glendenning z zadowoleniem klasnął swymi ogromnymi dłońmi. Wywołując dźwięk przypominający niezbyt odległy grzmot, który sprawił, że kilku pijanych towarzyszy Reilly'ego jęknęło przez sen.

-Wiedziałem, że będziesz odpowiednim człowiekiem na to stanowisko - powiedział uszczęśliwiony. - Od pierwszego spojrzenia.

Nasz bohater uznał, że nie ma potrzeby wspominać hrabiemu o fakcie, że jego oczy po raz pierwszy spoczęły na Stantonie, gdy wspierał się on twarzą na szynkwasię miejscowej tawerny.

-Gdzie znajdzie trochę ciepłej wody? - zapytał. - Chciałbym się umyć, przebrać i ogolić...

W ten oto sposób godzinę później Reilly znalazł się na grzbiecie kosmatego i nieco narowistego rumaka, przysłanego ze stajni hrabiego specjalnie do osobistego użytku pana doktora, jak zapewnił chłopak, który go sprowadził. Chłopak, o imieniu Rob, nazwany tak na cześć pradawnego króla, miał służyć Reilly'emu za przewodnika po wyspie. Swoją rolę wypełniał bardzo lakonicznie, wskazując Reilly'emu jedynie zamek Glendenning, gorujący nad wsia, jeśli owa zbieranina szop ustawionych wzdłuż przystani zasługiwała na to miano.

Reilly uznał, zadzierając głowę, gdy przejeżdżali pod zamkiem Glendenning, że nie sprawia on wrażenia specjalnie przytulnego miejsca. Poranne słońce wymiotło wczorajszą mgłę i Reilly po raz pierwszy mógł się rozejrzeć po okolicy, znajdując ją raczej miłą. Wszystko, począwszy od krytego strzecha dachu piwiarni Pod Udreczonym Zajacem, po budynki zamkowe, zasypał śnieg, a w miejscach, w których śnieg zaczął topnieć, utworzył się lod. Galezie kilku widocznych drzew skrzyły się w promieniach zimowego słońca. Po drodze do zamku Reilly i jego przewodnik mineli owce o sierści pokrytej drobnymi kropelkami zamrznietej wody.

Wziawszy wszystko razem, Reilly był bardzo zadowolony ze swej decyzji, by przybyć na wyspę Skye. To prawda, że tutejsi ludzie, może z wyjątkiem niepokojącej panny Donnegal, oraz zadziwiającej, lecz bardzo irytującej Brenny, byli prosci, co napawało go optymizmem po londyńskich pacjentach, którzy zazwyczaj nie zgadzali się z jego diagnozami, upierając się, że ich choroba jest bardziej dramatyczna lub egzotyczna. Cierpiąc na ropień okolomigdalkowy, obstawiali, że to malaria, a mając zwykłą niestrawność, byli przekonani, że to rzadka choroba serca. Nie miał nadziei, by kiedykolwiek miało się to zmienić. Lecz tutaj miał nareszcie szansę udowodnienia swoich medycznych umiejętności.

Chłopak o imieniu Rob prowadził w górę łagodnego zbocza. Nawierzchnia, po której szły konie, była nierówna i skalista, lecz najwyraźniej stanowiła coś w rodzaju drogi, a raczej ścieżki. Ludzi w wiosce było niewiele. Reilly dowiedział się z lektury, że po zarazie, która zabrała prawie jedną trzecią populacji, żyło tam zaledwie około stu osób. Kiedy mijali cmentarz, spostrzegł zniszczoną kartkę przyklejoną do czarnego pnia drzewa, informująca wiernych, że cmentarz jest przepelniony i zabrania się indywidualnych pochówków; zezwala się jedynie na kopanie zbiorowych grobów.

Lecz nawet to ponure przypomnienie okropieństw minionego lata, a nie było ono mile nawet w Londynie, choć zaden z pacjentów Reilly'ego nie zaraził się cholera, choroba nekająca zwłaszcza biedne dzielnice, nie zdołało popsuć mu nastroju. Wdychał czyste, ostre, słone powietrze, znacznie przyjemniejsze niż przesiąknięte sadzą powietrze Londynu, duszące od dymu pochodzącego z węglowych pieców. Zrozumiał, że istoty ludzkie zostały stworzone przez Boga, by żyć tak jak tutaj, a nie w wielkim mieście, gdzie muszą się tłoczyć jedne nad drugimi. I poczuł przypływ nieklamane go współczucia dla Pearsona i Shelleya, którzy o tej porze niechybnie znajdowali się w drodze do pacjentów i z pewnością utknęli w korku.

-Niech pan patrzy - odezwał się chłopak. - To jest Burn Cottage.

Reilly spojrział we wskazanym kierunku i zobaczył czarujący, słiczny mały domek, usytuowany na brzegu czegoś, co w lecie musiało być rwącym potokiem, lecz w zimie stanowiło zwyczajną rzeczke szerokości około sześciu metrów, o wartkim nurcie. Poprzez rzeczke przerzucony był prosty drewniany most, wystarczająco szeroki, by pomieścić konnego jeźdźcę, lecz zbyt wąski, by przepuścić jakikolwiek pojazd. A więc, pomyślał Reilly, to jest ów potok. Doskonale miejsce na domek.

-Sliczny jak z obrazka - zachwycił się Reilly.

Chłopak sciągnął cugle konia i beznamietnie spojrział na domek. Kryty słomą dach nie wydawał mu się tak malowniczy jak Reilly'emu, bo pod taką samą strzechą spędził niejedną zimę, szczekając zębami. Do potoku miał równie pogardliwy stosunek.

-Tak - odparł Rob, spinając swego kuca piętami. - Pali się w piecu. - Wskazał głową smuzkę dymu, snującą się z jednego komina. - Napijemy się czegoś ciepłego.

Kucyk przeszedł przez most, stukając kopytami. Reilly posłusznie ruszył za swym przewodnikiem, myśląc, że Burn Cottage jest ostatnim miejscem, w którym można postrzadac zmysły. Trudno sobie wyobrazić pogodniejszą okolicę. Natomiast zamek Glendenning, ze swymi prastarymi wieżami i ponurymi ciemnymi murami, doskonale nadawał się na siedzibę obłąkanej kobiety...

Chłopak już zsunął się z siodła i zmierzał do domku energicznym krokiem, pewny, że zostanie dobrze przyjęty. Reilly zsiadł z konia, rozglądając się po dobrze utrzymanym podworku i po okrytych śniegiem ogródkach, z których jeden z całą pewnością był warzywny, o czym świadczyły suche krzaki pomidorów, drugi służył do uprawy ziół, a w trzecim uprawiano kwiaty. Schłodzone otoczenie zdawało się mówić, że szalenstwo może przybierać różne formy, a osoba obłąkana skrywa swoje ponure tajemnice w czterech ścianach domostwa. Reilly nigdy dotąd nie zetknął się z furiaćką, ale Pearson leczył pewną włoską księżnę, która miała niefortunny zwyczaj zwabiania gołębi na swój strych, gdzie rozdzierała je i pozerła na surowo. Pearson napisał artykuł o owej nieszczęsnej staruszce i odczytał go na spotkaniu medyków, gdzie bardzo dobrze go przyjęto.

Możliwe, myślał Reilly, gdy Rob stukał do drzwi, że uda mu się napisać artykuł o nieszczęsnej panie Donnegal. Zamilowanie do studiowania napisów na nagrobkach było niezwykle rzadką nerwicą. Reilly nigdy dotąd nie zetknął się z przypadkiem chorego, spisującego dane zmarłych, a taki symptom z pewnością wywarłby wrażenie na jego kolegach po fachu. Nie sadził jednak, by wzbudził zainteresowanie Christine, która odniosłaby się do czegoś takiego ze zrozumiałym obrzydzeniem...

Wtedy drzwi otworzyły się i Reilly znalazł się oko w oko z mieszkanką domku. Kobieta, znana w wiosce pod imieniem panny Brenny, spoglądała na niego bardzo przytomnie i niezwykle wrogo.

Dopiero wtedy Reilly zdał sobie sprawę, w jakich znalazł się tarapatach.

6

Brenna patrzyła na stojącego na progu wysokiego mężczyznę, myśląc, że nie traci on czasu. *Mój Boże, przecież dopiero się zjawiał na wyspie, a już przybył domagać się swego nowego domu? Coż, tacy właśnie byli ci londynczycy. Całkowicie pozbawieni dobrych manier.*

-Robie, co mogę - powiedziała, zdając sobie sprawę, że jej ton brzmi zgryźliwie - ale ponieważ dopiero wczoraj wieczorem dowiedziałam się o pańskim przybyciu, musi mi pan dać dzień lub dwa. Nie miałam czasu, by się spakować, nie wspominając już o szukaniu nowego mieszkania.

Mężczyzna patrzył na nią ze skrajnym zdumieniem... Ktoś z wykształceniem medycznym mógłby nawet stwierdzić, że jest bliski apopleksji. Brenna nie pojmowała dlaczego.

-Z przyjemnością porozmawiam na ten temat przy innej okazji - powiedziała szybko. - Lecz, jak pan widzi, właśnie przyjmuje pacjenta... - Wskazała młodego chłopca, który obejmował ramionami czarno - białego psa, leżącego bezwładnie na kuchennym stole. Pacjentem był oczywiście pies: Lucais, owczarek collie, należący do młodego Hamisha MacGregora, uwielbiał gonić krowki, co często kończyło się kłopotami, a w tym konkretnym przypadku utknięciem w jednej z pułapek, jakie Glendenning zastawiał na wilki.

Doktor Stanton nie wiedział tego wszystkiego. Sadził, że pacjentem Brenny jest chłopiec.

-Dlatego - ciągnęła Brenna - proszę przyjść kiedy indziej. Do widzenia.

Zamierzała zamknąć drzwi, myśląc, nie bez satysfakcji, że ubrany doktor Stanton oniesmiela ją w znacznie mniejszym stopniu niż wtedy, gdy jest pozbawiony koszuli...

Cos jednak zatrzymało drzwi, które następnie zaczęły napierać na nią, pomimo że z całych sił popychała je w przeciwną stronę.

-Doktorze Stanton - powiedziała Brenna, zapierając się nogami. - Doprawdy...

Podparła drzwi plecami i dała znak Hamishowi, by jej pomógł. Chłopak podbiegł ochoczo, chętny do udziału w czymś, co zapowiadało doskonałą zabawę, i przyłączył się do pchania ciężkich drewnianych drzwi.

Na nic. Reilly wpadł do sieni, jakby ich połączone siły nie stanowiły żadnej przeszkody, i stanął, przyglądając się im dwojgu

zdumionym wzrokiem.

W koncu doktor odzyskal mowe.

-Dobry Boze! To pani! Nie bylem pewny - wykrzyknal wzburzony.

Brenna, nie majac pojecia, o czym Stanton mowi, odwrocila sie do niego plecami i podeszla do swego pacjenta, który uniosl kosmaty leb i przygladal sie przybyszowi, stukajac ogonem o blat stolu. Psia lapa, która przychwycily szczeki wyjatkowo paskudnych wnykow, byla w oplakanyim stanie. Brenna wlasnie zszywala rane, gdy przeszkodzilo jej stukanie doktora.

-Jak pan chce - powiedziala oschle, ujmujac igle i wracajac do przerwanego zajecia. - Jednakze istnieje zwyczaj, kazacy zaczekac z wprowadzeniem sie do domu, az poprzedni lokator go opuści...

Hamish, bystrooki, piegowaty jedenastolatek, spogladal na Reilly'ego Stanton'a z wielkim zainteresowaniem.

-Kto to? - zapytal.

-Nowy lekarz - odparla Brenna. - Przybyl, by zajac moje miejsce. A teraz mocno przytrzymaj Lucaisa, tak zeby sie nie ruszal.

-Nie moze tego zrobic! - wykrzyknal Hamish, spogladajac gniewnie na doktora Stanton'a.

Pan doktor, zauwazyla Brenna katem oka, zdjal kapelusz, jakby dopiero teraz przypomniał sobie, ze jest dzentelmenem. Stanal obok stolu i przygladal sie jej pracy, zapomniawszy jezyka w gebie.

Hamish mial jednak wiele do powiedzenia.

-Panna Brenna zawsze tu mieszkala - oswiadczył wrogim tonem. - Nie moze jej pan wyrzucic. Niech pan tylko sprobuj, a... przyloze panu!

Brenna, jakkolwiek zirytowana zachowaniem doktora Stanton'a, nie mogla powstrzymac usmiechu, slyszac pogrozki chlopca. Hamish siegal doktorowi zaledwie do pasa, lecz wcale go to nie powstrzymywalo. Starala sie, by chlopiec nie zauwazyl jej rozbawienia.

-Ależ - wybakal wreszcie doktor Stanton, odzyskujac mowe - nie mam najmniejszego zamiaru jej stad wyrzucac. Przyszedlem tutaj, bo lord Glendenning powiedzial mi, ze domek zamieszkuje panna Donnegal, kobieta, która... Ale... - po zupełnie sensownym poczatku doktor Stanton stracil watek. - ...Ale zapomnial wspomniec, ze panna Donnegal to pani.

Brenna spojrzala na niego beznamietnym wzrokiem.

-Tak - powiedziala. - Wyobrazam sobie, ze przezył pan prawdziwy wstrzas. Jezeli zechce pan chwile zaczekac, chetnie to z panem przedyskutuje, lecz teraz, jak juz wspomnialam, jestem raczej zajeta. Bedziesz tak sterczal w drzwiach jak slup czy podejdiesz wreszcie do stolu, Rob? Robi sie zimno.

Rob, który nie slynal z bystrosci, mruknal cos pod nosem i zatrzasnal drzwi kopniakiem. Brenna wskazala glowa ogien w palenisku.

-W czajniku jest herbata - powiedziala, zwracajac sie do nieszczesnego chlopaka. - Nalej sobie. Uwazaj, bo jest goraca.

Rob pospieszyl w strone paleniska, sciagajac lapawice. Doktor Stanton rozejrzal sie po pomieszczeniu. Planuje, jak rozmiesci swoje rzeczy, pomyslala Brenna. Bezczelny nicpon.

Lecz on odezwal sie z galanteria.

-O tej porze dnia swiatlo nie jest zbyt dobre. Poswiece pani lampa.

I ku zdumieniu Brenny zapalil oliwna lampe, która stala na polce nad paleniskiem, i przytrzymal ja nad Lucaisem, spoczywajacym na kuchennym stole.

Brenna, nie bardzo wiedzac, co powiedziec, wymamrotala slowa podzieki i wrocila do zszywania rany.

Zapanowalo milczenie. Brenna slyszala, jak Rob halasliwie nalewa sobie herbaty, dodaje mleka i wrzuca do kubka szesc kawalkow cukru, zmieniajac ciecz w ulepek. Slyszala dyszenie Lucaisa, dzieki Bogu, regularne, oraz oddech jego

własciciela, nieco szybszy i plytszy niz za zwyczaj, co zdradzalo, ze chlopiec ma troche mniejsze zaufanie do jej umiejetnosci niz pies.

I wtedy na podlodze wyladowal na czterech lapach Eric, kot, chcac sprawdzic, co sie dzieje. Nastepnie rozlegl sie furkot skrzydel, gdy Jo, oswojona wrona Brenny, sadowila sie na belce pod sufitem. Pod stołem przysiadla Sorcha, bezowa suka o zaniepokojonym spojrzeniu: Lucais byl jej ulubionym towarzyszem zabaw.

Brenna odczuwala bliskosc stojacego obok niej mezczyzny. Doktor Stanton nachylil sie ku niej, starajac sie jak najlepiej oswietlic rane, ktora zszywala, tak blisko, ze Brenna czula cieplo jego ciala. Mylila sie, sadzac, ze doktor mniej ja oniesmiela, gdy jest ubrany, niz wtedy gdy byl bez koszuli. W obydwu przypadkach wywieral na Brennie jednakie wrazenie. Jego wysoka meska postac wydawala jej sie grozna i niepokojaca...

A przynajmniej powinna sie taka wydawac. Och, Brenna czula zaklopotanie, lecz nie dlatego, ze znalazla sie sam na sam z takim poteznym mezczyzna. To znaczy nieuzupełnie sama. Rob i Hamish nie liczyli sie jednak poniewaz nie bylby w stanie odcignac Reilly'ego Stantona, gdyby zechcial jej czynic jakies niestosowne awanse...

Ktorych, niestety, nie czynil.

Niestety? Co sie ze mna dzieje? Nie jestem ani na jote lepsza od tej Maeve, wodzacej wzrokiem za mlodym lekarzem, jak jakas zakochana pensjonarka, pomyslala ze zgroza. Niepokoil ja nawet zapach mydla do golenia, ktorego doktor uzyl tego ranka. Byla to ostra, swieza won, w ktorej po chwili rozpoznala aromat lawendowego mydla pani Murphy. Z pewnoscia pozyczyla jedna kostke mlodemu lekarzowi. Nie byl to zapach szczegolnie prowokujacy, a jednak, zmieszany z wonia ubran doktora, ktore musialy zostac wyprane tuz przed zapakowaniem ich do kufra, wywolyl lekkie laskotanie wzdluz ramion Brenny.

Na prozno tłumaczyla sobie, ze dzieje sie tak dlatego, ze od dawna nie przebywala w poblizu mezczyzny, ktory regularnie zazywa kapieli. Kiedy ukonczyla zszywanie rany Lucaisa, byla rozpalona jak w upalny letni dzien i musiala na chwile wycofac sie do sypialni.

Podbiegla do urny walni i przytknela do twarzy wilgotny recznik. Co sie ze mna dzieje? - zastanawiala sie zaniepokojona. Zalewala sie rumiencem niczym Flora, ilekrocz w drzwiach piwiarni ukazywal sie Glendenning.

I dlaczego? Dlatego ze mezczyzna - mezczyzna, pachnacy jak zaden inny sposrod ostatnio spotykanych - stanal nieco za blisko.

Przedziwne! Przeciez to tylko lekarz, irytujacy mlody doktor, ktorego Iain MacLeod, dziewietnasty hrabia Glendenning, sprowadzil tu, aby uprzykrzyc jej zycie. Zapaleniec, tak nazwal go lord Glendenning, i mial calkowita racje. Bo mezczyzna pachnacy tak ladnie mogl przybyc na to odludzie, tylko bedac zapalencem.

Na Skye z cala pewnoscia nie mogl liczyc na chwale ani na bogactwo.

Tego byla calkowicie pewna.

Kiedy wreszcie doprowadzila sie do porzadku i zabrala kilka rzeczy z przyleglego pokoju, jak zawsze starannie go zamykajac, mlody lekarz byl zatopiony w rozmowie z Hamishem, ktory wyzbyl sie swojej wrogosci na tyle, by niepochlebnie roztrzasac zwyczajne lorda Glendenninga, zastawiajacego wnyki na nalezacych do niego terenach.

-Twierdzi, ze wilki pozeraja zwierzynę plowa - mowil Hamish. - Aleja nigdy nie widzialem tu zadnych wilkow. Moze lisy, ale na pewno nie wilki.

Doktor Stanton siedzial przy stole jadalnym. Jedna dlonia podpieral brode, a druga, nieswiadomie, glaskal prawe ucho Lucaisa. Sluchal uwaznie, kiwajac glowa.

-Przez niego - ciagnal Hamish - pocziwe psy, w rodzaju Lucaisa, wpadaja w pulapki i lamia sobie lapy.

-Nie byla zlamana - sprostowala Brenna, wchodzac do kuchni. - Kosc jest cala.

Na jej widok doktor Stanton podniosl sie grzecznie, jak przystalo na dzentelmena z Londynu, a Brenna zauwazyla, ze jego ciemne oczy zalsnily. Szybko odwrocila wzrok, zdenerwowana, bo znow poczula fale ciepla, chociaz przed chwila ochlodzila sie lodowato zimna woda.

-Jednakze wloze ja w lubki - ciagnela, zadowolona, ze jej glos brzmi normalnie. Obecność przystojnego doktora Stantona nie sprawia na mnie wrazenia. Zadnego wrazenia, powtarzala w mysli. - Pilnuj, zeby Lucais ich nie zdjal, dobrze, Hamish?

Chłopiec wymamrotal coś niezrozumiałego. Z pewnością dlatego, że podobnie jak Rob, zapchał sobie usta ciastem, które Brenna wyjęła z szafki.

-Muszę przyznać - powiedział Reilly Stanton - że podziwiam pani wspaniałe umiejętności. - Wskazał łapę psa. - Uczyla się pani od ojca?

-Tak - odparła Brenna. Usiadła, starając się nie okazywać, jak bardzo jest zakłopotana spojrzeniem doktora Stantona. Miała nadzieję, że nie zacznie być dla niej miły. Bo jakże miałyby go nienawidzić, jeżeli będzie dla niej miły?

-Rozumiem - powiedział doktor - że po wyjeździe ojca zajmuje się pani leczeniem tutejszych ludzi?

-Ludzi - odparła Brenna, niewyraźnie, ponieważ trzymała w zębach kawałek drewnianka, bandażując psia łapę - a także ich zwierzęta, jak pan widzi.

-Z pewnością odczuła pani ulgę na wieść o moim przyjeździe. Brenna spojrzała na niego zdumiona. Do tego wszystkiego taki zarozumiały i arogancki...

-Ma pani mnóstwo pracy - wyjaśnił szybko, w obawie, że jego słowa zostały źle zrozumiane... a najwyraźniej tak się stało. - Spieszac na każde zawołanie mieszkańców wsi. Zwłaszcza że, jak sędze, ma pani inne sprawy na głowie.

-Wcale nie - odparła Brenna. Teraz już wyraźnie, bo wyjęła z ust drewnianko i przymocowała je do łapy Lucaisa.

-Pomyślałem sobie... wie pani... że będąc młodą kobietą, może pani... Wszystkie młode damy, które znalazłem w Londynie, spędzały większość... czasu... na zakupach, przyjęciach i...

Zamiłki, napotkawszy wzrok Brenny. Nie wiedziała, jaki ma wyraz twarzy, lecz musiał być pełen zdumienia, bo doktor szybko dodał:

-Lecz nie sędze, by na Skye odbywały się jakies przyjęcia.

-I słusznie - powiedziała Brenna, owijając psia łapę długim bandażem w nadziei, że gruba warstwa materiału odwiezie Lucaisa od zamiaru wyciągania szwów.

-I nie sędze - ciągnął doktor Stanton - by pani na nich bywała, nawet gdyby się tu odbywały.

Brenna poczuła, że się rumieni, ale tym razem z całkiem innego powodu. Jak on śmie? - pomyślała oburzona. Jak śmie, tylko dlatego, że jest wykształconą, podejrzewac ją o brak kobiecości i nieumiejętność cieszenia się z przyjęć? Brała przecież udział w kilkunastu przyjęciach i na wszystkich doskonale się bawiła...

No dobrze, może nie na kilkunastu i może nie bawiła się tak doskonale, ale on przecież i tak nie może tego wiedzieć. I co ją obchodzi, co na jej temat pomyśli sobie ten wysoki londyński karierowicz w pachnących czystością ubraniach? Nie obchodzi ją nic a nic.

Tylko że...

Tylko że nie byłaby skrupulatnym naukowcem, za którego się uważała, gdyby nie odnotowała faktu, że Reilly Stanton jest nadzwyczajnie pociągającym mężczyzną, który nie tylko regularnie się kąpie, ale na dodatek nie wydaje się całkowicie pozbawionym inteligencji. I sadząc po wcześniejszych reakcjach na bliskość doktora, trudno będzie oprzec się jego atrakcyjności.

Jednakże nie da się uwiesć światowym manierom i woni lawendowego mydła. Wystarczy sobie przypomnieć, po co zjawił się w jej domu.

-A więc to lord Glendenning przysłał pana tutaj, doktorze Stanton? - spytała, klepiąc Lucaisa po głowie, aby pokazać, że skończyła go opatrywać. Pacjent wyszczerzył zęby w psim uśmiechu i postukał ogonem w blat stołu na znak, że nie żywi do niej urazy.

-Nie - zarliwie zaprzeczył doktor Stanton.

-Och? - zdziwiła się Brenna i uniosła brwi. - Wydawało mi się, że tak pan powiedział. W takim razie przychodzi pan tu z własnej inicjatywy? Zamierza pan zrobić jakies pomiary? W czasie deszczu kominek trochę kopci, ale poza tym mogę z całego serca zarekomendować to miejsce.

Z satysfakcją stwierdziła, że udało się jej zdenerwować doktora. Pociemniała na twarzy i wyjął:

-Ja nie... nie po to tutaj przyszedłem. - A następnie, kiedy usiadła, uśmiechając się pogardliwie, dorzucił gwałtownie: - No, dobrze. Przysłał mnie lord Glendenning. Ale nie po to, bym oglądał domek...

-Nie? - zdziwiła się Brenna. - W takim razie... I wtedy pojechała.

I nagle zalała się rumieńcem po raz trzeci. Lecz tym razem z wściekłości.

-Ach, tak. Już rozumiem! - wykrzyknęła, zrywając się z krzesła tak gwałtownie, że przestraszyła Jo, która zatrzepotała skrzydłami. - Przysłał pana, żeby mnie pan zbadał. Mam rację? - Poznała po zakłopotanym wyrazie twarzy Stanton'a, że się nie myliła. - Co on panu naopowiadał? Że mam złe w głowie? Nie, niech pan nic nie mówi, wiem. Że mogę sobie zrobić krzywdę.

-Nic takiego nie powiedział - zaprzeczył Stanton z nieszczerym oburzeniem.

-Oczywiście, że tak właśnie powiedział. Przysłał tu pana, by obejrzał pan nieszczęsna, żalosna pannę Donnegan, mając nadzieję, że zachęci ją pan, by przyjęła jego szlachetną propozycję małżeństwa. - Zaczęła przemierzać pomieszczenie, furkocząc spódnicą za każdym obrotem. Nigdy dotąd nie była tak rozwścieczona. - Ale zapomniał panu powiedzieć, że panna Brenna, którą poznał pan zeszłego wieczoru, i nieszczęsna żalosna panna Donnegan to ta sama osoba, czy nie tak? - Pokreciła głową. - I doznał pan wstrząsu, gdy otworzyłam drzwi, prawda?

Na to pytanie odpowiedział z całą szczerością.

-To nie był wstrząs - przyznał. - Rozczarowanie, że nie jest pani w spodniach.

Jego szczerość, a nie, jak starała się przekonać sama siebie, uśmiech, wytraciła ją z równowagi. Patrzyła na niego, nie wiedząc, co powiedzieć...

I właśnie w tej chwili, po raz trzeci tego ranka, ktoś zastukał do drzwi Burn Cottage...

7

To bez wątpliwości on - parsknęła dziewczyna. Była naprawdę rozgniewana. Może i nie bywa zbyt często na przyjęciach, pomyślał Reilly, ale po mistrzowsku opanowała sztukę kobiecej wyniosłości. - Ano sprawdzimy - odparł Reilly. Z ochotą podsycił jej gniew. Nieczęsto zdarzało mu się oglądać ładną dziewczynę tak bardzo rozszokowaną. - Tak, ja także sądzę, że to właśnie on.

Jego słowa jeszcze bardziej rozjrzęły Brenne. Reilly pomyślał, że bez przesady można by powiedzieć, że jej łśniące niebieskie oczy ciskały błyskawice.

Był pełen podziwu. Christine w najgwałtowniejszym przyplywie furii - na przykład rozsierdzona niesprawiedliwym traktowaniem dzieci przez ich pracodawców - nie dorastała pannie Brennie Donnegan do pięt. Oburzenie tej ostatniej nie miało sobie równych.

Reilly poczuł, że mu żal łaina MacLeoda. Kiedy chodziło o tę młodą damę, hrabia zupełnie tracił rezon. Nie miał bowiem najmniejszej wątpliwości, że gdy Brenna Donnegan otworzy drzwi i ujrzy stojącego na progu jej domu lorda Glendenninga, podbije mu drugie oko. Reilly zajął pozycję, z której w razie potrzeby będzie mógł pospieszyć damie na pomoc... a także z której będzie miał dobry punkt widzenia na rozwój wypadków.

Gdy jednak panna Donnegan otworzyła drzwi, na progu stał nie hrabia, lecz jedna z dziewcząt z tawerny, posiniąta z zimna.

-Och! - wykrzyknęła Maeve. - Och, panienko!

-Na Boga! - Zdumiona panna Donnegan chwyciła dziewczynę za rękę. Zanim Reilly zdążył zrobić krok w ich stronę, pociągnęła służącą w pobliże paleniska, bezceremonialnie odpychając Roba, Hamisha i bardzo niezadowolonego kocura.

-Przemarzłaś do kości, Maeve - skarciła ją panna Donnegan. - Trzeba mieć złe w głowie, żeby w taką pogodę wyjść z domu w samej tylko chustce.

-To Flora - wyjąkała Maeve, szczekając zębami. - Nadeszła jej pora. Musi pani pedzić do zamku.

Tego już było zbyt wiele. Reilly miał zamiar się usunąć i, wraz z Robem i Hamishem, zająć się ciastem, ale co za dużo, to niezdrowo.

-Do zamku? - spytał, patrząc na dygoczącą z zimna dziewczynę. - A co Flora robi w zamku?

-Zawsze idzie do zamku - wyjaśniła panna Brenna - kiedy nadchodzi jej pora.

-Naprawdę? - Reilly unosił brwi. Odkąd przeszedł przez mostek nad potokiem, spotykały go same niespodzianki. Powinien się być domyslić, że hrabia... łagodnie mówiąc, upiększa fakty. Jednakże trudno mu było dociec, jak bardzo lord Glendenning rozmiłował się z prawdą.

Wszystko wskazywało na to, że panna Donnegal jest w pełni władz umysłowych, poza tym że posiada niespotykana u młodych dam zdolność pozwalająca przejrzeć na wylot hrabiego oraz jego byronowskie pozy.

Kiedy drzwi Burn Cottage otworzyła mu ta sama młoda kobieta, która minionej nocy potraktowała go tak szorstko, jego zdumienie było bezgraniczne. Doznał wstrząsu tak wielkiego, że dopiero chwile później udało mu się powiazać pannę Brenne z panną Donnegal, ta sama, w której durzył się lord Glendenning.

Ta sama, której ojciec był tutejszym lekarzem, dopóki tak bezceremonialnie nie porzucił swego stanowiska.

Ta sama, z powodu której Reilly nie był pewny dachu nad głową.

To panna Donnegal przywróciła do życia przewoźnika. Panna Donnegal popijała whisky prosto z butelki, panna Donnegal nosiła obcisłe spodnie, panna Donnegal zniknęła we mgle, dosiadłszy konia na oklep.

I to ona tak bardzo go nie lubiła.

Co było niesprawiedliwe. Przecież nie wiedział, w co się pakuje, odpowiadając na ogłoszenie, które Iain MacLeod zamieścił w "Timesie".

A przynajmniej nie całkiem sprawiedliwe.

Jego rozmyślenia przerwał gardłowy głos panny Donnegal.

-Zabierz Lucaisa do domu. Pilnuj, żeby poleżał przez co najmniej jeden dzień. I wracajcie przez most. Chora noga musi być sucha. - Trzeba było dłuższej chwili, by Reilly pojął, że dziewczyna zwraca się nie do niego, lecz do chłopca z owczarkiem collie. - Przyjdź z nim za kilka dni, a gdybyś poczuł dziwny zapach albo gdyby pies cierpiał, przyjdźcie wcześniej.

Chłopiec posłusznie skinął głową.

-Tak, panienko - powiedział. - Chodź, stary. - Pies zeskoczył ze stołu na cztery łapy, tylko trochę oszczędzając zranioną stopę.

Reilly ostrożnie zwrócił się do panny Donnegal.

-Ma pani pojęcie, jak daleko zaszła? Znaczący, Flora.

-Wystarczająco daleko - rzuciła panna Donnegal i zniknęła w sąsiednim pokoju. Do Reilly'ego dobiegł jej głos, gardłowy, lecz pełen dziwnej słodyczy. - O której wyruszyła w stronę zamku, Maeve?

-Trudno powiedzieć. - Maeve odzyskała nieco kolorów, dzięki bliskości kominka i filiżance herbaty, którą panna Donnegal podała jej, zanim przeszła do sąsiedniego pomieszczenia. - Było po śniadaniu, ale jeszcześmy nie pozmywały. Miałymy dużo zmywania, bo lord Glendenning przyszedł na śniadanie.

Dobry Boże, pomyślał Reilly. Dziewczyna musiała harować od świtu. A on zgodził się na to, pozwalając, by ten potwór Glendenning obudził ją i zazał, by im przygotowała to obfite śniadanie. Poczul się winny. Teraz dziecko pojawi się na świecie przed czasem, a jemu przyjdzie życie ze świadomością, że stało się tak z powodu kilku kielbasek.

-Ale Flora nie pomagała przy zmywaniu, bo powiedziała, że ma ochotę coś przekąszyć... - dodała Maeve takim tonem, jakby nadal nie mogła uwierzyć w to usprawiedliwienie. Zupełnie jakby sadziła, że cała cięza Flory była wymysłem, służącym tylko do tego, by się wykroczyć od zmywania. - A zaraz potem włożyła rekawiczki i powiedziała mi, że mam biec i sprowadzić...

-Tak - odezwał się Reilly pocieszającym tonem. - Tak. Oczywiście. Już tam jęde. Rob, wskakuj na kuca i jedź do gospody

po moja torbe z przyrządami lekarskimi, dobrze? Przywiez ja wprost do zamku. Tam sie spotkamy.

Rob, ktorego Reilly nie uwazal za orla, gapil sie na niego oglupialym wzrokiem.

-Slyszales mnie, Rob? - Reilly miewal juz do czynienia z durnowatymi sluzacymi, ale ten bil wszelkie rekordy. - Rusz sie! Mam tu... - Wsunal dlon do kieszeni spodni i wyciagnal z niej monete. - Masz tu gwinee.

Rob nie ruszyl sie z miejsca, dopoki Reilly nabral podejrzen i zapytal:

-O co chodzi?

Rob zerknal na Maeve i odparl nerwowo:

-D...dopraszam sie laski, panie... Ale to nie pana chce Flora. Ona chce panny Brenny.

-Panny Brenny? - powtorzyl Reilly z niedowierzaniem.

-Tak, prosze pana - powiedziala Maeve, wytrzeszczajac swoje niebieskie oczy. - Panna Brenna przyjmowala wszystkie dzieci Flory. Z pomoca pana Donnegała.

-Wszystkie... - Teraz Reilly wytrzeszczyl oczy. No tak, przeciez dziewczyna wspomniala, ze Flora za kazdym razem idzie do zamku, "gdy nadchodzi jej pora". Ilez to razy tak tam bywala? - Ile dzieci ma panna Flora?

Maeve szybko policzyla na palcach.

-To chyba bedzie jej czwarte.

Czworo dzieci? Czworo? A wszystkie urodzone przez te mala dziewczynke, ktora sama wyglada jak uczennica? Toz to barbarzynstwo. Gorzej niz barbarzynstwo. To...

-Rob! - W sasiednim pokoju rozlegl sie glos tej nieustraszonej panny Donnegał. - Idz osiodlac Willow i szybko ja tu sprowadz. Badz dobrym chlopcem.

Ku zaskoczeniu Reilly'ego, chlopak wepchnal do ust ostatni kes ciasta i wypadl na dwor. Reilly obejrzal sie i zobaczyl, ze amazonka - bo tak nazywal ja w myslach, jako ze okieslenie "panna Donnegał" wydawalo mu sie zbyt oficjalne dla owego zjawiska, skladajacego sie z samych plomieni i sily charakteru, a imie "Brenna"... zupełnie do niej nie pasowalo - wychodzi z pokoju, ktory musial byc jej sypialnia.

Pomimo zmieszania stwierdzil z zachwytem, ze Brenna zmienila suknie, ktora miala na sobie w chwili jego przybycia - doprawdy urocza szate ze wspanialej niebieskiej welny, ktorej barwa wydobywala zlociste lsnienia jej rdzawych wlosow, lecz po porazajacym stroju z zeszlego wieczoru sprawila mu lekki zawod - na te same, co wczoraj, spodnie. W rece trzymala czarna skorzana torbe, w jakiej lekarze nosza swoje przybory medyczne, i wydawala rozkazy tonem doswiadczonego generala.

-Maeve, wez ten plaszcz i wracaj w nim do domu. Nie waz sie wystawiac nosa bez czegos cieplego. Do wiosny jeszcze daleko. Doktorze Stanton, prosze mi wybaczyc, jestem potrzebna gdzie indziej...

-Wybaczyc pani? - Reilly pokrecil glowa. - Nie ma mowy. Amazonka kierowala sie ku drzwiom, przy ktorych stala para wysokich butow. Uslyszawszy jego slowa, przystanela, odrzucila do tylu swoje zachwycajace czerwonozłote wlosy, ktore nosila rozpuszczone - co nie spodobaloby sie Christine i jej podazajacym za moda przyjacielkom - i obejrzala sie przez ramie.

-Slucham? - zapytala szorstkim, lecz dziwnie pociagajacym kontraltem.

Reilly wcisnal na glowe kapelusz.

-Ja to zalatwie - powiedzial. Juz dawno sie nauczyl, ze aby pozyskac zaufanie innych, najpierw nalezy przekonac samego siebie. - Nie ma potrzeby, by sie pani fatygowala.

-Bym sie fatygowala? - Amazonka przerwala rozsznurowywanie bucikow i wyprostowala sie na cala wysokosc. - O czym pan mowi?

-Rozumiem - wyjasnil Reilly - ze po wyjezdzie pani ojca to pani przeejala opieke lekarska nad mieszkancami wioski. Lecz teraz nie jest to juz konieczne. To znaczy, od kiedy ja tu jestem.

Brenna wlepila w niego oczy. A on w nia, starajac sie zachowac mily wyraz twarzy. Co nie bylo latwe, mial bowiem uczucie, ze ta... dyskusja prowadzi donikad. Nie chodzilo o to, ze szczegolnie zalezalo mu na przyjmowaniu dziecka Flory - w Londynie Reilly bardzo rzadko bywal wzywany do porodu. Do tego, oczywiscie, byly akuszerki. A gdy wystapily jakies komplikacje, posylano po chirurga. Lekarze potrzebni byli dopiero po fakcie, aby mlodej matce przepisac srodek przeciwbolowy albo zajac sie dzieckiem.

Wiec po co sie spieral? Dlaczego robil tyle zamieszania o prawo do odebrania porodu nieslubnej latorosli miejscowej dziewczyny z za szynkwasu?

Poniewaz nie wypadalo, by uczynila to owa nie posiadajaca licencji, niedokształcona mloda kobieta, nie teraz, gdy na wyspie byl on. Jak udowodni sobie - bo tym razem nie myslal o udowadnianiu czegokolwiek Christine, a przynajmniej nie wylacznie jej - do czego jest zdolny, jesli nie bedzie mial okazji, by sie sprawdzic?

Oczywiscie, musi postepowac ostroznie. Nie chce przeciez obrazic panny Donnegan, ktora najwyrazniej cieszyła sie wielkim powazaniem tutejszych wiesniakow. Lecz teraz wszyscy musza sie przekonac, ze osoba, po ktora nalezy posylac w razie naglego wypadku, jest Reilly Stanton, a nie corka poprzedniego medyka.

Takze dla jej wlasnego dobra. Kobieta o powierzchownosci Brenny Donnegan nie powinna spieszyc do chorych, odbierac porodow ani przywracac do zycia pijanych przewoznikow. To absurdalne, doprawdy! W Londynie wzbudzilaby zachwyty. Zaiste, ona i Christine King moglyby stac sie przyjaciolkami!

A potem, wspomniawszy latwosc, z jaka panna Donnegan przystawila flaszke z whisky do ust, pomyslal, ze jej przyjazn z Christine nie bylaby jednak mozliwa. Tak czy owak, tylko w zapadlej i odleglej dziurze jak Skye ta wyjatkowo piekna kobieta mogla byc traktowana jak kazda inna...

No, moze nie jak kazda. Reilly nie spotkal tu innych kobiet w spodniach.

-Doktorze Stanton - powoli powiedziala mloda kobieta - doceniam panski gest, naprawde doceniam. Lecz zapewniam pana, ze jest on calkiem zbyteczny. Przyjelam na swiat wiele dzieci i z cala pewnoscia nie potrzebuje...

-Zgadzam sie z pania - odparl Reilly, swiadom tego, ze Maeve i Hamish, ktorzy jeszcze nie opuscili domku, przygladaja sie im szeroko rozwartymi oczami. - Lecz jestem tutaj nowym lekarzem. Nie ma najmniejszej potrzeby, by klopotala sie pani porodem panny Flory.

Brenna zmruzyła swoje nadzwyczaj bystre oczy.

-Wezwala mnie.

To prawda, pomyslal Reilly.

-Jednakze - rzekl, majac nadzieje, ze przemawia tonem nie znoszacym sprzeciwu - pojade tam.

Jesli nawet jego ton wywarl wrazenie na pannie Donnegan, nie okazala tego w najmniejszym stopniu. Spojrzala na niego ze zdziwieniem i odparla:

-Jak pan uwaza. Ale ja takze pojade.

-I dobrze - powiedzial, zaciskajac zeby.

-I dobrze - powiedziala, takze sciskajac szczeki.

-I dobrze - powtorzyl.

-Ale... - odezwała sie Maeve. - Prosze mi wybaczyć, ale jesli macie jechac, to lepiej sie pospieszcie. Flora nie wygladala za dobrze, kiedym ja widziala ostatni raz...

Alarm Maeve okazal sie przedwczesny. Owszem, Flora miala juz skurcze porodowe, ale co dobre dziesiec minut i, pomimo zapewnien Maeve, Reilly'emu wydala sie az nadto zwawa. Siedziala na lozku w pomieszczeniu za kuchnia i czytala zurnale dla dam. No, moze nie czytala, bo nie umiala czytac. Z przyjemnoscia ogladala ilustracje.

-Niech pani spojrzy na te tutaj, panno Brenno - powiedziala, gdy obydwoje wpadli do pokoju. - Czyz nie jest ladniutka? Zastanawiam sie, czy nie zamowic sobie wykroju.

Reilly, wyczerpany dzika jazda do zamku, opadł na rozchwierutane krzesło obok łóżka i usiłował odzyskać oddech. Przemarzył do kości. Nie czuł palców ani uszu. Okazało się, że Brenna Donnegal jest niezrównana amazonką, a jej siwa klacz, Willow, unika wszelkich nowoczesnych udogodnień, jak mosty czy drogi, i woli bardziej urozmaicone tereny, pocięte wawozami i potokami.

A może niezrównana panna Donnegal chciała się go po prostu pozbyć. Reilly skłaniał się raczej ku tej drugiej możliwości, ponieważ gdy sięgnęła cugle Willow, przejechałszy przez bramy zamku, i spostrzegła, że Reilly wciąż jest tuż za nią, na jej twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.

-Nieźle pan jeździ... jak na londyńczyka - powiedziała z niechętnym podziwem.

Reilly starał się ukryć zmęczenie, spowodowane bez wątpienia wielką ilością whisky, jaką wypił poprzedniej nocy, oraz zdumienie na widok oplakanego stanu domostwa hrabiego. Zgodnie z tym, co sugerowała jego nazwa, zamek Glendenning faktycznie był prawdziwym zamczyskiem z najprawdziwszymi wieżami, blankami, a nawet, jak podejrzewał Reilly, z lochem. Wzniesiony z kruszonego kamienia przez dalekiego przodka dzisiejszego lorda, zamek był ciemny i pocięty fortecą i Reilly wyobrażał sobie, że jego mieszkańcom nie żyło się w nim zbyt wygodnie. Nic dziwnego, że Brenna Donnegal nie chciała wyjść za hrabiego. Burn Cottage sprawiał wrażenie znacznie przytulniejszej siedziby.

Reilly nie rozumiał, dlaczego Flora wybrała to okropne miejsce, by wydać na świat swoje dziecko. Z pewnością nie ze względu na wygodę. Niedobre pomieszczenie, do którego zostali wprowadzeni przez tłustą i ponurą kucharkę, było wypełnione stertami ziemniaków i cebuli oraz pozbawione kominka. Reilly nigdy przedtem nie oglądał niczego podobnego. Och, słyszał oczywiście o takich pokojach od wykładowców, bywających na uczelni i opowiadających o straszliwych warunkach, w jakich przychodziło im czasem pracować. Nie spodziewał się jednak, że znajdzie podobne pomieszczenie w zamku, stanowiącym własność światłego, wydawałoby się, hrabiego.

Lecz właśnie po to przybył na wyspę. Pomagać biednym i ciemnym. Co więcej, chciał pokazać Christine, że nie będzie dłużej siedział bezczynnie, pozwalając, by pracował na niego jego rozgłos "markiza lekarza". Pragnął udowodnić swoją wartość lekarza jako takiego, dzięki swoim umiejętnościom, a nie dzięki liczbie parów, figurującej na liście pacjentów.

Nigdy jednak nie wyobrażał sobie, że będzie siedział wśród stert warzyw i słuchał, jak ciężarna kobieta rozprawia o modzie z zurnalą.

-Niech pani spojrzy - powiedziała Flora, przewracając stronę. - Bufiaste rekawy to ostatni krzyk mody. Jeszcze się takich nie dorobiłam, ale kiedy pobierzemy się z jego lordowską mością, będę miała pełną szafę takich sukien.

-Oczywiście, że tak - powiedziała Brenna. Usiadła na przewróconym do góry dnem koszu na jabłka i, sięgnawszy po inny zurnal, przeglądała go od niechcenia, zupełnie jak Christine, kartkująca "Godey" w swoim salonie.

-Jeśli to będzie chłopiec - ciągnęła pogodnie Flora - na pewno mnie posłubi.

-Mam nadzieję - odparła Brenna.

-Pani Murphy będzie mi musiała mówić "milady" - ciągnęła Flora. - Ale się uśmieje.

-Z całą pewnością - zgodziła się Brenna.

Reilly zaczął się zastanawiać, czy słusznie postąpił, przyjeżdżając do zamku. Stało się jasne, że nieustraszona panna Brenna doskonale poradzi sobie w tej sytuacji. To prawda, że nie posiadała dyplomu lekarskiego, lecz którą akuszerką go miała? Czemu nie miałby pozwolić jej na to małe zwycięstwo? Dzięki temu mógł w końcu pozyskać jej aprobatę, a aprobatą kobiety takiej jak Brenna Donnegal mogłaby mu bardzo pomóc w oswojeniu mieszkańców wyspy...

Może powinienem, pomyślał, pójść i poszukać hrabiego? Musi znajdować się gdzieś w tym potwornym zamczysku. I z pewnością ma whisky. Whisky, która sprawi, że Reilly odzyska czucie w stopach i dłoniach. A i tak będzie musiał porozmawiać z lordem Glendenningiem, aby mu wyjaśnić, że Brenna Donnegal, jakkolwiek by była, jest całkowicie zdrowa na umyśle i bynajmniej nie stanowi zagrożenia dla siebie samej ani dla innych ludzi. Zapyta również hrabiego, czy będzie mógł sobie wynająć pokój w tawernie, aby panna Donnegal miała czas znaleźć inne mieszkanie.

Uznawszy, że lepiej będzie zanotować, co powie hrabiemu, Reilly wydobyl swój pamiętnik, pióro i kalamarz. Nie było łatwo pisać na kolanie, ale jakos sobie poradził.

15 lutego 1847 roku

Przy porodzie miejscowej dziewczyny z gospody. Może powinienem udzielić jej ojcowskiej rady: hrabia nie kupi krowy,

skoro może mieć mleko za darmo, lub coś w tym stylu.

Burn Cottage jest uroczy, malowniczy, rodem z Gainsborougha*. Christine podobałaby się rustykalna strzecha. Jest jeden problem: obecnie zajęty przez amazonkę. W chwili gdy zapisał te słowa, Flora nagle usiadła i wydała przeszywający wrzask.

Reilly z zadowoleniem stwierdził, że nie on jeden przestraszył się tego wybuchu. Brenna błyskawicznie upuściła zurna i zerwała się z kosza na jabłka.

-Co ci jest, Floro? - spytała, kładąc dłoń na ramieniu dziewczyny. - Co się stało?

Twarz Flory, normalnie zupełnie ładna, teraz nie wyglądała ładnie. Wykrzywił ją grymas bólu.

-Coś nie jest w porządku, panno Brenno - oświadczyła.

Usłyszawszy tę wypowiedź, Brenna odrzuciła koce, przykrywające dolną część ciała dziewczyny, która opadłszy na poduszkę zaczęła lamentować zadziwiająco mocnym u tak niewielkiej dziewczyny głosem.

W drzwiach stała kucharka z garnkiem gorącej wody.

-O co tyle wrzasku? - spytała. - Drzesz się, jakbyś chciała obudzić zmarłego.

Reilly, zapomniawszy o swoim pamiętniku i piórze, podbiegł i odebrał od niej garnek.

-Będziemy potrzebować znacznie więcej wody - powiedział. - I trochę czystych przescieradeł i ręczników.

-Przescieradeł? - zdumiała się kucharka. - I ręczników? Wyobraża pan sobie, młody człowieku, że będę marnowała porządne przescieradła i ręczniki jego lordowskiej mości dla tego smiecia...

Flora znów wrzasnęła. Reilly, który nie uważał się za brutalnego, powiedział:

-Jeśli nie zrobi pani tak, jak przykazałem, będę zmuszony zastosować przemoc fizyczną, madame.

Kobieta naprawdę się wystraszyła.

-Zobacz, co się da zrobić - odparła i szybko wyszła z pokoju. Reilly poczuł gwałtowną niechęć do kucharki hrabiego Glendenninga oraz do samego hrabiego Glendenninga, jak również do wszystkich mężczyzn w ogóle.

-Nie wiem, co robić - wyszeptła panna Donnegal, z zakłopotanym wyrazem twarzy, pociągając Reilly'ego za rękaw. - Nie obrocilo się jeszcze.

-Co się nie obrocilo? - zapytał Reilly mało inteligentnie. Brenna obdarzyła go pogardliwym spojrzeniem.

-Dziecko. A niby co? Trzeba je... obrocic.

-Dobrze. - Reilly starał się zachować spokój. - Robiła to pani przedtem? To znaczy, odwracała pani dziecko w macicy?

-Tak. To znaczy, nie. Nie ludzkie dziecko. Jagnie, kilka razy. Reilly poweselał.

-Świetnie. A więc robi to pani teraz. Brenna spojrzała na niego.

-To nie takie proste. Za mało miejsca. Dzieci Flory są zawsze ogromne, a ona jest bardzo mała. Chyba nie dam rady.

-Coż - powiedział Reilly. - Ja nie mogę tego zrobić. Spojrzała na niego z uraza.

-Myślałam, że studiował pan w Paryżu - wysyczała. - U najcieńszych umysłów.

-W tej sytuacji nie pomogą najcieńsze umysły - wysyczał w odpowiedzi. - Potrzebujemy kogoś o drobnych dłoniach. - Odstawił parujący garnek i wyciągnął ku niej rece. - Proszę spojrzeć na te łapska. Myśli pani, że się nadadzą do tej roboty?

Brenna przyłożyła dłoń do jego ręki, jakby je przymierzając. Jej palce były o połowę cieńsze i znacznie krótsze od jego palców.

Reilly spojrzał na ich złożone dłonie i poczuł się jakos dziwnie. Nie potrafiłby powiedzieć, co właściwie czuje. Wiedział tylko tyle, że widok ich palców, jej tak szczupłych i kobiecych, przy jego własnych, wprawiał go w zaniepokojenie. Na

dodatek stwierdził, że blednie teczowki panny Donnegal ciemnieja ku zewnatrz, przechodzac w niemal czarne obwodki, co spowodowalo, ze wrzaski w tle staly sie dla niego prawie nieslyszalne.

Na szczescie panna Donnegal jednym spojrzaniem ocenila roznicze wymiarow ich dloni i zaklela soczyscie. Co podzialalo jak kubel zimnej wody, gaszac wszelkie cieple uczucia, jakie zaczynal ku niej zywic. Natychmiast cofnal reke.

-W takim razie - powiedzial - do dzieła. - Ujal Brenne za ramiona i zwrocił ku pacjentce. - Uwaga na pepowine. Nie moze sie oplatac wokół szyi malenstwa.

-Postaram sie zapamietac - mruknela.

Reilly usiadł u wezglowia Flory i wzial ja za reke.

-Wszystko w porzadku - powiedzial. - Nie ma powodu do niepokoju. Panna Donnegal panuje nad sytuacja.

Flora lypnela na niego podejrzliwie.

-Wiec co pan robi, w takim razie?

-Ja? - odparl Reilly z usmiechem. - Jestem tu, by wam dodawac odwagi. Slyszałem, jak rozmawialyscie o modzie, a poniewaz wlasnie przyjechalem z Londynu, musze was ostrzec, ze te zurnale sa troszke przestarzale. Bufiaste rekawy nie sa juz ostatnim krzykiem mody. Teraz...

8

Znowu dziewczynka? - Lord Glendenning nie podniosl sie z krzesla, ktore przysunal jak najblizej kominka. - Wielka szkoda.Reilly mial ochote chwycic hrabiego za kaptur jego dziwaczneho okrycia i popchnac go przez cala komnate. Wiedzial jednak z doswiadczenia, ze w stosunku do gburów w rodzaju hrabiego sila fizyczna nie na wiele sie zdaje.

-Malo brakowalo. Matka lub dziecko. Tylko dzięki umiejtnosciom panny Donnegal przezyly obydwie - powiedzial.

Glendenning rzucil okiem na Brenne Donnegal, stojaca ze skrzyzowanymi na piersi ramionami w poblizu kominka.

-Chyba juz nie myslisz, ze sie z nia ozenie, co? - zapytal.

-Owszem - odparla Brenna ze spokojem, ktorego Reilly jej zazdroscil. - Mysli. Czeka na ciebie na dole. Chce ci pokazac twoja corke.

-Ba! - Glendenning wstal i podszedl do kredensu, w ktorym przechowywal karafke whisky i kilka szklanek. - Corki. Mam ich juz cztery, sama wiesz.

-Wiem - przytaknela Brenna.

Glendenning, zwrocony do nich plecami, rabnal piescia w blat kredensu, az zadzwieczaly krysztalowe szklanki. Psy, spoczywajace na podlodze w rozmaitych pozach, uniosly lby i spojrzaly na swego pana.

Nastepnie, bez slowa, hrabia odwrocił sie, a jego wielka peleryna zawirowala, i wyszedl z komnaty.

Reilly odprowadzil go wzrokiem, a potem spojrzal na Brenne.

-Jak to sie stalo, na Boga, ze wytrzymala pani z nim tyle lat i nie wbila sztyletu w jego serce? - zapytal na pol serio.

Brenna sie rozesmiala. Odkad ja spotkal, Reilly slyszal jej smiech tylko raz. I byl to sarkastyczny chichot, ktorego powodem byl wlasnie on. Slyszac jej szczery smiech w tym posepnym miejscu, doznal wstrzasu.

A moze, po prostu, zaczal sie stawac rownie zbzikowany jak reszta mieszkanców tej zapomnianej przez Boga miejscowosci?

Wezmy na przyklad taka Flore. Reilly wiedzial teraz, dlaczego uparla sie, by urodzic swoje dziecko wlasnie w zamku: z tego samego powodu, co poprzednie troje dzieci. Dziewczyna miala nadzieje, ze jesli zdarzy sie jej urodzic syna, hrabia uzna dziecko i ozeni sie z nia.

Jak wynikalo z tego, co powiedziala mu Brenna w drodze do komnaty hrabiego, ktoremu chcieli przekazac nowine o narodzinach nastepnej corki, bylo to zupełnie nieprawdopodobne, ale Flora sie nie poddawala. Nadzieja trzymala ja przy

zyciu i pozwalala przetrwac kazda kolejna ciaze.

Albo tutejszy lord. Iain MacLeod twierdzil, ze jest po uszy zakochany w Brennie Donnegan, a jednak wykorzystywal kazda okazje sypania z dziewczynami z gospody. Reilly uznal, ze nigdy dotad nie spotkal rownie zaklamanego i obmierzlego typu jak hrabia. Lord Glendenning byl wcieleniem tego wszystkiego, czym Reilly stac sie nie chcial.

-Och, nie jest taki zly - odparla Brenna ku jego zdumieniu, gdy jej powiedzial, jak ocenia postepowanie hrabiego.

-Nie jest taki zly? - powtorzil, mrugajac powiekami. Jej sweter byl poplamiony wodami plodowymi, a na czole widniala smuga krwi, lecz mimo wszystko wygladala zaskakujaco ladnie. Glownie z powodu tych jej spodni, pomyslal Reilly. Staral sie nie pamietac o fascynujaco ciemnych obwodkach wokol niebieskich teczowek. - Sadze, ze Glendenning ma racje: pani jest niezrownowazona psychicznie, panno Donnegan. Usmiechnela sie szeroko.

-Przyznaje, ze moze sprawiac wrazenie chama i szubrawca, ale znam lorda Glendenninga cale moje zycie i moge autorytatywnie stwierdzic, ze pod ta powloka kryje sie stosunkowo dobre serce. Nie takie... - Jej usmiech zgasl, a zastapil go grymas smutku. - ...jak u niektórych bogatych i majacych pozycje mezczyzn, ktorych znalazam.

Reilly uniosl brwi.

-Znala ich pani wielu? - zapytal. Jego ton musial zdradzic niedowierzanie, bo przeszyla go morderczym spojrzeniem.

-Bylam w Londynie, doktorze Stanton - odparla cierpko. - Nie jestem nieobyta wiesniaczka. Znalam mezczyzn, ktorzy poslugiwali sie tytulami dla osiagniecia sukcesu, a potem kryli sie za nimi przed wszelka krytyka. Na przyklad czlonkowie Krolewskiej Akademii Medycznej. Wiekszosc z nich nie interesuje sie nauka ani jej zastosowaniami, lecz mysli wylicznie o tym, jak ja wykorzystac dla wlasnej chwaly. Wystarczy posadzić jednego z nich u wezglowia chorego dziecka, ktorego matka nie ma czym zaplacic za leczenie, a dziecko niechybnie skona. - Jej niebieskie oczy zablyly. - Polowa z nich wyobraza sobie, ze poniewaz sa parami, nie musza sie kopotac praktyka lekarska, ze skoro nosza tytul sir Taki - to - a - taki lub lord Jakistam, wystarczy im to za wszelkie umiejetnosci. Jest prawie niemozliwe, by mezczyzna nie bedacy parem zdobył dyplom, ale to nie oznacza, ze ci, ktorzy go zdobyli, nadaja sie do praktykowania zawodu lekarza.

Reilly sluchal tego wywodu ze zdumieniem. Mial bardzo podobne odczucia, zwlaszcza dotyczace utytulowanych parow w jego zawodzie, totez doznal prawdziwego szoku.

Nastepnie uswiadomil sobie kilka spraw. Z tonu panny Donnegan wynikalo, ze nie uwaza Reilly'ego za jednego sposrod czlonkow owej uprzywilejowanej elity, ktorej etyke - lub raczej brak etyki - krytykowala z taka pogarda. Poniewaz nie przyznal sie jej, ze w rzeczywistosci jest nie doktorem Stantonem, lecz lordem Stillworth.

Uznal, ze na razie lepiej to zachowac dla siebie.

-Ale lord Glendenning - ciagnela Brenna nieco pogodniejszym tonem - pomimo wszystkich swoich wad, jest inny. Swiadomie nigdy by nikogo nie skrzywdzil. On naprawde troszczy sie o Flore. Na swoj sposob.

Reilly pokrecil glowa. Z cala pewnoscia nie spodziewal sie uslyszec obrony postepowania hrabiego Glendenninga, wygloszonej przez panna Brenne Donnegan, ktora nie tylko miala wszelkie powody, by nim pogardzac, lecz rowniez byla najbardziej niezalezna z wszystkich napotkanych przez Reilly'ego kobiet - a mial on okazje poznac wiele sposrod tych nienawidzacych mezczyzn istot, jako ze wlasnie one garnely sie do pelnienia dobroczynnych funkcji, do ktorych zawsze namawiala go Christine. Wysluchiwanie tego, jak bardzo podli sa przedstawiciele jego plci, stalo sie dla Reilly'ego meczace. Doskonale zdawal sobie sprawe z tego, ze trafiali sie nikczemni lajdacy, oraz z tego, ze przepisy, odmawiajace kompetentnym kobietom prawa do pracy zawodowej, byly, oczywiscie, nedorzeczne...

Lecz nie byl rowniez zupełnie przekonany, czy w niektórych przypadkach nie byly one uzasadnione.

-No coz - uslyszal swoj glos. - Nie moge powiedziec, ze pochwalam sposob, w jaki sie o nia troszczy, co polega na tym, ze co roku robi jej dzidziusia. Chcialbym wiedziec, kto karmi te dzieciaki.

-Oczywiscie, ze lord Glendenning - odparla panna Donnegan. - Florze nie mozna powierzyc opieki nad nimi. Nie ma wystarczajaco rozwinietych uczuc macierzynskich, jakkolwiek kocha je i czesto odwiedza. Jestem zdania, ze z pomoca zaufanej opiekunki do dziecka radzilaby sobie lepiej. Ale jego lordowska moc woli powierzac swoje potomstwo zenskiemu klasztorowi w Lochalsh, gdzie jego corki otrzymuja znacznie lepsza edukacje, niz otrzymalyby, pozostajac tutaj. I o wiele lepsze jedzenie. Zakonnice dbaja o to w zamian za hojna darowizne od hrabiego.

-No, coz - mruknal Reilly, marszczac brwi. - Dobre i to. Mysle, ze to lepsze niz dorastanie tutaj.

Rozejrzal sie wokol wielkiego holu, w ktorym stali, i wzdrygnal mimo woli. W pomieszczeniu panowal chlod. Wszystko wskazywalo na to, ze tak samo jest w calym zamku. Umeblowanie bylo skape i przypadkowo ustawione, z wyjatkiem fotela hrabiego, ktory ustawiono w najcieplejszym miejscu.

-Zawsze myslalam - powiedziala Brenna, wzruszajac ramionami - ze kilkoro dzieci wniosloby nieco radosci do tego starego, posepnego zamczyska.

Reilly przyjrzel jej sie podejrzliwie.

-Czy mam rozumiec, ze opor wobec zalotow lorda Glendenninga jest jedynie przekora?

-Na Boga, nie! Nie chce go poslubic. A z tego, co wiem, on upiera sie przy tym tylko dlatego, ze...

Przerwala. A kiedy odezwala sie znowu, Reilly odniosl dziwne wzruszenie, ze mowi mu nie to, co zamierzala.

-Jestem tutaj, na wyspie, jedyna kobieta, ktorej nie posiadl. A wie, ze w inny sposob mnie nie dostanie.

Slyszac te slowa, Reilly uniosl brwi. Lecz wszakze panna Donnegal byla jedna z najbardziej otwartych kobiet, jakie spotkal w zyciu. Daremnie usilowal sobie wyobrazic Christine, odbierajaca porod dziewczki z gospody. Znacznie bardziej prawdopodobne wydalo mu sie, ze Christine dostarczylaby nieszczesnej dziewczynie lekture, traktujaca o grzechu cudzolostwa, choc niewatpliwie uznalaby lorda Glendenninga za fascynujaca postac. Reilly nieomal slyszal jej okrzyki: "Tak bardzo pozbawiony wszelkiej afektacji! I taki meski!"

Teraz, z dala od Christine i od jej swiata, Reilly musial przyznac, ze jego ukochana nie zawsze wlasciwie oceniala ludzkie charaktery.

-Cos panu pokaze - powiedziala nagle Brenna.

-Z checia to obejrze - odparl Reilly skwapliwie.

Lecz panna Donnegal nie pokazala mu, jak sie ludzil, interesujacego znaku szczegolnego czy myszki, usytuowanych na jej ciele, lecz male drzwi w scianie komnaty, ktore wychodzily na nadzwyczaj strome i krete schody.

Jednakze ta wyprawa nie byla kompletnie stracona, bo idac za panna Donnegal, Reilly mial doskonaly widok na jej biodra i posladki, obcisniete spodniami i kolyszace sie, podczas gdy wspinala sie po schodach.

A potem pchnela inne drzwi i Reilly wstrzymal oddech... i to nie tylko z powodu zimna. Poniewaz znalezi sie na zamkowych blankach, trzydziestci metrow ponad ziemia, a dookola widac bylo sinoniebieski ocean z bialymi grzywami fal. Nad glowa mieli blekitne, niczym jajo rudzika, bezchmurne niebo. Pola, ktore wiosna porosniete byly wrzosami, wspinaly sie po stokach wzgorz, ktore nastepnie przechodzily w urwiste gory o pokrytych sniegiem szczytach.

Reilly nigdy w zyciu nie ogladal rownie malowniczej panoramy. Alpy Szwajcarskie, dokad czesto towarzyszył matce, kiedy udawala sie na kuracje, nie umywaly sie do tutejszej okolicy.

-Ladnie, prawda? - Brenna odgarnela z twarzy pasmo czerwonozloty wlosow, ktore rozwiewal wiatr. - Przychodze tu przy kazdej okazji. Widac stad cala okolice. O, tam, na dole, to gospoda. A tam, cmentarz. Dalej, w glebi, Burn Cottage. Potok polyskuje w sloncu.

Reilly staral sie patrzyc we wskazanym kierunku. Naprawde sie staral. Lecz dostrzegal cos znacznie bardziej godnego zachwytu niz szczegoly krajobrazu. Brenna Donnegal warta byla ogladania w kazdym swietle, lecz jaskrawe slonce najlepiej uwydatnilo jej liczne powaby, rozswietlajac rude wlosy i gladka, kremowa cere.

Reilly dostrzegl, ze nie tylko jej teczowki sa obwiedziane czernia, lecz takze powieki, jej rzesy mialy bowiem barwe hebanu; zadziwiajacy fakt, zwazywszy na to, ze wlosy i brwi byly kasztanowe. Reilly nie byl zdolny do spogladiania na roztaczajacy sie w dole pejzaz. Po coz mialby to czynic, skoro tuz przed nosem mial taka doskonalsc?

-Trudno uwierzyc, ale te male biale plamki to owce - wyjasniala. - Chyba stado Hamisha. Mysle, ze wkrótce pozna pan jego rodzicow. Bardzo mili ludzie. Prosci, ale zyczliwi. Hamish jest troche dziki, ale pilnuje go Lucais...

-Byla pani swietna - powiedzial Reilly, nie zdajac sobie sprawy, ze wypowiada te slowa na glos.

-Slucham? - spytala zdziwiona.

-Tam, na dole - odparł. Zalował, że się odezwał, chętnie cofnąłby te pochwały. Nie pochlebiaj jej, strofował samego siebie. Podejrzewał bowiem, że wszelkie pochwały z jego strony zostaną źle odebrane przez nieufną pannę Donnegan.

Za późno. Już go usłyszała i patrzyła na niego swymi wielkimi, mądrymi oczami, w których pojawił się wyraz sceptycyzmu...

-Chodzi mi o Flore - dodał pośpiesznie, mając nadzieję, że poprawi sytuację. - Wykonała pani wspaniałą robotę. Biorąc pod uwagę okoliczności.

Zamrugła powiekami. Podejrzliwość zniknęła z jej oczu, które, jak miał możliwość stwierdzić, były dokładnie tej samej barwy co niebo nad ich głowami.

-Dziękuję - powiedziała. - Dziękuję. Te słowa, wypowiedziane przez tak wykształconego mężczyznę, wiele dla mnie znaczą.

Uśmiechnął się. Lepszy sarkazm niż podejrzliwość.

-Jestem lekarzem - odparł. - Nie akuszerem. Dotychczas uczestniczyłem tylko w jednym porodzie. Moim własnym.

-W takim razie, dlaczego, na Boga, uparł się pan, by być przy tym?

Zastanawiał się, czy ma jej powiedzieć prawdę, że zależy mu na tym, aby zaakceptowała go tutejsza społeczność. Lecz byłoby to równoznaczne z wyznaniem pannie Donnegan, że zależy mu na tym, aby ją usunąć z tej społeczności... przynajmniej w sensie medycznym. Wiedział jednak, że w ten sposób nie wzbudzi w niej przyjaznych uczuć.

A było dla niego ważne, by żyła dla niego sympatię. Chciał bowiem zyskać zaufanie jej pacjentów, aby z kolei oddali się pod jego opiekę.

Wyobraził sobie przynajmniej, że taka jest przyczyna, dla której tak bardzo zależy mu na tym, by panna Donnegan go polubiła.

Zdecydował się na odpowiedź wymijającą.

-Chciałem zobaczyć zamek. Spojrzała na niego spod ściągniętych brwi.

-Jest pan bardzo dziwnym człowiekiem, doktorze Stanton.

-Zabawne - odparł ze śmiechem - że mówi mi to kobieta, nosząca spodnie i spędzająca przesadnie wiele czasu na cmentarzu.

Brenna nie podzielała jego wesołości. Przyjrzała mu się, mrużąc oczy przed słońcem.

-Kto panu to powiedział? - spytała bezbarwnym głosem - O cmentarzu.

Reilly wzruszył ramionami. Nie przypuszczał, by wyznając prawdę, nadużył zaufania swego pracodawcy. To raczej hrabia nadużył jego zaufania, nie mówiąc mu całej prawdy.

-Lord Glendenning - odparł. - Powołał się na to, by udowodnić mi, że jest pani psychicznie niezrównowazona, co miało być powodem, by nie zostawić pani bez opieki w Burn Cottage...

Odwrociła się gwałtownie i ruszyła ku drzwiom. Reilly, zaskoczony jej niespodziewaną reakcją na swoje słowa, musiał iść bardzo szybko, by jej dotrzymać kroku.

-Hola! - krzyknął, dogoniwszy ją, zanim weszła na schody. - Dokąd to? - zapytał, chwytając ją za ramię.

-Zabić go - warknęła, wyrwijąc się z zaskakującą u kobiety siłą. - Puszczaj!

O Boże! Reilly oczywiście słyszał o temperamencie rudowłosych kobiet, ale teraz mógł tego zaznać bezpośrednio na sobie.

-Niech pani zaczeka - powiedział, blokując jej przejście. - Chyba nie chce pani zamordować człowieka w dniu narodzin jej córki? To nie byłoby miłe, prawda?

Brenna wyrwała mu się i odgarnęła włosy z twarzy.

-Doktorze Stanton - powiedziała spokojnie. - Proszę mi zejść z drogi.

-Nie powinna pani tak bardzo brać sobie do serca tych plotek - odparł Reilly, starając się mówić pogodnym tonem. - Ludzie mogą pomyśleć, że jest w nich ziarenko prawdy. - Zupełnie jak ja w tej chwili, dodał w duchu.

Ale Brenna się nie uśmiechnęła. Spróbował inaczej.

-Ma pani szczęście, że żyjemy w dziewiętnastym wieku. W przeciwnym razie za takie rzeczy zostałaby pani spalona na stosie jako czarownica. Za włoczenie się noca po cmentarzu.

Na prozno.

-Ile panu zapłacił? - spytała.

Zakłopotany Reilly pokręcił głową. Tutejsi wyspiarze doprawdy zachowują się dziwnie - i przeskakują z tematu na temat częściej niż wszyscy dotychczas znani mi ludzie, pomyślał.

-Kto ile mi zapłacił? - zapytał oszłomiony. - I za co?

-Lord Glendenning. - Lazurowe oczy wpatrywały się w jego twarz. - Ile zapłacił panu za przyjazd tutaj? Bo ja chętnie podwoję sumę.

Reilly był tak zaskoczony, że bez słowa się w nią wpatrywał.

-Pytam serio. - Chyba tak było. Jej twarz wyrażała wielką powagę. - Niezależnie od tego, jak wielkie ma pan długi w Londynie, chętnie je spłaci, byle tylko pan stąd wyjechał.

Długi? Na miłość boską, o czym ta dziewczyna mówi? Może Glendenning ma jednak rację? Może ona rzeczywiście ma złą w głowie.

-Najuprzejmiej dziękuję za te propozycje - powiedział ostrożnie - lecz nie mam w Londynie żadnych długów.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

-Musi pan mieć. W przeciwnym razie po co by pan tutaj przyjeżdżał? Lord Glendenning z pewnością zaoferował panu...

-Płaca za stanowisko tutejszego lekarza jest, jak pani zapewne wie, nieistotna. - Reilly spojrzał na nią. Doprawdy, sytuacja stawała się coraz dziwniejsza. Jeśli się nie mylił, ta młoda dama usiłowała go przekupić, aby opuścił wyspę. I, nie zdając sobie sprawy, że jest jednym z owych parów, których tak bardzo nienawidziła, myślała, że pieniądze zrobią swoje. - Zapewniam pania - powiedział, uśmiechając się szeroko - że moje motywacje, by przyjąć to stanowisko, nie były natury finansowej.

Jej brwi zmarszczyły się jeszcze bardziej.

-Wiem dlaczego? - spytała. Jej ochryply głos zdradzał zaniepokojenie. - Dlaczego, na miłość boską, miałby pan wyjechać z Londynu i wybrać sobie właśnie to miejsce? Istnieją setki o wiele bardziej korzystnych stanowisk dla lekarza pńskiego kalibru. Dlaczego właśnie tutaj?

-Coż, to proste - powiedział, wzruszając ramionami. - Przyjechałem tu ze względu na haggis.

A kiedy spojrzała na niego zniecierpliwiona, dodał:

-No dobrze, już dobrze. Powiem pani, dlaczego zdecydowałem się na Skye. Ponieważ było to miejsce najbardziej oddalone od Londynu, ale wciąż jeszcze w Wielkiej Brytanii.

-A coż takiego znajduje się w Londynie - spytała - że tak bardzo chciał pan stamtąd uciec?

Jej przenikliwość nie zaskoczyła Reilly'ego. Na tyle zdążył ją już poznać.

-Coż, skoro już musi pani wiedzieć - powiedział - moja była narzeczona.

Nie miał żadnych szczególnych oczekiwań co do jej reakcji, lecz z całą pewnością nie spodziewał się wybuchu śmiechu.

-Nie - wykrztusiła. - To niemożliwe.

Zasmucony Reilly tylko zacisnął zęby. Wzmianki o haggis nie uznała za zabawna, a to wyznaczenie tak bardzo ją rozśmieszyło.

-To znaczy, nie tyle przed nią uciekłem - wyjaśnił - co raczej chciałem jej udowodnić, że się myliła. Oskarżyła mnie o to, że jestem nicponiem, więc pomyślałem sobie...

-Więc pomyślał pan sobie, że przyjeżdżając do Lyming udowodni jej pan, że nie jest pan nicponiem? - Pokiwała głową, nie przestając się uśmiechać. - Rozumiem. Przepraszam, że się rozesmiałam. Tylko że powiedziałam lordowi Glendeningowi, że musiał pan mieć jakiś powód, aby przyjechać tutaj, tak daleko od miejsca dotychczasowej praktyki, która, jak rozumiem, przebiegała zadowalająco. Myślałam, że lord pana przekupił. Ale on mi powiedział, że kierowała panem... chęć pracowania z pożytkiem.

Uśmiechnął się z przymusem. Nie bardzo przekonująco, ale lepiej uśmiechnąć się blado, niż pozostać posepnym.

-A pani? - zapytał. - Dlaczego powróciła pani na wyspę, wiedząc, że rodzice wyjechali i będzie tu pani mieszkała samotnie?

Przechyliła głowę.

-Słyszysz pan? - zapytała. - Wydaje mi się, że hrabia nas wola. Reilly nie słyszał nic poza poszumem wiatru i sporadycznymi krzykami mew, kolyszających się na falach.

-Nie słysze - odparł. - A teraz niech mi pani powie prawdę. Nie sadzę bowiem, że pani rodzice byłiby zadowoleni, gdyby się dowiedzieli, że mieszka tu pani zupełnie sama.

-Musimy wracać - powiedziała. I ruszyła za nim po schodach. Reilly nie wiedział, które z nich było bardziej zdumione, gdy chwycił ją za rękę.

-Panno Donnegal - usłyszał swój głos. - Dlaczego unika pani odpowiedzi na moje pytanie?

Jej dłoń była ciepła i pełna życia. Wydawało mu się, czy pod palcami wyczuł pulsowanie? Czy było możliwe, że jego bliskość robi na pannie Donnegal takie samo wrażenie jak jej bliskość na nim?

Jeśli nawet, to nikt by tego nie poznał po brzmieniu jej głosu, które było jak zwykle gardłowe i autorytatywne.

-Doktorze Stanton - powiedziała - zechce pan wypuścić moją dłoń.

-Owszem - odparł - gdy odpowie pani na moje pytanie. Dziwne, jego puls także był przyspieszony. Panna Brenna Donnegal niewątpliwie prezentowała niezwykle typ urody, lecz z pewnością nie należała do najpiękniejszych kobiet, jakie widział Reilly. Na przykład Christine, ze swymi jasnymi włosami i filigranową figurą, była znacznie piękniejsza, w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, niżli panna Donnegal.

Co więc sprawiało, że jego serce biło tak mocno?

-Rzecz jasna, rozumiem, że wraz ze stanowiskiem miał pan otrzymać mieszkanie - powiedziała Brenna, usiłując wyrwać dłoń z jego reki. - Ale do zeszłego wieczoru nie miałam zielonego pojęcia, że ma pan tu zawitać, więc...

Była to oczywista próba zmiany tematu rozmowy.

-Panno Donnegal - powiedział - pragnę się dowiedzieć...

-Opuszczenie domku - ciągnęła, wciąż mu się wyrrywając - zajmie mi trochę czasu. Mam nadzieję, że nie będzie pan miał nic przeciwko...

-Panno Donnegal - powtórzył.

-To nie potrwa długo - zapewniła go. Zupełnie jakby nie słyszała, o co ją pytał. Podjęła decyzję i za wszelką cenę chciała dokończyć swoją wypowiedź. Usiłowania Reilly'ego na nic się zdały. - Tylko do lata. Gdyby zaczął pan do tego czasu, byłabym panu nieskończenie wdzięczna. Wiem, że proszę o wiele, lecz naprawdę muszę pozostać na wyspie, w Burn Cottage, aż do...

Nagle zamilkła, ponieważ uniosł dłoń i stanowczym gestem przyłożył palec do jej warg.

-Ciii - powiedział Reilly tonem, jak miał nadzieję, kojącym. - Rozumiem. Proszę się nie spieszyć. Znajdzie sobie inne lokum.

Spojrzała, zezując na palec Reilly'ego, przycisnięty do jej ciepłych, dziwnie rozedrganych ust. Przyszło mu do głowy, że nie miałby nic przeciwko temu, by poczuć te usta na innych częściach swego ciała. Była to bardzo podniecająca myśl.

-Doktorze Stanton - odezwała się Brenna.

-Dosc - powiedział, przyciskając palec jeszcze mocniej. - Powiedziałem już pani, z przyjemnością...

Uniosła rękę i, mocno chwyciwszy palec Reilly'ego, oderwała go od swoich warg.

Sekunde później bolesnie wykreciła mu nadgarstek. Wstrzasnięty, wypuścił jej dłoń.

-Panno Donnegal! - wykrzyknął.

Przytknęła te swoje ciepłe, wibrujące wargi do jego ucha i wyszeptała:

-Niech pan nie robi tego nigdy więcej. A potem wypuściła jego rękę.

Reilly wyprostował się i roztarł oboląły nadgarstek. Na Boga! Lord Glendenning miał rację: To rzeczywiście wariatka!

Na szczescie, albo moze na nieszczescie, Reilly nie potrafil sie zdecydowac, za nimi otwarly sie drzwi, w ktorych pojawil sie lord Glendenning. Na ich widok odetchnal z ulga.

-Ach - powiedzial. - Tu jestescie. Zastanawialem sie, dokad poszliscie. Ale powinienem sie byl domyslic. Brenna przychodzi tu zawsze, gdy tylko nadarzy sie okazja.

Wypowiedzial te slowa tonem pelnym uczucia i spojrzal na Brenne Donnegal plomiennym wzrokiem. Reilly zastanawial sie, czy Iain MacLeod mial kiedykolwiek okazje zapoznac sie z bolesnym chwytem, jakim Brenna wykrecila mu nadgarstek, i jesli tak, jak to mozliwe, by nadal obdarzal ja takim oglupialym spojrzeniem.

-Jesli uwazasz, milordzie, ze Florze nic nie dolega - spiesznie powiedziala panna Donnegal - pojade juz.

Lord Glendenning wyraznie sie stropil.

-Wydaje mi sie, ze Flora czuje sie dobrze, ale nie musisz odjezdzac, Brenno. Kucharka szykuje lancz, zimne miesa i takie tam. Pomyslalem sobie, ze ty i doktor...

-Nie - odparla Brenna. - Nie moge zostac. Ale jestem pewna, ze doktor Stanton zostanie z przyjemnoscia.

Reilly natychmiast zaczal wymyslac jakies usprawiedliwienia, ale doszedl do wniosku, ze nie ma dokad pojsc ani dokad sie udac na lancz, ani nic do roboty, jako ze nie ma pacjentow, z wyjatkiem Flory i jej malenstwa.

-Doskonale! - wykrzyknal lord Glendenning, klepiac go po plecach. - A po lanczu pojedziemy do wsi, zeby obejrzec panski szpitalik.

Reilly poslal Brennie zlowrogie spojrzenie, ale ona szybko odwrocila sie do niego plecami.

-W takim razie zajrze ostatni raz do Flory i juz mnie nie ma - powiedziala na odchodnym.

I zniknela za drzwiami, w ktorych przed chwila pojawil sie hrabia. Reilly zaczal sie zastanawiac, czy nie jest jeszcze wiekszym glupcem niz Glendenning. Dal sie przeciez nabrac na jej sztuczki bezradnej istoty i zapewnil ja, ze moze pozostac w domku - jego domku - tak dlugo, jak jej sie spodoba. Wiedzac, ze nie jest ani troche bezradna. Brenna Donnegal doskonale umiala o siebie zadbac.

I Reilly Stanton pomyslal, ze to jemu przydalaby sie jakas pomoc.

9

Po raz drugi w ciagu ostatniej doby Reilly Stanton zostal gwaltownie wyrwany z glebokiego snu, i to bardzo brutalnie. I, jak po chwili zdal sobie sprawe, potrzaszany ta sama reka.

-Hej, Stanton - powiedział hrabia niecierpliwie. - Nie mamy na to całej nocy.

Reilly wyrzwał spod sterty kocow, pod którymi się zakopał. Zmrużył oczy przed światłem świecy. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje.

A potem nagle sobie przypomniał. Zatrzymał się w zamku Glendenning, ponieważ nie pozwolił hrabiemu wyrzucić Brenny Donnegal z Burn Cottage, a we wsi nie było pokoi do wynajęcia.

Szpitalik, z którym Reilly wiązał pewne nadzieje, nie nadawał się do zamieszkania. Był zbyt zawilgocony i brudny. Wymagał gruntownego wysprzątania, kilku warstw farby oraz wizyty tutejszego kominiarza.

Jednakże nawet przesiaknięty wonia solanki szpitalik byłby lepszy od miejsca, w którym wylądował, przyjmując zaproszenie hrabiego. Pokój, który mu przydzielono, był wprawdzie duży, lecz bardzo zimny. Ogień na palenisku niewiele działał i chcąc napisać listy do matki i siostr, Reilly zasiadł przy ogromnym biurku w rogu pomieszczenia, nie zdejmując kapelusza, szalika oraz rekawiczek, zupełnie jakby odgrywał w sztuce rolę biednego sekretarza.

Christine byłaby zdumiona, widząc jego determinację. Niezdecydowany? On? Nigdy w życiu!

Jednakże co miał do wyboru? Ten pokój albo dzielenie komnaty z hrabią, który przesiadywał tam ze swoimi cholernymi, cuchnacymi psami, polerując swój cholerny miecz. Nie, Reilly miał do roboty lepsze rzeczy, niż siedzieć i patrzeć, jak hrabia się d r a p i e i podziwia własne odbicie w rodzinnej pamiętce.

Listy nie były napisane starannie - Reilly stwierdził, że niełatwo pisać się w rekawiczkach, nawet takich z odciętymi koniuszkami na palce - ale zostały ukończone i ułożone w schludny s t o s i k , gdzie czekały na wysłanie. W jednym z nich, adresowanym do Pearsona i Shelleya, Reilly opowiadał o swoich dotychczasowych przygodach na wyspie Skye, nie pomijając detali w rodzaju spodni panny Brenny Donnegal.

Lecz to, że spędził wieczór, nie robiąc nic innego poza n a p i s a n i e m kilku listów, nie oznaczało, że Reilly nie był zmęczony... Być może wszystko winne było słone powietrze. A może wilgoc, p a n u j a c a w murach zamku. Cokolwiek zawiniło, Reilly zwalił się n a m a s y w n e łozie i usnął. Toteż kiedy po kilku godzinach został w środku nocy obudzony przez swego gospodarza, był bardzo niezadowolony.

-Odchrzan się - warknął, wyrывая koc z miesistych l a p hrabiego. W sennym odurzeniu zapominał, że Glendenning j e s t jego pracodawcą, a ten z kolei nie miał pojęcia, że tak brutalnie budzi osmeo markiza Stillworth.

Lecz lord Glendenning, ubrany, i to w liczne warstwy odzieży, wskazujące na to, że zamierza wyjść na dwór - chociaż w zamku było niemal równie zimno jak na zewnątrz -

wcale sie nie obrazil, tylko powiedzial:

-Rusz swoj leniwy zewlok, Stanton. Jesli chcesz zobaczyc na wlasne oczy, ze panna Donnegal jest oblakana.

To zalatwilo sprawe. Reilly wprawdzie nie wyskoczyl z loza, lecz przestal sie wczolgiwac pod przykrycie.

-Slucham? - powiedzial ochryplym od snu glosem.

-Slyszales. - Glendenning siegnal po bryczesy Reilly'ego, lezace na krzesle obok loza. - Wloz je i wez plaszcz. Mamy dzis pelnie, co oznacza, ze Brenna przyjdzie na cmentarz wyprawiac te swoje dziwactwa. Sam zobaczysz.

Glendenning rzucil bryczesy na lozko i odwrocil sie, zabierajac swiece.

-Nie ma zle w glowie - mruknal pod nosem, idac w strone zarzacego sie paleniska. - Dobre sobie!

Reilly wiedzial, ze ta uwaga odnosi sie do jego poczynionych w czasie lanczu zapewnien, ze pannie Brennie Donnegal nie dolega nic oprócz pewnej naturalnej przekory... ktorego to zapewnienia hrabia wysluchal ze sceptycyzmem. Po czym oskarzyl doktora o to, ze on takze ulegl czarowi dziewczyny.

-Juz taka jest - oswiadczył, celujac w Reilly'ego palcem ponad porcja wolowiny. - Przyciaga czlowieka do siebie. Ale w glowie nie ma po kolei. Na pewno.

Reilly odlozyl widelec i rzekl nieco zniecierpliwionym tonem:

-To, ze dziewczyna nie chce cie poslubic, Glendenning, nie oznacza jeszcze, ze nie ma piatej klepki.

Na co lord wymamrotal znad swego piwa:

-Jeszcze sie przekonasz. Pokaze ci. Zobaczysz na wlasne oczy. Reilly tylko pokrecil glowa. Bylo oczywiste, ze ktos w Lyming ma zle w glowie, lecz Reilly byl gotow pojsc o zaklad, ze tym kims nie byla Brenna Donnegal.

I obecność tego kogos w sypialni Reilly'ego o drugiej w nocy, oświadczajacego, ze maja wyruszyć na cmentarz, tylko potwierdzala te podejrzenia. Jednakże lord Glendenning był jego gospodarzem i pracodawcą i, poza tym jednym dziwactwem, zdawał się stosunkowo zdrowy na umyśle. Reilly westchnal, wyszedł z ciepłego legowiska i szybko sie ubral.

Polgodziny pozniej, kucajac za murem kosciola, przemarzniety na kosc, z calego serca zalowal, ze opuscil Londyn, gdzie nikt go nie zmuszal do przesiadywania noca na

cmentarzu, i miał poważne wątpliwości, czy właściwie ocenił zdrowie psychiczne hrabiego. Glendenning wywlokł go na dwór w środku najzimniejszej nocy w ciągu roku, a mimo to sam nie sprawiał wrażenia zmarzniętego, chociaż, zamiast spodni, miał na sobie kilt i, tak samo jak Reilly, siedział na stercie śniegu. Gdyby nie to, że od czasu do czasu popijał z flaszki, która wyjmował zza pazuchy - flaszki, która zaproponował Reilly'emu i z której Reilly zdrowo sobie pociągnął, lecz zawarta w niej whisky nie bardzo go ogrzała - miałby poważne wątpliwości co do tego, czy hrabia jest istotą ludzką.

Bo Glendenning nie dygotał. Hrabia nie sprawiał wrażenia zmęczonego. Siedział spokojnie, wpatrując się w groby i w ich długie cienie, padające na śnieg w księżycowej poświacie. Czyżby hrabia, zastanawiał się Reilly, był jednym z krwiopijących widm, o których opowiadał mu Pearson? Ponoc miały być niewrażliwe na temperaturę otoczenia. Czyżby Glendenning przyprowadził go tutaj, aby wyssać z niego życiodajną krew?

Niemożliwe. Mogł przecież wychleptać krew Reilly'ego w o wiele bardziej sprzyjających warunkach, w zamku. Co więcej, wampiry, przynajmniej wedle słów Pearsona, który opowiadał o nich Reilly'emu, nie napychały sobie ust strawą, jak to bez opamiętania czynił hrabia, będąc bardziej wybrednymi w wyborze pożywienia.

Więc Glendenning nie był wampirem. Ale to nie oznaczało, że nie był szalony, tak samo zresztą jak Reilly, który mu towarzyszył. Do diabła, co oni tu w ogóle robią? Reilly nie należał do ludzi przesadnych i nie spodziewał się, że zobaczy na cmentarzu coś szczególnego, ale to wszystko było... trochę niesamowite. Może z powodu niezwyklej ciszy, która od czasu do czasu przerywało pohukiwanie sowy. Reilly był przekonany, że jeśli istniały takie istoty jak wampiry, to jeden z nich mieszkał na tym cmentarzu.

Bo czyż nie przyciągały ich śmierć i zaraza? A tego w Lyming z pewnością było w brod...

A może to Brenna Donnegal jest wampirem? - zastanawiał się Reilly. Czy to właśnie chciał mu udowodnić Glendenning? Niemożliwe. Bo czyż wampiry nie spalały się w promieniach słońca? A Brenna Donnegal nie dalej jak minionego ranka stała na zamkowych blankach tuż obok niego. Trzeba przyznać, że jasniała, a jej rude włosy zdawały się płonąć w promieniach słońca...

Nagle Glendenning przeraził Reilly'ego, kładąc mu niespodziewanie dłoń na ramieniu.

-Słuchaj - powiedział.

Reilly, bez reszty zatopiony we wspomnieniach, dotyczących włosów Brenny Donnegal, zupełnie zapomniał, gdzie się znajduje. Strzasnął z siebie rękę hrabiego i wysyczał:

-Jeśli zrobisz to jeszcze raz, stary, zabieram się stąd.

-Ciii - wyszeptał Glendenning. - Słyszysz to? Reilly nasłuchiwał przez chwilę.

-Chodzi ci o te sowe?

-Och. Wydawało mi się... Reilly zacisnął zęby.

-To tylko sowa.

Reilly był teraz całkowicie pewny, że to hrabia wymaga opieki lekarskiej. Wokół nie było nic, nic a nic, poza zimnem, szczypiącym morderczym mrozem i dymem o zapachu drewna, pochodzącym z paleniska w domu pastora. Och, jakże Reilly zazdrościł pastorowi! Choć podejrzewał, że tutaj, w Szkocji, nazywano go inaczej niż w Anglii. Prawdopodobnie duszpasterzem. Teraz, chociaż Reilly nie był szczególnie religijny, nie miałby nic przeciwko byciu pastorem, śpiącym w ciepłym łóżku, być może z wtuloną w niego pulchną żoną oraz z rychłą perspektywą gorącego śniadania. A jakie były perspektywy Reilly'ego? Żadne. Kucharka w zamku Glendenning okazała się w jednakiej mierze pozbawiona talentu kulinarnego co i serca.

Reilly popadł w przygnębienie, przekonany, że przyjeżdżając z Londynu do Lyming, popełnił największą życiową pomyłkę, i wyobrażał sobie, jak zareaguje Christine, gdy w przyszłym tygodniu wejdzie do salonu jej rodziców i powie: "Przykro mi. Miałas rację. Zawód lekarza jest do niczego. Jeśli zechcesz zostać lady Stillworth, jedźmy do Stillworth Park i do końca naszych dni bądźmy lordem i lady Stillworth", gdy Glendenning nagle szturchnął go łokciem.

Reilly spojrzał w kierunku wskazanym mu przez nie bardzo czysty palec hrabiego. To, co dostrzegł, sprawiło, że krew ścięła mu się w żyłach - o co nie było trudno, zwąszywszy na to, że i tak był blisko zamarznienia. Dostrzegł bowiem zakapturzona postać, szybko poruszająca się pomiędzy grobami. Serce Reilly'ego stano na chwilę, ponieważ wydało mu się, że owa postać trzyma w dłoni kose.

Mój Boże, pomyślał. Śmierć! Spoglądam śmierci w oczy!

Lecz gdy zjawia się przybliżyła, Reilly zrozumiał, że się pomylił, a to, co wziął za kose, okazało się latarnia. Mimo to postać mogłaby z łatwością uciec za jednego z wampirów Pearsona... gdyby nie pies.

Ponieważ obok zakapturzonej postaci dreptał pies, którego Reilly rozpoznał. Był to kundel, którego widział w Bura Cottage. Nie collie ze zranioną łapą, lecz pies Brenny Donnegan... Sorch, chyba tak się wabił.

Niepomiernie zdumiony, powiedział:

-Ale...

Glendenning uciszył go, szepcząc:

-Patrz.

Reilly patrzył. I to, co zobaczył, napelniło go jeszcze większym zdumieniem. Ponieważ zakapturzona zjawa zbliżyła się do grobu i, unioswszy latarnie, przystanęła, odczytując napis na drewnianej tablicy.

-Co, do diabła? - mruknął Reilly.

-A nie mówilem? - odezwał się Glendenning tonem tak triumfalnym, na jaki pozwalał mu szeptać. - Nie mówilem? Ona ma fioła. Kompletnego fioła.

Ma rację, pomyślał Reilly (albo jego żart o czarownicy nie bardzo różnił się od prawdy). Lecz Brenna Donnegan nie sprawiła na nim wrażenia osoby zajmującej się okultyzmem. Wprost przeciwnie. Brenna Donnegan wydawała się mocno stąpać po ziemi i zajmować się sprawami praktycznymi. Coż, u diabła, robiła na cmentarzu w samym środku nocy?

I co on tutaj robił?

Tego już za wiele, pomyślał Reilly, i zaczął się podnosić.

-Stój. - Hrabia chwycił go za brzeg peleryny. - Dokąd się wybierasz?

-Mam dość tego szalenstwa - odparł Reilly, strzepując śnieg ze spodni.

Lecz nie było mu dane odejść. Glendenning brutalnie pociągnął go z powrotem na śnieg.

-Zwariowałeś? - zapytał hrabia, sotto voce. - Ona nie może się dowiedzieć, że tutaj jesteśmy!

Nie bardzo zadowolony ze sposobu, w jaki Glendenning go powstrzymał - zdawało mu się, że wielkie, mięsiste paluchy hrabiego rozdarły jego pelerynę, a było to jedyne takie okrycie, które Reilly przywiozł z Londynu - warknął:

-Niby dlaczego?

Glendenning spojrzał zza muru w kierunku grobów.

-Ponieważ najwyraźniej jest opętana. Jeżeli wyrwiemy ją z transu, w jakim się znajduje, może się na zawsze pogrześć w otchłani szalenstwa. - Pokrecił głową, potrzasając długimi lokami. - Coż z ciebie za lekarz? Na niczym się nie znasz.

Reilly spojrzał na swego pracodawcę z najwyższym zdumieniem.

-Otchłan szalenstwa? - powtórzył jak echo. - Otchłan szalenstwa? Coż za bzdury! Pusc mnie, ty ignorancie! Pojść do niej i zapytać, co to wszystko znaczy, choćbym miał z niej wytrząść prawdę...

-Nic ci nie powie - upierał się Glendenning, przytrzymując Reilly'ego za ramiona. - Wierz mi.

Juz probowalem. Powie ci, zebys pilnowal wlasnego nosa.

-To raczej nie brzmi jak odpowiedz osoby opetanej - odparl Reilly stanowczo.

-Niewazne. Mowie ci, ze gdy nadchodzi pelnia, cos w nia wstepuje. Juz trzeci raz widze ja tutaj i za kazdym razem jest tak samo. Chodzi pomiedzy grobami, ogladajac napisy na tablicach, potem zapisuje cos w zeszytcie, a wreszcie idzie do wsi i znowu cos pisze. Czasami schyla sie i podnosi garstke ziemi, wklada je do kieszeni i zabiera do domu...

Dobry Boze! Ziemia? O co tu chodzi? Jakas geologiczna obsesja? Co sie dzieje z ta kobieta?

Kucajaca w kregu swiatla, rzuconym przez jej latarnie, i bazgrzaca cos olowkiem w zeszytcie, ktory wyciagnela z przepascistych kieszeni peleryny, Brenna Donnegal rzeczywiscie nie sprawiala wrazenia osoby w pelni wladz umyslowych. Bo to byla Brenna Donnegal. Reilly widzial jej kasztanowe wlosy, lsniaace w ksiezycowej poswiacie, a gdy sie podniosla, dostrzegl spodnie. W sekunde pozniej zeszyt zniknal, a dziewczyna zaczela sie rozgladac w kolo, prawdopodobnie szukajac psa.

Ktory, jak poniewczasie zorientowal sie Reilly, wyczul ich obecncosc i machal przyjaznie ogonem.

-Idz sobie - syknal hrabia. - Odejdz. Wynos sie!

Pies nie zwracal na hrabiego najmniejszej uwagi. Podskoczyl, wsparl przednie lapy na ramionach Reilly'ego i polizal go w twarz.

-Zjezdzej - wysyczal Glendenning, chowajac sie za murem. - Juz cie tu nie ma! Won!

Pies wyszczerzyl zeby. Zostawil ich dopiero wtedy, gdy pod stopa jego pani trzasnela galazka i stalo sie oczywiste, ze Brenna Donnegal wychodzi z cmentarza. Sorcha szybko sie obejrzala i bezszelestnie pomknela za oddalajaca sie postacia.

Glendenning odetchnal z ulga.

-No - powiedzial glosno, gdy suka i jej wlascicielka zniknely z pola widzenia. - Mowilem ci. Teraz bedzie sie wloczyc po wsi, a potem wroci do domu. Jest kompletnie pomylona.

Reilly wstal. Tym razem Glendenning go nie powstrzymywal.

-Jestem przekonany - oswiadczył Reilly, strzepujac snieg z peleryny - ze jej zachowanie da sie racjonalnie wyjasnic.

Musi sie wyjasnic. Po prostu musi.

-Pewnie - odparl Glendenning. On takze wstal, przy czym jego stawy glosno zatrzeszczaly.

- Jest opetana.

-Nie badz idiota - powiedzial Reilly. Podeszedl do niskiego kamiennego muru, za którym kucali, i lekko go przesadzil.

-Bo jesli nie jest opetana... - Glendenning szedl za nim powoli, co sklonilo Reilly'ego do podejrzen, ze hrabiemu nie bylo na sniegu zbyt wygodnie. - ...to co tu wyrabia?

Reilly szedl przez cmentarz, az dotarl do grobu, przed którym poprzednio przyklekla Brenna. Nagrobna plyta byla drewniana, widnialo na niej z pol tuzina nazwisk. Wszystkie pochowane w grobie osoby zmarly tego samego dnia: 4 sierpnia 1846 roku.

-Znales ktoregos z tych ludzi? - zapytal Reilly, wskazujac hrabiemu nagrobek.

Glendenning chrzaknal z namyslem.

-Jednego albo dwoch - odparl. - Przewaznie dzieci. Ale ona zabierala glownie dzieci i starcow. Mam na mysli cholere. Pod koniec mielismy tutaj tak wielu zmarlych, ze zaczelismy ich chowac jednego nad drugim, po piec, szesc osob w jednym grobie. Nie bylo wyboru, chyba ze zakopalibysmy ich w nie poswieconej ziemi, a nikt tego nie chcial. Nie mieli nawet trumien, nieszczesnicy. Stolarz takze odszedl, wiec zawijalismy ich w przescieradla, na ktorych skonali. Jedyne, co mogliśmy byli zrobic w tym pospiechu, to pochowac ich tak gleboko, zeby psy sie nie dokopaly. A musieliśmy sie spieszyc, zeby zdazyc, nim ciala zaczyna sie rozkladac...

-Dobry Boze - westchnal Reilly.

Wiedzial o tym, oczywiscie. Slyszal, ze w Londynie nie bylo lepiej. Nie bywal w dzielnicach najbardziej dotknietych zaraza... nie bywal tam nikt z jego znajomych.

A jesli juz ktos byl zmuszony, to zawsze z przytknieta do nosa jedwabna chusteczka, aby nie wdychac miazmatow, ktore rozsiewala ta straszliwa, przywieziona z morza choroba.

Jednakze slyszal o zbiorowych grobach, o wozach pelnych trupow, o calych rodzinach, ktore odeszly...

Nigdy dotad nie ogladal jednak swiadcstwa tych okropienstw.

Z przykroscia wspomnial slowa Brenny, oskarzajacej czlonkow Krolewskiej Akademii Medycznej o to, ze nie interesowali sie leczeniem ludzi, a dbali wylacznie o wlasna kariere. Miala racje, pomyslal. Zaden z jego kolegow - ani on sam - nie zatroszczyli sie o najbiedniejsze dzielnice Londynu, pustoszone przez zaraze. Nie bylyby tak, gdyby choroba zaatakowala ktoregos z ich pacjentow. Dla Reilly'ego i jego kolegow cholera zawsze byla choroba, ktora dzarzalala sie innym, nie im.

-My - powiedział Reilly i zamilkł, by odchrząknąć. - Co masz na myśli, mówiac "my"? Ty także pomagales w pochówkach?

Trudno mu było uwierzyć, że hrabia - a zwłaszcza ten hrabia - zniżył się, by robić coś tak... służebnego.

-Tak - zabrzmiała zaskakująca odpowiedź Glendenninga. - Wszyscyśmy pomagali. Każdy przyłożył ręki. Nawet matka Brenny, pani Donnegal, brała w tym udział, a to bardzo drobna kobieta.

Dobry Boże. Lord Glendenning, jak przekonywała go Brenna, był zupełnie inny niż pozostali parowie, jakich znała. Był także zupełnie niepodobny do arystokratów znanych Reilly'emu, co teraz sam musiał przyznać, choć niechętnie. Lord Glendenning, jak się okazało, dbał o swoich ludzi znacznie bardziej niż większość członków z Izby Lordów, których praca polegała przecież na trosce o dobro ludzi.

Reilly pokręcił głową. Przed nim widniały inne, wiele innych, tablic nagrobnych. Jak wielu mieszkańców Lyming zostało złożonych do tych przypadkowych grobow? Okropność.

Jednakże nie usprawiedliwiała to dziwnego zachowania, którego świadkiem stał się tej nocy.

-Więc co o tym myślisz? - zapytał Glendenning. Wyrwany z zadumy Reilly spojrzał na hrabiego.

-O czym?

-O zachowaniu dziewczyny. - Nawet w świetle księżyca Reilly widział, że hrabia jest zniecierpliwiony. - Co oznacza to spisywanie nazwisk zmarłych? I zbieranie ziemi we wsi?

Na te pytania Reilly miał tylko jedną odpowiedź.

-Nie wiem.

Glendenning spojrzał na niego rozgniewanym wzrokiem.

-Co znaczy "nie wiem"? Sądziłem, że to jasne. Kobieta jest obłąkana.

Reilly skupił myśli. Zwążywszy na jego zmeczenie, ilość alkoholu, jaką wypił, oraz ostry mróz, nie było to łatwe. Ale się starał.

I nie spodobało mu się to, co wymyślił.

Nie chodziło tylko o to, że ta kobieta stała w środku nocy nad grobem i zapisywała nazwiska zmarłych. Ani o to, że się włościła po wsi, także w ciągu nocy, zbierając próbki gleby. Niepokoiło go coś innego. A było to coś, co odkrył w wioskowym szpitaliku: brak

wyposazenia medycznego.

Nie, nie zapasu lekow. Znajdowalo sie tam mnostwo bandazy, masci i smarowidel.

Lecz w miejscu, gdzie poprzednio najwyrazniej stal mikroskop, teraz pozostal tylko zakurzony blat, a szkiełka do preparatow, ktore sie zachowaly, byly potluczone. Z polek zniknely niektore fiolki z chemikaliami.

A co najdziwniejsze, brakowalo kart chorych.

Co sie z tym wszystkim stalo?

Zlodzieje? Mozliwe. Lecz nie bylo widac zadnych sladow wlamania, a Glendenning przysiegal, ze ma jedyny klucz do drzwi szpitalika. I po co zlodziejom karty chorych?

Bedzie musial zakladac je od nowa.

O nowy mikroskop nie bedzie trudno, przynajmniej Reilly'emu. Wystarczy go zamowic i obciazyc kosztami bank. Szkiełka mikroskopowe i chemikalia takze.

Interesowalo go, dlaczego zostaly zabrane. W jakim celu? Dlaczego podejrzewal, ze w nieuczciwym?

Poniewaz byl calkowicie pewien, kto je zabral. I bal sie myslec, tak, bal sie, po co.

Kobiety nie mialy powodu, najmniejszego powodu, by babrac sie w takich rzeczach.

-Wspomniales cos - zwrocil sie do hrabiego - ze panna Donnegal zamyka jeden pokoj w domku.

-Tak - odparl Glendenning. - Na calej wyspie nie ma drzwi zamykanych na klucz poza drzwiami szpitalika oraz drzwiami do gabinetu jej ojca, jak go nazywa. Dlaczego?

-Nie wiadomo - odparl Reilly z namyslem. Glendenning nie nalezal do najbystrzejszych, ale nie byl takze glupi. Chwycil Reilly'ego za ramiona i zwrocil twarza ku sobie.

-Powiedz mi, Stanton - odezwal sie swoim glebokim glosem, ktory dudnil jak daleki grzmot. - Nie mozesz przede mna nic ukrywac. Cokolwiek to jest. Poznaje po twoim milczeniu, ze cos podejrzewasz... Cos nie jest w porzadku... Czy ona... czy naprawde jest stracona? O to chodzi?

Reilly spojrzal na hrabiego kamiennym wzrokiem.

-Pusc mnie - powiedzial beznamiennie.

Glendenning cofnal rece i odszedl kilka krokow. Potem zawrocil i Reilly dostrzegl w

ksiezycowej poswiacie, ze hrabia jest rozwscieczony.

-Lepiej powiedz mi wszystko, i to natychmiast! Wiesz cos, wiesz wiecej, niz mi mowisz! Lepiej wygarnij cala prawde albo za chwile bedziesz plul wlasnymi zebami, przyjacielu.

Reilly potrafil zniesc wiele. Zniosl porzucenie przez ukochana, uwazajaca go za nicponia i lobuza, ktory odziedziczyl tytul, ale nie chce go uzywac. Zdobyl sie na to, by pozostawic dotychczasowe zycie i zaczac wszystko od nowa, w zabitej dechami dziurze, po to, zeby udowodnic swojej ukochanej, ze sie mylila, ze on wcale nie jest nicponiem ani lobuzem i ze jesli ona naprawde go kocha, nie bedzie dla niej mialo znaczenia, czy ludzie zwracaja sie do niej per pani Stanton czy lady Stillworth. Skoczyl do lodowatej wody, aby wyłowic tonacego przewoźnika i pomagal w odbieraniu porodu bekarta miejscowej dziewczuchy z gospody. Pozwolil nawet, by go w srodku nocy obudzil oglupialy z milosci hrabia.

Ale jednego nie potrafil zniesc. By mu grozono.

-Tylko sprobuj - warknal, zaciskajac piesci. - Tylko sprobuj, Glendenning.

Hrabia zupełnie stracil rezon. Spojrzal na zacisniete piesci Reilly'ego i powiedzial:

-Daj spokoj, Stanton. Po co to wszystko? Nie mialem nic zlego na mysli. Nie musisz sie tak stawiac...

Reilly zdal sobie sprawe, ze posunal sie za daleko, opuscil piesci. Lecz nie mogli nic poradzić na przyspieszone bicie serca ani na to, ze wlos zjezyl mu sie na karku.

-Przepraszam - wybakal.

-Nie. - Glendenning patrzyl na niego trwozliwie, jak na rozwscieczonego psa. - Nie, to ja przepraszam, w porzadku. - A potem, kiedy tak stali naprzeciw siebie, dyszac w obloczkach pary, dodal cicho: - Wiec powiedz mi. Zniosc prawde. Co to jest? Opetanie? Guslarstwo?

Dokladnie w chwili, gdy Glendenning wypowiedzial slowo "guslarstwo", nad ich glowami odezwała sie sowa. Reilly lekko sie wzdrygnal.

-Nic z tych rzeczy - odparl, ciasniej otulajac sie peleryna. Glendenning sie przygarbil.

-A wiec tak - powiedzial posepnie. - Coz, chyba zawsze to podejrzewalem. Nigdy nie moglem zrozumiec, dlaczego nie chce miec ze mna nic wspolnego. Wszystkie inne kobiety... coz, teraz przynajmniej rozumiem.

Reilly spojrzal na niego pytajacym wzrokiem i Glendenning dodal:

-Och, nie pogrywaj sobie ze mna. Jest zwariowana jak Szalony Kapelusznik i doskonale o

tym wiesz. Nie ma sensu bawic sie w delikatnosc.

Lecz Reilly wcale nie usilowal byc delikatny. Przynajmniej nie w sposob swiadomy. Myslal o Pearsonie i jego hrabinie oraz o tym, jak podniecajaco byloby miec swoja wlasna wariatke, o ktorej moglby mu napisac. Glupiec. Oto kim byl. Glupcem i niedojda. Coz on wiedzial na temat szalenstwa? Co w ogole wiedzial? Byl dokladnie taki sam jak mezczyzni, o ktorych Brenna wyrazala sie tak pogardliwie, owi parowie z Krolewskiej Akademii Medycznej. Utytulowani ignoranci, starajacy sie przydac sobie znaczenia...

Jego ponure rozmyslania przerwal gleboki glos Glendenninga.

-Co mamy robic w takim razie? Czy cos jej grozi?

-Nie powiedzialbym tego - westchnal Reilly. - Chyba ze... coz, przypuszczam, ze to zalezy od tego, co znajdziemy w tym pokoju.

-W jakim pokoju? - zdziwil sie hrabia.

-W tym z zamknietymi na klucz drzwiami. W jej domku.

-Nigdy sie tam nie dostaniesz - parsknal hrabia. - Pilnuje go, jakby przechowywala tam wysadzana drogimi kamieniami korone.

Reilly sie zastanowil.

-Co z jej krewnymi? Tymi, do ktorych wyslali ja rodzice?

-Aha - powiedzial Glendenning. - Stryj, ktory jest albo nie jest parem. Co ma z nim byc?

-Mysle - wymamrotal Reilly - ze lepiej bedzie, gdy do niego napisze...

-Co to da? Najwyzej zaciagnie ja z powrotem do Londynu.

-Bo tam jest jej miejsce - oswiadczył Reilly. - Ktos musi jej pilnowac. Najwyrazniej ona cos knuje. Cos, do czego nie chce nikomu sie przyznac, a wiec moze to byc dla niej niebezpieczne...

-Mowilem ci juz - zalosnie wyjeczal Glendenning. - Zaopiekuje sie nia. Nie ma potrzeby pisac do jej stryja. Po prostu ja przekonasz, ze wedlug twojej lekarskiej opinii nie powinna mieszkac sama, a ja dokonam reszty...

-Jesli ona rzeczywiscie jest oblakana - powiedzial Reilly z niesmakiem - nie mozesz jej poslubic, Glendenning.

-Dlaczego? Zabrania tego jakies prawo?

-Bardzo możliwe. Ale nawet jeśli tak nie jest, czy naprawdę pragniesz, by kobieta, która czai się noca wśród grobów, stała się matką twoich dzieci?

-Mój ojciec zawsze się upierał - odparł Glendenning, dumnie unosząc głowę - że moja matka jest niespełna rozumu, a że mna jest wszystko w porządku.

Co do tego, pomyślał Reilly, można by mieć pewne wątpliwości.

-Nie wątpie - powiedział. - Dzisiaj rano pójdę zobaczyć się z panną Donnagai i dowiem się, czy ma jakieś prawdopodobne wytłumaczenie dla swojej nocnej wyprawy.

Twarz hrabiego wyjaśniała.

-Świetnie - oświadczył, bardzo zadowolony.

A potem, widząc, że Reilly nie odnosi się z entuzjazmem do tego pomysłu, objął go ramieniem i powiedział zyczliwie:

-Nie chmurz się tak, Stanton. Wszystko obróci się na dobre. Ja zyskam żonę, której pragnę, a ty domek, który ci się należy, i wszyscy będziemy szczęśliwi.

Reilly bardzo w to wątpił.

10

Brenna Donnegal wygładziła spodnicę ze złocistego atlasu i spojrzała spod rzęs na stojącego przed nią młodego człowieka. - Sama nie wiem... - zaczęła, udając niezdecydowanie.

-Proszę, panno Donnegal. - Młodzieniec był całkiem przystojny w tym swoim aksamitnym surducie i bryczesach. - Obiecała mi pani ostatni taniec.

-Hmmm... - Brenna miała ochotę zatęczyć z młodym dżentelmenem, lecz wiedziała, że nie należy mu tego okazywać. Młodzi mężczyźni powinni trwać w niepewności co do prawdziwej natury uczuć, jakie dama żywi w stosunku do nich. Każdy to wiedział. Niepewność własnej sytuacji nie pozwalała im stracić zainteresowania.

-Coż - zaczęła Brenna zalotnym tonem - przypuszczam... Lecz przerwał jej inny młody dżentelmen, jeszcze przystojniejszy od poprzedniego, o szerokich w barach, rozesmianych oczach i miękkich brązowych włosach, które związał z tyłu rzemyczkiem.

-Powiedziała pani, że ten ostatni taniec będzie mój - odezwał się. I wyciągnął do niej rękę.

Brenna ujęła jego dłoń, wstała i pozwoliła, by doktor Stanton - ponieważ był to właśnie Reilly Stanton, a tylko on miał takie roziskrzone wesołością oczy, tak niedbale uczesane włosy, a jednak wyglądał tak nieprawdopodobnie przystojnie - poprowadził ją na parkiet.

Dopiero w chwili gdy znajdujaca sie w rogu sali balowej orkiestra zaczela grac walca, Brenna zdala sobie sprawe z tego, ze nie zawiruje w tancu. Wpadla w panike. Nie umiala tanczyc walca. Byla najwyzsza dziewczyna w klasie, wiec nauczyciel tanca zawsze ja zmuszal, by odgrywala role "dzentelmena", totez nie miala pojecia, jak ma dac sie prowadzic. Kilka prob odtanczenia walca z mezczyzna skonczylo sie katastrofa w rodzaju posiniaczonych kolan, podeptanych palcow lub gorzkich slow, a czasem tym wszystkim naraz.

Spojrzala w przyjazne brazowe oczy Reilly'ego Stanton'a i dostrzegla w nich poczucie humoru. Powiem mu, zadecydowala. Wyglada na takiego, ktory mnie zrozumie.

Ale jego ramie juz otoczylo jej kibic i Brenna poczula jego szczuple, silne cialo tuz przy swoim. Co tam, pomyslala, to nie takie zle.

I wtedy owiala ja won lawendowego mydla, zapach tak czysty i przyjemny, ze Brenna zamknela oczy, aby lepiej sie nim rozkoszowac. Och, myslala, nie spodziewalam sie, ze mezczyzna moze tak ladnie pachniec.

Muzyka zabrzmiala glosniej i Reilly Stanton zrobil krok do przodu, a Brenna, niewiele myslac, uczynila to samo.

Bang! Ich kolana zderzyly sie bolesnie pomimo dzielacej je grubej warstwy, na ktora skladaly sie jej spodnica i halki...

Brenna otworzyla oczy i przez chwile lezala nieruchomo, wpatrujac sie w dobrze znane belki sufitu jej sypialni.

Dobry Boze, pomyslala. To tylko sen. Nic wiecej.

A raczej koszmar. Od czasu gdy poprzednim razem znalazla sie na sali balowej, minely dwa miesiace. Bylo to owego wieczoru, kiedy sklamala, ze przyszedl do niej list od ciotki, informujacy ja o chorobie wuja.

-Musze - powiedziala ze smutkiem swojej gospodyni, pani Bartlett - natychmiast wracac do Londynu...

I, zlapawszy najblizszy dylizans, pojechala do Edynburga, a stamtad z powrotem na wyspe Skye.

Tylko Mary znala prawde. A ona, ktora uwazala to wszystko za zapierajaca dech w piersiach przygode, nigdy by Brenny nie zdradzila. Pracowicie preadresowywala wszystkie listy, nadchodzace dla Brenny do domu pani Bartlett w Bath, ukrywajac w ten sposob prawde przed jej rodzicami. Lepszej przyjaciolki Brenna nie moglaby sobie wymarzyc, co bylo dziwne, zwazywszy na to, ze poznala ja w najbardziej nienawistnym z wszystkich mozliwych miejsc na ziemi, to jest w Londynskiej Pensji dla Panien, prowadzonej przez

panne Laver. Brenna nie dbała o naukę przedmiotów, które panna Laver uważała za niezbędne w edukacji nowoczesnej młodej damy, to jest tanca i malarstwa, choć pozostawała w niezłych stosunkach z dziewczętami. Dziewczętami doprawdy słodkimi, dla których jedynym celem było złapanie bogatego oraz, co mniej ważne, przystojnego meza. Mary, jako jedyna spośród nich, wykazywała oryginalność oraz zamiłowanie do psikusów, co sprawiło, że tak dobrze się z sobą zgadzały. Brenna nie pasowała ani do tej szkoły, ani do sal balowych w Londynie, dokąd, po ukończeniu edukacji, siła ciągnęła ją pełni dobrych chęci stryjostwo.

Toteż obecnie sala balowa była ostatnim miejscem, w którym można było spotkać Brenne Donnegal. I bardzo jej to odpowiadało.

Więc dlaczego, na Boga, śni jej się sala balowa? Dlaczego perspektywa odtancerstwa walca - walca z Reillym Stantonem - spędza jej sen z oczu, kiedy na jawie dzieje się tyle ważnych, bardziej niepokojących rzeczy?

Wtedy dotarł do niej dźwięk, który we śnie uznała za spowodowany zderzeniem jej kolana z kolanem tutejszego nowego lekarza, i Brenna zdała sobie sprawę, że ktoś dobija się do drzwi jej domku.

Przeturlała się na bok i spojrzała na zegarek, stojący na nocnym stoliku. Ośma rano. Ośma rano, a ktoś wali do jej drzwi. Opadła na poduszki. Co jest z tymi ludźmi? Czyżby nie słyszeli? Przecież mają teraz nowego lekarza. Po co, na Boga, stukają do jej drzwi? Myśląc z niechęcią o opuszczeniu ciepłego łóżka, zawołała zachrypłym od snu głosem:

-Chwileczkę!

Osoba za drzwiami najwyraźniej jej nie usłyszała, ponieważ dobijała się do drzwi jeszcze głośniej, na skutek czego Sorcha, która leżała pomiędzy Brenną a zaspanym Erikiem, poderwała się i zaczęła ujadac.

Brenna jęknęła i sięgnęła po szal. Dlaczego? - myślała. Dlaczego ja, a nie ów młody, zdolny doktor Stanton? Przecież wszyscy na pewno usłyszeli już o jego przybyciu. Lyming było mała wioska. To niesprawiedliwe. On, w przeciwieństwie do niej, nie był całą noc na nogach. On, z całą pewnością, spędził noc w ciepłym i wygodnym łóżku w którymś z gościnnych pokoi na zamku Glendenning. A potem, wspomniawszy swój ostatni pobyt w zaniku, poprawiła się w myśli: może i wygodnym, ale na pewno nie ciepłym. Ciepło było ostatnią rzeczą, jakiej można się było spodziewać w zamku Glendenning...

Ow ktoś stukal coraz głośniej.

-Idę - powiedziała Brenna, owijając się szalem. Wstała i dygocąc z zimna, wsunęła stopy do wytartych kapci, które trzymała pod łóżkiem. Przez cały ten czas walenie do drzwi przybierało na sile.

-Moj Boze - wymamrotala. - Pewnie cos bardzo pilnego. Zataczajac sie, ruszyła do drzwi, a podniecona Sorcha krecila jej sie pod nogami, jeszcze bardziej utrudniajac droge. Stukanie nie ustawalo.

-Prosze przestac... - zaczela sie zmagac z drewniana zasuwą, na która co noc zamykala drzwi. - Dosyc... - udalo jej sie uniesc ciezka zapadke - ...juz tego.

Otworzyła drzwi. Ku wielkiemu zdziwieniu ujrzala nie ktoregos z wiesniakow, lecz stojacego na sniegu Reilly'ego Stantona, który sprawial wrazenie rownie niewyspanego jak ona.

-To pan! - wykrzyknela, rumieniac sie na wspomnienie swego idiotycznego snu. - Co pan tu...

Lecz zanim skonczyła, wyminal ja bez pardonu i wszedl do domu.

-Dosc tych gier. - Reilly Stanton okrecil sie wkoło i ruszył ku drzwiom pokoju, który ojciec Brenny nazywal swoim gabinetem. - Nie spalem calutka noc, zastanawiajac sie nad tym. Ale wciaz nie widze zadnego sensownego powodu, dla ktorego wloczy sie pani po nocy, spisujac nazwiska z nagrobkow, a potem zbiera probki ziemi sprzed domow wiesniakow. Glendenning sadzi, ze jest pani oblakana, a ja jestem sklonny mu uwierzyc. Tylko... tylko ze, do diabla, nie moge.

Brenna zamknela drzwi i spogladala na niego z wysoko uniesionymi brwiami.

-Dzien dobry panu, panie Stanton - powiedziala.

-Mowilem, zeby pani sobie ze mnie nie kpila, panno Donnegal - warknal Reilly. - Moze to dla pani zabawne, lecz zapewniam pania, ze mnie nie bawi przesiadywanie noca na cmentarzu i odmrazanie sobie... - Spojrzal na nia z niechecia. - Odmrazanie sobie stop.

-Ja pana nie zmuszam do przesiadywania na cmentarzu - odparla Brenna. - Dlaczego pan na mnie wrzeszczy?

-Wrzeszcze, bo jak pani doskonale wie, Glendenning stracil glowe do tego stopnia, ze myslil wylacznie o pani. Zaciagnal mnie na cmentarz i kazal patrzec na to pani przedstawienie. - Reilly przemierzal pomieszczenie w te i z powrotem, nie zdajac sobie sprawy z tego, ze nad jego glowa, z belki na belke, przeskakuje wrona Brenny.

-Przesiedzialem cala noc, usilujac przekonac samego siebie, ze on ma racje, uwazajac pania za oblakana, poniewaz to jedyne sensowne wytлумaczenie. Tylko ze... - zamilkl nagle i odwrocil sie twarza ku niej. - Tylko ze pani nie jest oblakana. Wariatka nie odebralaby wczoraj porodu. Nie dbam o to, co mowia inni. Wiec skoro nie jest pani szalona, panno Donnegal, to co, do diabla, robila pani wczoraj w nocy?

Brenna przechylila glowe, tak ze jej czerwonozlote wlosy, ktorých nie miala jeszcze okazji

wyszczotkowac, splynely na jedna strone.

-Zechce sie pan napic herbaty, panie Stanton?

-Herbaty?! - wykrztusil. - Powiedziala pani, herbaty? Czy napije sie herbaty? Czy na pewno dobrze pania uslyszalem?

Reilly Stanton, ktorego Brenna uznala za mezczyzne niezwykle opanowanego, byl bliski wybuchu. Na srodku jego czola pulsowala zyła, ktorej nigdy dotychczas nie spostrzegla, a zazwyczaj lagodne brazowe oczy ciskaly blyskawice.

-Czy sie nie myle, panno Donnegal? Herbaty? Zadalem pani w pelni uzasadnione pytanie, a pani mnie zbywa, pytajac, czy napilbym sie herbaty?

Brenna odeszla od drzwi. Ciagnelo od nich lodowate powietrze. Zblizyla sie do paleniska, ktore przez noc niemal calkowicie wygaslo.

-Z pewnoscia pan przemarzl - powiedziala, siegajac po zelazny pogrzebacz i rozgarniajac nim zar. - Mysle, ze herbata bedzie bardzo na miejscu.

-Czekam na wyjasnienie - powiedzial Reilly zniecierpliwionym tonem.

-Wziawszy pod uwage fakt, ze nie mam pojecia, o co panu chodzi, nie powinien pan oczekiwac wyjasnienia. Wiec moze sie pan napic herbaty.

Reilly Stanton wysunal spod stolu krzeslo i usiadl na nim z niezadowolona mina.

-Po co ja tu w ogole przyjechalem? - myslal na glos. Brenna nie byla pewna, czy chodzi mu o jej domek, czy o Lyming.

-Jadl pan sniadanie? - spytala ze wspolczuciem. - Jestem pewna, ze znajde jajko lub dwa...

-Nie chce jajek. - Reilly walnal piescia w stol. - Chce sie dowiedziec, co pani wyczynia. Usiluje pani przekonac hrabiego, ze brak pani piatej klepki? Jesli tak, na nic sie to nie zda. I tak jest gotow ozenic sie z pania.

Brenna rozpalila ogien i postawila czajnik na plycie.

-Tylko dlatego - rzucila przez ramie, podchodzac do drzwi spizarni - ze jestem jedyna kobieta...

-...na wyspie, ktorej nie mial - skonczyl za nia Reilly. - Tak, tak, poznalem juz pani zdanie na ten temat. Ale czy pani naprawde sadzi, ze postepuje rozsadnie? Nie chce pani straszyc, ale wloczenie sie wsrod grobow osob zmarlych na cholere jest niebezpieczne. Sama pani wie, ze powietrze wokol nich moze byc zarazliwe.

-Niech pan nie bedzie smieszny - powiedziala, zamykajac stopa drzwi od spizarni, z ktorej wyniosla bochenek chleba, garnuszek z maslem i sloik dzemu.

-Nie jestem. Nie chce pani obrazic, panno Donnegal, ale bez wzgledu na to, co sobie pani mysli, otrzymalem lepsza edukacje medyczna od pani i zapewniam, ze pani postepowanie jest niebezpieczne nie tylko dla niej samej, ale i dla wszystkich mieszkancow tej wioski.

Brenna poczula, ze sie rumieni. Dlaczego ten czlowiek tak bardzo ja denerwowal? Do dzis czula sie zawstydzona na mysl o tym, jak wykrecila mu palec, ktory przytknal do jej warg. Ale nie mogla sie opanowac. To dziwne, ze zwykly dotyk tak bardzo ja rozwscieczyl.

Ale tak wlasnie bylo. Tym razem postanowila, ze nie da sie poniesc furii.

-Wiem, ze uwaza sie pan za wielkiego znawce w dziedzinie medycyny - powiedziala, stawiajac produkty na stole. - Zdaje sobie sprawe, ze przybyl tu pan az z Londynu, aby zadziwic nas swoja wiedza i, jak przystalo prostej wiesniaczce, powinnam byc panu wdzieczna za te swiatle pouczenia. Lecz nie zgadzam sie z panska teoria, jakoby moja bytnosc na cmentarzu mogla sie przyczynic do powrotu zarazy. Nie podzielam bowiem opinii panskich kolegow, ze cholere powoduja miazmaty, jak to jest w przypadku tyfusu czy szkarlatyny.

Reilly zdawal sie jej nie sluchac. W irytujacy sposob rozgladal sie po pomieszczeniu.

-To nie w porzadku - przemowil w koncu.

-Wiem, ze nie powinnam podwazac opinii srodowiska medycznego - powiedziala, krojac chleb. - Ale uwazam...

-Nie o to mi chodzi - przerwal jej, zniecierpliwiony, ze nie nadaza za tokiem jego mysli. - Nie powinna tu pani mieszkac sama. To nie w porzadku.

Brenna rozejrzala sie wokol siebie.

-To prawda, ze nie korzystam z pokoju rodzicow ani z pokoju, w ktorym mieszkali moi bracia, ale nie ma pan prawa oskarzac mnie o zagarniecie zbyt duzo miejsca...

-Dobrze pani wie, o co mi chodzi, panno Donnegal - powiedzial, spogladajac na nia gniewnym wzrokiem. - Mlada kobieta, taka jak pani, nie powinna mieszkac sama. Ani bez przyzwoitki widywac sie z mezczyznami. Nie sadze, by rodzice pani pochwalali jej zachowanie, gdyby o nim wiedzieli.

Brenna takze nie sadzila, by je pochwalali. Ale z drugiej strony, zawsze najwazniejsza dla nich byla praca, wiec lubila sobie wyobrazac, ze gdy sie dowiedza, czym sie zajmowala, zrozumieja, ze robila to, aby potwierdzic swoja teorie...

-Hrabia wspominał, że ma pani stryja - ciagnał Reilly Stanton. - I że rodzice, wyjeżdżając do Indii, powierzyli pania jego opiece...

Brenna zaczęła podejrzewać, że nowy lekarz ma zamiar wtrącać się do jej pracy na rozmaite sposoby. Uznała, że drobny wykret będzie nie od rzeczy.

-Tak - oparła, smarując chleb masłem. - W istocie.

-I jak stryj zareagował na to, że wróciła pani na wyspę?

-Nie był zadowolony. Ale nie mogę do niego wrócić.

-Niby dlaczego? - spytał Reilly. Wziął kromkę chleba, która mu podał, i sięgnął po dżem.

-Nie rozumie pan. Naprawdę nie mogę.

-Dlaczego? - powtórzył i oddał jej posmarowaną dżemem kromkę. - Proszę. I niech mi pani nie próbuje wmówić, że uciekła pani, bo pania bil. Nie jestem aż tak łatwowierny, na jakiego wyglądam. Dobrze wiem, że każdy mężczyzna, który podniosłby na pania rękę, gorzko by tego pożałował.

Brenna wpatrywała się w kromkę chleba. Było jej głupio, bo miała zamiar skłamać dobre imię stryja, opowiadając doktorowi właśnie takie kłamstwa.

-Dlaczego mi pani po prostu nie powie, co sprowadziło ją z powrotem na wyspę? - ciagnał doktor Stanton. - Nie sądzi pani, że to poprawiłoby sytuację?

-Po co? - zachnęła się. - Żeby stał się pan jeszcze bardziej protekcyjny?

-Protekcjonalny? No, no. Przemawiam do pani jak człowiek rozsądnie myślący. Uważa pani, że traktuje ją protekcyjnie?

-Nie ma pan żadnego prawa - odparła, mierzac go gniewnym wzrokiem - by wtykać nos w moje sprawy.

-I tu się pani myli. Kiedy pani sprawy zachodzą na moje, mam do tego wszelkie prawo. Woda się gotuje.

Woda w czajniku bulgotała.

Brenna, nie przestając marszczyć czoła, wstała i sięgnęła po czajnik. Doprawdy, doktor jest najbardziej irytującym człowiekiem z wszystkich, jakich dotychczas spotkała, myślała. Zjawia się tu po bezsennej nocy, nieogolony, z zaczerwienionymi powiekami i osmiela się krytykować jej postępowanie. Tylko dlatego, że się o nią niepokoi. Była jednak pewna, że nie wynikało to z zawisci na tle zawodowym. Nie miał jej za złe, że cieszy się poważaniem wśród miejscowych ludzi ani tego, że zajmuje jego domek. On najwyraźniej chciał jej pomóc.

I, z tego co wiedziała o londyńskich lekarzach, było to doprawdy niezwykle.

-Chce pan cukru? - spytała nie bardzo uprzejmie, nalawszy mu filiżankę herbaty.

-Tylko mleko, jeśli je pani ma.

-Pewnie. - Nalala mu trochę i podała filiżankę. - To dla pana.

-Dziękuję. - Upił trochę, nie zastanawiając się nad smakiem naparu. - Wobec tego, że nie chce pani postąpić rozsądnie i wrócić do swoich krewnych, będziemy musieli skoncentrować nasze wysiłki na wyszukaniu jakiejś milej wdowy, która zamieszkałaby tu z pania.

Na te słowa Brenna ze zdumienia rozlała mleko, które miała zamiar dodać do swojej herbaty.

-Słucham?

-Sądzę, że wdowa byłaby odpowiednią przyzwoitką - powiedział doktor Stanton. - Początkowo brałem pod uwagę którąś z dziewcząt z gospody pani Murphy, ale jak pani wie, nie są one... coż, nie cieszą się zbyt dobrą reputacją. Więc pomyślałem sobie, że odpowiednią byłaby wdowa, albo i dwie wdowy, które zamieszkałyby z pania, aby nie była tu pani całkiem sama.

Brenna uznała, że doktor posunął się za daleko.

-Wdowa?! - zawołała. - Na przyzwoitkę? Doktorze Stanton, to bez... to znaczy, ja nie potrzebuję przyzwoitki. Doskonale radzę sobie sama...

-Właśnie to pani udowodniła. A poza tym nie mogę się oprzeć wrażeniu, że hrabia Glendenning żywi do pani nie bardzo szlachetne uczucia. Już raz miała pani okazję podbić mu oko. Nie chciałbym, by się to powtórzyło...

-To prawda - powiedziała Brenna, czując się tak, jakby stała na skarpie, która powoli osuwa się spod jej stop - lecz obecność przyzwoitki na nic tu się nie zda...

-Uważam, że się przyda. - spojrzał na nią kpiącym wzrokiem. - Niech się pani nie dąsa, panno Donnegal. Należy postąpić tak, jak pani radzę.

-Nie ma mowy - odparła. - Nie zgadzam się.

-To dla pani dobra, panno Donnegal. Skoro tutejsi mieszkańcy nie potrafią zadbać o dobro jednego z nich, muszę to uczynić ja...

Brenna wybuchnęła śmiechem, choć, prawdę powiedziawszy, wcale nie uważała sytuacji za zabawna.

-Pan? - Pokrecila glowa. - Przeciez przyjechal tu pan zaledwie przedwczoraj. Nie ma pan zielonego pojecia o tym, co jest dla mnie najlepsze.

Reilly Stanton zlekcewazyl jej slowa.

-Nie moze pani postepowac tak jak dotychczas - mowil spokojnie. - To niewlasciwe. I niebezpieczne. Domek jest odciety od wsi przez potok. Moze sie pani stac cos zlego. Ma pani przynajmniej jakas poslugaczke? Kogos, kto robi pranie?

-Owszem, tak - wyjakala Brenna. - Mam... ale to nie panski interes.

-Kto przynosi wode?

-Sama sobie nosze - najezyla sie Brenna. - Z...

-Z potoku, oczywiscie. A drewno na opal?

-Zbieram w...

-Zbiera pani. Coz, moze wiesniacy z Lyming to akceptuja. Ale ja - nie.

Jego ciemne oczy zalsnily gniewem. Reilly Stanton mial bardzo stanowcza mine. Brenna zastanawiala sie, co ja w tym mezczyznie tak pociagalo, ze az pojawil sie w jej snach. Byl przystojny, mial poczucie humoru i dbal o higienie osobista, ale poza tym niczym sie nie roznil od znanych jej mezczyzn.

No, moze ta swoja bezsensowna rycerskoscia...

-Bedzie tak, jak powiedzialam - oswiadczyla Brenna. - Niech pan sobie nie wyobraza, doktorze Stanton, ze otrzymawszy stanowisko mego ojca, moze mi pan ojcowac. Nie jest pan moim ojcem, wiec nie bedzie mi pan dyktowal, jak mam zyc, ani pouczal mnie, jak mam prowadzic moje badania...

-Wiedzialem - powiedzial, zrywajac sie z krzesla i wymierzajac w nia palec. - Wiedzialem, po co wloczy sie pani noca po cmentarzu. Prowadzi pani badania.

Brenna poczula, ze jej policzki staja sie jeszcze czerwienwsze.

-Wcale nie - odparla wyniosle. - Nie to chcialam powiedziec. Mialam na mysli, ze...

-I gleba. - Byl tak uszczesliwiony, jakby znalazl kure, niosaca zlote jaja. - Probki gruntu. Jasne. Powinienem byl sie wczesniej domyslic. - Reilly Stanton znow sie zaczal przechadzac, a nad jego glowa Jo przeskakiwala z belki na belke. - Kiedy Glendenning zaprowadzil mnie do szpitalika, zauwazylem, ze brakuje mikroskopu. Hrabia sadzi, ze zabral go ktorys z wiesniakow. Ciezkie czasy, i takie tam. Ale to nie wiesniacy. To pani. Pani go zabrala. I zamknela w tamtym pokoju. Glendenning jest przekonany, ze odprawia tam pani

jakies satanistyczne rytualy. Pytanie, po co pani to zrobila. Po co te probki? Nie rozumiem.

Przestal sie przechadzac i przystanal, spogladajac na Brenne. Byl tak wysoki i tak szeroki w barach, ze sprawial wrazenie groznego. Wyobrazal sobie, ze Brenna potrzebuje przyzwoitki, ktora bronilaby jej przed lordem Glendenningiem. Tymczasem nalezalo jej broniec wlasnie przed doktorem Stantonem. To z nim, a nie z lordem Glendenningiem, tanczyla we snie walca.

-Probki gruntu - wymamrotal, spogladajac na nia zaintrygowany. - Gleba. Odpadki. - Pstryknal palcami. - Miazmaty. Wyziewy z gnijacych odpadkow. O to chodzi. Usiluje pani znalezc zrodlo zeszlorocznej zarazy, tak?

Patrzyla na niego zdumiona. Skad on to wie? Jak na to wpadl i powiazal fakty w calosc, znajac ja zaledwie czterdziestu osiem godzin, podczas gdy miejscowi ludzie nie mieli o niczym pojecia?

Coz, w koncu byl licencjonowanym czlonkiem Krolewskiej Akademii Medycznej.

Jednakze nie chciala przyjac do wiadomosci, ze sie domyslil prawdy. Pozbierala sie szybko i powiedziala:

-Nich pan nie bedzie glupi.

-Na Boga! - Reilly opuscil reke. - Niech mnie pani nie zwodzi.

-Nie wiem, o czym pan mowi. - Odwrocila sie plecami do niego. - Nie prowadze zadnych badan.

-Lekarstwo. Albo szczepionka. Jak przeciwko ospie... Brenna tylko parsknela.

-Nie zdaje sobie pani sprawy, jak bardzo ryzykuje? - W tonie Reilly'ego nie bylo teraz cienia wesolosci. A jego ciemne oczy nie migotaly. Spogladal na nia z troska. - Z cholera nie ma zartow, panno Donnegal. Nie powinna sie pani w tym babrac.

-Ma pan ochote na jajko?

-Nie, dziekuje. I niech pani nie zmienia tematu. Nie ma pani pojecia, w co sie pakuje.

Brenna zwrocila sie twarza ku niemu.

-Niby jak? - zapytala. - Skoro sie tym zajmuje, ale nie powiedzialam wcale, ze tak jest, jakze moglabym nie wiedziec, w co sie pakuje? Uwazam, ze przezywszy epidemie, nadaje sie do tego o wiele lepiej niz na przyklad pan.

-Nie o to mi cho...

-Nie? Wiecej o co? O to, ze jestem kobieta? Reilly przestal przemierzac kuchnie.

-Tego nie powiedzialem.

-Ale to mial pan na mysli.

-Coz, sama pani przyzna, ze to troche...

-Troche co?

-Nnno... Troche dziwne.

Rozesmiala sie. Nie mogla sie powstrzymac.

-Och! Cos pania rozbawilo?

-Owszem - odparla. - Pan.

-Ja? - zdumial sie. - Niby dlaczego?

-Porzucil pan lukratywna praktyke w Londynie i przybyl do Lyming. I to ma nie byc dziwne?

-Juz pani wyjasnilem - powiedzial sztywno - sprawily to szczegolne okolicznosci...

-Przykro mi to mowic, ale jesli ma pan na mysli swoja narzeczona, to uwazam, ze sprawa jest jeszcze dziwniejsza. Rzucila pana, prawda? Wiecej po co, na Boga, chce pan ja odzyskac?

-Odzyskac ja... - Reilly pokrecil glowa. - O czym pani mowi?

-Sam pan powiedzial wczoraj na zamku. Przybyl pan do Lyming, zeby jej udowodnic, ze nie jest nicponiem, za ktorego pana uwaza. Wedlug mnie jest to dziwniejsze, niz postepowanie corki, ktora chce udowodnic srodowisku lekarskiemu, ze teoria jej ojca, dotyczaca tej konkretnej choroby, jest slusna.

Reilly wpatrywal sie w nia. Nie mogl od niej oderwac wzroku. Troche ja to rozpraszalo, zwazywszy na to, ze zdala sobie sprawe ze swego stroju. A przyodziana byla jedynie w nocna koszule, pare znoszonych kapci oraz nadgryziony przez mole szal. Lecz mlody doktor zdawal sie tego nie zauwazac. Nie spuszczal oczu z jej twarzy.

-Jaka teoria? - zapytal. - O czym pani mowi? Dlaczego, dlaczego sie wygadalam? - lajala w myslach sama siebie.

-Niby czemu mialabym panu powiedziec? - spytala na glos. - Aby mogl pan opublikowac prace pod swoim nazwiskiem i zgarnac caly splendor? Nie mam zamiaru. A teraz, panie Stanton, najlepiej bedzie, jak pan stad wyjdzie. - Podeszla do drzwi, otworzyla je na osciez,

wpuszczając do domu mroźne powietrze. - Przyjemnego poranka.

Reilly Stanton zmierzył ją gniewnym spojrzeniem. Zyla na jego czole znowu zaczęła pulsować. Brenna zdawała sobie sprawę, że jest na nią wściekły, lecz nie miała pojęcia dlaczego. Nic mu do tego, jak ona załatwia swoje sprawy, ani do tego, czego te sprawy dotyczą.

-Poje już - powiedział w końcu. Brenna spostrzegła, że doktor zaciska szczęki. - Ale to nie koniec. Jeszcze porozmawiamy na ten temat, panno Donnegal. Nie będę stał bezczynnie, przyglądając się, jak pani narazą swoje życie - oraz życie mieszkańców wyspy - aby udowodnić jakąś idiotyczną teorię pani ojca...

-Precz! - krzyknęła Brenna, rozsierdzona jak nigdy dotychczas. - Niech się pan natychmiast wynosi!

-Z przyjemnością - odparł Reilly Stanton. Po czym nasadził kapelusz na głowę i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Lecz Brenna nie mogła pozwolić, aby miał ostatnie słowo.

-Teoria mojego ojca - wrzasnęła za nim - nie jest idiotyczna! I ja to udowodnię. Jeszcze się pan przekonaj!

Lecz doktor Stanton niczym nie okazał, że usłyszał jej głos. Co według Brenny i tak nie miało znaczenia. Lekcewazyła nowego lekarza i odpowiadała jej to, że on także ją lekcewazy.

Zatrząskując za nim drzwi, miała nadzieję, że w przyszłości będzie się trzymał z dala od niej i nie pojawi się więcej także w jej snach.

11

Przykro mi, madame - powiedział Reilly już po raz dziesiąty owego dnia - lecz nie lecze zwierząt. Kobieta, żona Adama MacAdamsa, której powierzchowność rzeczywiście zgadzała się z tym, jak opisał ją hrabia, przygryzła wydatną dolną wargę i rzekła:

-Ale ona nie niesie się już od dawna, a zawsze była najlepsza. Regularna jak w zegarku. Jedno jajko na dzień, albo i więcej.

Reilly spojrzał na tłustego brązowego ptaka na stole do badań.

-Jestem pewien, że jeśli ma apetyt, wkrótce wyzdrowieje.

-Ale właśnie o to chodzi - powiedziała pani Mac Adams, a jej obfita piers zafalowała. - W tym rzecz, proszę pana! Ona nie ma apetytu. Och, panie doktorze, niech pan ją zbada,

dobrze?

Reilly spojrzal ze smutkiem na swoja pacjentke. Nie mial pojecia o sprawach agrarnych. To chyba kura, pomyslal. Kura jest samica drobiu, kogut samcem. A moze to kurczak? Nie byl pewien.

W ciagu minionych kilku tygodni wzywano go do licznych zwierzat, jak: owce, konie, krowy, a pewnego pamietnego popoludnia nawet do jeza. Na razie mial tylko jednego dwunoznego pacjenta, a i ten prawie sie nie liczył, poniewaz byl nim lord Glendenning, cierpiacy na wrastanie paznokci u stop. Reilly, pomimo ze przeniosl sie do szpitalika, specjalnie aby uniknac towarzystwa hrabiego, stal sie dokladnie tym, czym, jak mu Iain MacLeod solennie obiecywal, mial sie nie stac: jego osobistym lekarzem.

Co wcale nie oznaczalo, ze mieszkancy wioski Lyming byli nadzwyczajnie zdrowi. Wprost przeciwnie. Byli bardzo chorowici. Zaden z nich jednak nie chcial powierzyc swych przypadlosci nowemu lekarzowi. A tylko nieliczni zaufali mu na tyle, by leczyc u niego swoj zywy inwentarz. Zwracano sie do niego tylko wtedy, gdy...

-Panna Brenna powiedziala, ze mam ja karmic ciepla mieszanka - poinformowala go pani MacAdams. - Ale mieszanka jest taka droga. Czy moze mi pan doradzić cos innego?

...potrzebna byla druga opinia, a raczej inna opinia.

-Jesli panna Donnegal uwaza, ze ciepla mieszanka jest odpowiednia - powiedzial Reilly, oddajac kure kobiecie - to znaczy, ze ciepla mieszanka jest w porzadku. Panna Donnegal zna sie na drobiu znacznie lepiej niz ja.

Pani MacAdams pokrecila glowa, wkkladajac do kosza swoja kiedys najlepsza nioske.

-No dobrze - powiedziala. - Skoro pan tak mowi, doktorze. Tylko ze miarkuje sobie, to wielkie marnotrawstwo. Mieszanka dla kur.

-Trudna sprawa - zgodzil sie z nia, wyprowadzajac ja z pokoju badan do poczekalni, gdzie - jak stwierdzil niepoczieszony - nie czekal zaden pacjent. - Doprawdy trudna sprawa.

Otworzył drzwi przed swoja pacjentka i jej wlascicielka i poczul na twarzy powiew cieplego wiatru. Nadeszla wiosna i na drzewach pojawily sie mlodziutkie listeczki, a na zboczach wzgorz pasly sie barany, to znaczy Reilly, obeznany z owcami nie lepiej niz z drobiem, sadzil, ze to wlasnie barany. Tak czy siak, nadeszla pora, kiedy na swiat przychodzily mlode, co oznaczalo, ze wszyscy mezczyzni, poza tymi, ktorzy wyplyneli z sieciami na zatoke, sa na wzgorzach, wypatrujajac jagniat, ktore, jak to sie tutaj mowilo, "uwiezly w matce". Odkad zaczela sie wiosna, Reilly ani razu nie widzial Brenny Donnegal, ktorej drobne dlonie, tak zreczne w zapuszczaniu sie w drogi rodne, byly teraz na wage zlota.

Podczas gdy mezczyzni zajmowali sie dogladaniem stad, kobiety, korzystajac z cieplej pory

roku, trudniły się sprzedażą domowych wyrobów na targu, tuż obok szpitalika Reilly'ego. Wioska Lyming była tak mała, że niemal nigdy nie pojawiali się tutaj ludzie spoza niej, a wszyscy tutejsi mieszkańcy mieli na targu swoje własne stragany. Reilly'emu bardzo podobały się produkty oferowane przez tutejsze kobiety. Były tam przepyszne paszteciki z mięsem, które sprzedawała pani MacGregor, pory i rzodkiewki od pani Murdoch, bochenki słodkiego chleba pani Conall oraz niebiesko pachnące mydła, wyrabiane przez szacowną panią Murphy.

Nawet nieszczęsna Flora prowadziła stoisko, choć miała do zaoferowania jedynie kufle piwa po pensji za jeden. Jednakże Reilly odwiedzał jej stolik kilka razy dziennie. Mając zajęcie przy klientach, mówił sobie, nie będzie miała czasu rozmyślać o hrabim, co stało się jej zwyczajem po tym, jak ostatnio odmówił uczynienia z niej kobiety godnej szacunku.

Reilly umieścił na drzwiach kartkę z napisem "Wracam za pięć minut", co było zresztą zupełnie zbędne wobec faktu, że tylko niewielu mieszkańców Lyming umiało czytać, i podszedłszy do stoiska Flory, zauważył, że znów ją wzięło. Dziewczyna spoglądała rozmarzonym wzrokiem na zamek, który trwał w niepewnej równowadze na stromej skale, wysoko ponad głowami mieszkańców wioski. Flora oprzytomniała, dopiero gdy Reilly odchrząknął.

-Och, doktor Stanton - powiedziała ponuro. - To pan. Witam pana.

-Miłe powitanie dla najlepszego klienta - odparł Reilly z wymuszoną serdecznością. - Pięć piwa, Floro. I proszę, by tym razem było bez piany.

Flora westchnęła i wzięła się do pracy, obsługując szpunt na swojej beczce, a raczej na beczce pani Murphy, ponieważ stragan z piwem zawdzięczano uprzejmości właścicielki gospody Pod Udreczonym Zajacem.

-Przepraszam - powiedziała Flora tym samym, pełnym przygnębienia, tonem. - Ale nie mogę przestać o nim myśleć. To chyba musi być miłość.

-No, panno Floro - odrzekł Reilly, starając się, by jego głos zabrzmiał radośnie - przecież pani wie, że on ani w polowie nie jest pani godny.

-Wiem - westchnęła Flora i jej chude ramiona przygarbiły się pod znoszonym szalem. - W zeszłym tygodniu Tom Feeney prosił, żebym za niego wyszła.

-To doskonale, Floro - powiedział Reilly szczerze zachwycony. - Tom jest miłym chłopcem. Czemu go odrzuciłaś?

Flora pokręciła głową, potrząsając jasnymi lokami.

-Nie byłoby w porządku względem Toma, gdybym go poszubiła, kochając innego. A poza tym jego matka mnie nie cierpi.

Reilly, który znalazł panią Feeney, dobrze rozumiał obiekcje dziewczyny. Położył monetę na jej otwartej dłoni, wziął kufel i powiedział:

-Niech się pani nie martwi, panno Floro, nadarzy się jeszcze nie jeden starający się. Do takiej ładnej dziewczyny będzie się zlatywać jak muchy do miodu.

Flora spojrzała na niego z zawieszonymi oczyma.

-Tak - odparła - ale nie ten, którego chce ja. Zabrzmiało to tak pośpiesznie, że Reilly zupełnie nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Więc zamiast cokolwiek mówić, cmoknął ją w policzek, wsunął w dłoń jeszcze jedną monetę i odszedł, rzekomo, by sprawdzić, jak idzie sprzedaż pasztecików z mięsem, a w istocie po to, by uciec od zatroskanego dziewczęcia.

Pomimo kiepskiego nastroju Flory Reilly uznał, wdychając przepojone solą powietrze i słuchając trajkotania kobiet oraz krzyków mew, krzacych nad ich głowami, że, przybywając na wyspę Skye, powziął słuszną decyzję. Choć, nie licząc kury pani MacAdams, miał tylko jednego pacjenta.

W Londynie nigdy nie czuł się tak lekko jak w Lyming. Może było to zasługą tutejszego ostrego morskiego powietrza, nie zanieczyszczonego duszącym dymem z kominów. A może zawdzięczał to pożywnym daniom z kuchni pani Murphy i jej przepysznyemu piwu. Może wreszcie, i to było najbardziej prawdopodobne, sprawiali to dobrzy, uczciwi ludzie, zamieszkujący tę małą rybacką osadę. Skromni i nie roszczeni sobie najmniejszych intelektualnych pretensji. W Lyming rybak był rybakiem, ryba była rybą, każdy znalazł swoje miejsce i, z wyjątkiem Flory, nie aspirował do czegoś lepszego.

Reilly zaczął czuć, że tutaj, nareszcie, może być doktorem Stantonem, a nie "lekarzem markizem". Gdyby tylko miał jeszcze jednego czy dwóch pacjentów!

Jednakże, pomimo rozczarowania, Reilly nie był znudzony, spędzając bezczynne godziny; przeciwnie: czuł przyływ animuszu.

Oczywiście, mogło to być wynikiem wiosennego ocieplania się klimatu, a nie tego, że znalazł się w miejscu, gdzie nie tylko zupełnie nie pasował, ale gdzie nikomu nie był potrzebny. Barany nie były jedynymi stworzeniami, których oczy iskrzyły się w wiosennym słońcu. Reilly dostrzegał podobne migotanie w oczach wielu mieszkańców wioski, nie wylaczając samego lorda.

Ow zacy par właśnie wjechał do wsi, przybierając teatralne pozy i, rozganiając na prawo i lewo kury, psy oraz dzieci, szarżował przez plac targowy na swoim czarnym ogierze. Zoczywszy Reilly'ego, gwałtownie wstrzymał konia, ściągając cugle, po czym zsunął się z grzbietu wierzchowca i pomachał przed nosem Reilly'ego arkuszem papieru.

-Oto - powiedział bardzo z siebie zadowolony - odpowiedź na nasze kłopoty.

Reilly spojrzal z niechecia na rozradowanego arystokrate. Jego doskonaly nastroj zostal gwaltownie rozwiany. I to nie tylko z powodu rumaka, ktory tupal nerwowo tuz obok niego.

-Jakie klopoty? - zapytal, choc swietnie wiedzial, jak zabrzmia odpowiedz. Christine miala nieszczesna sklonnosc do poezji Tennysona, a jeden z utworow tego poety okazal sie zabojczo prawdziwy w przypadku lorda Glendenninga... wiersz o tym, ze wiosna kaprys mlodzienca zamienia sie w rozmyslanie o milosci. Kiedy slonce stopilo sniegi, namietnosc lorda Glendenninga do panny Brenny Donnegal siegnela zenitu i hrabiemu nie dawal spokoju pomysl, by zawlec ja do oltarza, pomimo ze Reilly namawial go, by dal sobie z tym spokoj.

-Dotyczace Brenny, oczywiscie - odparl zaskoczony hrabia. - Stuben wlasnie przywiozl listy i zgadnij, co bylo w dzisiejszej poczcie?

Reilly zapytal z nadzieja, czy nie nadszedl mikroskop, ktorego oczekiwal, na co Iain MacLeod skrzywil sie z niesmakiem.

-Nie zaden cholerny mikroskop - odparl. - List do panny Donnegal od przyjacieleczki, ktora ja kryje. I wyszlo szydlo z worka...

Tkniety naglym przeczuciem, Reilly wyrwal papier z rak hrabiego i obejrzel dokladnie.

-Na Boga! - wykrzyknal zgorzony, odczytawszy adres. - Toz to prywatny list do panny Donnegal!

Hrabia odebral mu kartke. Zaniepokojony niespodziewanym ruchem wierzchowiec parsknal.

-Wiem - powiedzial lord. - I posluchaj, co w nim pisze... Reilly znnow wydarl mu list.

-Nie bede tego sluchal. Oszalales?! Nie mozesz otwierac prywatnej korespondencji. Czy panna Donnegal orientuje sie, ze czytujesz jej listy?

-Nie wiem - odparl hrabia z zaklopotaniem. - Przypuszczam, ze tak. Wszystkie listy dostaje otwarte, wiec musi sie domyslac, ze ktos je czyta. Ale nigdy sie nie skarzyla. No, moze raz czy dwa razy.

Reilly nie wierzyl wlasnym uszom.

-To karygodne! - wykrzyknal. - Kiedy wreszcie dasz spokoj tej kobiecie? - Spostrzeglszy, ze jego podniesiony glos zwrotil uwage wiesniakow i jeszcze bardziej zdenerwowal narowistego konia, opanowal sie i wysyczal: - Zabraniam ci grzebac w prywatnej korespondencji panny Donnegal. Rozumiesz, Glendenning? Hrabia tylko wyszczerzyl zeby w usmiechu.

-Ty mi zabraniasz? - powiedzial, chichoczac. - Och, to paradne. Jestem twoim pracodawca, Stanton. Zapomniales? Choc po sposobie, w jaki mi rozkazujesz, nikt by sie

tego nie domyslił.

Słyszac te, zgodne z prawdą, słowa, Reilly się skrzywił. Nadal utrzymywał w tajemnicy fakt, że jest osмым markizem Stillworth, głównie dlatego, że na wyspie nie miało to najmniejszego znaczenia. Jednakże, prawdę powiedziawszy, jeszcze większy wpływ na jego decyzje, by przemilczeć sprawę, miała niechęć panny Brenny Donnegal do arystokratów, wykonujących zawód lekarza.

A zresztą nic by nie wskorał, wyjawiając swój sekret lordowi Glendenningowi, tytuł hrabiowski bowiem jest wyższy w hierarchii od tytułu markiza... nawet wtedy, gdy nosi go gbur, spędzający cały czas na wymyślaniu intryg, by zdobyć reke córki miejscowego lekarza.

-Tak czy siak - odparł Reilly surowym tonem - nie masz prawa myszkować w korespondencji tej młodej damy. To w bardzo złym tonie, Glendenning. I zupełnie nie w stylu zakochanego.

Słyszac te słowa, hrabia się zasepił.

-Ale posłuchaj - powiedział - w liście jest o tym... Reilly unosił dłoń.

-Nie będę go czytał. Wybij to sobie z głowy.

-Ale...

-Przepraszam - przerwał im jakiś cienki głos.

Reilly się obejrzał i poznał chłopca, którego spotkał podczas wizyty w Burn Cottage. Hamish MacGregor stał obok, mnąc w rękach kapelusz. Przy jego nodze siedział pies. Hamish wpatrywał się w hrabiego przeszywającym wzrokiem.

-O co chodzi, Hamish? - zapytał Reilly. Od owego pierwszego spotkania widywał chłopca jeszcze kilka razy, ponieważ Hamish nabrał dziwnego zwyczaju przesiadywania w pobliżu szpitalika, kiedy tylko nie doglądał owiec wraz z Lucaisem. Było to po części wina Reilly'ego, który nie otrzymał wprawdzie zamówionego mikroskopu, lecz dostał od swoich siostr duży przesyłkę z francuskimi cukierkami, których większość rozdał miejscowym dzieciakom, przechodzącym obok jego gabinetu w drodze do szkoły. Hamish, mający szczególne zamiłowanie do słodczy, przylgnął do Reilly'ego i wciąż za nim laził, ku niezadowoleniu młodego lekarza.

-Chodzi o te sidła - mówił Hamish, wciąż zwracając się do hrabiego.

Hrabia spojrzał na chłopca ze zniecierpliwieniem. Po wypadku Lucaisa Hamish rozpoczął prawdziwą krucjatę przeciw lordowi i jego pułapkom na wilki. Lucais dawno wyzdrowiał, ale jego właściciel wciąż miał za złe człowiekowi, który spowodował wypadek.

-Znowu - mruknal hrabia. - Posluchaj, Hamish, juz ci mowilem, dopoki wilki zagrazaja moim jeleniom, bede nastawial te potrzaski.

Jednakze Hamish nie ustepowal.

-Chcialbym wiedziec, ile wilkow schwytal pan w te swoje pulapki oraz jak wiele niewinnych psow wpadlo w nie zamiast wilkow.

-Juz ci mowilem - odparl lord Glendenning. - Jak dotad ani jednego... ale to nie oznacza, ze ich tu nie ma. A teraz zmykaj, dobrze? Doktor Stanton i ja mamy z soba do pogadania... - To mowiac, lord Glendenning popuscil cugli swemu rumakowi i siegnal po list, ktory Reilly wciaz trzymal w rekach.

-Gdybys przeczytal ten list, Stanton - powiedzial hrabia, gdy Reilly odsunal papier poza zasieg jego reki - dowiedzialbys sie, ze jej wuj...

-Lordzie Glendenning! - krzyknal Hamish, uskakujac przed kopytami ogromnego wierzchowca, by nie dac sie stratowac, kiedy kon, poirytowany naglymi ruchami hrabiego, zaczal niespokojnie tanczyc w miejscu. - Odpowiedzial mi pan tylko na czesc pytania. Nadal nie wiem, ile psow zlapalo sie w te sidla zamiast wilkow?

Glendenning, silujacy sie z Reillym, aby odzyskac list, wrzasnal:

-Zaden pies, oprócz twego kundla, nie jest aż tak głupi, by wpasc w pulapke zastawiona na wilka...

W tej wlasnie chwili Flora, przyciagana do hrabiego ta sama sila, ktora ksiezyc przyciaga wody, zblizyla sie do niego.

-Milordzie - powiedziala tonem, w ktorym nie bylo ani sladu nieutulonego zalu, z jakim przed chwila uskarzala sie Reilly'emu - napije sie pan piwa? Zaraz je panu podam.

Glendenning spojrzal na nia z usmiechem, ktory zlamalby serce kazdej dziewczyny, a coz dopiero otumanionej miloscia dziewczki, ktora urodzila mu juz czworke dzieci.

-Oczywiscie, najslodsza - odparl. - Umieram z pragnienia. Flora, zachwycona perspektywa przypodobania sie obiektowi swych uczuc, popedzila ku beczce, aby natoczyc piwa hrabiemu. Na nieszczescie, ogier lorda Glendenninga, ktory nie zaliczal sie do najspokojniejszych, przestraszyl sie gwałtownych ruchow Flory i stanal deba.

Gdyby hrabia mocno trzymal wodze, nic by sie nie stalo. Lecz lord Glendenning popuscil cugli, aby odebrac Reilly'emu list, wiec kon poderwal przednie kopyta i mocno kopnal w glowe Hamisha MacGregora.

Reilly, bedacy swiadkiem zdarzenia, krzyknal ostrzegawczo, lecz Hamish nie zdazyl

zareagowac. Osunal sie na ziemie, bezwladny jak jedna z wilgotnych scierek Flory.

Kon Glendenninga nie przestawal tupac i parskac tuz obok nieprzytomnego chlopca. Reilly wrzasnal na hrabiego, by okielznel swego wierzchowca, a nastepnie, gdy Glendenning sciagnal wodze, rzucil sie pod kopyta i ukleknal przy rannym.

Nielatwo bylo przeprowadzic niezbedne badania. Prawie wszyscy obecni na placu targowym zbiegli sie, wykrzykujac dobre rady. Przerazony Lucais ujadal zaciekle tuz nad uchem Reilly'ego. A hrabia, ktory w koncu zdal sobie sprawe z tego, co sie stalo, zaczal sie oskarzac.

-To moja wina - powtarzal wciaz od nowa.

-Nie, moj ukochany. - Flora nie mogla pozwolic na to, by mezczyzna, bedacy swiatlem jej zycia, przyznal sie do bledu. - Wszystkiemu winien pies. Zaszczekal i sploszl biednego Tornoda...

-Moje dziecko! - Pani MacGregor, matka Hamisha, ktora stala przy swoim straganie z pasztecikami, widziala cale zdarzenie. Trzeba bylo powstrzymac nieszczesna kobieta, ktora podbiegla, by pasc na syna... Nikt jednak nie byl w stanie uciszyc jej zawodzenia: - Moja dziecina! Moj pierworodny!

Pobiezne badanie, wykonane w tych jakze niesprzyjajacych warunkach, nie przynioslo optymistycznych rezultatow. Diagnoza zostala postawiona zbyt szybko... i nie przypadla Reilly'emu do gustu.

-Zechciejcie, prosze - wrzasnal na hrabiego oraz na zgromadzone wokol kobiety - cofnac sie i zrobic mi troche miejsca!

Lord Glendenning wreszcie sie na cos przydal i, rozpostarlszy swe dlugie ramiona, odepchnal do tyłu tloczace sie kobiety, nie wylaczajac matki Hamisha.

-Pozwolicie doktorowi pracowac - powiedzial hrabia lagodnym tonem, bez watpienia takim samym, pomyslal gorzko Reilly, jakim zwabil Flore w swe plugawe objecia. - Doktor Stanton zna sie na rzeczy. W koncu przybyl tutaj z samego Londynu. W rekach doktora Stantona chlopak jest bezpieczny.

Reilly wcale nie byl tego taki pewny. Jego watpliwosci musialy sie odmalowac na twarzy, poniewaz po chwili rozlegly sie pomruki.

-Ktos musi sprowadzic panne Brenne. A potem:

-Tak, panna Brenna bedzie wiedziala, co robic.

-Lec po nia, Una. Lec po panne Brenne.

-Widziałam ja rano na łące, pomagała przy jagnietach Barra... Ta ostatnia uwaga sprawiła, że wokół chłopca stało się luźniej, bo wszystkie co bardziej racze kobiety pomknęły na poszukiwanie Brenny Donnegan. Reilly nie czuł urazy o to, że okazały tak mało wiary w jego umiejętności. Wyglądało na to, że nie będzie mógł pomóc chłopakowi... że nikt nie jest w stanie mu pomóc.

-Przynieście mi jakąś deskę - polecił kobietom, które lord Glendenning utrzymywał w pewnej odległości od Hamisha. - Coś, co posłuży mi za nosze, aby przenieść chłopca do szpitalika...

Posłuchał go tylko lord Glendenning. Podszedł do stoiska Flory, zrzucił z niego beczkę i kufle, po czym jednym szybkim ruchem zerwał nieheblowany blat z kozłów i pokazał go Reilly'emu.

-Nada się - stwierdził Reilly. - Połóż go obok chłopca... Reilly ostrożnie umieścił Hamisha na blacie. Pamiętając, że jego własny ojciec zmarł, skrepiwszy sobie kark po upadku z konia, Reilly podejrzewał, że chłopiec mógł doznać podobnego urazu, więc chciał mu oszczędzić zbędnego szarpania.

-Dobrze - powiedział, a musiał nateżać głos, by przekrzyczeć ujadającego Lucaisa. - A teraz go podniesmy...

I tak oto dziewiętnasty hrabia Glendenning oraz osmy markiz Stillworth przenieśli nieprzytomnego pastuszkę do wiejskiego szpitalika, odprowadzani przez zawodzące kobiety i szczekającego psa.

Tam Reilly i Glendenning przelozili chłopca z prowizorycznych noszy na stół do badań. Kakofonia lamentujących widzów stała się dla doktora nie do zniesienia, więc poinformował matkę rannego chłopca, że ma się opanować, w przeciwnym bowiem wypadku zostanie siła wyprowadzona z pomieszczenia.

Jego słowa tak przestraszyły kobiecie, że umilkła na kilka dobrych minut i Reilly mógł przeprowadzić dalsze badania jej syna.

Jednakże to, co wywnioskował z oględzin, nie było obiecujące. Glendenning, który przysiadł tuż obok i podawał mu to młoteczek do badania odruchów, to znowu zapalke, spoglądał na doktora wzrokiem pełnym nadziei. Reilly tylko pokręcił głową.

Następnie z wielką łagodnością przemówił do pani MacGregor.

-Pani syn odniósł bardzo poważne obrażenia, madame - powiedział, wyprowadzając ją do malej poczekalni, gdzie tłoczyło się kilkanaście kobiet, niespokojnie oczekujących diagnozy lekarza.

-Ale... - odezwała się Flora. - Przecież go widziałam, nawet nie krwawił...

-Tak - odparł Reilly. - To prawda. Ale jestem pewien, że u Hamisha nastąpił wewnętrzny wylew. W głowie. Wewnątrz czaszki. Co jest bardzo groźne.

Kobiety spojrzaly po sobie. Nigdy dotąd nie slyszaly o czymś takim jak wewnętrzne krwawienie. Reilly podejrzewał, że w życiu tutejszych mieszkancow nagle wypadki ograniczaly sie do przebicia skory haczykiem do lowienia ryb, oparzen, porodow oraz sporadycznych epidemii cholery.

Jego podejrzenia potwierdzila pani MacGregor, ktora spytala:

-Wiec pan powiada, że to cos powaznego? Reilly skinal glowa.

-Bardzo powaznego.

-Czy on... - Pani MacGregor przygryzla dolna warge. - Czy on umrze?

-Umrze - powiedzial Reilly. Czul sie podle i zalowal, że zamiast nieokrzesanego hrabiego nie ma przy nim Pearsona lub chocby Shelleya, ktorzy pomogli mu wyjasnic kobiecie, jak powazny jest stan jej syna. - Jesli krwawienie nie zostanie zatrzymane.

-W takim razie niech pan powstrzyma krwawienie - natychmiast odezwala sie pani Murphy, praktyczna kobieta interesu.

-To nie jest takie latwe, jak mogloby sie wydawac - krzywiac sie, odparł Reilly. - To bardzo niebezpieczna i ryzykowna operacja - wyjasnil pobladlym z wrazenia sluchaczkom. - Musialbym chłopcu wywiercic dziure w glowie...

Pani MacGregor uznala te chwile za odpowiednia, by zemdleć.

W czasie spowodowanego tym wydarzeniem chaosu drzwi gwałtownie sie rozwarly i Reilly uslyszal glos, ktory jak zawsze zadziwil go glebokim i ochryplym brzmieniem.

-Co sie tu dzieje? Moje panie, bardzo prosze, opanujcie sie! Pani Murphy szybko przedstawila Brennie Donnegal, jaka jest sytuacja.

-Hamish zostal uderzony w glowe - oswiadczyła, wachlujac nieprzytomna Bessie MacGregor. - I doktor Stanton powiada, że jedynym sposobem, by go wyratowac, jest wywiercenie mu dziury w czaszce, zeby zatrzymac krwotok.

-Niech pani mu nie pozwala, panno Brenno! - wykrzyknela jedna z kobiet. - Niech pani nie pozwoli, zeby to zrobil Hamishowi!

Reilly poczul na sobie spojrzenie Brenny, zanim podniosl na nia oczy. Zadziwiajaca byla sila wzroku tej kobiety oraz jego dzialanie. Reilly nie mogl patrzec w jej niebieskie oczy, obramowane gestymi kruczoczarnymi rzesami, i poczul, że popelnil wielki blad, stajac sie jej

wrogiem.

Nie bardzo wiedział, jak do tego doszło. W czasie kilku tygodni, które minęły od ich bardzo niemiłej kłótni w Burn Cottage, prawie się do siebie nie odzywali. I był to wybór Brenny, nie jego. Reilly wciąż troszczył się o dobro tej kobiety, tak bardzo samotnej i tak bardzo zdecydowanej, by taka nadal pozostać. Nie potrafił nawet wzbudzić w sobie niechęci do Brenny, choć, jak dobrze wiedział, miał wszelkie powody, by jej nie lubić, widząc, że jej obecność na wyspie rujnuje jego szanse na prowadzenie praktyki lekarskiej.

Wprost przeciwnie, do panny Donnegan Reilly żywił mieszane uczucia szacunku zabarwionego irytacją, ponieważ, choć była kobietą, zdająca się wiedzieć, czego chce, jednocześnie nie umiała się przyznać do tego, że może nie mieć racji.

Patrząc na nią poprzez zatłoczoną poczekalnię, stwierdził, że jest równie słiczna jak zawsze i, dzięki Bogu, nadal nosi swoje przyciągające uwagę spodnie...

Tylko że teraz nie wyglądały one tak pociągająco jak dawniej, ponieważ pokrywało je coś, co Reilly uznał za owcze łozysko.

-Może z panem zamienić słowo na osobności, doktorze? - spytała Brenna, odrzucając na plecy pasmo swych długich rudych loków.

-Oczywiście - odparł i odstąpił na bok, by ją przepuścić przez wąskie drzwi do gabinetu. Kiedy się zbliżyła, spostrzegł, że jej sweter również jest poplamiony wodami owocowymi i Bog raczy wiedzieć czym jeszcze.

Zobaczył także, że jej policzki pod słicznymi oczami powleka bladą. Czas, gdy na świat przychodziły jagnięta, nie był łaskawy dla panny Brenny Donnegan.

Nad pacjentem pochylał się zatroskany hrabia. Na widok Brenny jego męska twarz ściągnęła się.

-Och, Brenno - przemówił tonem, wskazującym na to, że jest bliski leż. - Spojrz, co się stało. Tornod mu to zrobił. A ja go nie dopilnowałem...

Brenna położyła hrabiemu dłoń na ramieniu, ale nawet na niego nie spojrzała. Przyglądała się rozłożonemu na stole chłopcu.

-To był wypadek, milordzie - powiedziała. - Czy mogłbyś nas na chwilę zostawić?

I Iain MacLeod, wielki, mocarny rycerz, potulnie uczynił to, czego sobie życzyła.

Brenna odgarnęła włosy z czoła Hamisha - a był on jeszcze jaskrawiej rudy niż ona sama - i przyglądała się chłopcu, zawsze tak bardzo żywemu i hałasliwemu, który teraz leżał nieruchomy i biały.

-Prawie nie ma odruchow - szybko powiedzial Reilly, czujac, ze lapidarnosc bedzie najlepszym sposobem podania prawdy. - Oddech plytki i nieregularny. A co gorsza, jedna ze zrenic nie reaguje na swiatlo. Co oznacza, jesli dobrze pamietam, ze prawdopodobnie na mozg uciska skrzep.

-Moj Boze - westchnela Brenna.

-Trepanacja jest jedynym sposobem na uratowanie mu zycia - ciagnal Reilly. - Ale nawet... sam nie wiem.

Brenna przeniosla wzrok z chlopca na Reilly'ego. Jej niebieskie oczy wyrazaly bol, zal, troske.

-Co?

-Trepanacja. Technika, ktora Amerykanie stosuja, by leczyc tych, ktorzy przezyli oskalpowanie przez Indian. W czaszce wierci sie otwor, aby wydostac spod niej krew...

-Otwor. - Brenna spojrzala na twarz chlopca. - W czaszce.

-Usuwa sie przyczynę nacisku na mozg - powiedzial Reilly z westchnieniem i przeczesal palcami wlosy. - Nie wiem, co innego moglibysmy zrobic. Jest calkowicie pewne, ze bez operacji umrze... ale rownie dobrze moze umrzec, jesli nawet ja przeprowadze. Ma pani jakies tego typu doswiadczenia?

Spojrzala na niego gniewnym wzrokiem. Jej zadziorna pewnosc siebie zniknela.

-Czy wiercila otwory w ludzkich czaszkach? Nigdy - odparla. - Nawet nie slyszalam o czyms takim. - A potem znow spojrzala na chlopca. - Pan wie, jak to sie robi? Te... trepanacje?

-Ummm - odparl Reilly z zaklopotaniem i znow przeczesal dlonia wlosy. - Widzialem raz, jak ja przeprowadzali. Na trupie.

-Widzial pan - powtorzyla. Reilly skinal glowa.

-Na trupie - powiedziala, jakby to wyjasnialo kwestie. Reilly jeszcze raz skinal glowa. Tak wlasnie bylo. Ale wypowiedziane ustami Brenny zabrzmialo jakos dziwacznie.

Przygladala mu sie z uwaga.

-Jezeli przeprowadzi pan nieudana operacje - odezwala sie wreszcie - obwinia pana. Jego rodzice. Jesli Hamish umrze.

-Wiem - powiedzial Reilly.

-Zreszta, nie tylko MacGregorowie - poinformowała go Brenna. - Cała wioska będzie od pana stroniła.

A to nowina! - pomyślał. To znaczy, nie. Wiosniacy nie unikali go. Wprost przeciwnie. Byli niewiarygodnie gościnni. Począwszy od jego kumpli od popijawy Pod Udreczonym Zajacem, po ich spracowane żony.

Tylko że nie przychodzili do niego po poradę medyczną.

I jeśli Hamish umrze, a wiosniacy pomyśla, że stało się tak, bo Reilly sfuszował operację, już nigdy do niego nie przyjdą.

Uczucie przykrości, którego doznał na te myśli, uswiadomiło mu, jak bardzo przywiązał się do tej wyspy i jej osobliwych mieszkańców.

-Jeżeli zrobi pan to - ciągnęła Brenna - po to, by wyrzucić wrażenie na tej swojej narzeczonej...

-Na miłość boską - warknął Reilly. - Niech mi pani zaufa, dobrze? Wyobraź sobie pani, że przeprowadzę niebezpieczną, ryzykowną operację na dziecku tylko po to, by zrobić wrażenie na kobiecie? Na pewno nie. Ale co mi pani może doradzić w tej sytuacji, panno Donnegal? Jeśli nie spróbuje, chłopiec na pewno umrze. A jeśli spróbuje, co, Hamish i tak może nie przeżyć.

Przyjrzała mu się uważnie modrymi, przenikliwymi oczyma.

-Bez operacji chłopiec nie ma najmniejszej szansy na przeżycie - powiedziała spokojnie. - Sądzę, że warto zaryzykować. Przygotujmy się do operacji. Pojde do nich i powiem, że będę panu asystowała. Dzięki temu... część winy spadnie na mnie.

Reilly poczuł nagły przypływ wdzięczności. Najwidoczniej gdy chodziło o pannę Brenne Donnegal, jego emocje były zmiennie jak kolor morskiej wody. Jeszcze przed chwilą, kiedy zapytała go, czy zamierza przeprowadzić operację ze względu na Christine, czuł do niej wyłącznie antypatie. Jak gdyby w ciągu minionych tygodni choć raz pomyślał o Christine...

Wychodząc z gabinetu przyjęć, aby przekazać wiadomość, Brenna położyła dłoń na ramieniu Reilly'ego. Spojrzał na nią, zdziwiony tym gestem.

-W takim razie do dzieła - powiedziała z nikłym uśmiechem. Były to te same słowa, które on wypowiedział, kiedy okazało się, że dziecko Flory jest ułożone pośladkowe i Reilly zrozumiał, co wtedy musiała czuć Brenna. Ogromne przerażenie.

właściwie zamiaru doskonalić swoich umiejętności chirurgicznych. Reilly znalazł ulotkę zapowiadającą wykład i zaproponował, by na niego poszli, bo wszystko, co dotyczyło Indian, było takie podniecające, a przebieg operacji miał demonstrować lekarz, praktykujący w tym niecywilizowanym kraju. Spodziewali się niezłej zabawy, zwłaszcza jeśli doktor będzie miał na głowie kapelusz i będzie mówił z amerykańskim zaśpiewem. Okazało się, że lekarz rzeczywiście nosi kapelusz, ale ku rozczarowaniu Pearsona i Shelleya nie było to kowbojskie nakrycie głowy, lecz szacowny cylinder. A nosowy zaśpiew nie był wystarczająco zabawny, by uchronić obydwu młodzieńców przed zasnięciem w wygodnych krzesłach z tyłu audytorium.

Lecz Reilly z jakiejś przyczyny nie zasnął. Co więcej - i nigdy by się do tego nie przyznał Pearsonowi i Shelleyowi, gdy po wykładzie obudził ich z drzemki - przeniósł się do pierwszego rzędu i zafascynowany przyglądał się pokazowi. Mężczyzna demonstrował, w jaki sposób przepływ krwi po oskalpowanej czaszce pozwala na to, by tam, gdzie była naga kость, mogła odrosnąć skóra. Amerykański lekarz wyjaśnił, że ta technika jest także przydatna w usuwaniu zakrzepów. A potrzebne były jedynie proste szydło, młotek i pewna reka.

Wszystko to Reilly miał w swoim szpitaliku. Wciąż jednak nie wiedział, czy przeprowadzać operację. To prawda, Hamish oddychał teraz bardziej regularnie, lecz jego lewa zrenica nadal nie reagowała na bodziec świetlny.

Chłopiec mógł przeżyć. Tak, mógł przeżyć.

Mógł przeżyć i być idiota.

Jeżeli takie życie zasługiwało na miano życia.

Reilly oparł się o barierkę na przystani i zaciągnął szczypiącym dymem cygara. Zakaszał. Paskudny nałóg to palenie. W przeciwieństwie do Shelleya i Pearsona, Reilly nigdy się nie uzależnił. Pudełko cygar, które przysłali mu jako żart - wskazujące na to, że aby zabić odor ryb, którym w wiosce Lyming przesiąkało wszystko, co się w niej znalazło, musi się nauczyć palić - pozostało nie otwarte aż do dzisiejszego wieczoru.

Ale teraz Reilly rzeczywiście musiał zapalić.

A właściwie potrzebny mu był drink i o to wcale nie było trudno. Bo choć w oknach gospody Pod Udreczonym Zajacem nie paliło się światło, mógł się tam zakręcić i samodzielnie naląć sobie whisky. Drzwi na pewno ustąpiłyby pod jego reka. W Lyming nikt nie zaprzętał sobie głowy zamykaniem drzwi na klucz, z wyjątkiem Brenny Donnegal, która zamykała drzwi swego tajemniczego pokoju, oraz samego Reilly'ego, który zamykał szpitalik, gdzie przechowywał niebezpieczne leki i chemikalia.

Lecz wszedłszy do tawerny, mógł wpasć na Samuela MacGregora, który załapał się do nieprzytomności na wieść o tym, że jego syn przeżył tę niebezpieczną operację. MacGregor

postawił wódke wszystkim mieszkańcom osady i poczekalnia ambulatorium nagle się opróżniła - zostały w niej tylko kobiety, dodając ducha Bessie MacGregor, która nie chciała odejść od syna, dopóki się nie obudzi.

Jednak Bessie nie wiedziała, a Reilly nie miał serca jej tego powiedzieć, że jej syn może się już nigdy nie obudzić. Reilly czuł, że im dłużej chłopiec leży śmiertelnie nieruchomo, nie zdając sobie sprawy z tego, że jego matka jest przy nim i głaszcze jego dłoń, a w nogach wąskiego łóżka siedzi wierny pies, tym mniejsze ma szanse, by się obudzić.

Lecz Reilly nikomu o tym nie wspomniał. Nie było też potrzeby, by wspomniał o tym jedynej osobie w pomieszczeniu, która to wiedziała i która, jako jedyna, nie tańczyła z radości na wieść o tym, że chłopiec przeżył operację.

Jednakże Brenna przybrała pogodny wyraz twarzy i dzielnie zniosła rodzinną uroczystość. To ona wyjaśniła, że stan Hamisha nadal jest bardzo poważny... co było jak rzucanie grochem o ścianę, i trafiło jedynie do pani MacGregor. Matka chłopca w końcu pojęła, że sytuacja nie jest zbyt różowa.

I to właśnie widoku jej zatrważonej twarzy Reilly nie mógł dłużej znosić, więc wyszedł, by w samotności odetchnąć świeżym powietrzem.

Nie rozczarował się. Na wyspie Skye było go w brodzie. Reilly stanął na nabrzeżu, tym samym, na którym sześć tygodni temu klęczał, przykładając ucho do piersi przewoźnika, Stubena, nasłuchując bicia serca, które po prostu stano.

Dzisiaj było znacznie cieplej niż owego dnia. Można się było swobodnie obejść bez peleryny.

Lecz od tamtej pory zmieniła się jedynie pogoda, pomyślał z gorzkością.

Nie udało mu się jako lekarzowi zdobyć zaufania tutejszej społeczności. Och, miał szpitalik, to prawda, i panował tam wzorowy porządek. Lecz do wypadku Hamisha nie zrobił nic, poza asystowaniem przy odbieraniu jednego porodu oraz przepisaniem ciepłej mieszanki dla jednej kury.

Nic więcej nie zdziałał.

Nie licząc dzisiejszej operacji, która być może spowoduje stały uraz mózgu u dziecka, które prawdopodobnie i tak by umarło.

To wszystko moja wina, myślał. Nie powinienem był wyjeżdżać z Londynu. Tam nigdy nie wzywano mnie do zabiegów poważniejszych niż usunięcie brodawki. Brenna miała chyba rację, takim jak ja parom, którzy tylko liźnili sztuki leczenia, nie powinno się przyznawać dyplomów lekarza. Może trzeba było poprzestąć na tytule "lekarz markiz", a Christine na pewno nie zerwałaby zareczyn. Moja skłonność do alkoholu, wyrażająca się tym, że wypijałem jedną szklaneczkę whisky dziennie, drażniła ją w znacznie mniejszym stopniu niż

fakt, że nie pozwalałem moim pacjentom, by zwracali się do mnie "milordzie"...

I dlatego właśnie, zdał sobie sprawę, nie mogłbym się z nią ożenić.

Ta myśl napelniła go zdumieniem. Moj Boże, co też przychodzi mi do głowy? Ostatnio zdarzało mu się popadać w dziwne zadumy. Czasami, budząc się na swojej pryczy, wsłuchiwał się w głosy rybaków, wypływających w morze na małych stateczkach, za którymi podazały setki mew, odczuwał niezrozumiałe zadowolenie.

Zadowolenie. Na skutek wsłuchiwania się w gadaninę grupki wychudzonych rybaków. Dziwne.

A teraz ten pomysł, że nie mógłby poślubić Christine! Przecież ją kochał. Dla niej był gotów na wszystko.

Czy aby na pewno? - odezwał się jakiś głos w jego głowie. Czy zrezygnowałbyś z leczenia? Przecież tego właśnie chciała. Żebyś zaniechał leczenia i zaszł się w Stillworth Park, by spędzić tam resztę życia, wysłuchując skarg dzierzawców...

Tak, powiedział sam do siebie, zaciskając pięści na barierce nadbrzeża. Tak, gotów był nawet na to, byle tylko odzyskać Christine.

W takim razie dlaczego, gdy Brenna spyła go, czy gotów jest na przeprowadzenie trepanacji, by zaimponować Christine, odpowiedział jej... zaraz, co jej właściwie powiedział?

A co dziwniejsze, powiedział to, co rzeczywiście czuł. Codzienne kłopoty, problemy, życie mieszkańców tej zapadłej dziury splotły się nierozdzielnie z jego życiem. Nie potrafił sprecyzować, kiedy zaszła w nim ta przemiana, kiedy poczuł chęć pomagania tutejszym ludziom nie po to, by udowodnić londyńczykom, że "szalenstwo Stillwortha" popłaca, lecz dlatego, że naprawdę chce pomóc mieszkańcom Lyming.

Możliwe, że stało się to w chwili, gdy zobaczył, jak koń hrabiego trafia kopytem w głowę Hamisha.

Jednakże teraz wyrzucał sobie własną arogancję. Jak mógł sądzić, że nadaje się na lekarza? Od jego wiedzy i umiejętności zależało ludzkie życie, a on miał nadzieję, że może kiedyś uda mu się "coś zmienić".

Coś zmienić. Och, i udało mu się. Wprowadził bardzo istotną zmianę w życie Hamisha. Uczynił z chłopca roślinę, oto, co zrobił.

Wraca do domu. Jutro zacznie się pakować. Przy odrobinie szczęścia znajdzie się w Londynie akurat na wyścigi w Ascot...

-Rozmyśla pan o niej?

Obejrzał się zaskoczony. Nie usłyszał lekkich kroków na spekanych, przegniłych deskach pomostu. Zagłuszył je szum fal.

-Sa jakies zmiany?

-Nie.

Brenna Donnegal wciąż miała na sobie stroj, w którym zajmowała się jagnietami. Każda inna kobieta na jej miejscu wymknęłaby się do domu, aby się umyć i przebrać, lecz Brenna z uporem tkwiła u węzłowiec Hamisha aż do wczesnych godzin rannych. Brennie Donnegal z całą pewnością nie można było zarzucić próżności. Zupełnie nie troszczyła się o swój wygląd... ani o to, czym pachnie. A w tej chwili wydzielala won eteru, którym uspiła chłopca, oraz, nieco słabiej, zatracala owca.

Zapachy te wcale nie były przykre, stwierdził Reilly. Tylko że nie oczekiwałby ich po kobiecie.

I wtedy przyszło mu do głowy, że skoro zaczął uważać won owcy za przyjemną, to wcale nie musi natychmiast wracać do Londynu.

Brenna wsparła łokcie na barierce i spojrzała w kierunku Lochalsh, które o tej porze było niewidoczne z powodu nieprzeniknionej ciemności. Na niebie nie było księżyca, choć, jak pomyślał Reilly, gwiazdy nigdy nie wydawały się równie jasne i liczne.

W Londynie nigdy nie widywał ich w takiej obfitości. Jedynie na Skye wystarczyło podnieść głowę, by poczuć się tak, jakby wszechświat znajdował się w zasięgu ręki.

Na Skye nie brakowało świeżego powietrza. A co do spokoju, pomyślał, coż, to zupełnie inna sprawa.

Lecz, co dziwne, wcale nie miał za złe Brennie, że przyszła do niego na przystan. Cieszył się z jej obecności. Panna Donnegal była jedyną osobą, która rozumiała, co w tej chwili odczuwał.

Albo wyobrazała sobie, że rozumie.

-Jesli pan chce, napisze do niej.

Reilly spojrzał na nią zdziwiony. W ciemności była ledwie widoczna, choć stała oddalona zaledwie o kilkanaście centymetrow.

-Do kogo?

-Do pńskiej narzeczonej. - Oparła brodę na dłoniach. - I opowiem jej o wszystkim. O pńskiej meźnej bitwie o życie miejscowego pastuszka. Wtedy nie będzie wyglądało, że pan

sie przechwala. Bo chyba o tym pan rozmysla, palac to cuchnace swinstwo?

Reilly rzucil okiem na swoje kosztowne cygaro.

-Niezupełnie - odparl. I upuscil cygaro do wody, gdzie jego rozszarzony koniuszek szybko zniknal w falach.

-Nie? W takim razie przepraszam za podejrzenie. Zamilkla. Reilly nie wiedzial, co ma na to odpowiedziec. Chyba powinienem, myslal, poinformowac ja, ze wyjezdzam. Zaczal sie zastanawiac, jak Brenna na to zareaguje. Pewnie bedzie zadowolona, ze sie mnie pozbywa. Nikt nie bedzie kwestionowal jej prawa do zajmowania domku.

-Ja... - zaczal, lecz ona odezwala sie w tej samej chwili. - Prosze, niech pani mowi - powiedzial.

-Nie - odparla. - Pan pierwszy.

-Nie - upieral sie. - Damy maja pierwszenstwo.

Brenna westchnela gleboko, przygotowujac sie do wypowiedzi.

-Nigdy w zyciu nie widzialam czegos podobnego. Biorac pod uwage, ze dotychczas nie przeprowadzal pan operacji... Chce pana przeprosic.

Nie spodziewal sie tego. Przepraszaj go? Za co?

I wlasnie o to ja spytal.

-Wie pan za co - odpowiedziala, zwrcona profilem do Reilly'ego. - Za to, co powiedzialam. O panskiej narzeczonej. I za... coz, orientuje sie pan, ze nie zachecalam wiesniakow, by panu zaufali. A powinnam byla. To pan jest wykwalifikowanym lekarzem, nie ja. Chce, zeby pan wiedzial, ze teraz bede. To znaczy, bede ich do pana przysylac.

-Teraz! - wykrzyknal oburzony - kiedy udalo mi sie kogos zabic? Dzieki za okruchy z pani stolu, panno Donnegal. Jestem pewien, ze teraz wiesniacy zaufaja moim medycznym umietnosciom. Zleca sie z calej wyspy Skye, aby sie leczyc u wielkorekiego doktora Stantona.

-Nie wie pan, czy Hamish nie wyzdrowieje - powiedziala lagodnie.

I znow oparla dlon na jego ramieniu. Byla bardzo ciepla. Reilly czul jej cieplo poprzez welne surduta.

Spojrzal na jej palce, odcinajace sie na tle ciemnej tkaniny. Przypomnial sobie wyraz jej twarzy podczas operacji. Od czasu wizyty w domku wiedzial, ze Brenne i chlopca laczyly wiezi przyjazni. Poznal to po sposobie, w jaki patrzyla na Hamisha, pomimo surowego tonu,

jakim do niego przemawiała. Zresztą w taki sam sposób odzywała się do wszystkich mieszkańców wyspy.

Lecz podczas operacji na jej twarzy nie było ani śladu czułości. Brenna stała się precyzyjna, beznamietna asystentka. Służyła mu pomocą nawet w najbardziej krytycznym stadium operacji, to jest kiedy przewiercał kości czaszki. Każda inna kobieta - oraz większość mężczyzn - pobiłaby na widok sztycha, wbijanego w głowę chłopca, i zwróciła kolację.

Ale nie Brenna Donnegan. Była tak spokojna, jakby w ogóle nie знаła Hamisha... tak spokojna, jakby omawiała stan pogody za oknem, a nie zajmowała się scieraniem krwi, wypływającej z czaszki chłopca.

Jednak, pomimo że jej zachowanie było tak bardzo niekobiece, Reilly ani na chwilę nie tracił poczucia, że osoba, z którą tak blisko współpracuje, jest kobietą. A teraz, spoglądając na ciepłą dłoń Brenny, spoczywającą na jego ramieniu, zdał sobie sprawę, że minął czas jakiś... że minęło sporo czasu... odkąd ostatni raz czuł dotyk kobiecej ręki.

W każdej innej sytuacji dotyk panny Brenny Donnegan wywarłby na nim wielkie wrażenie. Jednak teraz stać go było jedynie na posępne rozmyślanie o perspektywach czekających chłopca, który znajdował się kilkadziesiąt metrów od niego.

-Co będzie pani robiła - zapytał z goryczą - pozbawiona swoich licznych pacjentów? Powróci pani do badań?

Wymówiłszy te słowa, natychmiast ich pozalował. Było już jednak za późno.

Poczuł, że się od niego oddala... zarówno fizycznie, bo cofnęła dłoń, jak i psychicznie, co ilustrowały jej wypowiedziane lodowatym tonem słowa.

-Tak. Sądzę, że tak.

Idiota, besztal w myślach samego siebie. Ale ciągnął dalej.

-Do tych swoich tajemniczych badań, o których nie chce pani z nikim rozmawiać?

-Właśnie - odparła tonem jeszcze bardziej lodowatym.

Co robisz? - strofował sam siebie. Dlaczego reagujesz tak brutalnie? Przecież ona stara się być dla ciebie miła.

Powiedz jej, nie milkł głos w jego głowie. Powiedz jej, że wracasz do Londynu...

-Będzie wdzięczny - powiedział z wysiłkiem - jeśli ich pani do mnie przysła. To znaczy, pacjentów.

W oddali, na horyzoncie, pojawił się wąski pasek czerwieni. Rysy Brenny stały się

wyrazniejsze. Przygladala mu sie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

-To wole - odparla.

Po fakcie przyszlo mu do glowy, ze mogl jej wtedy powiedziec wiele roznych rzeczy. Mogl sie jej, na przyklad, przyznac, jak bardzo podziwia jej odpornosc na widok krwi.

Albo jak wiele znacza dla niego jej mile slowa.

Albo jak bardzo ceni sobie jej pomoc, ktora okazala mu w rozmowie z MacGregorami i potem, podczas operacji Hamisha.

Mogl chocby spojrzec gleboko w jej blekitne oczy, a nawet wziac ja za reke i powiedziec, ze potem umazana owczym lozyskiem oraz pachnaca eterem, wydaje mu sie nadzwyczaj pociagajaca kobieta i ze od czasu gdy ja poznal, wciaz o niej myśli... mimo ze jest najbardziej uparta i przekorna osoba z wszystkich, jakie dotychczas napotkal.

Lecz gdy w koncu sie odezwal, powiedzial cos zupełnie innego.

-Tylko prosze kierowac do mnie wylacznie dwunożnych pacjentow. Nie mam talentu do leczenia czworonogow.

W slabym swietle wschodzacego slonca dojrzal usmiech Brenny. Usmiechala sie blado. Ale jednak byl to usmiech i Reilly powital go z wdziecznoscia. Cieszył sie, ze nie powiedzial jej tego wszystkiego, co mogl powiedziec.

Wlasnie w tej chwili gwałtownie otwarly sie drzwi szpitalika i pani MacGregor zawolala Reilly'ego.

-Tu jestem, prosze pani - odpowiedzial Reilly.

Po czym, z walacym sercem, szybko podazyl ku bardzo przejetej kobiecie.

-Och, doktorze Stanton! - zawolala, gdy znalazl sie przy niej. - Moge mu dac wody?

Reilly przyjrzał sie jej.

-Wody? - powtorzyl. - Nie widze powodu...

-Na razie poprosil tylko o to, a ja nie chce robic nic, zanim nie spytam pana.

-Poprosil o wode? Odzyskal przytomnosc?

-Och, tak - odparla pani MacGregor, zdziwiona podnieceniem lekarza. - Przed chwila sie obudzil. Slaby jak kociak, ale sie zlosci, ze ogolil mu pan glowe. Powiada, ze przez calutkie lato bedzie sie musial przegrzewac pod kapeluszem... Reilly zwrocil sie do Brenny.

-Slyszala pani?

Jej twarz rozjasnial usmiech, dziwnie kontrastujacy z Isniacymi w oczach Izami.

-Hamish nie lubi chodzic w kapeluszu - powiedziala zdlawionym ze wzruszenia glosem.

Reilly nie namyslal sie ani chwili. Bo i po co? Jego reakcja byla calkowicie naturalna. Na milosc boska, tak samo zachowalby sie, gdyby na miejscu Brenny stala ktoras z jego siostr albo matka czy babcia. Objal talie panny Donnegal, uniosl ja w gore i obrocil w kolo, a ona odrzucila glowe do tylu i glosno sie rozesmiala.

Okrecil ja tak najwyzej ze trzy albo cztery razy. I postawil na ziemi, gdy tylko zawolala, ze maci jej sie w glowie.

A wiec dlaczego, kiedy, ciagle sie smiejac, spojrzeli na lorda Glendenninga, ktory sie wlasnie pojawil, nadchodzac z zamku, by zapytac o zdrowie pacjenta, mial on taki grozny wyraz twarzy?

Hrabia nie mial najmniejszego powodu, by sie tak nachmurzyc. Podejrzewal ich bezpodstawnie. Oni tylko ucieszyli sie z dobrej nowiny.

Choc gdyby Reilly byl zupełnie szczery, musialby przyznac, ze miło mu bylo czuc biust Brenny przycisniety do jego piersi.

-Dobre wieści, Glendenning - powiedzial, nie mogac powstrzymac szerokiego usmiechu. Tym razem hrabia dosiadal innego konia; mial dosyc wyczucia, by pozostawic czarnego ogiera w stajni. - Chlopiec wyzdrowieje.

-W istocie, dobre wieści - mruknal hrabia bez cienia wesolosci. Brenna najwyrazniej nie dostrzegla lordowskiej dezaprobaty.

-Ide go zobaczyc - powiedziala podnieconym tonem. I, nie tracac czasu, pospieszyla do szpitalika. Za nia skwapliwie ruszyla pani MacGregor.

Reilly, jednoczesnie wyczerpany, odczuwajacy ulge i uradowany, wciaz sie usmiechal, nie zwazajac na niezadowolenie swego pracodawcy.

-Malo brakowalo, Glendenning - powiedzial, poklepujacy klacz hrabiego. - Ale wyglada na to, ze nie bedziesz musial zastrzelic ogiera.

Hrabia zmarszczyl brwi.

-To znaczy, ze podzialalo? - zapytal. - To wiercenie dziury w glowie?

-Podzialalo - odparl Reilly, czujac dreszcz zadowolenia. Glendenning byl zdumiony. Najwyrazniej tylko udawal, ze darzy swego pracownika zaufaniem.

-Coz - powiedzial. - To dobrze.

-Dobrze? - Reilly nie czul sie rownie szczesliwy od dnia... kiedy Christine zgodzila sie go poslubic.

Tylko ze teraz bylo jeszcze lepiej. O wiele lepiej. W koncu czegos dokonal. Zrobil cos dobrego. Dokonal cudu. Uratowal ludzkie zycie. Nie ma co, istne "szalenstwo Stillworha!"

-Malo powiedziane, chlopie! - wykrzyknal, zapominajac, ze zwraca sie do hrabiego. - A co wiecej, Brenna obiecala, ze bedzie namawiac wiesniakow, by leczyli sie u mnie. - Reilly nie potrafil powsciagnac radosci. - Odda mi swoich pacjentow. Tak powiedziala. Chodzmy zobaczyc, jak sobie radzi Hamish...

-Chwileczke - rzucil hrabia, gdy Reilly skierowal sie do szpitalika.

Reilly przystanal.

-Milordzie?

-Mowisz jej teraz po imieniu? - chcial upewnic sie lord Glendenning.

-Slucham? - zapytal zdziwiony Reilly.

-Jestescie na ty? - Tym razem hrabia wypowiedal sie z wieksza starannoscia. - Przed chwila powiedziales o niej "Brenna".

Reilly nie mial cierpliwosci na takie glupstwa. Nie teraz, kiedy dokonal cudu.

-Tak - odparl. - Tak samo jak wszyscy w tej nieszczesnej dziurze.

-Nie wszyscy - poprawil go hrabia. - Tylko ja mowie o niej "Brenna". Wszyscy inni zwracaja sie do niej "panno Brenno".

Reilly poczul, ze opuszczaja go resztki radosci. A zamiast niej pojawia sie irytacja.

-Coz - powiedzial, starajac sie, by jego glos brzmial pogodnie - jesli Brenna nie ma nic przeciwko temu, nie widze powodu, by...

-Wlasnie - odparl lord Glendenning opryskliwym tonem. - Widze, ze nie ma nic przeciwko temu. Nic, a nic.

Reilly pokrecil glowa. Ten czlowiek bywal czasem nie do zniesienia. Co hrabia sugeruje? Ze Brenna Donneganal zywi do niego, Reilly'ego, jakies cieplejsze uczucia? Jakze sie myli! Przeciez ta dziewczyna zaledwie przed chwila przestala go nienawidzic. Czy hrabia tego nie dostrzega?

-Sadzilem - powiedział Reilly z oburzeniem - że będzie pan bardziej zadowolony, milordzie. To panski wierzchowiec omal nie zabił dziecka.

-Zdaje sobie z tego sprawę - sztywno odparł Glendenning - I gdyby tak się stało, nie darowałbym sobie do końca życia.

-Powinien mi pan być do zgonie wdzięczny za uratowanie chłopca, lordzie Glendenning. I pragnę pana zapewnić, że z panną Donnegal łączę mnie jedynie wzajemny szacunek. Szacunek, jaki żywią do siebie koledzy po fachu.

-Koledzy? - parsknął hrabia. - Tak się do siebie zwracacie? I za każdym razem, kiedy przeprowadziliś udaną operację, oblałiś swoich kolegów i obracałś w kółko?

Reilly zacisnął zęby.

-Jeżeli chce mnie pan obrazić, sir, lepiej będzie, gdy się pożegnamy.

Miał wielką ochotę rąbnąć pięścią w twarz tego nieznosnego jegomoscia. Ale w ten sposób popsułby stosunki ze swoim pracodawcą, więc powściągnął gniew. Teraz, kiedy sprawy zaczęły się tak dobrze układać, nie chciał, by go zwolniono.

Odwrocił się i skierował do szpitalika. Glendenning zatrzymał go. Nie pięścią, lecz słowem.

-Zaczekaj - powiedział.

Reilly wywnioskował z jego tonu, że hrabia żałuje swego wybuchu. I nie omylił się.

-Przez całą noc siedziałem jak na szpilkach - ciągnął lord, prowadząc swego konia. - Zastanawiałem się, czy chłopiec przeżyje. A potem przyjeżdżam tutaj i widzę ją w twoich objęciach... tego już było za wiele. - Hrabia położył ciężką dłoń na ramieniu Reilly'ego. - Przecież wiem, że nie zrobiłbyś czegoś takiego. To znaczy, nie sprzątnąłbyś mi jej sprzed nosa.

Reilly milczał. Coż mógł mu odpowiedzieć? Że kiedy ją trzymał w ramionach przez te kilka krótkich sekund, po raz pierwszy od miesiąca poczuł, że żyje? Że bicie jej serca tuż przy jego sercu obudziło uczucia, które już dawno w nim zamarły? Że jej śmiech, kiedy obracał ją w kółko, pobudził pulsowanie jego krwi?

Nie mógł tego powiedzieć. Więc trzymał język za zębami i zastanawiał się, co się z nim dzieje.

-Trzeba to uczcić - mówił hrabia, przywiązując klacz do pobliskiego słupa. - Przyjdź do zamku na kolację. Nie dzisiaj. W niedzielę. Niedzielny wieczór będzie najodpowiedniejszy na uroczystą kolację. Co ty na to?

Reilly drgnął. Ledwie słuchał hrabiego. Przyszło mu do głowy, że miedziana poswiata na wschodniej stronie nieba przypomina mu barwę włosów panny Brenny Donnegal.

-Stanton? - Hrabia przyglądał mu się z niepokojem. - Złe się poczujesz?

-Nic mi nie jest - szybko zapewnił go Reilly.

-Świetnie. W takim razie jesteśmy umówieni. Kolacja. W niedzielę wieczorem.

-Tak. Przyjść.

Był zbyt przejęty, by się zastanawiać, co się kryje za nagłą wielkodusznością hrabiego. Wkroczył do pokoju bardzo zadowolony, że wreszcie odnalazł swoje miejsce na świecie.

13

Iain Olaghair MacLeod, dziewiętnasty hrabia Glendenning, ma zaszczyt zaprosić pannę Brenne Donnegal na przyjęcie w niedzielę, 2 kwietnia 1847 roku. Uprasza się o odpowiedź.

Brenna wpatrywała się w zaproszenie. Jasne, odpowiedź będzie, ale jaka? Bo właśnie trwał niedzielny wieczór drugiego kwietnia, a tajemniczy kartonik dopiero co pojawił się, wsunięty pod jej drzwi, w które ktoś niecierpliwie walił.

Kiedy otworzyła, by zobaczyć, kto zostawił owo zaproszenie, spostrzegła Roba, zmykającego w stronę potoku. Zawołała go, ale on udawał, że jej nie słyszy - bez wątpliwości zgodnie z instrukcjami swego pana, który wołał nie poznać jej odpowiedzi.

Zamknęła drzwi i, marszcząc czoło, znowu spojrzała na kartonik. Przyjście! W zamku Glendenninga! Nigdy przedtem nie wydawano tam przyjęć.

Przyszło jej do głowy, że dziwne będzie owo przyjęcie, w czasie którego goście, o ile hrabia zaprosił jeszcze kogoś prócz niej, będą straszyć nogami szczury. Hrabia bowiem niefortunnie wybrał porę, gdy lochy zamku zalewała woda, zmuszając gryzonie do ucieczki na wyższe piętra budowli.

Zmiała kartonik i wrzuciła w ogień. Lord Glendenning nie daje za wygraną, dumala. Szkoda, że nie wydaje mi się równie pociągający, jak ja jemu, bo byłoby przyjemnie mieć tak wytrwałego wielbiciela, gdybym mu potrafiła odplacić podobnym afektem.

Wroczyła do pracy, lecz bez zbytniego entuzjazmu, ponieważ nie robiła postępów, jakie sobie wymarzyła. Nagle znowu rozległo się stukanie do drzwi.

Niedziela nigdy nie była dniem odpoczynku dla medycznie uzdolnionych umysłów członków rodziny Donnegal, ponieważ tego dnia wiesniacy z Lyming nie udawali się do pracy w polu i nie wypływali na połow ryb. Całutki dzień spędzali w domu, co pod wieczór doprowadzało

do napiec, które kończyły się rekocznymi. Brenna przypominała sobie, że leczenie najciekawszych przypadków, będących wynikiem pijanstwa po (a czasem także w czasie) mszy - jak wylupione oczy i rozkwaszone nosy - zdarzało się jej ojcu właśnie w niedziele...

Przytomnie zamknęła za sobą drzwi pracowni ojca, lecz nie przekreciła klucza w zamku. Miała nadzieję, że dzięki najnowszej decyzji, by kierować wszystkie nagłe przypadki do doktora Stanton, będzie mogła za chwilę powrócić do pracy.

Lecz otworzywszy drzwi domku, nie ujrzała poblądłej dziewczyny, która przybiegła, z płaczem błagając, aby panna Brenna szybko przyszła do ich domu, bo mamusia znowu sprala tatusia po twarzy, tylko doktora Reilly'ego Stanton, ubranego w bardzo wytworny czarny strój wizytowy.

Na widok brązowej sukni domowej Brenny zrobił wielkie oczy.

-Och - powiedział, zbity z tropu. - Nie jest pani gotowa? Coz, zaczekam.

I, jakby to była rzecz najnaturalniejsza w świecie, wszedł do kuchni i z kapeluszem w ręce zasiadł przy jadalnym stole.

Brenna, nie zdejmując dłoni z klamki, spojrzała na niego ze zdumieniem. Nie widziała Reilly'ego Stanton od wczoraj, gdy poszła odwiedzić Hamisha, który przychodził do zdrowia pod okiem doktora, lecz nie było to przecież tak dawno, by mogła całkowicie zapomnieć o planowanym przedsięwzięciu...

Zwłaszcza o takim, które wymagało, co stwierdziła, wyrzawszy na dwór, konia i powozu.

-Przepraszam - powiedziała, zbierając myśli - ale czy mamy jakieś plany na dzisiejszy wieczór?

Głaszczący Sorche Reilly spojrzał na Brenne.

-Tak mi się zdaje - odparł zdziwiony. - Lord Glendenning zaprosił nas na przyjęcie.

-Na przyjęcie? - Pokreciła głową. - Pana także zaprosił? Reilly unosił brwi.

-Otoż właśnie. Sądziłem, że będzie pani zadowolona. Nie przypuszczam, by w mojej obecności pozwolił sobie na, eee... miłosne awanse...

-Zgadza się z panem - odparła Brenna, zamykając drzwi. - Tylko nie mogę się pozbyć wrażenia... tak, to do niego całkiem niepodobne. Szczerze mówiąc, sama nie wiem, co o tym myśleć.

-Co o tym myśleć? - Reilly wyprostował nogi i oparł obcasy na krzesle po przeciwnej stronie stołu. - To darmowy posiłek i slyszalem pogloski, ze ma byc niezly. Hrabia dal wolne

tej swojej okropnej kucharce i sprowadził do zamku pania Murphy, która ma przygotować coś specjalnego. Spodziewam się, że w menu znajda się: jej słynna potrawka z krowki, wędzone ostrygi, kapłony, karp w sosie z homara...

-Najwyraźniej jest pan wcale dobrze poinformowany - przerwała mu Brenna ze zdziwieniem.

Reilly wzruszył ramionami.

-Coż, mieszkając w sąsiedztwie gospody Pod Udreconym Zajacem, słysze to i owo. A poza tym nie mam perspektywy spędzenia wieczoru poza domem. Pani MacGregor posiedzi przy Hamishu, który, jak z pewnością pani wczoraj zauważyła, czuje się coraz lepiej. Myślę, że mogę go bez obawy powierzyć na kilka godzin opiece matki. Kiedy nie obawia się, że synowi zagraża śmierć, jest zupełnie rozsądna, a ponieważ chłopiec tak szybko przychodzi do zdrowia... - Reilly uśmiechnął się szeroko - lekarz może sobie pozwolić na wyjście.

Na blat stołu wskoczył kot Erie i z zaciekawieniem spoglądał na gościa. Reilly Stanton unosił rękę, która nie była zajęta głaskaniem Sorchy, i podrapał go pod brodą.

-Myślę, że powinna się pani przebrać - powiedział. - To znaczy, uważam, że ten strój jest czarujący, ale... - Zmarszczył wymownie nos. - Co pani powie o tej niebieskiej sukni, która miała pani na sobie w dniu, w którym poznałem Hamisha?

Brenna westchnęła.

-Prawde mówiąc - zaczęła naburmuszona - to wszystko wydaje mi się dość dziwne. Zaproszenie dostałam przed chwilą i wcale nie miałam zamiaru wychodzić...

-Dlaczego? - zapytał Reilly, szczerze zaskoczony.

-Dlaczego? - Brenna uniosła dłonie. - Staram się za wszelką cenę uniknąć hrabiego Glendenninga, doktorze Stanton. Chciał, aby pan przyznał, że nie nadaje się do samodzielnego życia. Bog raczy wiedzieć, co on knuje...

-Przypuszczam, że ma zamiar podziękować nam za uratowanie mu skóry. Dobrze wie, że gdyby chłopiec umarł przez jego nieostrożność, znienawidzono by go we wsi. - Erie zaczął głośno mruczeć. - Myślę, że za jego zaproszeniem nie kryje się nic więcej. A teraz niech się pani pośpieszy. Musiałem zostawić pożyczony od lorda faeton po przeciwnej stronie potoku, bo mostek okazał się zbyt wąski.

Brenna przygryzła dolną wargę. Było to w stylu lorda Glendenninga! Nie wysłał jej zaproszenia z góry, bo wiedział, że by mu odmówiła. Pożyczając powoz doktorowi Stantonowi i przysyłając go, by ją zabrał z domu, miał nadzieję, że w ten sposób zmusi ją do przybycia.

Z drugiej strony, Reilly Stanton miał rację co do jednego: uratowali lorda Glendenninga - to znaczy, uczynił to Reilly, lecz ona mu w tym pomogła - przed okrzyknięciem go dzieciobójcą. Wprawdzie chłopca omal nie zabił kon, lecz był to kon hrabiego.

Czyż wobec tego nie było całkiem naturalne, że jego lordowska mśc chciał im podziękować?

-Nno, nie wiem... - powiedziała Brenna z ociąganiem.

-Dosc tych bzdur! - zawołał Reilly. Zsunął nogi z krzesła i wykonał ruch, jakby chciał się poderwać, ruch, który spłoszył Sorche i Erica. - Jeżeli pani nie ma ochoty, po prostu przekaze Glendenningowi pani przeprosiny. Ale straci pani smakowite dania...

-Zaraz bede gotowa - powiedziała Brenna, która już od dłuższego czasu nie miała okazji skosztować słynnej potrawy z krowlika. - Proszę mi dać pięć minut, dobrze?

Reilly z zadowoleniem opadł na oparcie krzesła i obydwie zwierzątki nastawiły łebki, by je głaskał.

Brenna weszła do sypialni i otworzyła szafę. Minęło sporo czasu, odkąd starała się ładnie wyglądać. Odczuwała dziwne podniecenie na myśl, że Reilly Stanton ujrzy ją taką, jaka była w tym jej śnie...

Wcale jej szczególnie nie zależy, myślała, wyjmując z szafy suknie, która, jak miała nadzieję, nie była zbyt wygnieciona, co Reilly Stanton sobie o niej pomyśli. Tylko że...

Tylko że kiedy ją widział ostatni raz, nie wyglądała najlepiej. Wprost przeciwnie. Zanim odwiedziła Hamisha, spędziła wiele godzin na wyciąganiu owoców z macic licznych owiec. To zajęcie nie mogło czekać. Rankiem, po operacji Hamisha, prosto ze szpitalika wróciła na pastwisko, gdzie niemal bez przerwy przebywała do dzisiaj. Ten wieczór po raz pierwszy od kilku dni spędziła w domu. Skorzystała z okazji, by w spokoju wziąć długą kąpiel, używając prawie całego kawałka mydła od pani Murphy, by zmyć z siebie silny owczy zapach, którym przesiąkły jej skóra i włosy.

I pomyślała, że Reilly Stanton chwycił ją w objęcia i kilkakrotnie obrócił - zupełnie jakby była lekka jak piórko, a przecież dobrze wiedziała, że to nieprawda - w chwili, gdy cuchnęła owca! Na to wspomnienie zawsze się wzdrygała.

Ale nie dzisiaj. Dzisiaj pokaze mu, że nie tylko może wyglądać jak dama, lecz także ładnie pachnieć. I, zdjawszy brązową suknię, o której wyraził się tak lekceważąco, zabrała się do pracy.

Na jej pojawienie się w drzwiach sypialni Reilly musiał poczekać ponad pięć minut, prawdę powiedziawszy, dłużej niż kwadrans. Ale po sposobie, w jaki zerwał się na jej widok, poznała, że tego nie żałował.

-Na Boga - powiedział, a jego ciemne rozesmiane oczy zalsniły z zachwytu. - Swietnie sie pani domyla, jesli moze to w ten sposob ujac.

Brenna poczula, ze sie rumieni. I niby czemu nie? Zdawala sobie sprawe, ze w sukni z blekitnego jedwabiu prezentuje sie zupełnie niezle. Niebieski kolor podkreslal barwe jej oczu, snieznobiala apaszka wydobywala kremowa karnacje nagich ramion, a wlosy, poskrecane w dlugie loki, lsnily czystoscia.

Nie poskapila takze perfum. O, nie. Teraz nie bylo w niej nic z gumna.

I Reilly Stanton, co stwierdzila, gdy skwapliwie podal jej ramie, takze to zauwazyl.

-Czy mozemy wyruszyć, madame? - zapytal z galanteria, ktora byla mniej kpiaca, nizby tego pragnal.

-Mozemy... - zaczela, wdziecznie skinawszy glowa. I wtedy przypomniala sobie o drzwiach do pracowni ojca. Nie zamknela ich na klucz.

Drgnela, rzucila Reilly'emu Stantonowi spojrzenie, ktorego znaczenia, miala nadzieje, nie mogli pojac, i podbieglszy do drzwi, otworzyla je na ościez.

Pokoj wygladal zupełnie tak samo jak w chwili, gdy go opuscila.

Mikroskop stal na swoim miejscu, wykresy na scianach i na biurku pozostaly nienaruszone. Z westchnieniem ulgi zdmuchnela lampe i wyszla z gabinetu, starannie zamykajac drzwi na klucz.

-Aha - powiedzial Reilly Stanton. - Laboratorium. Tak, koniecznie trzeba je zamykac na klucz, panno Frankenstein. Nie chcemy, aby potwor sie teraz wydostal, prawda?

Rzucila mu gniewne spojrzenie, otulajac sie czarnym koronkowym szalem, zbyt lekkim na tak wczesna wiosne. Lecz nie chciala, by cieplejsze nakrycie popsulo efekt osiagniety dzieki starannie udrapowanej apaszce.

-Cicho. - Stac ja bylo jedynie na taka przebiegla odpowiedz. Choc raz byl jej posluszny. W czasie jazdy do zamku Glendenning prawie sie nie odezwal. Glownie dlatego, ze mial trudnosc z powozeniem po drodze, ktora, na skutek roztopow, stala sie blotnista. Brenna, ktora miala nadzieje, ze wystarczy wlozyc ladna suknie, by doktor Stanton zapomnial o powodzie ich wzajemnej wrogosci, wyrzucala sobie w mysli wlasna naiwnosc...

Gdyby tajemnica, kryjaca sie za drzwiami gabinetu, nalezala tylko do niej, chetnie - przynajmniej tak sobie wyobrazala - by sie nia podzielila. Tak, z cala pewnoscia tak by uczynila, zwlaszcza po tym, co Reilly Stanton zrobil dla Hamisha.

Ale to nie byla jej prywatna tajemnica. Dlatego musiala ja utrzymac, aby nie zawiesc

zaufania kogos bardzo drogiego...

W koncu dojechali do zamku i nawet Brenna, ktora nie bardzo powazala hrabiego, musiala przyznac, ze jest pod wrazeniem jego wysilkow, by uczynic to miejsce jak najprzyjemniejszym. Wzdłuż stromego podjazdu do bramy z opuszczana krata umieszczono pochodnie, ktorých wesole plomienie znaczyły droge.

Przejechawszy przez brame, zostali powitani nie przez ponurego i malo rozgarnietego Raonulla, lecz przez jego lordowska mosc we własnej osobie. Hrabia sprawial wrazenie tak uradowanego, ze Brenna nie potrafila odpedzic bezlitosnej mysli, ze zaczel sacyc szampana, nie czekajac na nich.

-Doktor Stanton! - zawolal lord Glendenning. Brenna dostrzegla w swietle pochodni, ze przywdzial na te okazje swoj najswietniejszy stroj wizytowy. Na ramieniu mial udrapowany pled w kratę, przypięty ciezka - i najwyrazniej bardzo stara - spinka, a w pasie przewiazany byl krotkim kiltem. Srebrne klamry u jego wypucowanych butow lsnily, a ciemne wlosy zostaly szesane do tylu.

-I panna Donnegal! - dodal z wyrazna ulga. - Jakze pieknie dzisiaj wygladasz! Jestem uszczesliwiony, ze zechcialas wziac udzial w naszej skromnej uroczystosci.

Brenna spojrzala na niego rownie chetnym wzrokiem, jak na zagradzajacego droge jadowitego weza.

-Dziekuje za zaproszenie, lordzie Glendenning - powiedziala. - Ja...

Lecz jej slowa zamarly na wargach, gdy lord Glendenning podal jej ramie i powiodl ich nie w strone wielkiej komnaty, gdzie zazwyczaj jadal posilki, lecz do salonu, gdzie, jak Brenna wiedziala, zadna ludzka istota nie miala wstepu od... w kazdym razie za jej zycia.

-Co tam ukrywasz? - zapytala, wchodzac przez ogromne drzwi, ktore hrabia przed nia otworzyl.

W sekunde pozniej juz wiedziala.

Powinna sie byla spodziewac, oczywiscie. Powinna sie byla domyslic, ze to fortel.

Bo w salonie, przy kominku, na bardzo niewygodnych krzeslach w stylu Ludwika XV, siedzieli pastor i jego zona.

14

Oczywiscie, doszly do nas pogloski na temat pani powrotu na wyspe, panno Donnegal - powiedzial wielebny Marshall, nakladajac na talerz porcje pieczonych ostryg.-Ale poniewaz nie widywalismy pani w kosciele... - pani Marshall delikatnie otarla wargi serwetka.

-...Uznalismy te pogloski za falszywe.

Reilly zaobserwowal, ze wielebny i jego malzonka maja sklonnosc do tego, by na zmiane dokonczac swoje wypowiedzi. Spojrzal na duchownego, potem na jego zone, a nastepnie znowu na niego. Napiecie przy stole siegnelo zenitu. Atmosfera stala sie tak ciezka, ze jak w owym powiedzeniu, mozna by ja kroic nozem - a w tym przypadku mieczem, ktory Iain MacLeod odziedziczyl po swych odleglych przodkach.

Reilly nie mial za zle Brennie, ze sie rozgniewala. Wprost przeciwnie, podziwial ja za to, ze tak dlugo trzymala nerwy na wodzy. Uznal, ze wielebny Marshall i jego polowica stanowia raczej uciazliwa pare. Spotkal ich juz kilka razy, gdy pani Marshall czynila wysilki, aby dac mu odczuc, ze jest mile widziany. Przede wszystkim przedstawiajac mu swoje liczne, uczone w pismie corki, z ktorych zadna, co stwierdzil z ulga, nie byla obecna na dzisiejszym przyjeciu. Jako ze najstarsza z nich nie miala nawet szesnastu lat, jeszcze nie "bywaly"...

Nie przeszkadzalo to wcale ich matce paradowac w ich towarzystwie przed nosem nowego lekarza, gdy tylko wracaly ze szkoly do domu, co mialo miejsce w niedziele, gdy przyplywaly promem z pensji w Lochalsh, aby wziac udzial w mszy odprawianej przez ich ojca.

Reilly zmusil sie, by uczestniczyc w mszach - nie pod wplywem potrzeby jednoczenia sie z Bogiem, co wolal czynic na lonie natury niz w jakiejkolwiek budowli wzniesionej przez czlowieka, lecz po to, by poznac czlonkow kongregacji i, na co mial nadzieje, pozyskac ich zaufanie. Nigdy jednak nie zauwazyl w kosciele Brenny i teraz zrozumial, dlaczego starannie unikala Marshallow z powodow, ktore, w miare rozwoju sytuacji, stawaly sie coraz bardziej oczywiste.

-I powiada pani - ciagnal wielebny Marshall, dobierajac sobie marchewki w galarecie - ze jej rodzice wiedza o tym, iz samotnie zamieszkuje pani domek, i ze to pochwalaja?

Brenna panowala nad soba, ale to wcale nie oznaczalo, ze jest zadowolona z przebiegu rozmowy. Spojrzenia, ktore przez caly wieczor rzucala hrabiemu, byly tak lodowate, ze moglyby zmrozic doskonale piwo pani Murphy. Lord Glendenning wcale sie tym nie przejmowal, swobodnie odgrywajac role gospodarza, z wyjatkiem chwil, gdy zdarzalo mu sie energicznie tupnac, po czym rozgladal sie zaklopotany. Po jednym z takich zdarzen Reilly dyskretnie przesunal sie na miejsce, w ktorym poprzednio stal hrabia, i spojrzal na podloge, lecz nie spostrzegl nic podejrzanego, poza mala dziurka w zaprawie murarskiej pomiedzy kamieniami muru, w ktorej, jak przypuszczal, czasami pojawial sie pyszczek i wasiki.

-Tak - odparla Brenna. - Moi rodzice wiedza, ze podczas ich nieobecności mieszkam samotnie w domku. Tak bylo zaplanowane.

Wielebny odchrzaknal. Czynil to w odstepach mniej wiecej pieciominutowych, i Reilly uznal

ten zwyczaj za, łagodnie mówiąc, irytujący oraz zastanawiał się, czy nie przepisać mu jakichś pastylek do ssania.

-Pani droga matka powiedziała mi coś zupełnie innego, panno Donnegan - nie dawał za wygraną pastor. - Zanim ona i pani ojciec opuścili naszą skromną wioskę, dla przygód na Dalekim Wschodzie, pani Donnegan powiedziała mi, że udaje się pani do stryja w Kilcainn, by wraz z nim zamieszkać w Londynie...

-...na cały sezon - skończyła za niego pani Marshall. Brenna prawie nie tknęła potrawy z krowki, z wielką stratą dla niej, ponieważ danie było wysmienite.

-Nastąpiła - odparła, rozgniatając mięso widelcem - zmiana planów.

-Muszę dodać, że bardzo istotna zmiana. - Pan Marshall miał jeszcze jeden zwyczaj, który Reilly uznał za bardziej denerwujący niż częste odchrzkanie, mianowicie, gdy był czymś przejęty, mówił "brrr". - Brrr. Bardzo istotna zmiana.

-Nie mogę uwierzyć, panno Donnegan - odezwała się pani Marshall - że matka pani godzi się na to, by mieszkała pani samotnie w tym domku na uboczu. Zwłaszcza teraz...

-...kiedy grozi nam powódź - dokończył za nią wielbny Marshall.

-Chyba nie wyobrażają sobie państwo, że pozostałabym tam bez wyraźnej aprobaty rodziców - odparła Brenna, szeroko otwierając niewinne oczy. Bardzo przydatny okazał się kolor jej sukni, który idealnie pasował do błękitu teczek, podkreślając ich wielkość i złudną niewinność. Reilly doznał wstrząsu, gdy wyszła z sypialni, wyglądając zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Co prawda w spodniach i swetrze prezentowała się nie mniej pięknie niż w wyjściowej sukni. Chodziło o to, że ta właśnie suknia uwydatniała pewne atrybuty Brenny, których sweter nie wydobywał. Gdyby jeszcze nie skrywała owych atrybutów pod tą dziwną apaszką! Zauważał je wyłącznie wtedy, gdy zwracała się do niego pod określonym kątem.

-Doprawdy - powiedział wielbny Marshall - sam nie wiem, co o tym sądzić. Jak zawsze, chcę wierzyć, że moi parafianie mnie nie okłamują, ale w pani przypadku, panno Donnegan...

-...pani reputacja pracuje na pani niekorzyść - powiedziała pani Marshall i znowu przytknęła serwetkę do ust. - Z powodu dziwnych wyskoków zawsze cieszyła się pani zła sława.

Reilly słuchał z zainteresowaniem. Był wprawdzie zakłopotany, patrząc, jak wielbny i jego małżonka oczerniają dziewczynę. Podejrzewał, że Glendenning gorzko pozaluje swojej intrygi.

Lecz to, co się działo na jego oczach, było niezwykle zabawne.

-Wyskoków? - powtórzył z zachwytem. - I jakież to były wyskoki?

Brenna przeszła go wzrokiem. Ku jej najwyższemu niezadowoleniu zajmowała miejsce po lewicy lorda Glendenninga, podczas gdy pani Marshall zasiadała po jego prawicy. Wielebny siedział obok Brenny, a Reilly miał zaszczyt siedzieć po prawej ręce żony pastora. Hrabia, prezydujący u szczytu stołu, był jedyną osobą, mogącą wszędzie swobodnie obserwować.

Toteż spostrzegł złowrogie spojrzenie, które Brenna posłała przez stół Reilly'emu, i najwyraźniej sprawiło mu to wielką przyjemność.

-Och, tak, pani Marshall - powiedział hrabia. - Posłuchajmy o jej wyskokach.

Pani Marshall nie dała się prosić.

-Coż, od czego by zacząć? Pamiętam, że bezlitośnie znęcała się nad swymi młodszymi braćmi. Zmuszała ich do zjedzenia wszystkich placków owocowych ze spiżarni matki...

-Bardzo przepraszam - przerwała jej Brenna. - To był naukowy eksperyment medyczny.

-Bardzo naukowy - zgodziła się pani Marshall. - Chciała określić stopień trawienia pewnych jagód i uznała, że najlepiej to zrobić...

-... badając wymiociny dzieci - zakończył wielebny z obrzydzeniem. - Całkowicie niedopuszczalne zachowanie. Powiedziałem o tym jej ojcu, ale on nie dopatrzył się w tym niczego nieodpowiedniego.

-...skoro chłopcy byli dość głupi, by jeść, aż zrobi im się niedobrze, zasłużyli sobie na to. Ale to jeszcze nic - oświadczyła pani Marshall. - Pamiętajcie, jak ścięła sobie włosy i ukryła się na promie Stubena? - Pani Marshall pokręciła głową. - Chciała się zatrudnić jako chłopak do wszystkiego. I udaloby jej się, gdyby nie...

-...gdyby nie to, że ojciec ją wyszedł i położył temu kres.

-Potrzebowałam pieniędzy - powiedziała Brenna.

-Brrr. Bo chciała pani kupić...

-...własny mikroskop - dokonała pani Marshall. - Zupełnie nieodpowiedni przyrząd dla młodej pani. Przecież mogła sobie pani zszpecić te piękne oczy! Muszę panią zapewnić, że żadna z moich córek nigdy nie wyraziła chęci posiadania czegoś równie nieodpowiedniego. Oszczędzają wzrok, by móc haftować.

Reilly był zachwycony tymi opowiastkami. Oczywiście spodziewał się, że w dzieciństwie Brenna była aniołkiem - wystarczyło spojrzeć na wyraz jej twarzy.

Zachwycała go natura tych, tak zwanych, wyskoków dziewczyny, ponieważ wskazywały one na jej badawczy, wysoce analityczny umysł. Każdy z nich musiał być z początku dobrze

przemysłany. Każdy wymagał zebrania informacji i miał doprowadzić eksperymentatorke do określonego celu...

Reilly'emu bardzo to odpowiadało.

I wtedy hrabia pochylił się do przodu i rzekł:

-Ale zapomniała pani o jej największym wyskoku.

Pastor i jego żona wymienili spojrzenia. Nawet Reilly pochylił się nad stołem.

-Co pan ma na myśli, milordzie?

-Cos, co nadal robi, moj dobry czlowieku - odparl hrabia. - Nadal! Nawet teraz, kiedy tu z nia siedzimy przy jednym stole.

Brenna odlozyla swoja serwetke.

-Milordzie - powiedziala ostrzegawczym tonem.

Lecz bylo za pozno. Lord Glendenning juz wyjmowal arkusz papieru ze skorzanej sakiewki, ktora nosil u pasa.

Arkusik, ktory Reilly'emu wydal sie dziwnie znajomy.

I nagle sobie przypomniał. Na Boga! Ow zmiety kawalek papieru stal sie przyczyna wszystkich nieszczes. To z jego powodu nieszczesny Hamish MacGregor mial teraz dziure w czaszce. List! List do Brenny, ktory Glendenning skradl z pocztowego worka Stubena!

-Daj spokoj, Glendenning - powiedzial Reilly, podnoszac sie z krzesla.

Za pozno. Lord Glendenning juz zaczal czytac.

Moja najdrozsza Brenno. Obawiam sie, ze stalo sie najgorsze. Moj ojciec wczoraj wieczorem spotkal w operze Twego stryja! Oczywiscie, papa zapytal go, jak sie czuje. Kiedy Twój stryj odparl, Ze nigdy nie czul sie lepiej, papa wyrazil zdziwienie, bo przeciez przed zaledwie trzema miesiacami posluzylas sie choroba stryja jako pretekstem, by nagle opuscic nasz dom. Na co Twój stryj oczywiscie odparl: "Jezeli jest pan Reginaldem Bartlettem, to moja bratanica Brenna mieszka w panskim domu w Bath. Nie dalej jak wczoraj dostalem od niej liscik, w ktorym wspomina, ze w pijalni widziala ksiecia Walii", na co papa, oczywiscie, odpowiedzial, ze nie widzial Cie od wielu tygodni...

W tym momencie Brenna Donnegal wstala z krzesla i drzacym z wscieklosci glosem powiedziala:

-Jezeli mial pan zamiar, lordzie Glendenning, upokarzac mnie i dreczyc w obecności tych

ludzi, to musze pana zapewnic, ze panski zamiar sie powiodl.

Lord Glendenning uniosl wzrok znad listu i spojrzal na nia niezwykle zdziwiony.

-Poczekaj - powiedzial. - Ja tylko chcialem...

-Nie mam pojecia, co pan chcial - odparla Brenna z godnoscia. - Zegnam pana i niech sie pan nie wazy do mnie odzywac. - Po czym zwrocila sie do pani Marshall. - I choc nie chce pani niepokoic, madame, sadze, ze powinna pani wiedziec, ze na kredensie, tuz za pania, siedzi szczur.

To rzeklszy - i przy akompaniamencie wrzaskow pani Marshall, ktora obejrzala sie i rzeczywiście spostrzegla gryzonia - Brenna Donnegal opuscila jadalnie.

Reilly, znajdujacy sie najblizej rozhisteryzowanej kobiety, nie mogl uczynic tego, na co mial najwieksza ochote, to jest wybiec z salonu za Brenna. Musial zajac sie zona pastora, ktora padla zemdlona, zanim ucichlo echo jej krzykow.

Minela dluzsza chwila, nim Reilly'emu udalo sie ocucic poczciwa dame. Kiedy stanela na nogi, zadecydowala, ze nalezy jak najszybciej opuscic zamek pomimo faktu, ze jeszcze nie podano madery. Gospodarz wybiegl na poszukiwanie urazonej dziewczyny, wiec nie bylo powodu, by zostawac dluzej.

Reilly odprowadzil wielebnego i jego zone do powozu i zyczyl im dobrej nocy. Wielebnemu ani pani Marshall nie spodobala sie rozsadna porada medyczna, jakiej udzielil, gdy ta ostatnia poskarzyla sie na palpacje serca, ktorych dostaje za kazdym razem, gdy po zamknieciu oczu widzi wasaty pyszczek - poradzil jej bowiem, by nie zamykala oczu.

Patrzac, jak ich oddalajacy sie powoz staje sie coraz mniejszy, Reilly znow poczul podziw dla panny Donnegal. Wspomnienie listu, odczytanego na glos przez lorda Glendenninga, zostanie w umyslach wielebnego i jego malzonki zatarte przez widok szczura, ktorego Brenna tak niedbale im wskazala.

Reilly powrocil do salonu, rozmyslajac o liscie, i znalazl go tam, gdzie porzucil go hrabia, zanim wybiegl za Brenna. Poniewaz poszukiwania lorda Glendenninga i dziewczyny nie przyniosly rezultatu, Reilly usiadl na zwolnionym przez hrabiego krzesle - dbajac o to, zeby jego stopy na wszelki wypadek znalazly sie wysoko ponad podloga, w razie gdyby ktorys z kuzynow znanego mu juz szczura zapuscil sie tu w poszukiwaniu okrucichow - i przeczytal reszte owej wstrzasajacej korespondencji. Nie uwazal swego postepowania za szczegolnie niegodne, poniewaz wiekszosc listu zostala mu juz odczytana.

...na co papa oczywiscie odpowiedzial, ze nie widzial Cie od wielu tygodni, informowala panna Mary swoim pensjonarskim charakterem pisma. Twój stryj był wściekły, bo, jak powiedział, powierzył Ci opiece mego ojca i, wedle słów papy, zachował się bardzo grubiańsko, krytykując jego całkowity brak odpowiedzialności i grożąc, że jeśli stanie Ci się

cos zlego, obciazy mego ojca odpowiedzialnoscia prawna...

Na szczescie - Reilly ze zdziwieniem odczytal to slowo, poniewaz na skutek lektury listu zaczal miec zle przeczucia.

Na szczescie moja siostra Sarah podslychala ich rozmowe i natychmiast poinformowala Twego stryja, ze pomiedzy Toba a mna nastapily nieporozumienia - tak! - i nie chcac go martwic, nic mu o tym nie napisalas, ale nadal przebywasz w Bath i zatrzymalas sie u Elizabeth Sexton, co Twemu stryjowi mogloby sie nie spodobac, poniewaz jej ojciec jest raczej pospolity (jest adwokatem). Mam nadzieje, ze udalo jej sie naprawic sytuacje, ale musisz, teraz, napisac do Twego stryja i potwierdzic wersje Sarah. Rozmawialam z, Elizabeth i jest gotowa nam pomoc...

List byl dluzszy, znacznie dluzszy, ale opowiadal o kapeluszach i o mlodych oficerach, wiec Reilly nie mial cierpliwosci, by go dokonczyc. Zlozyl arkusik i wsunal go do kieszeni surduta. Przy najblizszej okazji dostarczy go do rak adresatki. Na razie zajal sie popijaniem hrabiowskiej madery, zastanawiajac sie, co ten czlowiek chcial uzyskac, urzadzajac dzisiejsze przedstawienie.

Po chwili hrabia powrocil do jadalni i Reilly mial okazje go o to zapytac.

-Och, nawet mi o tym nie przypominaj - odparl lord Glendenning, opadajac na krzeslo, ktore niedawno zajmowala Brenna. Podczas gdy Reilly zatopiony byl w lekturze, sluzba uprzatnela naczynia. Na stole zostala tylko madera, a na kredensie rzucajace sie w oczy szcurze bobki. Reilly zdal sobie sprawe, ze zamek jest oblezony przez te gryzonie.

-Myslalem... sam nie wiem, co myslalem - ponuro wyznal hrabia. - Wiem tylko tyle, ze moj pierwotny plan - zebys zamieszkal w domku i ja z niego usunal - wzial w leb. A potem moj drugi plan, zebys stwierdzil, ze ma zle w glowie... tez sie nie powiodl. Wiec pomyslalem sobie, ze moze, gdy porozmawia z nia pastor...

-Padnie w twoje ramiona z wdziecznoscia za to, ze pomogles jej powrocic na sciezke cnoty?
- Reilly spogladal na hrabiego z pelnym wyrozumialosci rozbawieniem. - Prawdziwy osiol z ciebie.

-Wiem o tym - przyznal ponuro hrabia. - Ale sam wiesz, ze plan nie byl taki zly.

-Nieprawda. Pomysl byl od poczatku do konca pozbawiony sensu i jestem zachwycony, ze dane mi bylo obserwowac, jak wali sie na twoja glupia glowe.

-Ejze! Nie musisz mnie obrazac.

-Przepraszam - odparl Reilly, wstajac. - Gdzie ona jest?

-Nie wiem. - Glendenning pochylil sie nad stolem i oparl glowe na rekach. - Musi byc w

zamku. Raonull mowi, ze nie widzial, by wyszla.

-Bardzo dobrze. - Reilly spostrzegł szpiczasty pyszczek, wygladajacy spod kredensu. Szczur, ktorego sploszyly wrzaski pani Marshall, najwyrazniej powrocil. - Zostawie cie teraz z twoimi poddanymi.

Glendenning nie zapytal go, co ma na mysli. Nawet nie podniosl glowy. Reilly wyszedl, myslac o tym, ze hrabia zasluzyl sobie na wszystko, co go spotkalo, nawet na to, by szczur wlazl mu do nogawki. Tylko ze w tym przypadku szczur wlazlby pod kilt, poniewaz lord Glendenning nie przepadal za noszeniem spodni.

Nie bylo prawdopodobne, by Brenna schronila sie w swoim ulubionym miejscu, na szczycie murow obronnych, poniewaz, co Reilly stwierdzil, zegnajac Marshallow, nocne powietrze stalo sie lodowato zimne. Brenna zas miala na sobie tylko suknie, szal z czarnej koronki i te dziwaczna apaszke. A poza tym nie byla glupia: Glendenning tam wlasnie zaczalby jej szukac.

Rozmyslajac nad tym, jak dziewczyna ma zamiar zatuszowac sprawe, bo Marshallowie, znajacy jej stryja, mogliby jej napytac niemalych klopotow, Reilly wedrowal po zamkowych korytarzach, zagladajac do komnat i wolajac Brenne po imieniu.

Nie byl w stanie sobie wyobrazic, jak Glendenning wytrzymuje w tym wilgotnym mauzoleum. Panowal tu przenikliwy chlod i cuchnelo plesnia, a na dodatek zamek zamieszkiwaly szczury! Chociaz jadalnia, w ktorej Reilly nie byl nigdy dotad, bo hrabia wolal jadac w wielkiej komnacie, prezentowala sie zupełnie niezle. Salon, w ktorym siedzieli przed kolacja, takze byl nie najgorszy. Zagladajac do niszczejacej sali balowej, pomyslal, ze w zamku Glendenning znajduje sie kilka pomieszczen, ktorym przy odrobinie staran daloby sie przywrocic dawna swietnosc.

Chocby owa sala balowa. Reilly stwierdzil, ogladajac pomieszczenie w swietle kandelabru, ktory uniosl wysoko nad glowa, ze podloga wciaz nadaje sie do uzytku. Pozwalajac, by marnowala sie taka posadzka, Glendenning musial byc jeszcze wiekszym glupcem, niz Reilly sadzil dotychczas. I kiedy juz mial wyjsc z sali balowej i szukac nadal, katem oka spostrzegl ciemny, znajomy ksztalt. Blizsze ogladziny udowodnily, ze faktycznie byl to fortepian.

Reilly, ktory od czasu wyjazdu z Londynu nie mial okazji grac na tym instrumencie, ku wlasnemu zaskoczeniu stwierdzil, ze bardzo mu tego brakowalo. Postukal w klawisze i przekonal sie, ze fortepian wcale nie jest straszliwie rozstrojony. Postawil kandelabr na instrumencie, zasiadl na stoczonej przez korniki laweczce, strzelil knykciami i poczal wywodzic prosta melodie.

Zupełnie niezle. Dobry stary instrument, o silnym i czystym dzwieku. Od dawna nie czyszczony, ale wystarczy porzadne odkurzenie. Reilly sprobował zagrąć coś bardziej

skomplikowanego. Ach, tak, środkowe C ma tendencje do opóźnienia, ale poza tym...

Akustyka sali była zadziwiająca. Pograził się w sonacie, zupełnie się zatracając w muzyce...

-Bardzo ładnie.

Przestał grać i zdumiony, spostrzegł Brenne Donnegal. Stała obok, wspierając łokiec na instrumencie, a brode na dłoni.

-Och - powiedziała, spoglądając na niego oczyma o barwie morza w chmurny dzień. - Niech pan nie przerywa z mojego powodu.

-Chyba mnie trochę poniosło, prawda? - zapytał zawstydzony.

-Wcale nie. Grał pan pięknie. Beethovena, prawda?

-Tak. Dawno nie słuchałem prawdziwej muzyki.

-Rozumiem, że gra na dudach nie zasługuje według pana na miano prawdziwej muzyki? - spytała, przyglądając mu się z żartobliwym wyrazem twarzy.

Reilly poczuł, że się rumieni.

-Dudy są w porządku - odparł. - To znaczy, nie mam nic przeciwko dudom.

-Ale będąc mieszkańcem Londynu, oczywiście woli pan tamtejszą muzykę.

Tamtejsza. Londyńska. Czy już zawsze tak będzie? Gorał przeciwko londyńczykowi, nieustająca walka o moralną i kulturalną wyższość? Czy on, londyńczyk, już nigdy nie dopasuje się do tego przeklętego miejsca?

Wskazał jej klawiaturę. Mała zmiana tematu będzie nie od rzeczy.

-Gra pani? Zmarszczyła nos.

-Sklaniam się raczej ku nauce.

-No tak - odparł. - Oczywiście. Co ilustruje historyjka o wymiotach.

Stwierdził, że się nie zarumieniła.

-Właśnie.

-To wcale nie jest trudne - powiedział Reilly. - Granie. Proszę usiąść, a pokaże pani.

Rzuciła mu spojrzenie z ukosa.

-Dziękuję, postoję.

-Och, niech pani nie będzie niemadra - powiedział. - Nie mam zamiaru pani kompromitować.

-Pewnie, że nie. Omal zapomniałam, że jest pan prawie żonaty.

-Ja? - zdumiał się.

A potem mu się przypomniało. Christine. Zdawałoby się, że nie myślał o niej od wieków.

-No tak, oczywiście - powiedział. - Tak, chyba tak. Prawie żonaty. Coż, w każdym razie, prawie żareczony.

Nie widział powodu, by wspominać Brennie Donnegal o subtelnej zmianie, jaka zaszła w jego uczuciach do Christine od owego poranka po operacji Hamisha, o tym, że Christine, która nigdy nie popierała jego zamiarów zostania przede wszystkim lekarzem, ostatnio coraz mniej go zajmowała.

-Wiec proszę usiąść - powiedział, przesuwał się, by zrobić jej miejsce.

Posłuchała go z nieodgadniętym uśmiechem, choć na wąskiej ławeczce ledwie się obydwójce pomieszcili, zwłaszcza że jej spodnica oraz halki zajmowały sporo miejsca.

-Świetnie - ucieszył się Reilly. - A więc to jest środkowe C - powiedział, przyciskając odpowiedni klawisz. - Trochę się opóźnia, ale tak czy owak, jest to klawisz, od którego zaczynam. Coraz wyżej, począwszy od środkowego C - przebiegł palcami po klawiszach - mamy oktawę. W przeciwną stronę mamy inną oktawę. Czy to jasne?

-Chyba tak - odparła. - Czy Marshallowie wyjechali?

-Tak. Już jakiś czas temu. Ich wyjście było naprawdę dramatyczne. Jak przewidziała pani, że pojawi się szczur?

-To była improwizacja - odpowiedziała Brenna. - Wiosna zawsze jest ich tu pełno. Uciekają z lochów, które zalewa woda, pochodząca ze śniegu topniejącego w górach.

-Jak miło. Myślę, że dzięki szczirowi Marshallowie zapomna o tym, że mieszka pani samotnie w domku na uboczu. Przynajmniej na razie. - Przebiegł palcami po klawiszach. - A więc rozumie pani, jak to jest ze środkowym C?

-Rozumiem - odparła z powagą.

-Kiedy się to wie, można zagrać naprawdę wszystko. Czego chciałaby się pani nauczyć?

Brenna wzruszyła ramionami. Gdy to uczyniła, nie mogł nie zauważyć, że tiulowa chusteczka na jej ramionach przesunęła się, odsłaniając spora część dekoltu.

-Chyba tego, co pan grał przed chwilą - powiedziała.

-Ach, tego? Wesoly kawalek, prawda? Tak, bardzo dobry na początek. Proszę mi podać reke.

Posłuchała go, a on, spoglądając na nią, przypomniał sobie, jak kiedyś porównywał jej palce ze swoimi. Poczul się podobnie jak wtedy. Jakies nieznanne uczucie rozgrzało go od stop po czubek głowy, zupełnie jak whisky w gospodzie pani Murphy. Nie miał pojęcia, co jest w tej dziewczynie, że jej dotyk wywołuje u niego takie dziwne fizyczne reakcje. Nie była najpiękniejsza z wszystkich, jakie dotychczas poznał, ani najbardziej doskonała. Pewne znaczenie, jak sądził, miała tu jej przekora. No, i jeszcze te spodnie...

-Proszę trzymać reke, o tak - powiedział, układając jej palce na odpowiednich klawiszach. - Nie tak bezwładnie. Wyżej. - Polaskotał jej dłoń. - Trzeba zrobić daszek. O tak. A teraz druga reka.

Kiedy ułożył jej palce na klawiszach, spojrzął na nią i całkiem zapomniał, jak gra się te sonaty i w ogóle wszystkie inne sonaty.

Brenna czekała, trzymając reke w pogotowiu. Reilly czuł won jej perfum. Lekka i czysta, nie dusząco kwiatowa jak perfumy innych kobiet. Kiedy zwróciła ku niemu głowę, jej miękkie włosy musnęły policzek Reilly'ego. Wdzieczny ruch jej szyi znow zwrócił jego uwagę na dekolt, którego szpic trafiał dokładnie w wąskie zagłębienie pomiędzy kraglami, wysoko osadzonymi piersiami.

-Wiec? - spytała, unosząc brwi. Jej twarz znajdowała się tuż przy jego twarzy.

-Ja... - Co się ze mną dzieje? - pomyślał. Nigdy w życiu nie był tak skrepowany w obecności kobiety. A zwłaszcza kobiety, która w krótkim czasie ich znajomości sprawiała mu prawie same kłopoty...

Cos tu było nie w porządku. Bardzo nie w porządku. Był nadmiernie przejęty jej bliskością i jej ciepłem. Kształt jej miękkich, wilgotnych, czerwonych ust nęcił go, zapraszając, by przycisnął do nich swoje wargi, a jej wzrok spoczywał na nim nieruchomo i uporczywie...

Zanim się spostrzegł, otoczył ją lewym ramieniem, dłoń spoczęła na jej cienkiej talii, a on pochylił się naprzód, zahipnotyzowany widokiem tych zachęcających ust...

Nagle odwróciła głowę, wyprostowała plecy i zaczęła wprawnie przebiegać palcami klawiaturę.

-Hej, okretowe szczury - bez cienia niesmiałości wyspiewała głębokim kontraltem strofe

sprosnej szanty. - Nie spotka mnie tu nikt. Wesole panienki pod wiatr, ich sutenerzy z wiatrem, ty, plugawe morze.

Zbity z tropu Reilly zdal sobie sprawe, ze panna Brenna Donnegal gra na fortepianie z biegloscia rowna jego wlasnej, a, sadzac po lekkosci, z jaka jej palce pomykaly po klawiszach, moze nawet z jeszcze wieksza. Uśmiechnela sie do niego chytrze ponad odslonietym ramieniem, udowadniajac, ze zna klawiature tak dobrze, iz nie musi na nia spogladac.

Byla to ostatnia piosenka, jaka Reilly spodziewalby sie uslyszec z ust kobiety, mieniacej sie corka dzentelmena.

-Hej, okretowe szczury - spiewala dalej, a nastepna zwrotka zdawala sie gorsza od poprzedniej (co bylo tradycyjne dla szant) - Nie dla mnie morski wilk. Odwaz sie splunac mi w twarz, a ja oplwam ciebie, ty, plugawe morze.

Reilly nie mial pojecia, co ona wyprawia. Przeciez wiedziala, byl tego pewien, ze chcial ja pocalowac. Fakt, ze wiedziala o tym i celowo uniknela jego pocalunku, irytowal go jeszcze bardziej niz to, ze umiala grac na fortepianie, chociaz udawala, ze nie potrafi.

A nawet odczuwal cos wiecej niz irytacje. Bylo mu przykro. Podobal jej sie. Wiedzial, ze jej sie podoba. Wyznala mu to owego ranka, gdy stali razem na pomosci w przystani.

Wiec dlaczego odwrocila glowe, w chwili gdy chcial ja pocalowac, i dlaczego wyspiewywala piosenke o prostytutkach i ich alfonsach, piosenke, o ktorej znajomosc nawet jej nie podejrzewal.

W kazdym razie nie mial zamiaru pozwolic jej, by go tak odtracila.

Stanowczym ruchem otoczył jej talie rowniez prawym ramieniem, zamykajac ja w objeciach, pochylil sie i przycisnal wargi do jej ust, majac szczerą nadzieje, ze w ten sposob na zawsze uciszy jej opinie na temat morza.

15

Stwierdzenie, ze Brenna byla zaskoczona, gdy Reilly Stanton ja pocalowal, i to nad wyraz zdecydowanie, byloby niedomowieniem. Kiedy wpatrywal sie w nia tak intensywnie, podejrzewala, ze ma zamiar to uczynic. I wstyd powiedziec, na sama mysl, ze jego wargi znajda sie blisko jej ust, poczula pulsowanie krwi w uszach. Nie nosila gorsetu, poniewaz nie miala sluzacej, ktora by go zasznurowala, ale nagle zabraklo jej tchu, zupełnie jakby fiszbiny zbytnio ja sciskaly.

Nie moge tracic tchu i cierpiec na zawroty glowy tylko dlatego, ze mezczyzna spoglada na mnie tak, jakby mnie chcial pocalowac, strofowala sama siebie. Powinnam byc raczej wsciekla, rozgniewana na sama mysl o tym, ze osmiela sie miec takie niegodziwe zamiary.

Ale wtedy poczula obejmujace ja ramie i...

Zrobilo sie tak, jakby po miesiacu ulewy nagle wyrzalo slonce. Jej skora zaczela wibrowac, a przynajmniej tak sie Brennie wydawalo, i nagle uswiadomila sobie posiadanie czesci ciala, ktorymi nigdy dotad nie zawracala sobie glowy. Na przyklad uszy. Nie miala pojecia, dlaczego Reilly Stanton, otaczajac ja ramieniem, sprawil, ze zdala sobie sprawe z posiadania platkow usznych, ale tak wlasnie sie stalo. Nagle staly sie ciezkie i laskotliwe...

I kłopot polegał na tym, że odczuwała tak nie tylko płatki uszu.

Lord Glendenning obejmował ją setki razy. Lord Glendenning nawet ją całował. Lecz jej ciało nigdy tak nie reagowało. Kiedy Reilly Stanton objął jej talie, serce Brenny zaczęło łomotać tak głośno, że zlekka się, iż Reilly je usłyszy i rozpozna jej słabość.

Ponieważ, musiała to teraz przyznać, czuła do Reilly'ego Stantona słabość, wielką słabość, i to nie tylko dlatego, że miał najdelikatniejsze dłonie, które z takim znanstwem pielegnowały małego Hamisha, kiedy był nieprzytomny, dłonie, które z taką pewnością i zwinnością układały jej palce na klawiaturze fortepianu.

Reilly Stanton ze swym miłym uśmiechem i z poczuciem humoru, z silnymi dłońmi i łagodnymi ciemnymi oczyma był najbardziej pociągającym z wszystkich znanych jej mężczyzn i pragnęła, by ją pocałował, i to tym najgorszym z pocałunków...

Owo silne pragnienie okropnie ją przeraziło.

Dlatego zaczęła wyspiewywać najdziwniejszą piosenkę. W ten sposób chciała nie dopuścić, by ją pocałował - ponieważ gdyby do tego doszło, odpowiedziałaby pocałunkiem i, czego była pewna ponad wszelką wątpliwość, nie potrafiłaby go zakończyć - oraz usłyszałaby dudnienie jej serca.

Tylko że jej wybieg na nic się nie zdał. Reilly pocałował ją mimo wszystko. A był to pocałunek, jakiego najbardziej pragnęła i jakiego najbardziej się obawiała.

Jego wargi, podobnie jak dłonie, były nieskonczenie delikatne i wyrabiały z nią rzeczy, sprawiające, że uczucie w płatkach usznych - i innych miejscach - stawało się jeszcze trudniejsze do zniesienia. Zdecydowana nie dać się ponieść temu pocałunkowi mocno zacisnęła usta.

Ale wystarczyło jedno czy dwa musnięcia języka, a jej wola osłabła. Brenna zaczęła topnieć na całym ciele. Gdyby nie podtrzymały jej silne ramiona Reilly'ego, z pewnością osunęłaby się na ławeczkę, a następnie na podłogę. Otwierała się dla Reilly'ego jak blask poranka dla wschodzącego słońca. I to było niesprawiedliwe! Niesprawiedliwe, że tak się przez niego czuła!

Niesprawiedliwe, ale cudowne. W jego pocałunku wszystko było cudowne, począwszy od słodczych ust Reilly'ego Stantona, które smakowały jak wino, poprzez sposób, w jaki jego silne ręce obejmowały ją w talii, po skóre jego dłoni, tak gorąca, że paliła ją przez jedwab sukni. Jak mogła oprzeć się czemuś równie rozkosznemu jak pocałunki Reilly'ego Stantona? Brenna była przekonana, że nie oparłaby się im żadna kobieta.

I niby dlaczego ona miałaby im się opierać? Zwłaszcza że całując go, czuła, że czyni słusznie. Nawet jego język, wsuwający się tak śmiało pomiędzy jej wargi, zdawał się znajomy jak coś, za czym od dawna tęskniła... chociaż nigdy przedtem nie zaznała dotyku

meskiego języka. Wiedziała tylko tyle, że tak ma być.

Może właśnie dlatego odwróciła się w stronę Reilly'ego i zarzuciła mu ręce na szyję, chwytając go za włosy na karku, włosy, które jak zwykle wysunęły się ze ściągającego je rzemienia. Może właśnie dlatego nie miała najmniejszych obiekcji - zupełnie jakby była dziewczyna obyczajów jeszcze lepszych niż Flora - gdy poczuła, że jedna z obejmujących ją rąk Reilly'ego podpełza wyżej, aż spoczęła ponad wypukłością lewej piersi Brenny.

Ale to także wydawało się w porządku. Ponieważ jej piersi należały do tych części ciała, które stawały się większe i jakieś laskotliwe, gdy dotykał ich Reilly. Zupełnie jakby chciała, by ich dotknął.

Na Boga, naprawdę stawała się lubieżna. I to nią wstrząsnęło, ponieważ zawsze uważała się za osobę zdyscyplinowaną, prawdziwego mózgowca. A tu, z wielkim zaskoczeniem, odkrywała, że choć dotychczas kierowała się wyłącznie rozumem, potrafi być posłuszną czemuś zupełnie innemu.

I miała pewność, że tym czymś jest jej serce.

-Brenno... - Reilly przerwał pocałunek, by wyszeptać jej imię. - Brenno...

Po coż on traci czas na gadanie? - zastanawiała się poirytowana. Nie ma o czym mówić. Już się narozmawiali. Teraz nadszedł czas pocałunków.

Więc chwyciła jego twarz w dłonie i dała do zrozumienia, co sądzi na ten temat.

Jego reakcja była bardziej niż zadowolająca. Jeknął i mocniej objął talie Brenny. A dłoń, którą umieścił nad jej piersią, uczyniła coś zupełnie nieoczekiwanego... ale nadzwyczaj przyjemnego. Spoczęła wprost na piersi, zdecydowanie ją chwytając.

Brenna nigdy dotąd nie pozwoliła, by jakiś mężczyzna dotknął jej w to miejsce. Co nie oznacza, że wielu próbowało. Wszyscy mężczyźni, z wyjątkiem lorda Glendenninga, zbyt się jej bali, by pozwolić sobie na taką zuchwałosc.

Ale teraz stało się dla niej zupełnie jasne, dlaczego Flora, pomimo że hrabia tak źle ją traktował, nie potrafiła się trzymać z dala od niego. Jeżeli Flora czuła się podobnie jak ona za każdym razem, gdy lord Glendenning jej dotykał, nic dziwnego, że nie potrafiła mu odmówić. Przyjemność była zbyt wielka...

I wtedy, gdy rozmyślała nad tym, że nie ma nic bardziej zachwycającego niż pocałunki Reilly'ego Stantona, dłoń na jej piersi poczyniła sobie jeszcze śmielej - o ile to w ogóle było możliwe. Bo oto te zwinne palce zagłębiły się w dekolcie, nie zważając na apaszkę. Sekunde później Brenna wiedziała, jak to jest, kiedy się czuje meska dłoń na nagim ciele.

Sensacja owa wywołała ciche westchnienie rozkoszy, które wydarło się gdzieś z głębi jej

gardla...

Uslyszawszy to westchnienie, Reilly Stanton dal sie poniesc czemus, co najwyrazniej z trudem trzymal na wodzy. Nagle zapragnal przycisnac jej ciało do laweczki i obsypac pocalunkami szyje Brenny.

Jednakze problem polegala na tym, ze na laweczce nie bylo juz miejsca.

Reilly poradzil wiec sobie inaczej. Po prostu uniosl Brenne i oparl jej plecy o fortepian. Jednak nie wzial pod uwage faktu, ze gdy ja tak umiesci, jej siedzenie spocznie na klawiaturze, powodujac glosny i nieharmonijny odglos w zazwyczaj cichej sali balowej...

I sprawi, ze Brenna szybko otrzasnie sie z namietnego oszolomienia.

Co ja wyprawiam? - myslala goraczkowo. Co ja najlepszego robie, pozwalajac, by Reilly Stanton uwodzil mnie w nadszarpnietej zebem czasu sali balowej lorda Glendenninga? Czyzbym postradala rozum?

Najwyrazniej tak. Zadzca przyprawila ja o utrate zmyslow.

Na szczescie sie opamietala. Jednym, pelnym oburzenia ruchem odepchnela Reilly'ego Stantona.

Nie jej wina, ze zaskoczony spadl z laweczki, ladujac na podlodze niczym kloda.

Spojrzal na nia dotkniety, rozzloszczony i zaskoczony zarazem.

-Dlaczego to zrobilas? - zapytal nieswoim glosem. Glosem, ktory wspinal sie i opadal o kilka oktaw, a jednoczesnie drzal.

Podobnie jak jej rece, ktorymi wpychala piersi pod suknie, skad wydobyly je te nazbyt zwinne palce.

-Dobrze wiesz dlaczego - odparla. Ze zdziwieniem stwierdzila, ze jej glos takze drzy. Odchrzaknela, lecz na nic sie to nie zdalo. Wszystkiemu winne byly wargi. Nadal odczuwala w nich mrowienie, wszedzie tam, gdzie dotknely ich jego usta.

-Jesli sie nie myle - powiedzial, wciaz z podlogi, lecz juz mniej zaklopotany, a bardziej rozgniewany - wygladalo na to, ze bylo ci przyjemnie.

Poczula, ze sie rumieni. Nie mogla sie tego wyprzec. Bylo jej przyjemnie i uwazala, ze nie powinno go to dziwic. Brodawki jej piersi nadal byly twarde jak dwa blizniacze korki, i nie mialo to nic wspolnego z panujacym w zamku chlodem. Skrzyzowala ramiona, by ukryc ten fakt, jesli nie ukryla go tkanina sukni.

-Pewnie, ze bylo mi przyjemnie - wyszeptala. - Wlasnie o to chodzi.

-Dlaczego szepczesz?

-Oszalales? Przecież w każdej chwili może wejść lord Glendenning. Nie możesz... nie możemy... tego robić. Nie pod jego dachem. Moja Boże, gdyby się o tym dowiedział, zabiłby cię!

Reilly wzruszył ramionami i zaczął się zbierać z podłogi.

-Niech no tylko spróbuję - powiedział, otrzepując bryczesy z kurzu.

-Spróbuję? Myślisz, że obnosi się z tym mieczem tylko dla ozdoby?

-Szczepcze? Tak właśnie myślałem.

-Całkiem niezłe się nim posługuje. Reilly tylko się skrzywił.

-Naprawdę - dodała Brenna łagodniejszym tonem. - Nie możemy. Co z twoją narzeczoną?

-Z kim? - zapytał, spoglądając na nią ze zdziwieniem. Gdyby go w tej chwili zapytała: Co z twoją ulubioną lalczką? - byłby nie mniej zaskoczony.

-Z twoją narzeczoną - powtórzyła Brenna. Jej głos był teraz mniej łagodny. Moja Boże, pomyślała, a sądziłam, że te pocałunki mnie zamaciły w głowie. On zapomniał nawet o swojej przyszłej żonie! - Chyba ją pamiętasz? Powiedziałeś mi, że to z jej powodu przyjechałeś na Skye.

-Tak - przyznał Reilly. - Ale, jak zapewne sobie przypominasz, powiedziałem również, że zerwała zaręczyny.

-Ale - Brenna nie dawała za wygraną - przyjechałeś tu, aby jej udowodnić, że nie jesteś... jak to nazywała? Ach, tak. Nicponiem. Przykro mi, ale coś mi się wydaje, że to, co właśnie robiliśmy, pasuje nas w kategorii nicponi.

-Nicponi? - powtórzył zdumiony.

-Oczywiście. To nie był dobry pomysł. - Im dalej się od niej znajdował, tym mocniej w to wierzył. Nie było najmniejszego powodu, by tak postępowali. Zwłaszcza że Reilly wróci do Londynu, gdy tylko udowodni własną wartość. - Chodzi mi o to - mówiła Brenna z gorącością - że z naszego postępowania nie wyniknie nic dobrego.

-Nic dobrego - powtórzył i spojrzał na nią rozgniewany. Jego ciemne oczy, zazwyczaj takie pogodne, teraz były pełne złości. - No tak, masz rację - powiedział zmienionym głosem. - Oprócz mojej narzeczonej, nie wspominając już o lordzie Glendenningu, jest jeszcze ten twój wielki eksperyment.

-Jaki eksperyment? - spytała, mrugając powiekami.

-Ten, który prowadzisz. Przecież po to wrocilas na wyspe. Jest dla ciebie polem doswiadczalnym. Dzieki niej bedziesz mogla udowodnic swoja teorie.

-Jaka teorie? - zdumiala sie, nadal go nie rozumiejac.

-Dotyczaca cholery - odparl. - Na milosc boska, Brenno, nie probuj zaprzeczac! Widzialem na wlasne oczy.

-Na wlasne oczy... - Pokrecila glowa. - Alez, doktorze Stanton, nie wiem, o czym pan...

-Na Boga, przed chwila trzymalem reke na twojej piersi. Zwracaj sie do mnie po imieniu. - Przeczesał dlonia wlosy. - Widzialem mapy. Wykresy. Probki gruntu. Caly ten kram. Wiec przestan odgrywac niewiniatko. Wiem, do czego zmierzasz.

Nagle pojela. Wiedziala, co zrobil.

-Ale kiedy... - wy dyszala.

-Gdy poszlas sie przebrac - powiedzial wrogim tonem. - Zapomnialas zamknac drzwi na klucz. Wiec wszedlem do srodka. I zobaczylem.

Poczula sie tak, jakby ktos oblal ja zimna woda.

-Wszedl pan - wymamrotala, a jej wargi byly teraz odretwiale. - Wszedl pan do... pracowni?

-Tak. Wszedlem tam. - Spojrzal na wyraz jej twarzy i dodal: - Och, nie przejmuj sie. Nie bylem w stanie odczytac twoich bazgrolow. Nie wykradne ci informacji, nawet gdybym tego chcial. A wierz mi, wcale tego nie pragne.

Brenna nie wierzyła. Była tak wstrzasnieta, jakby jej wymierzyl policzek. Wszedl do jej pracowni. Do prywatnego gabinetu ojca. Oprocz ojca i niej samej nikt inny nie przekroczył progu tego pomieszczenia. A on, Reilly Stanton, byl tam i... i...

-Nic mnie to nie obchodzi, Brenno - powiedzial. - Ale jesli ryzykujesz wlasna reputacje, wracajac na wyspe wbrew zyczeniom rodziny, zakradasz sie na cmentarz po zapadnieciu ciemnosci, zeby nikt cie nie zauwazyl, spedzasz cale godziny zamknieta w malym pokoiku, robiac analizy probek gruntu, zeby potwierdzic jakas wariacka teorie twego ojca...

Do oczu Brenny naplynely piekace lzy. Co sie ze mna dzieje? - pomyslala zaskoczona. Przecież sie nie rozplacze tylko dlatego, ze Reilly ubral w slowa cos, o czym doskonale wiedzialam. Smieszne. Wrecz niedorzeczne.

-Nie ma pan o niczym pojecia - powiedziala zaczepnie. - No, moze o trepanacji i innych takich, ale co pan wie o tej chorobie i o sposobach, w jaki sie rozprzestrzenia?

-Wiem, że ostatni człowiek, usiłujący przeformować teorię w rodzaju twojej, został wysmiany. Usunięty z grona kolegów, a do tamtej pory był szanowany w medycznym środowisku. Jego prace na temat tyfusu uznano za...

Głos Reilly'ego zamarł. Brenna ukradkiem otarła oczy. Miała nadzieję, że z jej twarzy zniknęły wszystkie ślady przykrości, jaka ją spotkała.

-Na Boga - wymamrotał Reilly. - Ten człowiek... Lekarz, który starał się udowodnić, że cholera i tyfus nie są spowodowane miazmatami. To był... twój ojciec.

Nabrała powietrza w płuca. Nie było to łatwe, bo miała ściśnięte gardło, ale jakos jej się udało.

-Tak - oświadczyła z całą godnością, na jaką stać ją było w tej chwili.

-Dlatego wyjechał z kraju - powiedział zawstydzony Reilly.

-Nie, nie dlatego - odparła Brenna z oburzeniem. - Nie dbał o to, co o nim mówią. Wiedział, że ma rację. Wyjechał prowadzić badania w Indiach, bo wierzył, że cholera pochodzi właśnie stamtąd. - Rozesmiała się gorzko. - Przynajmniej tak mi powiedział. Ale jeśli chce pan poznać prawdę, doktorze Stanton, myślę, że wyjechał z powodu niesmaku. Poczul obrzydzenie do całego środowiska medycznego. Do was, pompatycznych zarozumiałców...

Reilly nie protestował przeciwko tym inwektywom. Powiedział tylko:

-Nigdy nie byłem na wykładzie twojego ojca. Nigdy nie słyszałem, na czym dokładnie opiera się jego teoria...

-Jeszcze pan usłyszy - powiedziała Brenna. - Po prostu została przedstawiona za wcześnie, zanim ojciec znalazł dowody na jej poparcie. Wydawało mu się, że odkrył coś niesłychanie ważnego, coś, o czym środowisko medyczne i cały świat powinny się natychmiast dowiedzieć. Ale nie miał dowodów. Albo raczej miał ich za mało, by zadowolic twarogłowych biurokratów, którzy rządzą środowiskiem medycznym.

Teraz, kiedy udało mi się powrócić na Skye, dostarczę mu wszelkich koniecznych dowodów na poparcie jego teorii i wszyscy ci ludzie, którzy się z niego śmiali, będą musieli przyznać, że w czasie w którym mogli zapobiec rozprzestrzenianiu się choroby, pozwolili jej zataczać coraz szersze kregi, a wszystko z powodu ich głupiej dumy...

-Doprawdy, Brenno, nie możesz myśleć, że ktokolwiek celowo odrzuciłby teorię, która, jak twierdzisz, może zapobiec rozprzestrzenianiu się straszliwej choroby...

-Tak? W sytuacji gdy setki lekarzy musiałyby przyznać, że przez cały czas byli w błędzie? Sądze, doktorze Stanton, że ludzie w pańskim zawodzie - zresztą w każdym zawodzie - robią wszystko, aby tylko nie wyjść na głupców. A właśnie głupcami czyni ich teoria mego

ojca. Przerazili się jej, więc ją odrzucili. Dlatego tu jestem, doktorze Stanton. Aby im pokazać, że się mylili. Aby to udowodnić światu. Aby teoria mojego ojca nadal żyła.

Reilly pokręcił głową. Trudno mu było śledzić tok jej wypowiedzi.

-Ale, Brenno - mówił nieskładnie. - Cholera. To znaczy, chodzi mi o to, że gdyby wiedział, twój ojciec nie chciałby, żebyś grzebała się w takiej groźnej i niewyjaśnionej choro...

-Pewnie, że nie - przerwała mu niecierpliwie. - Ale ktoś musi to zrobić, prawda? Więc dlaczego nie ja? Bo jestem kobieta? Doktorze Stanton, chyba już w czasie naszego pierwszego spotkania udowodniłam, że kobiety są równie zdolne jak mężczyźni do leczenia chorych. Możemy także prowadzić badania nad tępieniem zakaźnej choroby. Zgodzi się pan?

Brenna nigdy się nie dowiedziała, czy Reilly się z tym zgadzał. Bo właśnie wtedy dał się słyszeć odgłos kroków, a sekunde później w drzwiach sali balowej stanął lord Glendenning.

-Brenna?! - zawołał. A potem jego wzrok przywykł do słabego światła stojącego na fortepianie kandelabru. - Ach, tu jesteś. Ze Stantonem, jak widzę.

Brenna spojrzała na hrabiego, a potem na Reilly'ego.

-Tak - odparła.

-Przypuszczam - powiedział hrabia posepnym tonem - że wciąż jesteś na mnie zła.

Brenna wzruszyła ramionami. Doprawdy, wydarzenia tego wieczoru stanowiły dla niej ciężką próbę.

-Nie mam ochoty przebywać w towarzystwie jego lordowskiej mości - odparła.

-Tak też sądziłem. Wobec tego przypuszczam, że Stanton odwiezie cię do domu.

-Potrafię sama wrócić do domu. Więc jeśli panowie wybaczą...

-Nie!

Obydwaj mężczyźni zgodnie zagroźli jej drogę.

-Odwiezie panią - szybko powiedział Reilly. - Faetonem.

-To mój faeton - zaprotestował Glendenning. - Pojedziesz ze mną.

Brenna spoglądała to na jednego, to na drugiego. Nie wiedziała, którym z nich bardziej w tej chwili gardziła. Lordem Glendenningiem za to, że ją skompromitował w obecności pastora i jego żony, czy Reillym Stantonem za to, że...

Właściwie nie bardzo wiedziała, za co jest zła na Reilly'ego Stantona. Wiedziała tylko tyle, że przez niego po raz pierwszy w życiu poczuła się niepewna siebie i swoich celów. A przecież owe cele były godne podziwu i warte zachodu. Może dziewczęta w jej wieku nie zwracały sobie głowy zaspokajaniem ciekawości, dążeniem do wiedzy i zbieraniem dowodów, potwierdzających naukową teorię.

Z drugiej strony, dzięki pocalunkom Reilly'ego Stantona zaczęła dostrzegać, że tajemnice serca mogą być równie zajmujące jak tajemnice nauki.

Zaczęła również podejrzewać, że rozwiązywanie tych ostatnich może być nie mniej satysfakcjonujące.

Jednakże pozostawało faktem, że wciąż miała zadanie do wykonania - niezwykle istotne zadanie - i nie mogła pozwolić, aby przeszkodziło jej w tym uczucie do Reilly'ego Stantona lub cokolwiek innego.

Toteż odparła tonem nieco opryskliwym:

-Możecie mnie odwiedzić obojdwaj, panowie. I, ku jej wielkiemu strapieniu, tak się stało.

16

-Już niedaleko - zapewniło go dziecko. Reilly Stanton skinął głową. Słuchał go w roztargnieniu. Całą uwagę skupił na rozmyślaniu o Brennie Donnegal.

Niestety, ostatnio zdarzało mu się to bardzo często. Brenna Donnegal była stale obecna w jego myślach. Albo dlatego że, jak mu to obiecała, przysyłała mu swoich pacjentów, albo dlatego że Reilly spostrzegał coś, co mu o niej przypominało; a zdarzało się to nad wyraz często.

Co więcej, przypominało mu o niej bardzo wiele rzeczy. I to nie tylko takie, które rzeczywiście się z nią wiązały, jak bable, czyraki, wszystko, co wymagało męskiej, ropiejacej rany.

Także skowronki, krazace na niebie, pierwiosnek, wyrastający pomiędzy kamieniami. Skąd u niego taki rzewny sentymentalizm? - zastanawiał się. I to w stosunku do kobiety, której nie lubił, pomimo że odczuwał do niej całkiem niewytłumaczalny pociąg fizyczny.

Kiedy zupa, którą postawił na ogniu, zaczęła bulgotać albo gdy znajdował przyklepione do skarpetek rzepy, także myślał o Brennie Donnegal. Wyobrażał sobie jej twarz, spoglądając wieczorami w ogień na kominku oraz wtedy, gdy budził się rankiem i widział światło słoneczne, wpadające przez okno do pokoju.

Prawdopodobnie, bezustannie myślał o Brennie Donnegal.

Ale, tłumaczył sobie, w zaistniałych okolicznościach jest to całkowicie naturalne. Czyż nie doszedł w końcu do wniosku, że Christine była dla niego nieodpowiednia? W jego sercu powstała pustka, wymagająca wypełnienia.

Zdawał sobie sprawę, że powróciwszy do Londynu, szybko zapelnilby te pustkę. Miasto, w przeciwieństwie do tej przeklętej skalistej wysepki, pełne było atrakcyjnych i wolnych młodych kobiet. A teraz, gdy już nie dbał o to, co o nim myśli Christine, mógłby śmiało wrócić do domu.

Więc dlaczego nie zbierał się do wyjazdu?

Znal odpowiedź na to pytanie... ale wcale mu się nie podobała. Dobrze wiedział, dlaczego nie opuścił Skye, i nie miało to nic wspólnego z Christine.

Nie miało również związku z Brenna Donnegal. A przynajmniej nie była ona główną przyczyną pozostawania na wyspie. Chodziło o te wioski. To miejsce go urzekło. Lubił rozmawiać z dziećmi, przechodzącymi pod oknami, zachwycał go bezkres nieba ponad głową, którego nie zasłaniały żadne dachy czy kominy, przepadał za czystą, ostrą wonią słonego powietrza, tak odmiennego od londyńskiego smogu... Na myśl o powrocie do Londynu, kiedy już nawykł do uroków tutejszego życia, odczuwał głęboką niechęć.

Lecz w końcu będzie musiał stąd wyjechać. Nie może przecież spędzić reszty życia na Skye. Na Boga, wszakże jest markizem Stillworth! Jego poddani mają do niego większe prawo niż mieszkańcy wysepki.

Choć farmerzy w Stillworth Park nie potrzebowali go tak jak wiesniacy z Lyming.

Tylko że oni, powtarzał sobie, mają Brenne. Pod jej opieką radzili sobie zupełnie dobrze, zanim na wyspie postąpiła jego noga. Kiedy odjedzie, będa sobie radzili nie gorzej.

Powtarzał sobie, ale trudno mu było w to uwierzyć.

Powinienem być zadowolony, myślał, że mnie nie spoliczkowała. A miała do tego wszelkie prawo. Tamtego wieczoru, w zamku Glendenninga zachował się bardzo zuchwale. Wciąż nie rozumiał, co go wtedy naszło. Coś podobnego nie zdarzyło mu się nigdy przedtem.

Oczywiście, zdawał sobie sprawę, że Brenna Donnegal go pociągala. Nikt nie mógł zaprzeczyć, że była godną pozadania kobietą. Nie usprawiedliwiałoby to jednak jego zupełnie niezrozumiałego zachowania po przyjęciu u lorda Glendenninga. Postąpił wbrew wszelkim dobrym obyczajom, zupełnie jak... Pearson. Lub, co gorsza, jak Shelley. Żaden z nich nie miałby nic przeciwko rozpustnemu dokazywaniu z kobietą przypartą do fortepianu.

Reilly dotychczas nigdy tak się nie zachował. Panna Brenna Donnegal, pomimo całej pewności siebie, była niewinna młoda dama, a on tak niecznie ją wykorzystał. Nie miała nikogo, kto by ją chronił przed szalencami w jego rodzaju, którzy polowali na bezbronne

ofiary.

A on, znając jej sytuację, przyciskał ją do siebie z brutalnością godną... tak, brutalnością godną lorda Glendenninga.

Doprawdy, niewybaczalne. Czyżby życie z dala od cywilizacji zmieniło go w dzikusa takiego jak Iain MacLeod? I co będzie dalej? Czy zacznie nosić kilt i zapładniać dziewczyny z gospody?

-To zaraz za tym zakretem - powiedziało dziecko, chyba chłopiec, oglądając się przez ramię. Reilly nigdy przedtem go nie widział, a wydawało mu się, że rozdając dzieciakom cukierki, musiał poznać najmłodsze pokolenie wiesniaków z Lyming. Jednakże to dziecko widocznie nie uczęszczało do szkoły. Tutejszy nauczyciel, surowy, lecz sprawiedliwy, z pewnością przysłałby ją, czy jego, do odwyszawienia.

-Tak - powiedział Reilly, by zapewnić dziecko, że wciąż bierze udział w tej grze. Jeśli to była gra. Chłopak, a może dziewczyna, nie wyjaśnił, po co Reilly jest właściwie potrzebny.

Kilkakrotnie padło słowo "mama" i Reilly miał szczerą nadzieję, że nie został wezwany do nagłego porodu. Nadal wolał, by z takimi przypadkami zwracano się do Brenny Donnegal.

Uznał jednak, że nie może być grymasny. Prawdziwy cud, że po tym, jak ją potraktował, w ogóle przysyłała mu jakichś pacjentów. To, że wtargnął do jej pracowni, uraziło ją znacznie bardziej niż to, że wsunął jej rękę za dekolcję.

Na plus liczyło mu się to, że oddał jej ów przeklęty list, który przechwycił Glendenning. Podał arkusik Brennie w drodze do Burn Cottage, przy pierwszej okazji, kiedy hrabia na nich nie patrzył.

Ale wcale mu to nie pomogło. Nie powinien był się przyznawać do tego, że wszedł do pracowni. Tylko że poczuł się taki urazony, taki zraniony, kiedy spojrzała na niego swoimi wielkimi niebieskimi oczami i stwierdziła, że z tego, co zrobili, nie wyniknie nic dobrego.

Jeszcze teraz, kiedy o tym pomyślał, odczuwał gniew. A niby co miałyby wynikać?

Chociaż, gdy spojrzeć na sprawę jej oczyma... Jakże właściwie były jego intencje? Brenna Donnegal nie była kobietą, którą mężczyzna mógłby uczynić swoją kochanką, nawet gdyby lekarzowi w wiosce wielkości Lyming, w przeciwieństwie do reszty mieszkańców, uchodziło posiadanie kochanki. A ślub nie wchodził w rachubę. Przecież dopiero co umknął przed tymi kajdanami, za co wciąż jeszcze co noc dziękował losowi.

Jednakże, po tym zarliwym pocałunku... jego zapatrywania na sprawę małżeństwa zaczęły się zmieniać. Małżeństwo z kobietą, która całowała z takim entuzjazmem jak Brenna Donnegal i nie skarżyła się na odrastający zarost, mogłoby być zupełnie inne niż związek z kobietą w rodzaju panny Christine King...

Zalety takiego związku nie przysły jednak do głowy Brennie Donnegal. Najwyraźniej była tak bardzo pochłonięta badaniami nad cholera, że nie miała czasu na nic innego. A już na pewno nie na sprawy, którymi zajmowały się dziewczyny w jej wieku, jak suknie, przyjęcia i adoratorzy. Adoratorzy. Ha! Z pewnością nie dbała o ich zdobywanie. Był świecie przekonany, że został pierwszym, którego usta wtargnęły w te rejony, a w każdym razie z takim sukcesem.

A gdy się to stało, reakcja Brenny była bardzo obiecująca. Biorąc pod uwagę jej stosunek do arystokracji, a przynajmniej do tej części, która parła się medycyna, nie można się było spodziewać, że radosnie powita wieść o jego pochodzeniu. Co ja sobie w ogóle wyobrazałem? - myślał. Ze osmy markiz Stillworth poślubi na pol dzika dziewczynę, którą poznał na Hebrydach? Tylko tego brakowało. Nietrudno zgadnąć, co powiedziałaby jego matka, gdyby przywiozł Brenne do Londynu i przedstawił ją jako nową lady Stillworth; choć jej niebieskie oczy przycmiłyby najwspanialsze rodowe szafiry. Doprawdy, z szafirowym naszyjnikiem na długiej białej szyi wyglądałaby jak istna królowa Bodicea... Jednakże siostry Reilly'ego na pewno miałyby obiekcje co do nieokielznanej grzywy rudych włosów Brenny, nie wspominając o jej skłonności do popijania whisky wprost z butelki. A co do Pearsona i Shelleya... byłiby nieskonczenie elokwentni, roztrzasając, jak bardzo niestosowna kobieta wybrał sobie na żonę markiz Stillworth.

Ale i tak... Ale i tak nie miałby nic przeciwko posiadaniu takiej żony. Kiedy nie rozprawiała o wariackich pomysłach, dotyczących udowodnienia przekletej teorii jej ojca na temat przekletej cholery oraz jej przekletego rozprzestrzeniania się, Brenna była nad wyraz rozsądna, inteligentna, wesola i słiczna dziewczyna. A całowanie jej owego wieczoru w zamku Glendenninga było nieporównywalnym przeżyciem. Reilly nie był nowicjuszem w dziedzinie całowania, choć trzeba przyznać, że większość jego partnerek miała w tym względzie znacznie bogatsze doświadczenie niż panna Brenna Donnegal.

Lecz co znaczyło doświadczenie, gdy w grę wchodziły takie emocje - czyste i niewinne? Reilly odczuwał ich fale, oblewające Brenne, gdy ją całował. Określenie tego mianem miłości byłoby z jego strony zarozumiałstwem.

Miał jednak pewność, że nie był Brennie obojętny. Czyżby to było, zastanawiał się, tylko pozadanie? Bo Brenna Donnegal niewątpliwie była bardzo zmysłowa dziewczyna. Że też on musiał trafić właśnie na nią.

Teraz nie miało to już znaczenia. Jakkolwiek by nazwać to, co między nimi się rozegrało, teraz nie miało już znaczenia. A wszystkimu zawiniło głupie wyznanie Reilly'ego. Jego wtargnięcie do sanktuarium, do miejsca, gdzie prowadziła wszystkie swoje badania, mające potwierdzić niedorzeczna teorię ojca, uznała za niewybaczalny grzech. Jakby Reilly naprawdę chciał wykręcić przeklecia teorii starego. A przecież członkowie Królewskiej Akademii wysmiałiby go bezlitośnie.

Nie potrafił się wtedy powstrzymać. Kiedy zdał sobie sprawę, że nie zamknęła drzwi na

klucz, wkradł się do gabinetu, wiedząc, że Brenna była bardzo zajęta w przeciwnej części domku.

Doznał głębokiego rozczarowania na widok czasopism oraz kilku map Lyming, na których znajdowały się jakieś tajemnicze oznakowania i napisy. Żadnego potwora. Ani nawet opium. Jedynie bazgroły naukowca; najprawdopodobniej szalonego, których Reilly i tak nie był w stanie rozszyfrować.

Jednakże nie powinien się przyznawać, że to widział. Bo teraz Brenna nawet się do niego nie odzywała.

Chociaż może to i lepiej. Ponieważ, skoro zwykle pocałunki obudziły w Reillym taką namietność, że się zupełnie zapomniał - a był przekonany, że gdyby Brenna go nie powstrzymała, usiłowałby ją tam, na fortepianie, pozbawić dziewictwa - będzie bezpieczniejszy, trzymając się od niej z daleka.

-Tedy - odezwał się głos, należący do małego stworzenia o trudnej do określenia plci.

Reilly, dosiadający konia, którego użyczył mu lord Glendenning - spokojnego zwierzęcia, nawykłego do pokonywania urwistych zboczy, na które Reilly, wzywany do pacjentów, musiał niemal codziennie wjeżdżać - pochylił głowę przed pnaczami, zwisającymi z występów skalnych, wśród których najwyraźniej posadowiony był dom.

A oto i on. Jeśli słowo "dom" było odpowiednim określeniem. W jarze, pomiędzy dwiema masywnymi skalami, stała walaca się szopa, kryta dachem zrobionym, jeśli Reilly się nie mylił, z płaskich odłamków skalnych, uszczelnionych torfem. Jej mieszkańcy byli tu dobrze chronieni przed atakiem. I to nie tylko z powodu położenia szopy. Nawet z daleka dolatywał smród tak przytłaczający, że odegnałby nawet najbardziej zacieklego Huna. Odor odpadków, zmieszany z wonią whisky. Milutkie, prawda? Ojciec dziecka z pewnością miał tu gorzelnię.

Prawdziwy cud, że szopa nie wyleciała w powietrze.

-Ale chyba tu nie mieszkać? - wyrwało się Reilly'emu. Miał nadzieję, że w odpowiedzi usłyszy: "Nie, proszę pana, trzymamy tu świnię", ponieważ na błotnistym podworku pochrzakiwało ich kilka.

Ale dziecko odrzekło:

-Mieszkamy - i obdarzyło go spojrzeniem, mowiącym: "glupi przybysz z nizin".

Ze scisniętym sercem podszedł za dzieckiem, które przeskakiwało ze skały na skałę, wołając:

-Mamo! Mamo! Doktor przyjechał!

Nic nie wskazywało na to, by jakas "mama" lub w ogole ktokolwiek uslyszal pokrzykiwanie dziecka. Z grubo ciosanego komina, umieszczonego posrodku kamiennego dachu, ulatywal dym, wiec ktos musial byc w domu. Reilly rozejrzal sie i stwierdzil, ze pogoda, ktora rankiem zapowiadala sie niezle, teraz zaczela sie psuc. Pochlodnialo, a niebo zasnuly chmury. Westchnal i zsunal sie z grzbietu klaczy. Nie zdazyl nawet odwiazac torby z instrumentami medycznymi, ktora na czas jazdy przytroczył do siodla, gdy na jego kark spadla pierwsza kropla deszczu.

-No tak - mruknal do konia, ktory spokojnie skubal chwasty, wyrastajace spomiedzy skal. - Pieknie.

Przewodnik Reilly'ego zniknal we wnetrzu szopy. Reilly posepnie ruszył za nim, zastanawiajac sie, czy dach zrobiony z torfu i kamieni zdola zapewnic wystarczajaca ochrone przed tutejszym deszczem, ktory w niczym nie przypominal londyńskiego. Deszcz na wyspie Skye byl bardziej mokry i o wiele zimniejszy od wszystkich deszczow, jakich Reilly kiedykolwiek doswiadczył. Reilly przypuszczal, ze bylo tak z powodu czystosci nieba ponad wyspa, ktorego nie zasnuwaly gryzacy dym i niezdrowe wyziewy.

Jednakze fakt, ze deszcz jest czysty, stanowil niewielka pocieche, gdy o rondo kapelusza bebnily rzesiste krople.

-Halo?! - zawolal, zblizywszy sie do wejscia, ktore zamiast drzwi zaslanial zniszczony koc. Poniewaz nie bylo w co zastukac, Reilly zawolal jeszcze raz: - Halo, jest tam kto? - To ja, doktor Stanton...

Uslyszawszy pomrukiwanie, ktore wzial za slowo "wejsc", Reilly uniosl postrzepiony koc i wszedl do srodka.

Potrzebowal dluzszej chwili, by jego wzrok przywykl do panujacego w szopie polmroku. Wreszcie dostrzegl kogos, wygladajacego na stara kobiete, dookola ktorej zebralo sie z pol tuzina cicho poplakuujacych dzieci w roznych stadiach niedoubrania. W izbie cuchnelo przypalona owsianka. Najmlodsze dzieci, na ktorych przyodzianie nie stac bylo rodzicow, byly golutenkie i bez pieluszek, co wyjasnialo przyczyne innych woni.

-A wiec - odezwal sie Reilly, nie bez zalu wspominajac wygodne domostwa, nalezace do jego pacjentow w Mayfair, z ich krytymi zielona skora fotelami, na ktorych zasiadal, by sacyc sherry. - Co pani dolega, madame? A moze choruje ktoreś z dzieci?

Jego przewodniczka - Reilly uznal, ze musi byc dziewczynka, bo miala znacznie dluzsze wlosy niz te sposrod dzieci, ktore niezaprzeczalnie byly plci meskiej - odsunela sie od paleniska i podeszla do koca, ktory przyslanial wejscie. Uniosla go i do wnetrza nory wpadlo troche bladego swiatla. Reilly spostrzegl, ze kobieta, do ktorej garnely sie poplakuujace dzieci, ma rozcieta i opuchnieta warge oraz podobnie uszkodzony luk brwiowy nad lewym okiem.

Juz miał zaklac szpetnie, ale powstrzymal sie ze wzgledu na obecność dzieci i powiedział tylko:

-No tak. Widze - a potem zwrocil sie do dziewczynki przy wejściu. - Odsun koc, dziewczynko. Macie tu gdzieś czysta wode? I cos, zeby jej zaczerpnac?

Dziewczynka powaznie skinela glowa.

-Dobrze - powiedział Reilly. - Moglabys wyslac ktoreś z twojego rodzenstwa, aby mi troche przynioslo?

Dziewczynka poslusznie skinela glowa.

-Slyszalas go, Dorcas. Wez wiadro.

Jedno z mniej obszarpanych dzieci, ktore krylo sie za matka, wybieglo z rudery, zabierajac z soba bardzo brudne wiadro oraz dwoje rodzenstwa.

Reilly pomyslal, ze na nic sie nie zda proszenie o szmaty, ktorymi moglby przemyc rany kobiety. Gdyby w domu znajdowaly sie jakies, uzyto by ich zamiast pieluszek. Reilly umiescil swoja torbe na czymś, co sluzyloby za stol jadalny - o ile kilka zaplesnialych skorek chleba stanowilo wystarczajaca wskazowke - i wylowil z niej gabki, ktore tam przechowywal.

-No, dobrze - powiedział, kuczajac obok kobiety. - Zobaczymy, co tutaj mamy.

Teraz, kiedy jego oczy nawykly do polmroku, zobaczyl, ze kobieta nie byla taka stara, jak mu sie z poczatku wydawalo. Uznal, ze mogla byc w jego wieku, a moze nawet troche mlodsza. Spojrzala na niego przepaszajacym wzrokiem.

-Mowilam jej, zeby pana nie sprowadzala - powiedziala nie bardzo wyraznie. Brakowalo jej kilku zebow, choc nie wygladalo na to, ze stracila je ostatnio.

-Bardzo dobrze sie stalo, ze do mnie przyszla - odparl Reilly.

Delikatnie otarl krew z wargi kobiety, majac nadzieje, ze zobaczy, jak glebokie jest rozciecie. - Wydawalo mi sie, ze poznalem juz wszystkich mieszkancow Lyming, ale widze, ze sie mylilem. Nie spotkalem pani nigdy przedtem, prawda?

Kobieta pokrecila glowa, utrudniajac mu obmywanie rany.

-Nie mozemy zaplacic - powiedziala nerwowo. - Nie mozemy panu zaplacic.

-Wszystko w porzadku - zapewnil ja Reilly. - Prosze sie nie ruszac... Obawiam sie, ze trzeba bedzie zalozyc kilka szwow. Luk brwiowy jest paskudnie rozciety. Jak to sie stalo?

-Nie slyszal pan? Nie mozemy zaplacic.

-A ja odpowiedzialem, ze wszystko w porzadku. Prosze wodzic wzrokiem za moim palcem. Nie ruszac glowa. Tylko oczami. - Reilly podniosl palec wskazujacy tuz przed twarz kobiety i patrzyl, jak podaza za nim wzrokiem. - Dobrze. A teraz, pani..., obawiam sie, ze nie doslyszalem pani nazwiska.

-Mackafee.

Reilly uniosl brwi. Juz kiedys slyszal to nazwisko. Nie byl pewny gdzie. Alez, tak. Adam MacAdams tak zwracal sie do kogos w barze, kiedy Reilly spedzal tam swoja pierwsza noc w Lyming. Tylko ze to nie bylo nazwisko tego faceta. MacAdams przezywal go tak zartem, poniewaz rybak nie wyplynal tamtego dnia w morze, twierdzac, ze jest chory. Reilly zauwazyl, ze tym nazwiskiem okreslano osoby leniwe lub niezdarne.

Teraz zrozumial dlaczego.

-No, zrobione - powiedzial opatrzynszy, jak najlepiej umial, obrazenia kobiety. Jej pociechy, ktore powrocily z woda, staly dookola, sledzac kazdy ruch doktora, zupelnie jak dzieci w londyńskim ogrodzie zoologicznym, wpatrujace sie w tygrysa.

I, prawde powiedziawszy, Reilly czul sie jak tygrys. Warunki, w jakich zyla ta kobieta i jej dzieci, byly oplakane. Z tego co zdazyl spostrzec, nie tylko brakowalo im ubran i strawy. Dach przeciekal, a w poblizu nie bylo ani sladu wygodki. Na dodatek stan kobiety wskazywal wyraznie, ze jej stadko znowu sie powiekszy.

Ale nie to bylo najgorsze. Najgorsze bylo to, ze choc pani Mackafee powiedziala mu, ze potlukla sie, upadajac, Reilly dobrze widzial, ze zawinily tu kulaki jej meza.

Nie wspomnial jednak ani slowem o swoich podejrzeniach. Powiedzial o nich dopiero przed odejsciem, kiedy instruowal mala Dorcas i jej siostrę, jak maja sie zajmowac matka.

-Te masc trzeba nakladac dwa razy dziennie i rany musza byc trzymane w czystosci, rozumiecie? Jesli jej stan sie pogorszy, natychmiast mnie zawolajcie... - Nastepnie pochyлил sie i sciszonym glosem zwrocil do swojej przewodniczki, ktora miala na imie Shannon: - Musze wiedziec, jak to sie stalo. To wasz ojciec?

Na co dziewczynka odparla, spuszczajac oczy:

-Tak.

-No wlasnie - powiedzial Reilly, kladac dlon na jej szpiczastym ramieniu. - Dobrze zrobilas, ze po mnie przyszlas, Shannon. A teraz popatrz. Wiesz, co to jest?

Dziewczynka spojrzala na zlotego suwerena, ktorego Reilly wsunal do jej brudnej raczki.

-Tak - szepnela.

-Dobrze. Chce, zebys wziala ze soba kilku braci. Dorcas zostanie z mama. A wy pojdziecie do pani Murphy. Wlascicielki piwiarni kolo przystani...

Dziewczynka skwapliwie skinela glowa.

-Wiem. Oddaje nam swoj czerstwy chleb.

-Doskonale. Dasz monete pani Murphy i powiesz, ze przysyla cie doktor Stanton. A ona ci da troche chleba, jajek, miesa i innych rzeczy do koszyka, zebyscie mieli dzisiaj smaczna kolacje. Dobry pomysl, prawda?

Dziewczynka zacisnela palce na monecie, ktora zniknela w brudnej piastce.

-Bardzo dobry - przytaknela zarliwie.

-Swietnie. - Reilly wyprostowal sie i wyrzal na dwor, gdzie wciaz padal deszcz. - Gdzie znajdzie waszego ojca, Shannon? - zapytal cicho.

Dziewczynka poinformowala, ze ojciec jest tam, gdzie spedza wiekszosc czasu, to jest w gorzelni, ktora miesci sie w parowie, ponizej ich domku. Reilly uznal, ze Shannon wyraża sie o szopie z przesadnym optymizmem.

Podziekowal dziewczynce, zyczyl matce powrotu do zdrowia, wlozyl kapelusz i wyszedl na deszcz...

Ale zamiast wsiasc na konia, ruszyl w dol parowu, ktorym teraz saczyla sie stozka blotnistej wody, minal szope i spostrzegl zadaszenie, wzniesione z patykow, torfu i kawalkow skaly.

W tej to wiacie, przy amatorskiej i niezbyt higienicznej destylarni, mozolil sie duzy, koscisty mezczyzna.

Choc moze slowo "mozolil sie" nie bylo najodpowiedniejszym okresleniem dla czynnosci, ktora wykonywal pan Mackafee w chwili, gdy nadszedl Reilly. Technicznie rzecz ujmujac, pracowal, probujac wykonany przez siebie produkt.

Produkt, ktorym nie mial ochoty sie dzielic, poniewaz, spostrzeglszy Reilly'ego, powiedzial tylko: "Zjezdza stad" i to nie bardzo wyraznie, poniewaz wygladalo na to, ze kosztuje swoj wyrob juz od dawna.

-Pan Mackafee, prawda? - spytal Reilly, moknac w ulewie.

-Mozliwe - zabrzmiala lakoniczna odpowiedz.

Ale to wystarczyło Reilly'emu, który spokojnie przeszedł przez błoto, mówiąc:

-Nazywam się Stanton. Jestem tu nowym lekarzem. Właśnie widziałem pana, który nieźle pan obił.

-I co z tego? To moja stara i mogę ją bić, kiedy zechcę.

-Właśnie takiej odpowiedzi się spodziewałem - odparł Reilly, nagle poweselawszy.

A następnie z całych sił rąbnął pięścią w głupawo wykrzywione usta Mackafeego.

-Widzisz? - zapytał, kiedy Mackafee upadł na ziemię, ładując tyłkiem w kałuży, przyłożył dłoń do krwawiących warg i zaklął soczyscie. - Widzisz, jak to jest? Oberwiesz więcej, mój dobry człowieku, jeśli dojdą mnie słuchy, że znowu podniosłeś rękę na pana. Zrozumiano?

-Zrozumiano - wyseplenil Mackafee. - Jeszcze mi za to zapłacisz! Zobaczysz! - Lecz ponieważ zabrzmiało to jak "Jeszcze mi za to zapłacisz. Zobaczysz", Reilly nie poczuł się specjalnie zagrożony.

Później przyszło mu do głowy, że gdyby przyłożył mu w nos, byłoby to dla Mackafeego równie bolesne, a znacznie mniej dla samego Reilly'ego. Ale w tej chwili był zupełnie zadowolony z obrotu sprawy. Przynajmniej do czasu, gdy wrócił po swego konia, gdzie zastał Brenne Donnegal z bardzo zdziwioną miną.

Ujrzał ją po raz pierwszy od owego wieczoru w zamku Glendenninga, kiedy to zachował się tak bardzo niezręcznie. No, niezupełnie. Widywał ją we wsi, gdy przychodziła zajrzeć do Hamisha, który czuł się już na tyle dobrze, że tydzień temu Reilly pozwolił, by rodzice zabrali go do domu. Jednakże przy tych okazjach schodziła Reilly'emu z drogi, unikając wszelkiej z nim rozmowy.

Teraz jednak nie miała wyboru. Reilly obiecywał sobie, że gdy nadarzy mu się okazja, by porozmawiać z panną Brenną Donnegal, zachowa się, jak przystało dobrze urodzonemu i dobrze wychowanemu dżentelmenowi.

Nie przyszło mu tylko do głowy, że gdy się na nią natknie, będzie miał okrwawione knykcie.

-Pan... - Po wyrazie jej twarzy odgadł, że widziała całe zdarzenie. - Co pan... - Nie spodziewał się, że jego umiejętności bokerskie wprawily ją w taki zachwyt, że aż oniemiała. - Nie może pan...

-Owszem, mogę. - Reilly podszedł bliżej, wziął ją stanowczo za ramię i pociągnął w stronę szopy. - Więc proszę być grzeczną dziewczynką i...

-Ale pan... - Brenna nie przestawała się oglądać na Mackafeego, który kleczał, zakrywając usta rekoma, wciąż przeklinając, niezupełnie zrozumiale, na skutek braku w uzbieniu. - Nie

moze pan...

-Istnieja pewne sprawy, ktorych pani jako kobieta po prostu nie jest w stanie...

Slyszac te slowa, Brenna natychmiast wyrwala sie i syknela:

-Niech pan sie nie wazy...

Reilly zorientowal sie, ze przyjal nieodpowiednia taktyke. Przez caly czas ukladal sobie, co jej powie, kiedy ja znowu spotka. Przygotowal sobie bardzo gladka przemowe na temat tego, jak dwoje ludzi, zmuszonych przez okolicznosci, moze zrobic i powiedziec rzeczy, ktorych potem zdarza sie im zalowac, lecz to wcale nie oznacza, ze nie moga pozostac przyjaciolmi...

A teraz, kiedy ona znalazla sie tuz obok i wygladala tak ladnie z zarumienionymi policzkami i lsniacymi niebieskimi oczyma, jego starannie przygotowane przemowienie zupełnie wylecialo mu z glowy. Przyjaciele. Ba! Wcale nie chcial, by Brenna Donnegan byla jego przyjaciolka.

A w kazdym razie nie taka, ktorej nie wolno mu bedzie calowac.

Wiec aby jak najszybciej zabrac ja z tego okropnego miejsca i znalezc sie gdzieś, gdzie jest cieplo i sucho, by przedyskutowac cala sprawe, otoczył Brenne wpol jednym ramieniem, druga reke wsunal pod jej posladki i zarzucil ja sobie na ramie. Idac w kierunku swego wierzchowca, spostrzegl, ze tuz obok stoi klacz Brenny. Uznal, ze pomimo znacznego wzrostu dziewczyna wcale nie jest ciezka.

Za to bardzo gadatliwa.

-Co pan wyrabia? - pytala, rozwscieczona. - Prosze mnie postawic na ziemi! Oszalal pan? Nigdy w zyciu...

-Cicho - powiedzial Reilly, stwierdzajac, ze piesci, ktorymi oklada go po plecach, sa jak na kobiecie bardzo silne. - Chcialem sie stad wycofac z godnoscia, a pani wszystko popsula.

-Z godnoscia? - Nawet zwisajac glowa w dol, wypowiedziala te slowa ze wzgarda godna krolowej. - Na Boga, pan go po prostu zbil. I to ma byc godnosc?

-Juz powiedzialem... - odparl Reilly, starannie wybierajac droge posrod blota. - To cos, czego kobieta nie jest w stanie zrozumiec. Prywatna sprawa pomiedzy mna a panem Mackafee.

Brenna wyrzekla slowo, ktore przyprawilo Reilly'ego o najskrajniejsze zdumienie. Doprawdy, nie nalezala do osob, ktore skrywaja swoje uczucia - dzieki czemu ich wspolne zycie w Stillworth Park, jezeli kiedykolwiek uda mu sie ja tam sciagnac, mogloby sie stac

bardzo urozmaicone.

-Uderzył go pan, bo się pan zorientował, że Mackafee bije żonę, i to pana rozwścieczyło - powiedziała szorstko. - Ale traktując go tak, jak on traktuje żonę, niczego pan nie zmieni. Kiedy wreszcie wytrzeźwieje, będzie w jeszcze gorszym humorze i odbije to sobie właśnie na niej.

-Nie - powiedział Reilly z wielką pewnością siebie. - Nie zrobi tego.

-Owszem, zrobi, Reilly.

Usłyszawszy, że Brenna po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu, poczuł dziwne ciepło w okolicy serca.

-Nie zrobi - powtórzył. - A poza tym, przyłożywszy temu galganowi, od razu poczułem się lepiej, co oznacza, że postąpiłem słusznie.

-Jest pan beznadziejny - stwierdziła Brenna. - Proszę mnie puścić.

Ponieważ byli już przy koniach, Reilly doszedł do wniosku, że Brenna nie zawróci, by pójść do Mackafeego i zaoferować mu pomoc, więc uczynił to, czego sobie życzyła, stawiając ją na ziemi, ostrożniej, niż na to zasługiwała, zważwszy na sposób, w jaki zepsuła jego odejście.

Lecz ona nie była pod wrażeniem delikatności, z jaką Reilly potraktował jej osobę, i gdy ją oswobodził, zachowała się raczej brutalnie.

-Niech... pan... nie... robi... tego... nigdy... więcej! - powiedziała, a każdej sylabie towarzyszyło wcale silne pchnięcie.

W ten sposób przyparła go do ciepłego ciała jego klaczy, która uniosła łeb ponad trawę, by przyrzec się im z zainteresowaniem.

-Nie doszłoby do tego - powiedział Reilly - gdyby nie przyjechała tu pani, by mnie sprawdzić.

-Ja nie... - Zaciśnęła wargi. Reilly zauważył, że na skutek deszczu jej włosy po raz pierwszy nie były rozwiane, lecz przylegały do twarzy. Znowu miała na sobie znane mu spodnie oraz obszerny i najwyraźniej bardzo stary płaszcz nieprzemakalny, który pasował na nią jak, nie przymierzając, namiot.

Lecz to nie miało najmniejszego znaczenia. Brenna Donnegan mogłaby włożyć worek na kartofle i wyglądałaby pięknie.

-Wcale pana nie sprawdzałam - zaczęła jeszcze raz, rozgniewana. - Pani Murphy

powiedziała mi, że widziała Shannon, idącą do szpitalika, więc pomyślałam... wiedziałam, że nie poznał pan Mackafeech, więc pomyślałam, że będzie lepiej...

-Sprawdzić, jak sobie poradzę - zakończył za nią Reilly.

-No dobrze. Skoro tak to pan ujmuje. I dobrze się stało. Pan nie może rozumieć człowieka takiego jak Harold Mackafee...

-Miałbym zrozumieć brutalą, który bije żonę i nie dba o to, by jego dzieci były odpowiednio ubrane i odżywione? O, nie. Ma pani rację, to niemożliwe. - Reilly podszedł do Willow, klaczy Brenny, i nastawił reke.

-Rodzina Mackafeech od pokoleń przynosi wstyd mieszkańcom Lyming. Harold Mackafee, tak samo jak jego ojciec i dziad, pedzi bimber, ale nigdy nie sprzedaje swojej whisky, ponieważ wszystko wypija sam. Klusuje na ziemiach lorda Glendenninga i hrabia mu na to pozwala, bo w przeciwnym wypadku dzieci Harolda nie miałyby co jeść. Kosciół i mieszkańcy wioski usiłują pomóc, zanosząc im żywność i odzież, ale poza tym nie da się nic zrobić. Harold Mackafee nie zmieni się, choćby go sprac nie wiem ile razy. To, co pan tutaj zrobił, Reilly, może sprawiło, że poczuł się pan lepiej, ale nie zdążyło na nic więcej. I dlaczego trzyma pan reke w taki sposób?

-Żeby pani pomóc wsiaść na konia - odparł z godnością.

Brenna wzniosła oczy do nieba i, rezygnując z pomocy, samodzielnie dosiadła swojej klaczy. Znalazłszy się w siodle, ujęła dłoń Reilly'ego i odwróciła wierzchem do góry, by obejrzeć zakrwawione knykcie.

Chmknęła z dezaprobatą i wypuściła mokra od deszczu reke.

-Mój ojciec - powiedziała poważnie - zawsze bił Harolda Mackafeego w brzuch. Twierdził, że w ten sposób oszczędza knykcie.

Zaskoczony Reilly zaczął coś mówić, ale mu przerwała.

-Jeśli pan chce, opatrzę rane - zaproponowała.

To rzekłszy, zawróciła konia i odjechała szybkim klusem, nawet się nie obejrzała, czy Reilly za nią podąży.

Ale on, oczywiście, podążył. Bo czyż mógł postąpić inaczej?

17

Co ja wyprawiam? Chyba zwariowałam, myślałam.

Proponując, że zabandażuje okrwawione knykcie Reilly'ego Stanton, musiała postrząść

rozum.

Po incydencie w sali balowej lorda Glendenninga postanowiła trzymać się możliwie najdalej od pana doktora. Miała przecież swoją pracę, a poza tym nie było najmniejszego powodu, by się spotykać ze Stantonem, w każdym razie nie sam na sam.

W tym stadium swoich badań nie mogła pozwolić na to, by coś ją odciągało od eksperymentowania. A zwłaszcza na to, by niezwykle przystojny młody lekarz z Londynu wyrabiał z nią takie - och takie! - rzeczy...

Dobrze wiedziała, że Stanton wróci do Londynu, gdy tylko udowodni sobie - i swojej narzeczonej - że jest pełnym poświęcenia, błyskotliwym lekarzem.

Dlatego lepiej go unikać.

I aż dotąd doskonale się jej to udawało. Dopóki Reilly tkwił w szpitalu, a ona nie opuszczała Burn Cottage, nie mieli szansy na spotkanie, zwłaszcza że ona, oczywiście, nie uczeszczała do kościoła, nie chciała się narazić na jeszcze jeden wykład wielbnego Marshalla i jego żony. Dzięki lordowi Glendenningowi wiedzieli oni nie tylko o tym, że Brenna mieszka w Burn Cottage sama i bez przyzwotki, lecz także o tym, że kilka miesięcy temu okłamała całą swoją rodzinę. Wielbny Marshall był człowiekiem, który mógł napisać do jej rodziców i donieść im, co zamierza ich córka...

Dlatego właśnie owe dziesięć szylingów, które zapłaciła Stubenowi za to, by zatrzymywał wszystkie listy pastora i pokazywał jej przed wywiezieniem ich do Lochalsh, uznała za udaną inwestycję: znalazła i zabrała zdradzieckie pismo, po czym uroczyście spaliła je w swoim kominku. Wielbny mógł się teraz zastanawiać, dlaczego nie otrzymał odpowiedzi, lecz z pewnością był zbyt urazony tym lekceważeniem, aby napisać jeszcze raz.

Gdyby sprawa z Reillym Stantonem dała się załatwić równie łatwo! Bo choć rozsadek podpowiadał jej, że należy o doktorze zapomnieć, z przerażeniem stwierdzała, że wciąż powraca myślami do owego pocałunku. Trudno jej było wyrzucić doktora z pamięci. Często, zamiast w pełni oddać się pracy, wspominała oczy Reilly'ego Stantona lub, co gorsza, jego dłonie...

Te same dłonie, nad którymi teraz się pochylała, starannie je obmywając. Rana na knykciach była głęboka i, jak się domyślała, bolesna. Z takimi obrażeniami doktor nie będzie mógł przez jakiś czas przeprowadzać żadnych poważniejszych operacji.

A szkoda, ponieważ Reilly Stanton był według niej doskonałym chirurgiem.

Był także najbardziej współczującym z wszystkich znanych jej mężczyzn, no, może z wyjątkiem jej ojca. Toteż dowiedziawszy się od pani Murphy o wizycie Shannon w szpitaliku, doskonale wiedziała, co zastanie u Mackafeech...

I tak się stało. Shannon Mackafee sciskała w garści złotą gwineę, co stanowiło sumę większą od tego, co jej rodzina widziała w ciągu dziesięciu lat. Harold Mackafee leżał rozciągnięty na ziemi. A Reilly Stanton miał krwawiące kłykcie.

-Muszę założyć szwy - powiedziała, pochylając się nad raną.

-Na Boga, nie - zaprotestował radośnie. - Nie chce pani chyba zszpecić mojej gładkiej skóry brzydka blizna?

-Jeśli zostawimy ranę nie zszyta, blizna będzie jeszcze większa - odparła Brenna, marszcząc brwi.

-Nie, dziękuję - powiedział. - Mam jak najlepsze zdanie na temat pani umiejętności medycznych, lecz co się tyczy talentu do typowych prac domowych... - Uniosł wymownie brwi. - Coz, powiedzmy, że wole zaryzykować infekcję, zostawiając ranę otwartą.

Brenna się nachmurzyła.

-Co pan ma na myśli? Przecież widział pan, jak zakładałam szwy Lucaisowi. Nawet mnie pan pochwalił.

-Tak, ale Lucais jest psem. Pamięta pani?

Brenna wciąż się dąsała. O co mi chodzi? - myślała. Przecież wcale nie chce zszywać mu tej głupiej reki. Im szybciej się go pozbede, tym lepiej.

Wciąż dlaczego drażyla sprawę?

-A co pan ma przeciwko mojemu talentowi do prac domowych? - dopytywała się. - Przecież domek utrzymuje w porządku.

Reilly rozejrzał się po pomieszczeniu ze swego miejsca przy z grubą ciosanym, lecz nienagannie czystym stole. Na palenisku płonął ogień, a na płycie gotowała się woda na herbatę. Krople deszczu bebnące o małe szybki okienne podkreślały miłą atmosferę domowego ciepła.

-Chyba tak - odparł wymijająco. - Ale za każdym razem, gdy tu jestem, słyszę jakieś dziwne szelesty. - To rzekłszy, spojrzał na belki krokwi.

Brenna również uniosła głowę.

-Och, to tylko Jo - powiedziała i szybko zamilkła, zdając sobie sprawę z tego, że jej słowa musiały mu się wydawać śmieszne.

Lecz już było za późno, bo Reilly natychmiast jej odpowiedział:

-Otoz wlasnie. Tylko Jo. Informuje pania, ze pod dachem znajduje sie ptak, a pani odpowiada, ze to tylko Jo.

Na te slowa Brenna lekko sie skrzywila. Siegnela po miske z mydlinami, ktorymi przed chwila przemyla rane Reilly'ego, i postawila ja do zlewu.

-Jo jest jednym z ulubiencow mego brata - wyjasnila, nie bardzo wiedzac, po co to robi. - Kiedy wyjezdzalismy do Londynu, oddal ja Hamishowi. Ale nie chciala u niego zostac. Wiec po moim powrocie na wyspe... przywyklam do niej.

-To niehigieniczne - powiedzial Reilly Stanton. - Bardzo niehigieniczne.

Brenna nie wiedziala, czy doktor mowi serio, czy tylko zartuje. I tak bylo prawie zawsze. Dlatego wlasnie tak jej sie podobal. Zanurzyla miske w lodowatej wodzie.

-Jest przyuczona do zycia w domu, czego nie mozna powiedziec o niektórych ludziach z Lyming. Dlatego trzymanie jej tutaj wcale nie jest niehigieniczne.

-Ilu ma pani braci? - spytal Reilly niespodziewanie.

-Czterech - odparla podejrziwym tonem. Wlasciwie dlaczego mialaby byc podejrziwa? Po powrocie od Mackafeech Reilly nie tknal jej nawet palcem i ani razu nie podjal tematu, który tak ja zaprzatal. Nie powiedzial ani slowa o tym, co sie wydarzylo, gdy ostatni raz znalezli sie sam na sam w sali balowej Glendenninga.

Byc moze, myslala, ten pocalunek nie znaczyl dla niego tyle co dla mnie. Ile razy w zyciu sie calowalam? Zaledwie kilka, wylacznie z lordem Glendenningiem i nigdy z przyjemnoscia. Reilly Stanton byl zareczony, prawdopodobnie calowal sie z dziesiatkami dziewczat albo przynajmniej z jedna, ale za to dziesiatki razy. Nasz pocalunek w sali balowej wcale nie musial mu sie wydac nadzwyczajny.

Lecz jakos nie mogla w to uwierzyc. Pamietala, jaki byl wyraz jego twarzy w chwili, gdy go odepchnela. Malowal sie na niej prawdziwy zal, a oczy plonely zadza.

-Czterech braci - powtorzyl Reilly. - Rozumiem, ze wszyscy mlodsi od pani?

Skinela glowa, skupiajac uwage na mydlinach.

-Najstarszy ma teraz siedemnascie lat. Najmlodszy siedem.

-Siedemnastolatek powinien pojechac do szkol, nie do Indii. Brenna wzruszyla ramionami.

-Wolal do Indii.

-Bardzo nierozwaznie - skwitowal Reilly.

-To była okazja nadarzająca się raz w życiu - odparła opryskliwym tonem.

-Niechże się pani tak nie złości! Nie krytykuje pani szanownych rodziców. Bardzo ich pani broni. I co będzie dalej?

Postawiła wymyta miske na połączce.

-Z moimi braćmi? - Obejrzała się zdziwiona. - Co ma być? Wroca za rok lub dwa. I Robbie będzie mógł pojsc do szkoły.

Reilly wywrocil swymi wyrazistymi ciemnymi oczami.

-Nie z pani ukochanymi braćmi, Brenno. Chodzi mi o nas.

-Och. - Jej serce zabilo tak mocno, ze musiala sie oprzec o zlew. Miala nadzieje, ze Reilly nie zauwazyl, jak drza jej palce.

I nie zwrocil uwagi na rozdygotany glos.

-Nie sadze, by bylo cos do zrobienia w tym wzgledzie. Poza... poza nie wchodzeniem sobie w droge.

Reilly tylko chrzaknal z niesmakiem, co zabrzmialo jak skrzypiecie krzesla. Brenna, odwrocona plecami do Reilly'ego, nie byla pewna, co uslyszala.

-Niby dlaczego? - zapytal. - Dlaczego mamy sobie nie wchodzic w droge? Nie widze powodu.

Brenna przyjrzała się swoim dloniom. Nie były to delikatne raczki damy, kształtne, owszem, lecz o polamanych paznokciach i spekanej skorze od zbyt czestego moczenia w zimnej wodzie.

-Niech pan nie bedzie smieszny - powiedziala, zadowolona, ze wreszcie udalo jej sie zapanowac nad glosem. - Sam pan powiedzial, ze jest pan prawie zareczony.

-Bylem - poprawil ja Reilly. - Bylem zareczony. Juz nie jestem.

Brenna pokrecila glowa.

-Mial pan zlamane serce. Szuka pan jakiejs rozrywki. Nie mam zamiaru...

-Na milosc boska, Brenno! - przerwal jej Reilly. - Co pani wygaduje? Niechze mnie pani wyslucha. Podoba mi sie pani, nawet bardzo, ale tylko wtedy, gdy nie robi z siebie oslidy, tak jak teraz. I wydaje mi sie, ze ja podobam sie pani. A w kazdym razie bardziej niz lord Glendenning, ktory, z tego co widze, jest moim jedynym rywalem. Naprawde nie rozumiem, dlaczego nie mialbym sprobowac. Przeciez pani i ja mamy z soba wiele wspolnego. Jestem

lekarzem, a pani jest córka lekarza. Obydwoje chcielibyśmy, aby na świecie nie było pomorów i aby nie nastawiano pułapek na wilki... no, wie pani, takie tam sprawy. Nie sadzę, byśmy do siebie kompletnie nie pasowali.

-Ale nie pasujemy. - Odwróciła się ku niemu, mając nadzieję, że Reilly nie dostrzeże, jak jej serce dziko galopuje pod swetrem. Kiedy zaczął mówić, nie wierzyła własnym uszom. Podobam się mu... nawet bardzo, tak powiedział. Nie miała pretensji o tę część wypowiedzi, która dotyczyła osłicy. Podobam mu się! - powtarzała w myśli.

Ale zaraz potem zaczęła mieć wątpliwości. Bo co to znaczy? To nic nie zmienia. Reilly nadal był londyńczykiem - co było widoczne na pierwszy rzut oka - i zamierzał wrócić do Londynu. Oczywiście, gdyby mu to zarzuciła, zaprzeczyłby, ale ona wiedziała, że mieszkańcy nizin zawsze wracają do swego łatwego życia na południu. I nawet gdyby ją o to poprosił, nie pojechałaby z nim. Miała tu swoją pracę, bardzo ważną pracę. Nie mogła pozwolić, by coś ją od niej odciągało.

I nie mogła sobie pozwolić na takie rozmowy, na to, by zalecał się do niej tutejszy nowy lekarz. Bo, chociaż Reilly Stanton spędził na wyspie ponad cztery miesiące, Brenna wciąż uważała go za nowego na wyspie.

Chciała mu to wszystko wyjaśnić, przekrzykując szum w uszach. Podobam mu się! Podobam!

-Mieszkając tu samodzielnie, jestem w niełatwej sytuacji - powiedziała. - Radzę sobie tylko dlatego, że tutejsi wiesniacy znają mnie od dziecka i... coż, w pewien sposób są ode mnie uzależnieni. Jestem dla nich nie kobieta, lecz Brenna Donnegal, córka doktora Donnegala. Ale proszę mi wierzyć, że gdy zaczną przyjmować załotników, ludzie będą gadać.

Reilly siedział, opierając jedną nogę na krześle. Teraz postawił ją na podłodze, umieścił obydwa łokcie na blacie stołu i pochylił się do przodu.

-Właśnie dlatego - powiedział powoli i spokojnie - jakiś czas temu, o ile sobie pani przypomina, sugerowałem, żeby zamieszkała tu z panią jakąś wdową albo kogoś...

-To niemożliwe - przerwała mu Brenna. - Nie mogę pozwolić, aby kreciła się tutaj pani Murphy lub pani Marshall. Prowadzę badania...

Zniecierpliwiony Reilly wyrzucił ręce w górę, po czym opadł na oparcie krzesła.

-Znowu to samo - powiedział z niesmakiem.

-Niech mnie pan posłucha, Reilly - powiedziała z desperacją. - Nie zna pan tutejszych ludzi. Wydaje się panu, że ich pan poznał, ale tak nie jest. Nie można ich zrozumieć, nie przeżywszy tego co oni. W zeszłym roku cholera zaatakowała wyspę i zabrała do grobu jedną trzecią ludności. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo są przesadni i przestraszeni. Cholera

to nie szkarlatyna. To choroba, jakiej nigdy przedtem nie widzieli. Jak pan myśli, dlaczego chodzi na cmentarz noca? Dlaczego zbieram próbki gruntu, kiedy wszyscy już śpią? Nikt nie chce, by mu przypominano o tej straszliwej chorobie. Wszyscy chcą wierzyć, że odeszła na zawsze. Ale ona nie odeszła, Reilly. Kiedy tylko zrobi się ciepło, choroba wróci, a ja chcę być na to przygotowana...

Reilly gwałtownie zerwał się z krzesła.

-W porządku - powiedział. - Rozumiem.

Brenna zacisnęła szczęki. Widziała, że jest rozczarowany, ale na jego twarzy malowało się coś więcej. Podejrzewała, że to gniew. Widząc, że Reilly wciąż jej nie rozumie, westchnęła głęboko.

-Powiedział mi pan, że tego, jak postąpił pan z Mackafeem, kobieta nie jest w stanie zrozumieć. Teraz widzę, że pan, będąc mężczyzną, nie potrafi zrozumieć tego, że na świecie istnieją kobiety, które mają do zafiarowania ludzkości coś więcej niż gromadkę dzieci. Przyszło to panu kiedykolwiek do głowy?

Reilly unosił brwi.

-Gdybym była mężczyzną - ciągnęła Brenna, teraz już bliska leż - i powiedziała panu, że moje badania są dla mnie ważniejsze niż... niż załoty albo zakładanie rodziny, odniósłby się pan do tego z podziwem. Ludzie mówiliby: "Jest taki oddany sprawie. Jest niezmordowany w swoich wysiłkach, aby wykorzenić tę straszliwą chorobę". Gdybym była mężczyzną...

-Och, dosyć tego - przerwał jej Reilly. - Gdyby była pani mężczyzną, nie zakochałbym się w pani, więc, jeśli chce pani wiedzieć, cały ten wywód jest nie na miejscu.

A następnie, całkiem nieoczekiwanie, przeszedł przez pokój trzema długimi krokami, chwycił ją za ramiona i gwałtownie przyciągnął do siebie. Zanim się zorientowała w sytuacji, jego wargi znalazły się na jej ustach i Reilly znowu ją całował, jak gdyby nadal byli w sali balowej lorda Glendenninga.

Brenna poczuła się całkiem zbita z tropu. Pocalunkiem oraz niedbalym sposobem, w jaki Reilly przed chwilą wyznał jej miłość. Nie tylko mu się podobała. Był w niej zakochany.

I, co zaskakujące, nonszalancja, z jaką ją o tym poinformował, zrobiła na Brennie większe wrażenie niż namietne zapewnienia lorda Glendenninga. Reilly Stanton był w niej zakochany. I całował ją, całował ją tak, jakby nigdy nie miał skończyć. Ja, ubrana w spodnie i rozczochrana, ponieważ wilgotne od deszczu włosy poskreczały się dziko, ja, kobiecie o spierzchniętych od zmywania w zimnej wodzie dłoniach...

Nagle Reilly unosił głowę.

-Coz to za miauczenie? - zapytal.

Brenna nasluchiwała przez chwile... lecz slyszala tylko milosne wyznanie Reilly'ego, rozbrzmiewajace w jej glowie ciagle od nowa.

-Och - powiedziala wreszcie. - Ja takze slysze.

I faktycznie uslyszala. Ponad bebnienie deszczu o szyby okienne i monotonny szum potoku wznosilo sie jakies piskliwe zawodzenie. Brenna rozpozнала swoje imie.

-To Hamish. - Wywinela sie z objec Reilly'ego i pobiegla po plaszcz nieprzemakalny, ktory ociekal z wody, powieszony na haku wbitym w drzwi domku. - Hamish.

-Hamish? - Reilly byl rownie zdumiony jak Brenna. Pokrecil glowa jak pies otrzepujacy wode z uszu. - Coz, u diabla, Hamish robi tu w taka pogode? Powiedzialem chlopakowi...

Lecz Brenna nie uslyszala reszty. Gwaltownie otworzyla drzwi i wypadla na deszcz. Ulewa nie zelzala ani na jote, obfita i rzesista. Opady, wraz z woda pochodzaca z topniejacego w gorach sniegu, sprawily, ze niewielki zazwyczaj potok zmienil sie w rwaca rzeke o nurcie tak silnym, ze moglby porwac mlode jagnie, gdyby nieostroznie zapuscilo sie na brzeg.

I wlasnie tak sie stalo. Poprzez zaslone deszczu Brenna dostrzegla Hamisha, biegnacego wzdluz potoku i nadaremnie usilujacego wylowic zakrzywionym kijem pasterskim male stworzenie. Przez caly czas chlopiec ochryple wykrzykiwal imie Brenny.

-Boze, dopomoz - westchnela Brenna. Hamish solennie obiecal, ze po niedawnej operacji przez najblizsze kilka tygodni nie bedzie sie ruszal z domu... ktorej to obietnicy, z powodu milosci do swego stada, najwyrazniej nie potrafil dotrzymac.

-Trzymaj sie! - krzyknela Brenna, biegnac w strone chlopca. - Zaraz tam bede!

Lecz chociaz bardzo chciala pomoc Hamishowi i uratowac bezradne zwierzatko, wciaz wspominala niedawne zdarzenie. Kocha mnie, powtarzala w myslach, pedzac w strone kladki. Najslodszy Boze, on mnie kocha.

Teraz mogla sie do tego przyznac, od czasu owej trepanacji Hamisha nie widziala swiata poza Reillym Stantonem. A potem ja pocalowal... i zaslepienie zmienilo sie w uwielbienie. Z wszystkich sil trzymala sie od niego z daleka, aby nie wyznac mu, co do niego czula.

Powstrzymywaly ja przed tym dwie rzeczy: po pierwsze, przekonanie, ze swiatowiec w rodzaju Reilly'ego Stanton'a nie moze zywic do niej uczuc podobnych jak ona do niego. Wszak byla dla niego tylko corka wioskowego lekarza, kuriozum w spodniach i wysokich butach, osoba, ktora posiadla znajomosc kilku lekarskich chwytow, i kobieta, ktora miala nieszczescie zwrocic na siebie uwage miejscowego lorda.

Ale żeby mogli się w niej zakochać... nie. Na to nie miała nadziei, nawet w najśmielszych marzeniach.

Ale teraz, gdy jej wyznał swoją miłość... radość Brenny przyciemniała inną troskę: Reilly nie pozostanie na wyspie. Nawet gdyby to, co niewiarygodne, miało się zdarzyć - a właśnie się zdarzyło - i Reilly Stanton ją pokochał, i tak nie pozostanie na Skye.

A ona nie opuści wyspy.

-Brenno.

Zadyszany Reilly dogonił ją na kładce. Miał na sobie pelerynę; kapelusz i torba z wyposażeniem medycznym zostały w domku.

-Doprawdy - powiedział, znalazłszy się wystarczająco blisko, by nie musieli do siebie krzyknąć. - Widzę, że ani przez chwilę nie możemy być sami. Wciąż ktoś wzywa.

Następnie, widząc nadbiegającego Hamisha, przeniósł uwagę na swego byłego pacjenta.

-Chyba ci powiedziałem, młodzieńcze, że przez najbliższe tygodnie masz nie opuszczać domu - skarcił chłopca z nałogową surowością.

-Wiem - przyznał zadyszany Hamish. - Ale ktoś musi doglądać jagniąt. I niech pan tylko spojrzy, jaki mamy bigos. Lucais pognał za jagnięciem i też został porwany.

Chłopiec, który z ogoloną głową i w za dużym kapeluszu wydawał się teraz mniejszy i delikatniejszy, wskazał na potok.

Brenna, oparta o poręcz kładki, wpatrzyła się we wzburzoną wodę. I nagle ją dostrzegła, objadając się o glazy. Małеньkie, szare ciałko, walczące zaciekle, by utrzymać głowę ponad powierzchnią wody. A za nim czarno - biała błyskawica, mknąca ku niemu z szybkością unoszonego przez wiatr piórka.

Lucais.

-O Boże - westchnęła Brenna.

-Wskoczył do wody za jagnięciem - zawodził Hamish.

-I poniosł go prąd. - Reilly już zrzucił pelerynę. - Nie bój się. Złapie go.

-Pan złapie Lucaisa - powiedział Hamish, biegnąc za młodym doktorem. - A ja wylowię jagnię.

I chłopiec zaczął zdejmować kurtkę.

-Nie! - krzyknęła Brenna, pedząc za Hamishem. - Nie ty. Zostan na brzegu.

Hamish spojrział na Brenne, jakby postradała rozum.

-Ale on nie da sobie rady z psem i z jagnieciem - wyjaśnił chłopiec cierpliwie, jakby przemawiał do polgłowka. - Ma tylko dwie rece.

Brenna już zaczęła zsuwać się z brzegu.

-Ja chwyce jagnie! - zawołała, przekrzykując ryk wody. - Ty łap Lucaisa!

Reilly, który już był po uda w wodzie, odkrzyknął, by nie była głupia. Dokładnie mówiąc, nazwał ją matolkiem o kurzym mózgu, i to mało romantycznym tonem. Za późno. Brenna weszła do lodowato zimnej wody i usiłowała schwytac poturbowane jagnie, które się do niej zbliżało.

Pomimo że przerażone i wyczerpane wysiłkiem utrzymywania głowy ponad wodą, głupie stworzenie wcale nie było uszczesliwione, że Brenna chce je ratować. Usiłowało umknąć jej i zyskało tyle, że zalała je woda. Brenna, bojąc się, że małe ciałko przemknie pomiędzy jej nogami i uderzy w kładkę, zanurzyła pod wodę ramiona i górną część ciała, macając w poszukiwaniu welnistego stworzenia.

Schwyciła je w ostatniej chwili. Sekunde później wyprostowała się, trzymając w ramionach wyrwijące się - choć słabo - jagnie.

-Mam je! - krzyknęła do Reilly'ego, który, jak stwierdziła, także miał kłopoty. Lucais był równie przerażony jak przed chwilą jagnie, lecz cięższy od niego o jakieś dobre dwadzieścia kilogramów. Pies, może dlatego, że nie znalazł doktora zbyt dobrze, a może po prostu dlatego, że był ogłupiały z zimna i ze zmęczenia, walczył z Reillym, usiłując o własnych siłach wydostać się na brzeg, aż wreszcie wyrwał się z uchwytu i zniknąwszy pod wodą dwa lub trzy razy, poddał się i bezwładnie wypłynął na powierzchnię ze szklistym spojrzeniem...

Woda unosiła go, dopóki Reilly nie schwycił Lucaisa za ogon, nim pies wpadł na drewnianą podporke kładki.

Zwierze uniosło głowę i spojrzęło na Reilly'ego, jakby pytając: "I po co to wszystko?" Lecz nabrało rozumu na tyle, by już się mu nie wyrwać, a nawet przebierało w wodzie łapami, gdy wyczerpany Reilly wynosił je na brzeg...

Wyszędlszy, upadł z psem w objęciach. A Hamish radosnie zatęczał wokół nich.

-Mam nadzieję - powiedział Reilly, zwracając się do Brenny, kiedy odzyskał oddech - że w twoim domu znajdzie się trochę whisky.

Brenna miała w domu whisky. I to bardzo dużo. Energicznie postawiła butelkę przed Reillym...

I wybiegła z kuchni, mamrocząc coś o suchym ubraniu na zmianę.

Coż, nie szkodzi, pomyślał podnosząc butelkę do ust palcami, które, jak zauważył z klinicznym zainteresowaniem, drżały z zimna. Dobre maniery nie były mocną stroną mieszkańców Skye. Nawet Hamish, dla którego ryzykowali zdrowie, ratując jego diabelnego psa i niewypowiedzianie głupie jagnię, właściwie im za to nie podziękował. Nie, tylko wyrwał jagnię z objęć Brenny i natychmiast - wciąż ociekające wodą - wepchnął sobie za pazuchę, by je ogrzać. Następnie gwizdnął na Lucaisa - który, po krótkiej chwili odpoczynku, otrząsnął się z wody i wstał - zabrał zwierzęta i odszedł. Nalegania Brenny, by wstąpił do domku, żeby trochę przeschnąć i napić się herbaty dla rozgrzewki, były jak rzucanie grochem o ścianę. Chłopiec, pies i jagnię bezzwłocznie zniknęli.

Reilly wiedział, że szybki odwrót chłopca spowodowany był strachem przed burą za to, że wyszedł z domu przy tak niesprzyjającej pogodzie, chociaż jego rana jeszcze nie całkiem się wygoiła.

Ale żeby nawet nie podziękować?

Coż, widocznie takie były tutejsze zwyczaje. Może Hamish uważał, że jego wdzięczność rozumie się sama przez się. Lecz co sobie myślała Brenna, pozostawiając go ociekającego wodą, nie zaoferowawszy mu nawet ręcznika, kiedy zniknęła w swoim pokoju, aby się przebrać... W jej zachowaniu nie było nic oczywistego.

A niech tam! Po ślubie będzie miał wiele czasu, by ją nauczyć gościnności.

Uznał bowiem, że się pobiora. Właściwie nie wiedział, kiedy w jego głowie zrodziło się to postanowienie, lecz stało się to mniej więcej wtedy, gdy zobaczył Brenne Donnegal, jak bez cienia strachu - i bez skargi - wkroczyła do lodowato zimnej wody potoku po to, by ratować na wpół żywe jagnię. Nigdy w życiu nie widział, by kobieta w taki sposób ryzykowała własne bezpieczeństwo. Było to coś ponad jego pojmowanie. Matka Reilly'ego, jego siostry - nawet Christine, która często przyznawała się do miłości dla wszystkich stworzeń bożych - nigdy by czegoś takiego nie uczyniły. Brenna Donnegal z pewnością była kobietą, jakiej nie spotka nigdy więcej, dlatego gotów był zrobić wszystko, by mu się nie wymknęła.

Nie wiedział tylko, jak poruszy ten temat w rozmowie z samą zainteresowaną. Była ona całkowicie przeciwna wszystkiemu, co mogłoby ją odciągnąć od jej naukowych badań. Po rozmowie, która odbyła się, zanim zaczął ją całować, odniósł wrażenie, że małżeństwo traktuje jak zawadę.

Bedzie musiał na nią wpłynąć, by zmieniła zapatrywania.

Po chwili Brenna wrocila i cisnela w niego jakimis ubraniem.

-Trzymaj - powiedziala. Reilly zauwazyl, ze sama jeszcze sie nie przebrala. - Mojego ojca. Powinny pasowac. Jestescie chyba podobnego wzrostu.

Reilly spojrzal na ubranie, ktorym w niego rzucila. Zaiste, urocza gospodyni! Ale przeciez jego wygode stawiala na pierwszym planie! Najpierw whisky. Teraz to.

-Dziekuje - zaczal, ale Brenna znowu zniknela w swoim pokoju, gdzie, jak mial nadzieje, przebierze sie w cos bardziej kobiecego niz spodnie... ktore Reilly szczerze podziwial, lecz podejrzewal, ze nie stanowiły one stroju, jaki chcialby opisac swoim dzieciom, gdy go zapytaja, co miala na sobie mama, kiedy papa jej sie oswiadczył.

Reilly przyjrzał się rzeczom. Jak na lekarza, ojciec Brenny ubieral sie bardzo modnie. Bryczesy byly z cienkiej welny i mialy barwe ciemnej zieleni. Koszula uszyta zostala z dobrego plotna, a kamizelka doskonale skrojona. Ladny komplet, jak na wiejskiego lekarza.

Reilly wstal z wysilkiem i zaczal sciagac przemoczone buty, nastepnie mokre spodnie, rozmyslajac o tym, ze odkad przybyl do tego dziwnego, zazwyczaj nudnego, lecz czasami nadmiernie zabawnego miejsca, zdarzylo mu sie wylowic wcale pokazna liczbe topielcow. Mial szczerą nadzieje, ze ofiary, ktore uratowal tym razem, beda wiodly bardziej pozyteczny zywot niz Stuben, ktory nadal kroczył przez zycie w pijackim zamroczeniu. W przypadku Lucaisa mogl sie tego spodziewac: Reilly nie widzial ciezej pracujacego i szcieszliwszego psa niz on.

Lecz co sie tyczylo jagniecia, mozna bylo miec watpliwosci. Reilly czul, ze powinien odkupic je od MacGregorow, poniewaz, zobaczywszy, jak jego ukochana - bo bez wzgledu na to, co mowila Brenna, teraz nazywal ja swoja ukochana - tak bardzo starala sie je wyratowac, nie mogl przeciez dopuscic, by malenstwo zostalo skonsumowane z okazji zblizajacej sie Wielkanocy.

Przebrawszy sie w suche spodnie, Reilly wyjrzał przez okno. Niebo za malymi szybkami stawalo sie coraz ciemniejsze i to nie tylko z powodu deszczu, ktory nie ustawal. Zapadal zmierzch. O tej porze zamykalby drzwi szpitalika, zastanawiajac sie, co pani Murphy poda na kolacje. Mial nadzieje, ze Brenna przygotuje cos rownie apetycznego, choc, prawde powiedziawszy, nie bardzo na to liczyl. Nie nalezalo oczekiwac, ze kobieta o naukowych sklonnosciami ma rowniez talent kulinarny.

Kiedy o tym rozmyslal, Brenna wyszła z pokoju, ubrana w suknie, ktorej nigdy dotad nie ogladal. Byla to waziotka, obcisla szata z ciemnoniebieskiego aksamitu, zapieta, niestety, po sama szyje. Brenna uczesala wlosy w kok na czubku glowy i umocowala go czymś, co od czasu do czasu odbijalo swiatlo ognia i Isnilo. Efekt ten dal mu pewne wyobrazenie, jak bedzie sie prezentowala w rodowych brylantach Stillworth. Uznal, ze diadem bedzie dla niej bardzo odpowiedni.

Brenna przebrała się o wiele szybciej niż on. Reilly właśnie siał przez głowę mokra koszulę, dzięki czemu Brenna spostrzegła pamiątkę, którą zostawił mu Lucais.

-O mój Boże! - wykrzyknęła i zasłoniła usta dłonią. - Co się stało?

Reilly odrzucił koszulę i spojrzał na ślady pazurów psa.

-To Lucais - powiedział, wzduszając ramionami. - Nie bardzo chciałem, bym go wyratował.

-O Boże. - Brenna podbiegła do Reilly'ego, lecz nie dlatego, że - jak sobie z przykrością zdał sprawę - widok jego piersi obudził w niej pożądanie. Nie, spieszyła ku niemu, chcąc oczyścić rany.

Złosne. Oto, jakie jest jego życie. Po prostu złosne.

-Niech no zobacz - powiedziała, dotykając zadrapania wilgotną watą.

-Na Boga - odparł zawstydzony. - To chyba nic wielkiego? Skrzywiła się, by dać mu do zrozumienia, co myśli o jego zakłopotaniu.

-Widziałam cię już bez koszuli - przypomniała mu. - Kiedyś się spotkali po raz pierwszy. Więc nie bądź głupi. Tych zadrapań nie wolno lekceważyć. Siadaj.

-Brenno...

-Siadaj.

To mówiąc szturchnęła go w nagie ramiona. Reilly przysiadł na starannie wyszorowanym blacie stołu. Nie dlatego, że go popchnęła - była wprawdzie wysoka, ale nie na tyle silna - lecz dlatego, że poczuwszy dotyk jej palców na nieosłoniętej skórze, doznał zawrotu głowy.

-O, tak - powiedziała Brenna, wycierając zadrapania. Aby się znaleźć wystarczająco blisko, stanęła pomiędzy nogami Reilly'ego.

Co dobrze go usposobiło. Dziękował w duchu za to, że pies, który wpadł do potoku, był na tyle głupi, by mu się wyrwać. Zadrapania, które tak zaniepokoiły Brenne, były zaledwie powierzchowne i choć krwawiły, nie sprawiały bólu.

-Bardzo piecze? - spytała Brenna.

-Bardzo - odparł Reilly, zauważając, że jej kruczoczarne rzęsy są długie i ładnie podwinięte. Żałował, że suknia jest pozbawiona dekoltu, bo ze swego miejsca miałby wspaniały widok.

-Przepraszam - mówiła Brenna. Wyrzuciła zakrwawiony kawałek waty i sięgnęła po następny, pochylając się nad Reillym, a jej piers, pomimo że ukryta pod niebieskim aksamitem, musnęła lekko jego ramię. - Powinna być przewidzieć, że Lucais wpadnie w

panike. Zazwyczaj jest przyjacielski wobec ludzi, ale kiedy się wystraszy...

-Och, nie szkodzi - odparł Reilly, spoglądając na kark pochylonej Brenny. Stwierdził, że jej szyja jest długa i szczupła, o bardzo jasnej skórze, na której wily się rude pasma włosów. Ponieważ jego zmysły były szczególnie wyostrzone - bądź co bądź, był bez koszuli, a pomiędzy jego nogami stała kobieta - owe kędziory wydały mu się wysoce prowokujące, takie miękkie i błyszczące, odcinające się od białej skóry. Miał wielką ochotę przycisnąć do nich wargi.

I niby dlaczego nie miałby tego uczynić? W końcu byli tu sami. Zapadał wieczór, lał deszcz, a oni już wyschli i znajdowali się w milej atmosferze domku, który oficjalnie należał do niego.

Co więcej, Brenna nigdy przedtem nie miała nic przeciwko temu, by ją całował. To znaczy, nawet jeśli protestowała, Reilly nie traktował tego poważnie. Mówiła wprawdzie, że musi całkowicie skoncentrować się na pracy, aby udowodnić teorie swego ojca.

Lecz Reilly nie sądził, by jego pocałunki były dla niej odrazające. Przecież oddawała je z taką zarliwością.

Pochylił się więc i przytknął usta do jej karku, w miejscu gdzie włosy zostały sczesane do góry, odsłaniając ciepłą i jasną skórę.

Zareagowała z taką gwałtownością, jakby ją uszczypnął. Poderwała głowę, omal nie uderzywszy w brode Reilly'ego, i klepnęła się po karku, jakby chciała usmiercić komara.

-Nie wolno - powiedziała, patrząc na niego oskarżycielskim wzrokiem. - Nie możemy. Wydawało mi się, że...

Lecz pokusa była zbyt wielka. Stała tak blisko, ciepła i pachnąca tak samo, jak owego wieczoru na przyjęciu u lorda Glendenninga. Ogień trzaskał wesoło, a o szyby bebnął deszcz. Reilly po prostu musiał ją objąć.

A potem powoli przyciągnął do siebie, aż jej nogi znalazły się tuż obok tej jego części, która zrobiła się miłą twardą i napiętą.

Kiedy poczuł jej dłonie na swojej nagiej piersi - umieszczone tam tylko po to, by go odepchnąć - pochylił głowę, by ucałować Brenne. Ich języki się spotkały, a wtedy palce Brenny, zamiast odpychać, zaczęły go przyciągać. Teraz jest moja, pomyślał.

Brenna także zdawała sobie z tego sprawę. Właściwie wiedziała o tym od chwili, gdy zobaczyła go w świetle płomieni kominka, stojącego bez koszuli, zupełnie tak samo jak owego pierwszego wieczoru w gospodzie Pod Udreczonym Zajacem. Brenna, która towarzyszyła ojcu w większości wizyt u pacjentów i widywała wiele obnazonych męskich piersi, nigdy nie oglądała równie umięśnionej jak tors Reilly'ego Stantona. Porastały go ciemne włosy, zaczynające się wąziutką smugą ponad pasem bryczesów, która ku gorze

stopniowo stawala sie szersza, by nastepnie klebic sie dookola pary plaskich brodawek o kakaowej barwie.

Jednakze postanowila sobie, ze nie podda sie zachwytowi, i zabrala do czyszczenia zadrapan. Ach, jakze trudno jej bylo stac pomiedzy nogami Reilly'ego, starajac sie nie zwracac uwagi na cieplo, emanujace z jego ciala!

I wdychac jego zapach! Jakim cudem, po calym dniu spedzonym na wietrze i deszczu, wciaz pachnial mydlem pani Murphy? A kiedy pochylala sie, by oczyszcic zadrapania pozostawione przez pazury Lucaisa, musiala zauwazyc, ze klatka piersiowa Reilly'ego unosi sie i opada w miarowym rytmie oddechu. Oraz spostrzec nabrzmienie bicepsow... ktore w tej chwili nie byly napiete, lecz ogladane w ruchu jakos ja oniesmielaly.

I jakze miala nie poczuc lekkiego oddechu, muskajacego jej kark? Kazdy centymetr ciala Brenny mrowil, zanim jeszcze Reilly jej dotknal.

A wlasciwie czemu nie mialaby odczuwac mrowienia? Przeciez pol godziny temu Reilly powiedzial, ze jest w niej zakochany! W niej, w Brennie Donnegal, najdziwaczniejszej dziewczynie w calej Anglii. Ten nieprawdopodobnie przystojny i doskonaly mezczyzna byl w niej zakochany!

I jak na to zareagowala?

Nijak. Bo coz mogla uczynic? Miala do wykonania misje i nie mogla pozwolic, by cos przeszkadzalo jej w pracy.

Tylko ze...

Jego barki sa takie szerokie. Takie silne. W sam raz, by oprzec na nich glowe.

A potem ja pocalowal - w kark - najlzejszym z pocalunkow, a ona poczula sie tak, jakby wzdluz kregoslupa przebiegla blyskawica. Wstrzasnieta, odskoczyla jak kukielka na sznurku.

Gdy ja potem do siebie przyciagnal, chciala zaprotestowac. Naprawde. Ale stalo sie tak, jakby tym jednym pocalunkiem zmienil w galarete nie tylko jej kregoslup, ale rowniez sile woli. Usilowala go odepchnac, ale gdy jej palce dotknely nagiej skory - nagiej skory jego piersi, ktora tak ja pociagala od czasu ich pierwszego spotkania - przestala sie broniec, a poczuwszy jego usta na wargach, myslala tylko o tym, ze jego narzeczona musiala byc niespelna rozumu, aby odtracic takiego mezczyzne...

Nektar. Oto jak smakowala Reilly'emu Brenna. Nigdy przedtem nie kosztowal nektaru i wyobrazal sobie, ze to cos jak melasa, ktorej nie znosil - ale ostatnio mial do czynienia z wierszami poetow romantyzmu, ktorzy opisywali nektar jako napoj bogow.

A taka właśnie była Brenna Donnegal. Smakowita. Pomyslał, że samo całowanie mu nie wystarczy. Pragnął czegoś więcej...

Tym razem nic im nie mogło przeszkodzić. Deszcz szumiał miarowo. Zapadła noc. Wszystkie jagnięta już przyszły na świat i we wsi nie było żadnej ciężarnej dziewczyny, która mogłaby zacząć rodzić. Gdyby do potoku wpadło jakieś jagnię, i tak nikt by go nie zdołał wylowić, bo było ciemno choć oko wykol. Był tylko Reilly i Brenna, i miał zamiar jak najlepiej to wykorzystać.

Dlatego postąpił zgodnie z impulsem, który podszeptał mu, by pozbawić Brenne Donnegal ubrania. Obnazając ją na tyle, na ile on był rozebrany... a jeśli się uda, jeszcze bardziej.

W tym celu zajął się licznymi guzikami przy jej sukni.

W pierwszej chwili zdawała się nie zauważać, co czynią jego palce, co było w zgodzie z jego intencjami. Im bardziej zajmuje ją pocałunkami, tym sprawniej ją rozbiore, myślał.

Wkrótce się przekonał, że całowanie Brenny Donnegal było łatwe, lecz rozebranie jej znacznie trudniejsze. Dlaczego właśnie na ten wieczór musiała wybrać akurat te suknie?

-Reilly - wymamrotała wprost w jego usta, gdy jego palce - palce chirurga, które tak biegle posługiwały się skalpelem - wciąż nieudolnie rozprawiały się z szóstym lub siódmym guzikiem (pozostało już tylko kilkanaście).

-Ciii - szepnął i pocałował ją jeszcze mocniej. Wreszcie! Poradził sobie z przekletemi guzikami. Pozostało jeszcze zapiecie pomiędzy piersiami, więc w razie gdyby zaczęła protestować, wystarczy wsunąć palce pod tkaninę, a Brenna natychmiast się uspokoi. Po tym, co zaszło w sali balowej Glendenninga, wiedział, jak bardzo jest pobudliwa...

Lecz Brenna również zdawała sobie z tego sprawę. Zwłaszcza teraz, gdy ją całował, a jego palce - och, te jego zwinne palce! - wyczyniały rzeczy, których robić nie powinny. Wszystko wskazywało na to, że są zajęte rozpinaniem jej sukni. A Brenna nie chciała zostać rozebrana. Nie chciała poczuć na nagiej skórze gorąca, którym promieniował Reilly Stanton. Obawiała się, że zniknie w chmurze dymu. Spłonie jak drewno na podpalce, umieszczone we wrotach piekła.

Co ja robię, co ja wyprawiam, pozwalając mu, by mnie tak całował? Tak nie można - myślała w panice. Pocałunki Reilly'ego Stantona sprawiały, że potrafiła myśleć tylko o jednym... o Reillym Stantonie. Tak być nie mogło. Prawda?

A palce Reilly'ego, dotykające jej piersi? Przecież nie powinny tego robić. Tylko że gdy już miała zaprotestować, znalazły się pod suknią i raz czy dwa razy musnęły naga skórę. To nie było w porządku.

Lecz kiedy ustąpił ostatni guzik, odsłaniając obydwie jej piersi, wydało jej się, że wszystko

jest w jak najlepszym porządku. Poczula, że dłonie Reilly'ego zostały stworzone tak, by idealnie pasowały do jej brodawek, a palce ukształtowane, by je pieścić. Wiedziała, że nie powinna pozwalać, by jej dotykał w ten sposób, ale czuła się tak rozkosznie, że niby czemu miałyby mu w tym przeszkadzać? Zwłaszcza wtedy, gdy w swoim namietnym zamroczeniu usłyszała, jak Reilly wydaje gardłowy dźwięk, świadczący o tym, jak bardzo jej pragnie.

Pod wpływem dotyku Reilly'ego podwinęła palce w pantoflach, a jej włosy nabrały czucia... a przecież były to tylko włosy. To co odczuwały inne partie jej ciała, zatrwożyłoby uczennice z londyńskiej pensji panny Laver. Płatki uszne Brenny stały się ciężkie i odretwiały, a piersi... och, piersi już od dawna tęskniły za dotykiem Reilly'ego!

Lecz nie koniec na tym. Między nogami znajdowało się miejsce napięcia, które, jak to spostrzegła z klinicznym zainteresowaniem naukowca, zdawało się skorelowane z pocałunkami i dotykiem Reilly'ego Stantona. Z każdą pieśczętą napięcie wzrastało.

Właśnie owo miejsce zdawało się najbardziej spragnione dotykiem Reilly'ego Stantona. I Brenna, choć była dziewica, doskonale zdawała sobie sprawę, za którą część jego ciała tęskni to jej miejsce.

Przypuszczała, że powinno ją to przestraszyć. Znalazła się bowiem w sytuacji, co do jakiej nie miała najmniejszego doświadczenia. Lecz jej łaknienie wiedzy oraz pragnienie, by poczuć naga skóra Reilly'ego przy swojej, oddaliło wszelkie skrupuły.

Wobec tego uczyniła to, co zdawało się najbardziej naturalne, coś, czego obydwójce pragnęli, położyła dłoń na tej twardej i pulsującej, poprzez materiał spodni, części ciała Reilly'ego.

Najwyraźniej była to właściwa droga postępowania, ponieważ Reilly wydał jęk pełen wdzięczności i, oderwawszy wargi od jej ust, przesunął je, gorące i wilgotne, po jej szyi, do jednej z jasnych brodawek piersi.

Chcąc mu okazać, co czuje, Brenna rozpięła guziki bryczesów i wsunęła do nich dłoń, aby ująć tę jego część, którą zapragnęła poczuć jak najbliżej siebie.

Zaskoczyła ją długość i grubość owej części, by nie wspomnieć o gorącu, jakim promieniowała. Odczuła zupełnie nienaukowy strach, kiedy Reilly, zdumiony tym, co uczyniła, lecz wcale nie mając jej tego za złe, zarzucił ją sobie na ramię tak samo jak przed kilku godzinami, i bez dalszych ceremonii ruszył ku sypialni.

Być może sprawił to fakt, że pocałunek został przerwany. A może to, że jej piersi bolesnie przyległy do gorącej skóry pleców Reilly'ego. Może przestraszyło ją wspomnienie tego, co przez chwilę trzymała w ręce. Tak czy siak, Brenna wybrała te właśnie chwile, by odezwąć się głosem zduszonym na skutek zwisania głowy w dół:

-Naprawdę, Reilly, uważam, że nie powinniśmy tego robić. Zastanówmy się przez moment.

To może spowodować mnóstwo komplikacji, których żadne z nas nie potrzebuje...

Na co zareagował położeniem jej na łóżku, a gdy spróbowała się podnieść, przygniotł jej ciało własnym.

19

Mówi poważnie, Reilly - powiedziała Brenna, czując wzrastający niepokój. Lecz w chwili gdy Reilly na powrót przycisnął usta do jej warg, ów niepokój okazał się przelotny. Prawdopodobnie miały w tym swój udział także dłonie Reilly'ego, którymi znowu nakrył piersi Brenny, jakby nie mogąc się nimi nacieszyć.

Bo faktycznie nie mogli.

-Reilly - udało jej się wyszeptać, gdy unosił głowę, by przypuszczać atak na biust Brenny. - Zastanów się. Obydwoje mamy... tyle pracy...

Brenna stwierdziła, że gdy wargi mężczyzny pieszczą jej piersi, bardzo trudno jest się wysłowić. A co robią, zastanawiała się w zamroczeniu, jego ręce? Najwyraźniej zadzierają do góry rąbki jej spodnicy, najpierw powyżej kostek, następnie powyżej kolan, wreszcie odsłaniają przymarszczone nogawki pantalonów, uda, a teraz...

-Masz rację - powiedział Reilly, unosząc twarz ponad piersi Brenny i spoglądając na nią z nieodgadniętym wyrazem twarzy. W sypialni nie było kominka, paliła się tylko pojedyncza świeca, którą Brenna zapaliła, aby się przebrać.

Toteż niezbyt wyraźnie widziała Reilly'ego, za to czuła go aż nadto dobrze. Jego niewiarygodnie zwinne palce uniosły spodnicę aż do pasa i jedna dłoń znalazła się bardzo blisko tej części Brenny, która najbardziej tęskniła za dotykami Reilly'ego. Tak nie można. Nie można.

-Mamy mnóstwo pracy - ciągnął, całując szyję Brenny. - I ty, i ja.

-Dobrze wiesz, o jaką pracę mi chodzi, Reilly - odparła zaciskając zęby. Musiała je zacisnąć, aby nie uczynić tego, na co miała wielką ochotę, to jest podsunąć biodra pod dłoń, która spoczywała tak nęcąco na jej udzie. - Mówię o...

Lecz nie dokończyła zdania, ponieważ Reilly przesunął rękę i musnął wprawnymi palcami jej pantalon, sprawiając, że szmatywnie zaczerpnęła powietrza, a następnie przygryzła dolną wargę. O, Boże! Że też istniały takie wrażenia! A ona, zajęta wykresami i mikroskopem, przez cały czas nie miała o nich pojęcia...

-Reilly - powiedziała błagalnym tonem.

-Wszystko w porządku - odrzekł i wydało się jej, że w słabym świetle świecy dostrzegła

blysk jego zębów. Jakby się uśmiechał. I niby czemu nie miałby się uśmiechać? Reilly Stanton był stale uśmiechnięty.

Po chwili znów ją całował, tylko że teraz jego pocałunek był inny. Nie szybki i wygłodniały jak poprzednio, lecz przeciągły - nadal zarliwy i intensywny, lecz bardziej zdecydowany. Po chwili Brenna pojęła, jaki był jego cel. Wstążka podtrzymująca pantalony została rozwiązana i, zanim Brenna się zorientowała, ręka Reilly'ego Stantona znalazła się pomiędzy jej udami, głaszcząc wilgotne loczki, na które tam natrafiła.

Serce Brenny waliło tak mocno, że nie docierało do niej bebnienie deszczu o szybki okien. Zamknęła oczy. Co innego mogła uczynić? Nie mogła go powstrzymać. I już nie chciała.

A potem pantalony w jakiś sposób zniknęły, tak samo jak jej suknia. Brenna była naga. Kiedy spojrzała na Reilly'ego, stwierdziła, że on także jest rozebrany. Stwierdziła również, wiedzioną czysto naukową ciekawością, że skóra Reilly'ego jest o ton lub dwa ciemniejsza od jej skóry... nawet w miejscach, które nigdy nie oglądały słońca.

Lecz Reilly nie dał jej czasu na dalsze obserwacje. Odrzucił suknie i przydusił Brenne do poduszek łóżka, w którym nigdy nie sypiał nikt inny tylko ona, a które teraz miało się stać świadkiem niezwykłych doznań. Wargi Reilly'ego natarły teraz z nowym wigorem, palce zajęły się włosami o miedzianej barwie, porastającymi trójkątne miejsce u zbiegu jej ud.

Lecz teraz nie była to tylko eksploracja. Ow najłżejszy z dotyków sprawił, że Brenna rozsunęła kolana.

A potem on znalazł się pomiędzy nimi. Jego gorące i twarde ciało łągnęło do jej ud, brzucha, piersi, ramion, którymi instynktownie otoczyła szyję Reilly'ego. Całował ją namietnie, a między pocałunkami szeptał jej imię oraz inne słowa. Jedną rękę wsunął we włosy Brenny, które, pozbawione grzebienia, rozsypały się po poduszce, podczas gdy druga ręka zdawał się czegoś poszukiwać...

Nagle poczuła go: twardego i pełnego, napierającego na nią. I zamiast się przestraszyć, jak wiedziała, że powinna, poczuła nieprzeparta chęć, by jej tam dotknął. Toteż rozsunęła uda... tylko odrobine, ale to wystarczyło, bo nagle, jakby zaskoczony, znalazł się w jej wnętrzu.

Wcale nie jest tak źle, pomyślała. Dlaczego więc te dziewczyny od panny Laver - mające zamezne siostry - opowiadały, że za pierwszym razem tak bardzo boli?

A wtedy Reilly się poruszył, i już wiedziała.

Okazało się bowiem, że nie znalazł się jeszcze nawet w połowie drogi, a już bolało. Bolało tak bardzo, że Brenna zastanawiała się, co, u diabła, Flora ma z tego, oprócz bólu, a potem jeszcze większego bólu po dziewięciu miesiącach.

Krzyknęła i Reilly oczywiście natychmiast znieruchomiał, bo nie chciał jej krzywdzić, co było

jeszcze gorsze. Zalala sie lzami, zaklela i usilowala go zepchnac, ale on chwycil ja za obie rece, przycisnal do materaca i naparl znowu. Tym razem wiedziala, ze znalazl sie w srodku, co poczula, zalujac, ze urodzila sie kobieta... Ale tylko przez sekunde. Bo tyle trwalo, zanim spostrzegla, ze juz jej nie boli, a nawet, ze czuje sie zupełnie dobrze.

-Jak sie czujesz?

Powoli zdala sobie sprawe, ze Reilly lezy na niej zastygly w bezruchu, ledwie oddychajac, by nie sprawic jej bolu, choc najwidoczniej kosztowalo go to sporo wysilku. Czolo mial spotniale, pomimo ze w pokoju bylo chlodno, a zyla, ktora Brenna spostrzegla juz wczesniej, silnie pulsowala. Sciskal ja za rece tak mocno, ze zdretwialy jej palce.

Rozpatrywala jego pytanie z kliniczna dokladnoscia. Czy dobrze sie czuje? Przed chwila czula, ze rozpada sie na kawalki, lecz dobrze wiedziala, ze mezczyzna nie moze w ten sposob roztrzaskac kobiety.

Aby odpowiedziec na jego pytanie zgodnie ze stanem faktycznym, uznala, ze niezbedne bedzie wykonanie eksperymentu, totez poruszyła biodrami, tylko odrobineczke, aby sprawdzic, czy bol powroci.

Nie powrocil. Poruszajac sie w gore i w dol wzdluz tej niezwykle twardej palki, ktora w niej tkwila, poczula cudowne doznania.

Doznania, ktore z pewnoscia staly sie takze udzialem Reilly'ego, bo gdy Brenna sie poruszyła, wstrzymal oddech, a zyla na jego czole zaczela pulsowac jeszcze silniej.

-Dobrze sie czujesz, Brenno? - zapytal znowu, tym razem przez zacisniete zeby.

-Tak mi sie zdaje - odparla, gotowa na przedyskutowanie tej materii, gdyby zaistniala koniecznosc.

Okazalo sie, ze jedyna koniecznoscia, jaka zaistniala, bylo poruszenie ta czescia Reilly'ego, ktora tkwila w Brennie, i to poruszenie w sposob calkowicie pozbawiajacy ja rozumu. Nagle jej ciało wygielo sie w luk, ramiona zacisnely na szyi Reilly'ego, a glowa, w stanie ekstatycznego letargu, opadla na poduszki...

Reilly oswobodzil nadgarstki Brenny i ujal w dlonie jej twarz, obsypal wargi pocalunkami, poruszajac sie znowu, i znowu, za kazdym razem budzac w niej przekonanie, ze teraz jest najprzyjemniej... a potem poruszył sie jeszcze raz i biodra Brenny uniosly sie na jego spotkanie, a ona pomyslala: Nie, nie, teraz jest jeszcze lepiej...

A on zaglebial sie coraz bardziej i bardziej, napieral mocniej i mocniej, sprawiajac, ze rama lozka uderzala w sciane, ale Brenna wcale sie tym nie przejmowala. Radosnie witala kazde kolejne natarcie, a Reilly za kazdym razem ochryple wykrzykiwal jej imie, na co jej serce odpowiadalo gwałtownym uderzeniem o jego serce...

Do chwili gdy wszystkie mięśnie jej ciała wyprezyły się jak żyłka wedki, do której, gdzieś głęboko pod powierzchnią duszy, przymocowane jest jakieś monstrualnie wielkie stworzenie.

Tylko że owym stworzeniem nie był liczący kilka metrów długości wąż, lecz kolosalna fala namietnej rozkoszy, która rozbijała się o Brenne, macąc jej zmysły, zalewając ją cielesnym zachwytem. Dygotała na całym ciele, od stóp po koniuszki włosów, nawet opuszki palców zdawały się promieniować erotyczną błogością...

A potem ostatnia roziskrzona fala odpłynęła, pozostawiając Brenne wilgotną, całkowicie zaspokojoną i niejasno świadomą, że na niej spoczywa ciało drugiej ofiary tej, jakże słodkiej, choroby.

Kiedy Reilly unosił twarz z zagłębienia pomiędzy szyją a barkiem Brenny, świeca dogasała, lecz dawała odrobinę słabej poświaty, przy której Brenna dostrzegła malujący się na jego twarzy wyraz szczerzej troski.

-Nie zaczniesz mnie teraz oskarżać i obwiniać, prawda? - chciał się dowiedzieć.

-Za to, co zrobiliśmy? - spytała, sennie mrugając powiekami. Dochodziło pewnie w pol do siódmej, a ona czuła się tak, jakby to była północ.

-Właśnie. Bo jeśli masz takie zamiary - powiedział, unosząc pasmo jej włosów i przyglądając mu się w zamierającym świetle - spieszę cię zapewnić, że pragnę cię poślubić, i to od chwili, gdy przywróciłaś do życia starego Stubena. Mam nadzieję, że zgodzisz się ze mną co do tego, że to jedyne wyjście z sytuacji. To znaczy, małżeństwo.

Brenna zeszywniała. I nic nie mogła na to poradzić. Reilly poczuł to i powiedział, zanim zdolała cokolwiek z siebie wydusić.

-Och, na miłość boską, Brenno! Nie próbuj udawać, że mnie nie kochasz. Wiem, że nie pozwoliłabyś na to, co się właśnie stało, gdybyś mnie nie kochała.

Oczywiście miał rację. Kochała go, na Boga, choć wcale tej miłości nie pragnęła i nie potrzebowała. Dopiero teraz dotarło do niej, co się stało.

Kochała się z Reillym Stantonem. Ona, Brenna Donnegal, straciła cnotę z mężczyzną, którym jeszcze miesiąc temu głęboko pogardzała.

Co pomyśla sobie jej rodzice?

Rodzice? Co pomyśli lord Glendenning? Dobry Boże, dalsze zatrudnienie Reilly'ego Stantona zawisło na włosku, a on mówi o małżeństwie. Nie mogą przecież pozostać na Skye jako para małżeńska. Lord Glendenning nie zniosłby tego...

Ale ona musi zostac na Skye. Od jej pozostania tutaj zalezy wszystko. Wszystko.

Nie mogla zebrac mysli. Nie w chwili, gdy on lezy tak blisko... Na Boga, on wciaz jest w jej wnetrzu. Co ja zrobilam? Co ja najlepszego zrobilam?

Reilly przygladal sie jej twarzy, wypatrujacz oznak gniewu. Dostrzegl, ze sie skrzywila, i czekal, co nastapi. Nigdy przedtem nie pozbawil kobiety dziewictwa, lecz Shelley, ktory mial slabosc do panien sklepowych, czesto instruowal Reilly'ego i Pearsona. Dziewica, wyjasnial im Shelley, zazwyczaj nie jest zachwycona utrata wianka.

A nawet jezeli bylo jej przyjemnie, nalezy oczekiwac, ze po fakcie bedzie plakala i obwiniala partnera. A jesli dziewczina jest katoliczka - takze modlitw, najczesciej do Madonny. Dlatego zawsze, pouczal ich Shelley, nalezy miec przy sobie duza czysta chusteczke do nosa oraz jakies swiecidelko z kamieniem szlachetnym, ktore nalezy podac w chwili, gdy sie zanosi na wznoszenie modlow do Najswietszej Panienki.

Reilly mial przy sobie chusteczke do nosa - choc obawial sie, ze w tej chwili jest ona prawdopodobnie mokra - lecz nie posiadal zadnego swiecidelka. Ale czy dziewice, ktora zamierza sie poslubic, takze nalezy oblaskawiac z pomoca bizuterii? Shelley nigdy nie poslubil zadnej z dziewczyn, z ktorymi sie zabawial, nie wspomnial wiec o tym, jak nalezy sie zachowac w takiej sytuacji.

Poza tym Reilly nie spodziewal sie, ze Brenna Donnegan zacznie odmawiac rozaniec. Jesli nawet wierzyla w najwyzsza sile stworcza, to pozostawiala te wiare dla siebie. Na dodatek nie nalezala do kobiet lubiaczych blyskotki. Bardziej odpowiednim prezentem bylby dla niej dobry mikroskop. Albo wycieczka do nowej biblioteki medycznej w Paryżu...

Lecz jej wahanie nie mialo nic wspolnego z odraza do tego, co zrobili. Zauwazyl, ze choc ma powieki opuszczone, w myslach odbywa jakas pospieszna kalkulacje. Pewnie sie zastanawia, jak ma sie wykrepic od malzenstwa, aby pozostac na tej przekletej skalistej wysepce z paskudnymi Mackafeemi i zalosnymi Florami, by leczyc ich, gdy nadejdzie nastepna epidemia cholery. Reilly czytala to na jej twarzy!

Czy w calej historii ludzkosci kiedykolwiek zdarzyla sie taka kobieta? - zapytywal siebie. Moze krolowa Bodicea, myslal. Krolowa Estera. Boze, uchwaj przed takimi fascynujacymi, lecz przerazajaco zdeterminowanymi kobietami! Jak to sie stalo, ze zakochal sie w jednej z nich? Gdzie sie podzial jego afekt, ktorym darzyl Christine? O ile pamietal, byl w niej kiedys bardzo zakochany.

Lecz czymze byla Christine King w porownaniu z Brenna Donnegan? Plomym zapalki wobec plomieni, jakimi wybucha czynny wulkan.

Poczul raczej, niz uslyszal, ze burczy jej w brzuchu.

-Glodna? - zapytal, nie okazujacz niepokoju, ktory go dreczyl.

-Chyba tak... - odparła słabym głosem.

Lecz mówiła tak cicho tylko dlatego, że rozmyślała na zupełnie inny temat... nie o Reillym. W jej oczach nie było ani śladu łez. Nie żałowała tego, co zrobili... przynajmniej nie otwarcie. Przynajmniej nie teraz.

Reilly nie wiedział, czy to oznacza, że wygra te bitwy, czy też że ja przegra.

-No coż... - powiedział i delikatnie się z niej sturlał. Poczula chłód wszędzie tam, gdzie przed chwilą znajdowało się ciało Reilly'ego. W małej sypialni było zimno. Cechował ją całkowity brak kobiecości... no, może z wyjątkiem obecności jej mieszkanki.

Bo, jak zauważył Reilly, Brenna Donnegan nigdy nie wyglądała piękniej niż w owej chwili. Nie umywały się do niej żadne piękności z obrazów Tycjana czy Leonarda da Vinci. Klasyczna piękność, długonoga i wąska w talii, lecz o pełnym biuście i krągłych biodrach. A ta skóra! Nie oglądał - i nie dotykał - takiej skóry nigdy w życiu. Barwy kości słoniowej i gładka niczym atlas. Zachwycony miał zamiar dotykać jej regularnie.

O ile, oczywiście, uda mu się przekonać jej właścicielkę, by za niego wyszła.

-Dokąd idziesz? - spytała, a potem usiadła i sięgnęła po białą - niebieską koldre, złożoną w nogach łóżka, pod którą, niestety, skryła swoją wspaniałą skórę.

-Poszukać czegoś na kolację. - Reilly włożył bryczesy, które podniósł z podłogi. - Chyba masz w domu coś do jedzenia, prawda?

Brenna odgarnęła z twarzy miedziane loki.

-Oczywiście, że mam jedzenie - odparła z oburzeniem. - Poczekaj, ja... - I sięgnęła po swoją ciemnoniebieską suknię.

-Nie - odparł z galanterią. - Pozwól, bym ja się tym zajął.

-Nie. Nie wiesz, gdzie co leży. Ja przygotuję kolację.

Na Boga! I tak będzie już zawsze? Bada toczyli boje o najdrobniejsze sprawy, na przykład o to, które z nich ma przyrządzić sałatę?

Coż, będzie to z pewnością barwne, choć męczące życie.

-Dobrze. - Reilly rozpiął bryczesy, które zsunęły się na podłogę. Wyszedł z nich i powiedział. - Wobec tego ty przygotuj kolację.

Po czym wskoczył z powrotem do łóżka i ułożył się, podkładając ręce pod głowę i krzyżując nogi w kostkach.

A ponieważ był zupełnie nagi, Brenna, zamiast wyjść do kuchni, zagapiła się na te części jego ciała, która niedawno sprawiła im obydwójgu tak wiele przyjemności.

-Halo? - zapytał. - Czyżbyś zmieniła zamiar? Wstydliwie odwróciła wzrok i poczerwieniała. Brenna Donnegan spasowała. Reilly uznał, że to czarujące.

-Nie - odparła szybko. - Ja tylko... Już idę i...

-Chyba że masz ochotę na coś innego - podsunął jej pogodnie.

-Ja... - Brenna odchrząknęła. Rumieniec nie schodził z jej policzków. - Coż, ja...

Torturowanie jej w taki sposób było niezwykle zabawne, lecz Reilly nie miał serca, by drażnić się z nią dłużej. Wyciągnął rękę i przyciągnął Brenne do siebie. Kiedy upadła, koldra się rozchyliła, uwalniając wszystkie ukryte pod nią słizności.

-A może - powiedział - chciałabyś zostać w łóżku trochę dłużej...

-Owszem - odparła stłumionym głosem, ponieważ miała twarz wcisniętą w szyję Reilly'ego.
- Mogłoby być miło...

I, rzeczywiście, było nader przyjemnie.

20

MacAdamsowie. Campbellowie. Mackafee'owie. Abercombe'owie. Murphy'owie. Marshallowie. Wpatrywała się w te nazwiska, aż jej oczy zaszyły mgłą. Jest w tym jakaś prawidłowość. Wiedziała, że tkwi w tym prawidłowość. Lecz dlaczego ona nie potrafi jej uchwycić? Już od miesiąca wypisywała nazwiska na mapie Lyming, ale to wcale nie przybliżyło jej do rozwiązania problemu.

W Londynie, kiedy pomyślała o tym, owego wieczoru, gdy jej ojca wygwizdano na spotkaniu Królewskiej Akademii Medycznej, cała sprawa wydawała się taka jasna. Prawidłowość. Oto, czego nie dostrzegł ojciec. Prawidłowości, która podważyłaby teorię miazmatów i udowodniła, że zaraźliwe choroby w rodzaju cholery i duru brzuszego są spowodowane czymś innym.

Ale czym? Skoro choroba nie przenosiły trujące opary, wznoszące się w powietrzu, to w jaki sposób rozprzestrzeniała się gorączka? Jeżeli uda jej się znaleźć coś, cokolwiek, co łączyło rodziny, których członkowie zapadli na cholere, pozna tę prawidłowość.

Ale dysponowała wyłącznie nazwiskami, wypisanymi na mapie w pobliżu miejsc, gdzie owe rodziny pobudowały swoje domy. Dziesiątki rodzin. Setki imion.

Ale wciąż nie było w tym żadnej prawidłowości.

Zadnej odpowiedzi.

Westchnęła i ciasniej otuliła się kołdrą. W pracowni panował chłód. Nie palił się ogień. Nie bez znaczenia był też fakt, że pod kołdrą Brenna była zupełnie naga. Zostawiła Reilly'ego Stantona, śpiącego w jej łóżku. Kiedy przez zasłony w oknie sypialni wsaczyło się blade światło poranka, stwierdziła, że twarz pogrążonego we śnie Reilly'ego jest nie mniej przystojna niż wtedy, gdy nie spał... ale dojrzała na niej pewna świetlista niewinność, której nie było, gdy czuwał.

Cicho wyszła z sypialni i podgrzała sobie wodę na kąpiel. Napełniła przenośną miedzianą wannę - jej ojciec nigdy nie zainstalował porcelanowej wanny, która zawsze tylko obiecywał rodzinie - kilkakrotnie wlewając do niej parującą zawartość kociołka. Kąpiąc się, powtarzała sobie, że nie zmywa grzechów... lecz tylko ich świadectwo.

Wykapawszy się, owinęła się kołdrą i poszła do pracowni, by, jak to często czyniła, przyglądać się wykresom.

Tylko że tym razem nie zrobiła tego w nadziei na znalezienie odpowiedzi, która tak długo jej umykała. Nie, tym razem przyszła do pracowni, ponieważ czuła, że musi pozostać sama i zająć się tym, co ją zatrzymywało na Skye.

Właściwie nie w pełni docierała do niej waga wydarzeń minionego wieczoru. Zdawała sobie jednak sprawę, że zachowała się w sposób wysoce nierozważny, za co przyjdzie jej jeszcze zapłacić.

I wiedziała, że cena będzie koniecznością dokonania wyboru: pomiędzy tym, co w ciągu minionych miesięcy - a może nawet lat - stało się jej obsesją, oraz czymś najbardziej cudownym w całym jej życiu.

Bo Reilly Stanton był dla niej cudem, którego nie spodziewała się zaznać: mężczyzną, który ją szanował i podziwiał, ale jednocześnie był świadom jej niedostatków, które tolerował z łagodnym rozbawieniem. A w łóżku... O Boże, na myśl o tym, co zrobili w jej panienskim łóżku, oblewała się rumieńcem.

I na tym polegała niesprawiedliwość sytuacji. Brenna nie chciała dokonywać wyboru. Dlaczego Reilly Stanton wkroczył w jej życie właśnie teraz? Za kilka tygodni zrobi się tak ciepło, jak w zeszłym roku o tej porze, kiedy zaczęły się pierwsze infekcje. Nie może teraz opuścić wyspy. Zależy od niej życie tujejszych ludzi. Jej obowiązkiem jest nie tylko pomóc w przebrnięciu przez następną epidemię, jeśli do niej dojdzie, lecz także... co daj Boże... zapobieżenie nawrotowi zarazy.

Biała się jednak, że teraz, gdy Reilly Stanton, który już kilkakrotnie przelamał jej opór, zniszczył ostatnią zapórę, nie uda jej się wypełnić tej misji. Bo Reilly, wiedziała o tym, był zdecydowany ją posłubić.

Rownie dobrze zdawala sobie sprawe z tego, ze tutaj, na Skye, nigdy do tego nie dojdzie. Bo Reilly, choc wydawalo mu sie, ze przywykl do tutejszego zycia, na zawsze pozostanie mieszkancem nizin.

A mieszkancy nizin, o czym kazdy wiedzial, nie mogli wytrzymac surowego zycia w gorach. Och, ze wzgledu na nia Reilly zostanie tu przez pewien czas. Ale w koncu tesknota za latwym zyciem w Londynie stanie sie zbyt silna.

Byl jeszcze jeden problem. Nalezalo wziac pod uwage lorda Glendenninga. Nie mogli sie pobrac w obecności Iaina MacLeoda. Hrabia nigdy by na to nie pozwolil. Brenna nie byla pewna, do czego lord Glendenning bylby zdolny, ale z pewnoscia dopuscilby sie przemocy...

Przemocy wobec Reilly'ego Stanton.

Brenna westchnela i znow wpatrzyla sie w wykresy, choc wlasciwie ich nie dostrzegala. Przebiegala pamiecia zdarzenia minionej nocy: usmiech Reilly'ego, jego nieustajaca pogode ducha. Jego czule usta na jej wargach, powiekach, piersiach. Kolacje o polnocy, kiedy inny rodzaj glodu wygnal ich wreszcie z lozka. Chwile radosnej wesolosci, westchnienia...

Dlaczego nie mozemy, zastanawiala sie, po prostu dalej tak zyc? Dlaczego Reilly upiera sie przy malzenstwie? Uznala, ze chcial ja pocieszyc... bo, faktycznie, biorac pod uwage to, do czego doszlo, powinna czuc sie nie najlepiej.

Ale ona wcale sie tak nie czula. To, co zrobili, wydawalo jej sie sluszne i naturalne.

Niepokoila ja perspektywa malzenstwa.

Sam pomysl zostania zona Reilly'ego Stanton nawet jej sie podobal. Miec to wspaniale meskie cialo tylko dla siebie i na zawsze? Wspaniale oswiadczyzny.

Ale z malzenstwem laczyly sie sprawy, ktore ja przerazaly...

-Co robisz? - Gleboki meski glos wyrwal ja z zamyslenia. Brenna szybko sie obejrzala.

W drzwiach stal Reilly. Rownie nagi jak ona pod swoja koldra.

-Nic - odparla, czujac, ze jej serce bije w przyspieszonym rytmie. Nie wiedziala, czy dlatego, ze ja zaskoczyl, czy tez dlatego, ze sama obecność Reilly'ego dzialala na nia tak pobudzajaco - nie wspominajac o drobiazgu, ze byl golutenki.

-Cos jednak robisz - powiedzial. I wszedl do pracowni, klapiac bosymi stopami. - Aha - dodal, stwierdziwszy, w co sie wpatrywala. - Nie sadzisz, ze troche na to za wczesnie?

Brenna wzruszyla ramionami. Przy tym ruchu koldra odrobine sie zsunela.

-Pomyślałam sobie, że dziś mogę spojrzeć na to innym wzrokiem niż wczoraj.

-Interesująca teoria - mruknął Reilly, unosząc brwi. - Ponieważ straciłaś, jak by to ująć, swój wianek?

Poczuła, że się rumieni.

-Coż, ja bym tego tak nie ujęła...

-Wpuść mnie pod skrzydło - powiedział, unosząc brzeg kołdry. - Chętnie na to rzucę okiem, jeśli pozwolisz.

Brenna przesunęła się, robiąc mu miejsce na taborecie obok siebie. Reilly przysiadł na jednym posładku i otoczył ramieniem talie Brenny, po czym obydwójce okryli się kołdrą. W tej intymnej pozycji przyglądali się mapie na biurku.

-Co to jest? - zapytał Reilly, wskazując palcem oznakowanie.

-Kosciół. - Brenna nie mogła się nadziwić, że Reilly promieniuje takim ciepłem, ogrzewając jej przemarznięte ciało. Jakże to dziwne, myślała, siedzieć z nim w pomieszczeniu, którego nigdy nikomu nie pokazuje. W pewien sposób wydawało jej się to bardziej intymne niż to, co zaszło pomiędzy nimi w łóżku. Ponieważ tam Brenna otworzyła przed Reillym tylko swoje ciało. A teraz czuła się tak, jakby otwierała przed nim duszę.

-Gospoda - mówiła, wskazując mu różne miejsca na mapie. - A tutaj dom Mackafeech.

Reilly skinął głową. W miarę jak się przyglądał mapie, jego wzrok stawał się bardziej przenikliwy.

-A ta falista linia - powiedział - to nasz potok. - Gdy Brenna skinęła głową, dodał: - Nie miałas chyba zbyt dobrych ocen z rysunku, prawda? Ani z kaligrafii. Co tu jest napisane?

-Połnoc - odparła, urazona.

-Ach, rozumiem. Naprawdę, okropnie bągrzesz. Nie mogę cię odczytać. - A potem przeniósł wzrok na Brenne. - Więc moja sztuka uwodzenia nie rozjaśniła ci w głowie?

-Nie. - Bede mu chyba musiała powiedzieć, myślała, dlaczego nasze małżeństwo jest niemożliwe...

Lecz Reilly poprawił kołdrę i z wielkim skupieniem wpatrzył się w mapę.

-A więc tym się zajmujesz całymi dniami? - zapytał. - Przesiadujesz na stolku w tej zimnej kłitce i patrzysz na złe narysowane mapy, czekając na oświecenie?

-Zwykle tak - odparła, starając się nie zwracać uwagi na to, że wzrok Reilly'ego, zamiast

spocząc na jej oczach, wędruje gdzieś niżej, w kierunku biustu. - Czasami oglądałam próbki gruntu, które zebrałam we wsi. Dzięki nim dowiedziałam się, że na wyspie nie ma gnijących odpadków. Takich, które mogłyby być odpowiedzialne za tworzenie się gazowych wyziewów...

-Naprawdę? - Reilly nie wydawał się specjalnie podekscytowany tym, co usłyszał. - I po to tylko ryzykowałam gniew twoich rodziców i stryja? Po to, żeby siedzieć w pracowni i gapić się na mapy oraz przesiewać próbki gruntu?

Teraz za wzrokiem Reilly'ego poszedł jego palec, który delikatnie muskał piers Brenny.

-No, niezupełnie.

Miała trudności z doborem słów, ponieważ palec Reilly'ego podał teraz w górę, wzdłuż ud, które Brenna mocno zacisnęła, na wypadek gdyby chciał zawedrować jeszcze dalej, burząc wszelką nadzieję na racjonalne wyperswadowanie małżeństwa jego właścicielowi...

-Reilly - powiedziała, starając się nie zwracać uwagi na dłoń, która znalazła się tuż obok włosów, porastających miejsce u zbiegu jej ud. - Naprawdę musimy...

Lecz wtedy Reilly zsunął się z taboretu i, wraz z przypadającą mu częścią koldry, pochylił się, jakby chciał coś podnieść z podłogi.

-Reilly - powiedziała, lekko poirytowana. Jakże mają omawiać drażliwy temat, skoro on w ogóle jej nie słucha? - Słyszysz mnie? Musimy porozmawiać o naszym dalszym postępowaniu...

-Doskonale wiem, co teraz zrobimy.

Co rzekłszy, z dużym znanstwem rozsunał jej kolana.

-Oto - powiedział - nasz następny krok.

Zanim się zorientowała, wtulił twarz pomiędzy jej uda.

Tego się nie spodziewała. Podczas spędzonych wspólnie długich godzin jeszcze tego nie próbował.

Dlatego, poczuwszy wargi doktora Stanton na najbardziej intymnym miejscu swego ciała, zeszywniała i chwyciła się reka blatu biurka, podczas gdy druga dłoń wsunęła we włosy Reilly'ego.

-R...Reilly... - wyjąkała. Na nic. Odrosnięty w ciągu nocy zarost laskotał wewnętrzną stronę jej ud. - Co robisz?

-Myślałem - odparł głosem cokolwiek zduszonym, ponieważ wydobywającym się spod

koldry - ze to w pelni oczywiste.

I w sekunde pozniej takim sie stalo. Sztywne plecy Brenny staly sie wiotkie, a ona poczula, ze zsuwa sie z taboretu, poniewaz wilgotny jezyk Reilly'ego sprawil, ze jej kosci zmienily konsystencje ze stalej na plynna. Gdyby nie jego ramiona, ktorymi obejmowal nogi Brenny, asekurujac ja, spadlaby na podloge.

Zamiast niej znalazla sie tam koldra. Brenna czula, jak nakrycie zsuwa sie z jej ramion, ale nie byla w stanie temu przeciwdzialac.

Poza tym teraz nie bylo jej ani troche zimno. Reilly wydzielal z siebie takie ilosci ciepla, ze moglby ogrzac wielka komnate w zamku Glendeninga. A dzieki temu, co wyprawialy wargi Reilly'ego, ona sama omal nie splonela, zmieniawszy sie w piorun kulisty.

Gdy wydawalo jej sie, ze eksploduje z rozkoszy, ktora dawaly jej utalentowane wargi Reilly'ego, uniosl twarz. Tam, gdzie przed chwila znajdowaly sie jego usta i jezyk, dotarlo chlodne powietrze.

Gwaltownie uniosla powieki i spojrzala na niego zaskoczona, podczas gdy ta jej czesc, ktorej poswiecil tyle wytrwalej uwagi, wciaz pulsowala.

Wtedy spostrzegla, ze Reilly takze pulsuje. I wlasnie dlatego przerwal pieszczote i stanal przed nia, prezentujac swoja, bijaca w oczy, zadze... Konieczne bylo natychmiastowe jej zaspokojenie, totez nie mieli czasu na powrot do lozka. Przyciagnal ku sobie Brenne, otoczyl ja ramionami i podsunawszy dlonie pod jej posladki, uniosl i nasadzil na trzon, mruzcac do ucha slowa...

Slowa, ktorych nie miala czasu sluchac, bo calkowicie skupila sie na odczuwaniu.

Doznawala wrazen podobnych jak minionej nocy, z jedna tylko roznicą: bylo jej jeszcze lepiej. Jak to mozliwe, ze za kazdym razem doprowadzal ja do granicy wytrzymalosci, do najwyzszej ekstazy, a potem udawalo mu sie zaprowadzic ja jeszcze dalej? Od tego blogostanu byla bliska szalenstwa. Teraz takze balansowala na krawedzi, na skraju niebios. Jeszcze jedno pchniecie, jeszcze jedno natarcie, a bedzie stracona...

A potem rzeczywiscie sie zatracila. Cale jej opanowanie rozlecialo sie na tysiace czasteczek, z ktorych kazda migotala niczym kropelka deszczu w promieniach slonca. Krystaliczne odlamki resztek jej rozsadku ulatywaly wokol, calujac jej skore, zanim opadly na podloge.

I podczas gdy ona wtulila sie w Reilly'ego, on bez wytchnienia zaglebial sie w niej coraz bardziej, az wreszcie doznal ulgi... ale stalo sie to dopiero wtedy, gdy przyparl plecy Brenny do biurka, az jej rude loki rozsypaly sie po nieczytelnej mapie, na ktora opadlo czolo Reilly'ego, a on sam zwalil sie na Brenne.

-No - powiedział i, ciężko dysząc, unosił głowę. - Co chciałaś mi powiedzieć?

Lecz ona nie pamiętała. A zresztą to nieważne, pomyślała. Nie teraz, kiedy mają do przedyskutowania znacznie ciekawsze sprawy. Na przykład, ile czasu musi minąć, zanim znow to zrobią.

21

Okazało się, że niewiele. Właśnie przychodzili do siebie po następnym podobnym wysiłku, gdy rozległo się stukanie do drzwi domku. Po wczorajszym deszczu dzień wstał jasny i bezchmurny. W miarę wędrowki słońca po niebie robiło się coraz cieplej, więc Brenna i Reilly leżeli w łozku niczym nie przykryci. Usłyszawszy walenie do drzwi, Brenna usiadła.

-To lord Glendenning - powiedziała. - O mój Boże, musisz się ukryć!

Reilly nie miał na to najmniejszej ochoty. Niby czemu? Wziął, co mu się należało, i nie widział powodu, by hrabia miał się o tym nie dowiedzieć. A poza tym był taki zaspany i rozleniwiony, że nie chciało mu się ruszyć. Prawde powiedziawszy, był również obolały, co, jak sądził, stanowiło naturalną konsekwencję wielokrotnego kochania się z Brenna w ciągu minionych szesnastu godzin. Podejrzewał, że ona odczuwa jeszcze większy dyskomfort.

-Ja nie żartuję - wysyczała Brenna, wkładając niebieską suknię. - Ukryj się.

-Nie ma mowy. - Reilly z rozbawieniem przyglądał się, jak walczy z suknią. Stwierdził, że nigdy nie znudzi mu się patrzenie na nagie ciało Brenny Donnegan. Nawet ubrane stanowiło dla niego nieustające źródło zainteresowania. - Skąd wiesz, że to on?

-Jo kracze tak tylko wtedy, gdy odwiedza nas hrabia. Rzeczywiście, Reilly dosłyszał krakanie bardzo poirytowanej Jo.

Brenna popędziła do toaletki i przeczesała palcami włosy.

-Wiedziałam, że tak się stanie - mamrotała. - Wiedziałam. On cie zabije. A wszystko z mojej winy.

Reilly unosił brwi.

-Obrazasz mnie. Sam ponoszę odpowiedzialność za swoje czyny, nawet wtedy gdy, jak powiadasz, mogą doprowadzić do mojej śmierci.

-Jeśli nie chcesz się ukryć, to przynajmniej obiecaj, że nie wyjdiesz z tego pokoju. Słyszysz, Reilly? - Brenna obejrzała się przez ramię i rzuciła mu błagalne spojrzenie, któremu trudno się było oprzeć. - Lord cie zamorduje, jeśli się dowie, co pomiędzy nami zaszło.

-No, no - odparł Reilly. Ależ ona piękna, kiedy się tak denerwuje, pomyślał.

-Mówię poważnie. - Znowu stukanie do drzwi. - Ide! - zawołała Brenna, a potem jeszcze raz spojrzała na Reilly'ego. - Zostan tu, cokolwiek by się działo. Dla twego dobra.

-Nie przyszło ci do głowy - powiedział, machając zranioną dłoń - że na miecze jestem równie dobry jak na pieści?

-Po prostu się stąd nie ruszaj - błagała Brenna. - Nie tylko ze względu na siebie. Zrób to dla mnie. Nie chce, żeby rozeszło się po wsi, że spędziłeś u mnie całą noc. Już i tak mam dość kłopotów z wielbnym Marshalllem.

Reilly uznał, że jest to jedyny rozsądny powód, by nie zdradzać swojej obecności. Dobrze, nie rusze się stąd, pomyślał z goryczą. Lecz gdy tylko Brenna wyszła z sypialni, wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać w rzeczy, które wreszcie wyschły po kąpieli w potoku.

-Ide, już ide - powtarzała Brenna, spiesząc ku drzwiom. Czego może chcieć lord Glendenning? - myślała. Hrabia nie miał zwyczaju nachodzić jej w domku, głównie dlatego, że nie spodobałoby się to pastorowi. Musiało się zdarzyć coś naprawdę szczególnego...

Otworzywszy drzwi, dowiedziała się, co go sprowadza.

-Jest tutaj?

Lord Glendenning wyminał ją i wpadł do kuchni, gdzie w zlewie odmakwały naczynia po kolacji i widoczne były inne dowody ich grzechu: stojące otworem drzwi do pracowni, wygasłe palenisko, całkowity brak jakichkolwiek śladów, że Brenna jadła śniadanie.

-Kto? - spytała Brenna, mając nadzieję, że zwraca się do hrabiego ze zwykłą sobie szorstkością. - Co się z tobą dzieje?

-Nie mogę go nigdzie znaleźć. - Lord Glendenning przyglądał swoje nazbyt długie, kruczoczarne loki. Był prawdziwie przejęty. - Moira mówi, że nie wrócił od Mackafeech. Ale nie ma go u nich. Nie widzieli go od wczoraj... Rozplątał wargę Haroldowi Mackafee.

Brenna podwinęła rękawy i zabrała się do mycia naczyń. Uznała, że to bardzo naturalne zajęcie, które pozwoli jej nie patrzeć na hrabiego, gdy będzie go musiała okłamywać. Wbrew kunsztownemu spiskowi, który uknuła, by wyprowadzić w pole wuja oraz rodziców, Brenna nie potrafiła klamać.

-Mówisz chyba o Reillym Stantonie - powiedziała, zanurzając ręce w lodowatej wodzie. - Nie ma go tutaj, jak sam widzisz.

Lecz lord Glendenning, zamiast wyjść, na co miała nadzieję, odsunął od stołu jedno z krzeseł i usiadł na nim, przy akompaniamencie trzeszczących stawów i poskrzypywania

krzesła, które nie zostało skonstruowane, by wytrzymać ciężar takiego olbrzyma.

-Nie mam pojęcia, gdzie on się może podziewać - powiedział zaniepokojony hrabia. - Myślisz, że nędzny los rodziny Mackafeech sprawił go w takie obrzydzenie, że opuścił wyspę?

-Nie bądź głupi - odparła Brenna, wycierając filizankę.

-Nie jestem. Mogło się tak zdarzyć. Czasami myślę, że Stanton jest przewrażliwiony jak kobieta. Pamiętasz, jaki był zaaferowany z powodu chłopaka MacGregorow...

-Którego omal nie zabiłeś - przypomniała mu zniecierpliwiona Brenna.

Hrabia tylko machnął ręką.

-Ale wszystko się dobrze skończyło. Widziałem go przed chwilą. Zostawił ci na progu narecze stokrotek.

Słyszac to, Brenna uśmiechnęła się z zadowoleniem. A więc maly Hamish nie był takim niewdzięcznikiem, na jakiego wyglądał! Podziękował im za wczorajszą pomoc. Reilly na pewno się z tego ucieszy.

-Musiałem je kopnąć, żeby tu wejść - ciągnął lord Glendenning. - To okropny facet. Ten Mackafee. Może właśnie przez niego Stanton wyjechał. Ja sam wiele razy miałem ochotę rozkwasić mu gębę.

-Naprawdę? - parsknęła Brenna. - W takim razie okazałeś się niezwykle wstrzemięzliwy.

-Par, taki jak ja, nie może się zniżać do bicia swoich poddanych - odparł z oburzeniem. - To nie uchodzi. A poza tym mój cios mógłby go pozbawić życia.

-Jasne - powiedziała ironicznie Brenna. - W takim razie powinnam ci pogratulować, że oszczędziłeś nieszczęsnika.

-Powinnas. - Lord Glendenning spojrzał na wygasłe palenisko. - Jak to? - Zapytał zdumiony. - Nie ma dziś herbaty?

-Właśnie ją przygotowuję - odparła Brenna, nie odrywając wzroku od mydlin.

-Zaspalas, co? - spytał hrabia z uśmiechem. Uznał jej ospałość za niezwykle zabawna. - Też bym sobie pospalał, ale zjawili się ci przybysze z nizin.

Brenna postawiła filizankę na polce. Dwie filizanki obudziłyby podejrzenia hrabiego, więc pozostawiła drugą w mydlinach i zajęła się myciem łyżeczki.

-Jacy przybysze z nizin?

-Ci, którzy przyjechali dzis rano do doktora Stantona. - Zirytowany hrabia spojrzal na belki pod sufitem. - Nie mozesz uciszyc tego ptaszyska? Chetnie ci pomoge.

-Nic jej nie zrobisz. - Brenna podeszla do drzwi, uchylila je i spojrzala na niezadowolona wrone. - Na dwor. Juz!

Rak sfrunal z belkowania i wylecial z domku. Brenna zamknela drzwi.

-Kto przyjechal do doktora Stantona? - spytala, starajac sie nie okazywac zbytniego zainteresowania.

-Dwoch jegomosciow - odparl Glendenning. - Lub raczej dzentelmenow. Dosc wystrojeni, wedle najnowszej londyńskiej mody. Jeden z nich ma srebrna laseczke, a drugi wciaz pali cuchnace cygara.

-Rany boskie - powiedziala Brenna slabym glosem. Zastanawiala sie, czy zamkniety w sypialni Reilly wszystko slyszy. - Czego chca?

-Maja jakies nowiny - odparl hrabia, wzruszajac ramionami. - Dla Stantona.

-Mam nadzieje, ze to nic zlego.

-Nie sadze, by odbyli taka podroz, gdyby nie stalo sie cos zlego. - Glendenning odchytil sie na oparcie krzesla, nie zwazajac na jego zlowrogie trzeszczenie. - Wiesz, Brenno - powiedzial w zamysleniu - nigdy przedtem nie widzialem cie przy zmywaniu naczyn.

-Nie jest to wprawdzie tak ekscytujace zajecie jak przecinanie krwiaka - stwierdzila - lecz jakos sobie radze.

Hrabia najwyrazniej nie doslyszal w jej tonie nuty ironii.

-To mi sie podoba - oswiadczył.

-Przypuszczam - powiedziala, zaalarmowana gardlowym brzmieniem jego glosu - ze zmywajac, przypominam ci Flore.

-Nie chodzi mi o Flore - powiedzial takim samym niskim glosem. I pochytil sie do przodu.

Serce Brenny zabilo niespokojnie. Szybko siegnela po scierke do naczyn i wytarla rece, na wypadek, gdyby musiala ich uzyc do czegos innego niz zmywanie. Zalowala, ze nie zdazyla sie obuc. Nie usmiechalo jej sie uskakiwanie przed hrabia na bosaka, zwlaszcza ze w chwilach takich jak ta mial tendencje do przydeptywania jej palcow swymi wielkimi stopami.

-Flora - powiedziala szybko - zmywa znacznie lepiej niz ja.

-Ale nie wyglada przy tym tak ladnie jak ty, Brenno - odparl hrabia.

Następnie wstał gwałtownie. Krzesło, na którym siedział, upadło z łoskotem na podłogę, ale on zdawał się tego nie zauważać.

-Brenno - powiedział tym swoim wciąż gardłowym głosem i zbliżył się o krok. Wyraz poządania na jego przystojnej twarzy roztopiłby serce każdej innej dziewczyny, lecz Brenna rozglądała się w poszukiwaniu noża.

W końcu okazało się, że wcale go nie potrzebowała. Zanim lord do niej podszedł, otworzyły się drzwi sypialni. Całkowicie ubrany Reilly Stanton wkroczył do kuchni pewnym krokiem.

-Halo - powiedział. - Szukał mnie pan, milordzie? Gdyby sytuacja nie była taka poważna - ona sama zamarła z reka tuż nad nożem do krojenia chleba, którym zamierzała rozplatać twarz lorda Glendenninga, gdyby przysunął się bliżej, hrabia zastygł ze wzniesionymi ramionami, którymi miał zamiar objąć Brenne, by ją pocałować - Brenna wybuchnęłaby śmiechem. Hrabia był tak niepomierne zdumiony, jakby ktoś dzgnął go widelcem do ryb.

-Rozumiem, że moi przyjaciele czekają na mnie w zamku? - zapytał Reilly, nonszalancko poprawiając krawat. - Musi im pan wybaczyć, milordzie. Poinformowałem ich w liście, że się tam zatrzymałem. Znaczący, w zamku. Zapomniałem im wspomnieć, że się przenieśli do szpitalika. Coż, w takim razie chodźmy.

Lord Glendenning nadal stał ze wzniesionymi rękoma. Brenna, nie wiedząc, co ma robić - lecz całkowicie świadoma, że nie chce się znajdować w pobliżu jego wielkich pięt, gdy zacznie się bojk - szybko podeszła do kredensu, gdzie stanęła, zastanawiając się, jak ma zapobiec rozlewowi krwi.

-Co? - zapytał lord Glendenning normalnym tonem. - Co ty tu robisz, Stanton?

-Ja? - zdumiał się Reilly, szeroko otwierając ciemne oczy. - Mogę panu zadać to samo pytanie.

-Ja? - jak echo powtórzył hrabia. - Szukam cie wszędzie, Stanton.

-No więc już mnie pan znalazł. I myślę, że sprawiliśmy pani Donnegal dość kłopotu, prawda? Lepiej już chodźmy.

-Ale... - Wzrok hrabiego powędrował ku drzwiom, przez które wszedł Reilly. - Ale to jest sypialnia Brenny.

-Tak - powiedziała Brenna, zanim Reilly zdążył się odezwąć i pogłębić swój własny grób. - To prawda. Doktor Stanton pomagał mi w czymś.

Lord Glendenning spojrzał na Brenne, potem na Reilly'ego i znowu na Brenne.

-W twojej sypialni?

-Tak - odparła Brenna, wychodząc z kata i prostując dumnie plecy. - To była... sprawa osobista. Medyczna.

-Złe się czujesz? - zapytał hrabia, ściągając brwi. - Nie wyglądasz na chora.

I miał rację. Brenna nigdy w życiu nie sprawiała wrażenia zdrowszej.

-To niedomaganie, którego, hm, nie widac.

-Chcesz mi wmówić, że tak dobrze się znając na medycynie, musiałas prosić o poradę tego konowala? - zapytał hrabia z niedowierzaniem.

Brenna skinęła głową.

-Tak. Widzisz, hm, nie mogłam tam sobie dosięgnąć... Najwyraźniej nie powinna była tego powiedzieć, bo hrabia wybuchnął:

-Co ci jest, do diabła? Reilly nie stracił zimnej krwi.

-Uspokój się, stary - odezwał się. - To tylko pieprzyk. Nic nadzwyczajnego. Panna Donnegał miała rację, zwracając się do specjalisty. Gdy ich nie leczyc, te rzeczy czasami robia się naprawdę paskudne. Choć w tym przypadku pieprzyk okazał się całkowicie niegroźny. Dzięki Bogu.

Lord Glendenning wciąż nie był przekonany.

-Gdzie jest ten pieprzyk? - zapytał.

-Doprawdy, milordzie. - Rumieniec Brenny nie był podrabiany. Nie mogła uwierzyć, że rozmowa przybrała taki obrot i wolałaby zapasć się pod ziemię, niż dalej ją prowadzić.

Lecz lord Glendenning nie wykazał ani odrobiny wrażliwości na jej kobiece poczucie wstydu.

-No, sama powiedz, Brenno. Co ja mam o tym wszystkim myśleć? Mówisz mi, że Stantona tu nie ma, a potem się okazuje, że jest w twojej sypialni. Ciekawe, co powiedziałby na to wielbny Marshall. Bardzo jestem ciekawy.

-A ja chciałabym wiedzieć, co wielbny Marshall powiedziałby na to, że przychodzisz do mego domu i oskarżasz mnie... sama nie wiem o co! - Oburzenie Brenny było równie prawdziwe jak jej rumieniec. - Doprawdy, milordzie, czuje się obrażona. Proszę, byś stąd natychmiast wyszedł.

-Wyjde - powiedział, marszcząc brwi. - Jeżeli on wyjdzie. Przy słowie "on" hrabia wskazał głową w kierunku Reilly'ego. Reilly wyciągnął kapelusz z kieszeni płaszcza i starał się mu nadać jakiś przyzwoity kształt, co, jak spostrzegła Brenna, nie było możliwe.

-Dobrze - powiedział. - Panno Donnegal, cała przyjemność po mojej stronie. Mam nadzieję, że wkrótce znów się zobaczymy.

-Tak, oczywiście. Wkrótce - wymamrotała Brenna słabym głosem.

-Jeśli jest pan gotowy, milordzie... - powiedział Reilly, zwracając się do wciąż pełnego podejrzeń Glendenninga.

-Jestem gotowy - odparł hrabia. - Do widzenia, Brenno - powiedział, kiwnąwszy głową w jej stronę.

-Do widzenia, lordzie Glendenning.

Odprowadziła mężczyznę do drzwi. Reilly będzie musiał, pomyślała, wyprowadzić ze stajni konia, który spędził tam noc obok mojej klaczy. Miała nadzieję, że lord Glendenning nie zacznie się zastanawiać, dlaczego doktor, który wpadł tu tylko na chwilę, zadal sobie trud, by rozsiadła wierzchowca.

Zamknawszy za nimi drzwi i wrociwszy do sypialni, z przerażeniem spoglądała na dowody swych grzechów. I wtedy spostrzegła, że Reilly nie zabrał torby z przyrządami medycznymi.

Chwyciła ją i ruszyła ku drzwiom, by zawołać za Reillym, że zapomniał przyborów. Gdy to uczyniła, z zewnętrznej torby kieszeni wypadła jakaś książka i otworzyła się na stronie, na której widniało imię Brenny.

Zaciekawiona Brenna podniosła książkę i od razu poznała, że to prywatny pamiętnik Reilly'ego Stantona. Na stronie, która tak nieodparcie przyciągnęła jej wzrok, było napisane: Nie udało mi się uratować życia topielca. Zostałem zawstydzony na oczach całej wioski przez amazonkę w spodniach. Ma na imię Brenna, ale nie przypomina żadnej z dotychczas poznanych.

Przeczytawszy to, nie myślała już, by oddać Reilly'emu jego torbę. Usiadła na podłodze. I czytała.

22

Na Boga, Stillworth. - Charles Abernathy Pearson III wyjął z ust cygaro i spojrzał w osłupieniu. - Co ty masz na głowie? Reilly unosił rękę na wysokość czoła. I wtedy mu się przypomniało - kapelusz, który w pośpiechu nasadził na głowę, by bronić Brenny przed natarczywością lorda Glendenninga.

Zdjął z głowy wymietoszony kapelusz i rzekł:

-Zechciejcie pamiętać, panowie, że nie jesteście w Londynie, a tutaj nikt nie zawraca sobie głowy ubiorem.

St. John Christopher Fleming Shelley odstąpił od zbroi, która bez powodzenia usiłował przymierzyć, przejrzał się w niej, a następnie obrzucił przyjaciela zaciekawionym wzrokiem i wykrzyknął wzburzony:

-A niech cię, Stillworth! Zapomniałeś, czego cię uczyłem? Nieważne, że ludzie nie dbają o to, jak wyglądasz. Masz się zawsze prezentować możliwie jak najlepiej. - Po czym dodał: - A ty, milordzie, wyglądasz okropnie.

Hrabia, który nie odstępował Reilly'ego, zatrzymał się gwałtownie i spytał z oburzeniem:

-Naprawdę?

Reilly spojrzał znacząco na swych przyjaciół i powiedział:

-Nie natrzasajcie się ze stroju jego lordowskiej mości. Zapewniam was, że jest ubrany w zgodzie z nakazami tutejszej ostatniej mody.

Pearson i Shelley nie zrozumieli.

-Wystarczyły cztery miesiące na dzikich Hebrydach - ciągnął Shelley - a zapomniałeś, kim jesteś. Na miłość boską, mówię o tobie, Still...

-Tak, tak, masz rację. - Reilly klepnął przyjaciela w ramię mocniej, niż to było konieczne. - Musi pan wybaczyć moim przyjaciołom - zwrócił się do Glendenninga. - Maja dziwny zwyczaj zwracania się do mnie per "milordzie". Sam nie wiem, kiedy się to zaczęło.

Pearson wyjął z ust cygaro.

-Chyba wtedy - powiedział oschle - gdy zacząłeś nalegać, aby cię tytułowac markizem Stillworth.

-Racja. - Reilly wałnął w plecy Pearsona. - Alesmy się wtedy ubawili! Coż za pomysł, ja i markiz!

Pearson, który, w chwili gdy Reilly przyłożył mu w plecy, właśnie zakrztusił się dymem cygara, rzekł, kaszląc:

-Rzeczywiście. Czy prawdziwy markiz zawracałby sobie głowę nauką, by zdobyć dyplom lekarza?

-A gdyby tak zrobił - dodał Shelley - na pewno nie zacząłby praktykować. Chyba że byłby głupcem.

Glendenning rozesmiał się z przymusem. Nadal nie otrząsnął się z szoku, którego doznał na widok Reilly'ego Stanton'a, wychodzącego z sypialni Brenny, i wciąż rzucał w jego stronę podejrzliwe spojrzenia. Reilly nie chciał go dobijać, wyjawiając, że jest markizem.

-A wiec... panowie - powiedzial hrabia, odrzucajac do tyłu peleryne. - Udalo mi sie odszukac waszego przyjaciela, tak jak obiecalem.

-Dobra robota - pochwalil go Shelley. Uniosl szklaneczke whisky, ktora najwyrazniej, pod nieobecność hrabiego, podal mu sluzacy. Fakt, ze byla zaledwie dziesiata rano, w najmniejszym stopniu nie klopotal Shelleya - ani Pearsona, ktory rowniez wzniosl swoja szklaneczke.

-I gdziez on byl? - zapytal Pearson.

-Domyslami sie, ze w domu najladniejszej dziewczyny w okolicy - wypalil Shelley. - Tak samo bywalo w Londynie, prawda, Chas?

-Prawda - zachichotal Pearson. - Zeby obejrzec jej pieprzyki. Lord Glendenning rzucil Reilly'emu tak wsciekłe spojrzenie, ze ten ostatni z trudem opanowal wybuch smiechu i powiedzial:

-Wspanialy dowcip. A teraz powiedzcie, co was sprowadza na Skye. Musze stwierdzic, ze nie spodziewalem sie waszej wizyty.

Pearson i Shelley spojrzeli po sobie. W koncu, na skutek dziwacznych min i takichz odzywek Reilly'ego, zorientowali sie, ze cos nie jest w porzadku.

-Coz - zaczal powoli Pearson. - Mamy dla ciebie nowiny...

-Cos, o czym nie chcielismy pisac w liscie. - Shelley, wyzszy, lecz bardziej wymuskany z dwoch przyjaciol, odgarnal z czola delikatne jasne wlosy i wsparl sie na laseczce ze srebrna glowka. - Ale moze wolisz posluchac tego bez swiadkow.

-Racja - dodal Pearson. Zgniotl cygaro na zniszczonej srebrnej tacy, ktora Raonull podal specjalnie w tym celu, oraz podkrecil geste brazowe wasy. - Prosze nam wybaczyć, milordzie - zwrocil sie do hrabiego.

Jednakze hrabia nie zrozumial aluzji. Opadl na swoj ulubiony fotel, ten, ktory stal najblizej kominka, i spojrzal wyczekujaco na Reilly'ego i jego przyjaciol.

-To sprawa - powiedzial Shelley zaklopotany - natury prywatnej, Still... to znaczy, Stanton.

-Wszystko w porzadku. Mozecie to powiedziec w obecności Glendenninga. - Reilly takze usiadl i przesunal fotel tak, by miec hrabiego na oku. Po tym, co zaszlo w domku Brenny, musial go pilnowac. Do chwili gdy, po ich slubie, Brenna znajdzie sie pod opieka Reilly'ego.

A moze nawet dluzej.

-Hrabia i ja jestesmy przyjaciolmi - ciagnal spokojnie. - Dobrymi przyjaciolmi. Prawda,

Glendenning?

-Z całą pewnością - potwierdził jego lordowska moc. I choć jego ton brzmiał przyjaźnie, hrabia nie przez przypadek wybrał te właśnie chwile, by wyjąć z pochwy swój odziedziczony po przodkach miecz i zacząć go polerować.

Pearson i Shelley wymienili zaniepokojone spojrzenia.

-No cóż, panowie. Czekam - powiedział Reilly, odchylając się na oparcie fotela.

Nie bardzo wiedząc, jak się mają zachować, Pearson i Shelley także znaleźli sobie fotele - choć ich tapicerka była wytarta, a poduszki z lekka zatracaly zapachem psów, taktownie o tym nie wspomnieli - i usiedli, sciskając w dłoniach szklaneczki whisky, jakby to były ich ostatnie deski ratunku.

-Twoja szanowna matka czuje się dobrze, Still... to znaczy, Stanton. - Pearson musiał wasy. - Widzieliśmy ją przedwczoraj na balu.

-Twoje siostry także - Shelley nie mógł się usadowić w fotelu. - Wszystkie zdrowe. Można by rzec, kwitnące. Stan małżencki świetnie im służy.

Reilly spostrzegł, że Pearson mocno kopnął Shelleya w kostkę. Był jednak pewien, że Pearson chciał to uczynić ukradkiem.

-Tak - powiedział Reilly. - Ze szwagrami łączy mnie więcej szczerzej sympatii. A moje siostrzenice i siostrzency? Mam nadzieję, że u nich także wszystko w porządku.

-W jak największym - pośpiesznie zapewnił go Pearson. - Przyjechalismy tutaj nie w związku z rodziną, Still... Stanton. Chodzi o to...

-Nie wiedziałem o tym, że masz siostry, Stanton - wtracił hrabia.

Reilly spojrzał na Glendenninga, który starannie pucował ostrze miecza miękką szmatką.

-Mam - powiedział Reilly z promiennym uśmiechem. - Cztery siostry.

-Młodsze od ciebie? Reilly skinął głową.

-Najmłodsza, Julia, wyszła za mąż ostatniej jesieni.

-Ach - powiedział Glendenning. Unosił rekojesc miecza, celując ostrzem brzeszczotu w Reilly'ego, i udawał, że wypatruje szczerb. - Twoja stara matka nie może się pewnie doczekać, żebyś ty także zawarł związek małżencki.

-Raczej tak - odparł Reilly ostrożnie.

-No własnie - podchwycił Pearson. - Własnie dlatego tu jesteśmy. Prawda, Shelley?

Shelley odkaszlnął, bo na widok miecza wycelowanego w Reilly'ego, nieco się zakrztusił.

-Prawda - wychrypiał. Wstał i nalal sobie whisky. - Reilly, moj stary, dolac ci troche tego doskonałego trunku?

-Nie trzeba - odparł Reilly z uśmiechem.

-Coz, pomyslałem, ze whisky dobrze by ci zrobila. - Pearson napil sie. - Kiedy juz uslyszysz nowiny.

-Skoro z matka i dziewczynami wszystko w porzadku, nie wiem, co mogloby mnie zaniepokojic.

Shelley, który nalal whisky pomimo odmowy Reilly'ego, podal mu szklaneczke.

-Idzie o to, Stan ton... - zaczął, gdy Reilly odbieral od niego trunek, a potem opadł z powrotem na oparcie. - Och, nie moze. Chas, ty mu powiedz.

-Osiol z ciebie, Sinjun - mruknal Pearson. Następnie zwrocil sie do Reilly'ego: - Posluchaj, stary. Sprawa wyglada tak. Twoja panna King zwiadzala sie z tym blaznem Ethelridge'em. - Po czym jednym haustem opróżnil szklaneczke, jakby to jego dotyczyla wiadomosc.

-I to wszystko? - zapytal Reilly, spoglądając to na jednego, to na drugiego przyjaciela. - I po to przejechaliscie taki kawal drogi? Zeby mi powiedziec, ze Christine wyszła za maz?

Shelley, nie mogąc dluzej zniesc napiecia, zerwal sie z krzesla i zaczął chodzic po komnacie.

-Malo, ze wyszła za maz, stary! - wykrzyknal. - Poslubila tego galgana Ethelridge'a! Przeciez to nicpon o wiele gorszy od nas! Slyszałem, ze ma z pol tuzina bekartow, wychowywanych w wiejskim klasztorze. I ta kobieta - ktora nieslusznie oskarzala cie o te wszystkie okropienstwa - teraz wyszła za maz za kogos takiego! To hipokrytka. Oto, kim jest. I zawsze nia byla. Co ty na to, stary?

Reilly ani troche sie tym nie zmartwil. Wprost przeciwnie. Jezeli Christine zadala mu jakies rany, juz dawno sie z nich wyleczyl. Sprawil to pobyt w Lyming.

-Zycze im wszystkiego najlepszego.

Dwaj przyjaciele znow wymienili zaniepokojone spojrzenia.

-Widze, stary - powiedzial Pearson - ze doskonale to zniosles. Obawialismy sie, ze bedziesz... bardzo nieszczesliwy, kiedy o tym uslyszysz.

-Zwlaszcza ze przybyles tu wylacznie z jej powodu. Zeby zrobic wrazenie na tej hipokrytce, pannie King.

-Jezeli bedzie to dla ciebie jakakolwiek pociecha - powiedzial Pearson - wiedz, ze wszyscy o tym gadaja. W zeszlym miesiacu Ethelridge wszedl w posiadanie piecdziesieciu tysiecy funtow. Panna King nie tracila czasu. Twoje dwadziescia na rok nie moga sie z tym rownac. Kupili dom przy Park Lane. Szybko przejedza te piecdziesiat tysiecy.

-A ja slyszalem - dodal Shelley, sciszajac glos do konspiracyjnego szeptu - ze ona nawet nie byla w bieli.

-Panowie - powiedzial Reilly, stawiajac swoja szklaneczke na podlodze, bo w poblizu nie bylo zadnego stolu. - Cieszymy sie szczesciem panstwa mlodych. Nie nalezy rzucac kalumnii na zadna ze stron.

-Alez, Reilly! - wykrzyknal zdesperowany Shelley. - Teraz stalo sie jasne, ze Christine King jest pazernym na pieniadze pasozytem. Wszystkim nam zamydlila oczy swoja swietoszkowatoscia. A ty sam nazwales kiedys Ethelridge'a malpim nasie...

-Cos tu nie gra - przerwal mu Pearson. Przyjrzel sie Reilly'emu. - Spodziewalismy sie, ze na te wiadomosc dostaniesz apopleksji. A ty mowisz o Christine King, jakby to byla pierwsza lepsza dziewczyna, a nie twoja byla narzeczona.

-Wlasnie - Shelley nawet nie usilowal kryc rozczarowania. - Zupelnie straciles dla niej glowe, pamietasz? Moglbys przynajmniej cisnac czyms o podloge.

-Ciskanie o podloge nic tu nie da - powiedzial Pearson. - Wlasciwie, oprócz przekazania ci zlych wiadomosci, mielismy jeszcze jeden powod, by tu przyjechac. Zeby cie zabrac do domu.

-Slucham? - zapytal zaskoczony Reilly.

-Pewnie! - Shelley postukal sie w czolo. - Nie ma powodu, zebys siedzial dluzej na tej zakazanej wyspie. Juz nie. Panna King wyszla za maz, wiec nie musisz jej nic udowadniac. Ona juz nie jest do wziecia. Zacznij pakowac manatki, stary.

-Do domu? - Reilly spogladal to na jednego, to na drugiego.

-Tak, do domu - odparl Shelley z entuzjazmem. - Pamietasz chyba? Londyn. Gdzie w kazdej chwili mozna zamowic bezy. Gdzie kobiety nie chodza w spodniach... - Otrzasnal sie z obrzydzeniem. - Jak to mozliwe, ze poswieciles temu faktowi tak wiele miejsca w liscie? Wciaz nie moge sobie wyobrazic...

-Bardzo mi przykro - szybko przerwal mu Reilly i zerwal sie z fotela. - Ale obawiam sie, ze nie wroce do domu. A w kazdym razie nie teraz.

-Niemożliwe... - Skonsternowany Pearson spojrzal na Shelleya. - Nie dotarło do ciebie, cosmy ci powiedzieli? Christine wydała się za Ethelridge'a. Nie ma powodu, byś tu tkwił nadal.

-Wprost przeciwnie - odparł Reilly. - Mam wszelkie powody, by tu pozostać.

I choć miał na myśli przede wszystkim Brenne, zatrzymywało go coś jeszcze.

-Po prostu nie mogę zostawić moich pacjentów - oświadczył, dziwiąc się własnym słowom.

-Twoich pacjentów? - zapytał Shelley z niedowierzaniem.

-Kto by się przejmował pacjentami, stary? Możesz wracać do domu. Woda w kranie. Wygodka w domu. A może już o tym wszystkim zapomniales?

-Dzięki za przypomnienie. Ale jakiś czas temu postanowiłem sobie, że nie wrócę do mojej londyńskiej praktyki - powiedział Reilly, choć powziął tę decyzję dopiero w tej chwili. - Jestem tutaj potrzebny - ciągnął. - Więc jeśli...

-Nie wierze własnym uszom! - zawołał Shelley. - Słyszales go, Chas?

Pearson pokręcił głową.

-Widzę, że stoi przede mną i porusza ustami. I wypowiada jakieś słowa... ale ja w niego nie wierzę.

-Ani ja - powiedział Pearson, a potem zwrócił się do Reilly'ego: - Kim ty jesteś?! - ryknął. - I co zrobiłeś z naszym przyjacielem Stantonem?

Reilly, który zawsze uważał Shelleya i Pearsona za najlepszych przyjaciół, zacisnął zęby. Czy to możliwe, że zawsze byli tak okropnie tępi, czy też zmienili się po jego wyjeździe? Czyżby nie dostrzegali, że on tu chce zostać?

Najwyraźniej nie. Czy ma im to wykrzyknąć? Że po kilku miesiącach mieszkania w Lyning uważa wioskę za swój dom, a jej mieszkańców za swoją rodzinę? Czy musi im wyjaśnić, że teraz, kiedy robi się coraz cieplej i nawrót cholery staje się coraz bardziej realny, on nie może porzucić wiesniaków? Nie może wyjechać, gdy jest tu najbardziej potrzebny.

No i, oczywiście, jest jeszcze Brenna. Ale o niej nie może im opowiedzieć. Nie w obecności Glendenninga, polerującego ten miecz...

A może nie będzie im musiał nic mówić.

Shelley chwycił Pearsona za ramię.

-Boże! - wykrzyknął. - Przyszło mi do głowy coś okropnego.

-Co? - zapytał Pearson.

-Domyslam sie, dlaczego nie chce z nami wrocic do Londynu. - Shelley podejrzliwie spojrzal na Reilly'ego. - Nawrocil sie. Odnalazl religie.

Pearson strzasnal z ramienia dlon Shelleya.

-Nie badz durniem.

-To dlaczego chce tutaj zostac? - Shelley z niepokojem zerknal na Reilly'ego. - Chyba nie zaczniesz cytowac Leviticusa* co, stary?-Nie - odparl Reilly, poprzez zacisniete zeby. - Ale wyrzuce was stad na zbity leb, jesli nie przestaniecie sie zachowywac jak para glupkow.

-Glupkow? - powtorzyl zdumiony Shelley - Obrazasz nas...

-Przestancie - Pearson uniosl dlonie. - Cicho badzcie. Obydwaj. Musze sie zastanowic.

I zamyslil sie, marszczac z wysilku czolo. Reilly najchetniej wytargalby ich obu za uszy, ale to z pewnoscia obudziloby podejrzenia hrabiiego. Glendenning zaczalby roztrzasac, dlaczego Reilly za wszelka cene chce sie pozbyc swoich gosci. Moze po to, by jak najszybciej wzial w ramiona Brenne Donnegal?

Lepiej bedzie usunac ich stad w sposob nie tak gwaltowny i mniej rzucajacy sie w oczy.

-To wszystko nie ma sensu - oswiadczył Pearson, unoszac glowe. - Facet przyjezdza tu po to, by udowodnic tej harpii, pannie King, ile jest wart, a uslyszawszy, ze ona poslubila innego, nie okazuje najmniejszego zalu...

-I nawet nie rzuca przedmiotami - dodal Shelley.

-...tylko zyczy panstwu mlodym szczescia. A gdy mu doradzam powrot do domu, do bliskich i do wszelkich wygod, jakie go tam czekaja, grzecznie odmawia. Nie ma na to zadnego racjonalnego wytлумaczenia. Poza...

Pearson zamilkł i rzucil Reilly'emu zdumione spojrzenie.

-Na Boga!

-Co? Co? - dopytywal sie zaniepokojony Shelley.

-Panowie - Reilly wyciagnal do nich prawa reke. - Dziekuje, ze przejechaliscie taki kawal drogi, by opowiedziec mi o szczesciu, ktore spotkalo panne King... to znaczy, teraz juz lady Ethelridge. Teraz jednak musze odwiedzic pacjentow. Jak wiecie, praca praktykujacego na wsi lekarza nie jest latwa.

Pearson podniosl sie z fotela, podszedl do Reilly'ego i uscisnal jego dlon. Nastepnie

przyciagnął go ku sobie, co dla lorda Glendenninga miało wyglądać na przyjacielski uścisk, i wyszeptał Reilly'emu do ucha:

-Ty lajdaku! Kim ona jest?

-Nieważne - odparł Reilly, także szeptem. - Po prostu zabierajcie się stąd i nie wściecie się wracać.

-A więc o to chodzi? - Uścisk Pearsona trwał stanowczo zbyt długo. - Ten balwan hrabia także się do niej pali, co? Zauważyłem, że teraz jest znacznie bardziej ponury niż rano, kiedyśmy go widzieli pierwszy raz. Co się stało? Przyłapał cię na gorącym uczynku z jego ukochaną?

-Do widzenia - powiedział Reilly, wyswobodzając się z uścisku przyjaciela. - Miło was było zobaczyć. Pozdrowcie moją matkę, gdy ją znowu spotkacie.

Teraz objął go Shelley.

-To chyba nie ta amazonka, co? - wyszeptał. - Powiedz, że to nie ta w spodniach, o której nam pisałaś. Twoja matka będzie wstrząsnięta. Jestem pewien.

-Lepiej się pośpieszcie - ponaglał Reilly. - Bo spóźnicie się na prom do Lochalsh.

Glendenning parsknął.

-Coś pana rozbawiło, milordzie? - zapytał Reilly.

-Prom - zachichotał Glendenning. - Dzisiaj już nie odpłynie. Mamy srode.

-On ma rację - przyznał zgnębiony Reilly. - W srode kursuje tylko raz.

Pearson i Shelley spojrzeli po sobie.

-Dlaczego? - zapytał Pearson.

-Nie wiem - odparł Reilly, wzruszając ramionami. - Po prostu tak jest. Obawiam się, że będziecie musieli zostać tu na noc.

Na Pearsonie ta wiadomość nie zrobiła wrażenia. Shelley zaś wykrzyknął, jakby mu kazano zjeść swego pierworodnego.

-Tutaj? Mamy tu zostać na noc? Na Skye?

Teraz, przekonawszy się, że tak łatwo się ich nie pozbedzie, Reilly poddał się losowi i usiłował jak najlepiej wybrnąć z sytuacji. Przyjacielskim gestem położył dłoń na ramieniu Shelleya.

-Daj spokój, stary - powiedział radosnie. - To nie takie straszne.

-Nie takie straszne? - Shelley rozejrzał się po komnacie, a na jego przystojnej twarzy odmalował się wyraz niesmaku. - I niby gdzie mielibyśmy się zatrzymać? Chyba jest tu jakiś zajazd? Powiedz, że tak.

-No coż - odparł Reilly. - Nie mamy tu zajazdu.

-Wiedziałem. - Shelley wznosił oczy ku przyporom sklepienia. - Bedziemy musieli przenocować na sianie.

-Bzdury.

Reilly'emu przyszedł do głowy diaboliczny pomysł. Nieczęsto miewał przeblyski geniuszu, ale tym razem jego inwencja była niedoscigniona.

-Czy zgodziłby się pan, by moi przyjaciele zostali na noc w zamku, milordzie?

Glendenning unosił głowę znad miecza.

-Tutaj? - zapytał zdumiony.

-Tak. Tutaj. W zamku. Oczywiście mogłbym ich zabrać do szpitalika, ale co będzie, gdy się nadarzy jakiś pacjent? Mam tam tylko trzy łózka. Chyba mogą tu zostać na noc, co, stary?

To było wyborne. Piękne w swojej prostocie. Reilly żałował, że nie wpadł na to od razu. Piekielnie dwa pieczenie na jednym ogniu. On spędzi czas z Brenna, a przyjaciele będą mieli na oku Glendenninga. Piękne. Doskonale...

-Oni nie będą chcieli tu zostać - powiedział zaniepokojony hrabia. - Co ze szcz...

-Och, Pearson i Shelley nie są wybredni - przerwał mu Reilly. - Kilka myszek w niczym im nie przeszkodzi.

-Myszy! - krzyknął przerażony Shelley.

-Nie chodzi mi o myszy - obstawał przy swoim Glendenning. - Mówię o sz...

-Wybaczcie. - Reilly wyjął z kieszeni zegarek. - Oj, spóźni się do chorego! A wy, panowie, zostaniecie i dotrzymajcie towarzystwa jego lordowskiej mości... - powiedział, spoglądając znacząco na Pearsona. - Postaram się wpasć wieczorem na kolację.

-Stanton - rzekł Glendenning, wstając. Miecz błyskał złowrogo w jego prawej dłoni. - Ja...

Ale Reilly już zmierzał do wyjścia.

-Tak mi przykro, że nie mogę zostać. Shelley, pokaż jego lordowskiej mocy te twoje sztuczki. Te, wiesz, z kciukiem...

I podczas gdy Shelley starał się zająć lorda Glendenninga swymi bardzo zwinnymi palcami, Reilly umknął z zamku i, odszukawszy wierzchowca, pogalopował do Burn Cottage. Na złamanie karku, jak to później określił Hamish - który pomimo zaleceń lekarza powrócił, by doglądać owiec, kiedy tylko Lucais i jagnię obeschły po przygodzie w potoku.

23

Ilekroć o niej myślę, przypominają mi się blade róże na parapecie okna w sypialni mojej siostry Cecylii. Jest taka delikatna i eteryczna jak ich kwiecie, które wędnie przy najlżejszym podmuchu wiatru. Brenna uniosła brwi i ugryzła duży kęs jabłka, które jadła na lancz. Zując, odwróciła stronę.

Nie widziałem jej dzisiaj. Zupełnie jakby zgasło słońce. Nie czuje nawet ciepła kominka, który tak mnie rozgrzewał. Teraz tylko ona może mnie rozgrzać. Żyje dla jej uśmiechu, umieram, gdy zmarszczy czoło...

Brenna usłyszała tętent konskich kopyt i uniosła głowę. Ktoś nadjeżdżał, i to w wielkim pośpiechu. Ze swego miejsca na gałęzi drzewa dostrzegła siwka, bardzo podobnego do wierzchowca Reilly'ego Stantona. Przeniósła wzrok na kartkę pamiątki.

Co powie na mój widok dziś wieczorem? Czy zadrzy? A może będzie udawać, że jej na mnie nie zależy? Meki oczekiwania.

Dlaczego tak mnie torturuje? Nie, to nieprawda. W niej nie ma cienia sztuczności.

Reilly Stanton wstrzymał konia tuż przed drzwiami domku. Wolając imię Brenny, zsunął się z siodła, po czym złapał za klamkę, nie stukając.

-Brenno?! - usłyszała, jak ją wolał. - Gdzie jesteś, Brenno? Brenna spokojnie przewróciła kartkę.

Ona nie jest jak słońce. Bo to oznaczałoby, że ma ognisty temperament. A ona jest całkiem inna. Chłodna i tajemnicza jak księżyc.

Reilly obiegł wewnątrz domku i wypadł na dwór, mrużąc oczy przed słońcem.

-Brenna?! - zawołał.

Brenna odrzuciła na ziemię ogryzek, który spadł z wysokości ponad dwóch metrów, i zaczęła czytać na głos:

I tak jak księżyc panuje nad moimi nastrojami. Jestem szczęśliwy, gdy ona jest szczęśliwa, i

smutny, gdy ona posmutnieje...

-Och, Reilly - zamilkła i spojrzała na niego. - To naprawdę okropne.

Reilly stanął pod drzewem i unosił głowę, aby ją dojrzeć pomiędzy listowiem.

-Brenna? Co ty tam robisz? Oszalała! Chcesz skrecić kark? Natychmiast zejdz z tego drzewa.

-Nie mam zamiaru - odparła chłodno. - Bo widzisz, czytam właśnie coś niesłychanie zabawnego.

Dojrzał, co trzymała w rękach, i powiedział spokojnie:

-To prywatne zapiski. Dobrze o tym wiesz.

-Wiem - odparła, przewracając kartkę. - Tak samo jak moje badania. A jednak to cie nie powstrzymało. Wszedłeś do pracowni wbrew mojej woli.

-Ale to było coś innego - zaproponował Reilly.

-Niby czemu? Na czym polega różnica?

-To było przedtem. - Szukał wzrokiem galezi, na którą musiała się najpierw wciągnąć. - Zejdź, Brenno. Chce z tobą porozmawiać. I przestań czytać ten pamiętnik. To są same idiotyzmy.

-Też tak uważam. Oto mój ulubiony fragment: Bum Cottage jest czarujący, malowniczy jak z obrazu Gainsbourgh. Christine podobałby się kryty strzecha wiejski dach. Jest tylko jeden problem: mieszka w nim amazonka.

Opuszczyła pamiętnik i spojrzała na Reilly'ego.

-To chyba o mnie.

Reilly oparł dłonie na biodrach i znowu zadął głowę.

-Po tym wszystkim, co między nami zaszło, będziesz się natrzasać z moich głupich zapisków?

-Jasne, że tak. Jestem amazonka, prawdopodobnie pozbawiona wszelkich wyższych uczuć...

-Brenno!

-W przeciwieństwie do tej twojej Christine, która porównujesz do róży, do księżycy oraz nowo narodzonej sarny. - To rzekłszy, cisnęła pamiętnikiem, celując w głowę Reilly'ego, który w ostatniej chwili zdążył się uchylić. - Skoro znaczy dla ciebie tak wiele, powinienes do niej co prędzej wrócić, nie uważasz? Oddasz nam wszystkim wielką przysługę i przestaniesz żalosnie oplakiwać rozstanie...

Urwała i pisnęła, bo zmęczony jej gadaniną Reilly podskoczył i złapał rąbek jej spodnicy, który zwisał nad jego głową. Pociągnął mocno i Brenna straciła równowagę, po czym spadła wprost w jego rozwarte ramiona.

Znalazłszy się nos w nos z Reillym, spoglądała na niego zaskoczona.

-Skoro już skończyłaś - powiedział oschle - może pozwolisz mi dojsc do słowa.

Odwrociła twarz.

-W porządku - ciągnął. - Po pierwsze, wszystko, co przeczytałaś, napisałem wiele miesięcy temu...

-Tak - przerwała. - Zorientowałam się. Po przybyciu na Skye zamilkłaś. Ostatni zapis dotyczy amazonki...

-Właśnie. I wiesz dlaczego?

-Przypuszczam, że po całej tej bazgraninie na temat Christine zdrewniała ci ręka...

-Nie - powiedział. - Ponieważ jestem szczęśliwy.

Na chwilę szeroko rozwarła oczy, a potem znowu je zmrużyła.

-O, tak. Masz do czynienia z tutejszymi polgłówkami i z amazonką, a to uszczęśliwiłoby każdego mężczyznę...

-Posłuchaj mnie. - Chwycił ją mocno, aby mu się nie wysliznęła jak ryba. - Wszystkie te bzdury, które napisałem o Christine, są tylko bzdurami. To brednie wypisywane przez chłopaka, któremu się zdaje, że jest zakochany. Nie miałem pojęcia o miłości, dopóki nie spotkałem ciebie, Brenno. I kiedy to zrozumiałem, doszedłem do wniosku, że nie da się o niej pisać w pamiętniku. Miłości nie można opisać słowami. Nic, nawet wszystkie miłosne sonety Szekspira nie opiszą tego, co czuję do ciebie, Brenno. Tego, co poczułem w chwili, gdy ujrzałem cię po raz pierwszy. Dlatego przestałem pisać. Nie pisałem więcej, bo nie mogłem. Żaden język świata nie dysponuje słowami zdolnymi, by wyrazić moją miłość do ciebie.

Brenna była teraz wyraźnie mniej nadasana.

-Coż - powiedziała. - Dla Christine umiałeś znaleźć odpowiednie słowa. Rozważona, świetlista, eteryczna, delikatna. A ja, co? Amazonka. W spodniach. Jak mogę się czuć po czymś takim? Powiem ci. Bardzo źle.

-Chcesz słów. - Wysunął rękę spod jej kolan, ale nadal mocno obejmował w talii, tak że mogła stanąć na własnych nogach, lecz wciąż znajdowała się tuż obok niego. Druga ręka unosił brode Brenny, aby patrzyła mu w oczy.

-Dobrze. Będziesz miała słowa. Brenno Donnegan, twój głos kojarzy mi się bardziej z dymem niż z dzwonami, jak to bywa w przypadku głosu innych kobiet. Z gestym dymem,

unoszonym się sponad paleniska, które rozprasza zimowy chłód. Dymem, który przenika skórze i wnika w płuca, aby zdomowić się w pobliżu serca mężczyzny i powlec je niczym ciepłym pledem.

Brenna zamrugła powiekami. Zachecony jej milczeniem Reilly ciągnął:

-Kiedy spoglądałam w twoje oczy, nie widzę w nich twojej duszy. Widzę niebo. Czasami pogodne jak dzisiaj - bezmiar błękitu, na tle którego, niczym mewy, unoszą się twoje myśli, radosne i pełne życia. Kiedy indziej niebo jest zasnuwane szarymi, skrywającymi słońce, chmurami. Na szczęście nie na długo. Nawet wtedy słońce jest tuż - tuż i czeka na twój śmiech, który odegna deszcz. I nigdy nie czeka długo, Brenno.

Twoja skóra? - Uniosł jedną dłoń Brenny i przyjrzał się jej z uwagą. - Gdyby wszystkie jedwabniki w całych Chinach żyły wyłącznie smietanką, nie zdolowałyby wytworzyć czegoś równie gładkiego jak twoja skóra. - Musnął kciukiem grzbiet jej dłoni, a następnie przycisnął ją do ust. - Ludzie, którzy nigdy nie widzieli śniegu, wyobrażają sobie, że jest on w dotyku taki jak twoja skóra. To najlepsza, najgładsza czekolada, nalewana z garnuszka do filiżanki. To oślepka świeżego masła, pozostawiona w spiżarni dla schłodzenia...

A twoja dusza? - Rozpalone wargi Reilly'ego powędrowały ku nadgarstkowi, a następnie wzdłuż przedramienia, ku nadzwyczajnie gładkiemu miejscu, gdzie bark spotykał się z podstawą szyi. - Jest jak morze. Hojna. Szczodra. Obfita. Zawsze w ruchu... Zdecydowana, a jednak skromna. Nieposkromiona, lecz również niebezpiecznie swawolna. Słona jak morska bryza... - Wargi Reilly'ego znalazły się teraz tuż przy jej ustach. - Lecz również słodka - wyszeptał.

Brenna wpatrywała się w jego wargi jak zaszarowana.

-Wystarczy, czy chcesz usłyszeć więcej? - zapytał Reilly. Brenna uniosła rękę, ujęła jego twarz w dłonie i przyciągnęła ku sobie.

-Dziękuję, wystarczy. Było ich w sam raz. Bedziemy się teraz kochali?

-Myślałem, że już nigdy nie zapytasz. Osuneli się na chłodną, świeżą trawę.

Miał nad nią niezwykłą władzę. Samymi słowami sprawił, że zmiekła, stopniała, tak samo jak rankiem w pracowni.

Brenna podniosła aksamitną spódnicę i dosiadła Reilly'ego okrakiem. Spojrzał na nią zaskoczony jej śmiałością.

Zaskoczony, ale mile.

-Tak powinno być - odezwał się głosem, który jak zwykle, gdy Brenna była tuż obok, stawał się o kilka oktafów niższy. - Zostawiam sprawę w twoich rekach, madame.

I ułożył się na plecach z tym samym niewinnym wyrazem twarzy, jaki przybierał we śnie. Tylko że teraz miał otwarte oczy i utkwil wzrok w piersiach Brenny, które zrecznie obnażył.

Brenna, której zdarzało się nosić bryczesy, nie miała najmniejszych trudności z rozpięciem męskich spodni. Wystarczyło kilka szybkich ruchów i uwolniła tę część ciała Reilly'ego, która przed chwilą napierała na nią z taką siłą. Ujęła ją w swoje zreczne paluszki - spostrzegłszy, że właściciel przygląda się temu z wielką uwagą - i zsunawszy z siebie majtki, umieściła ją tam, gdzie była najbardziej potrzebna.

Słowa wypowiedziane przez Reilly'ego sprawiły, że stała się gotowa. Wilgotna, bez żadnych pieszczot. Nadziała się na twarde sztyft, obejmując go ciasno. Reilly ucałował jedwabiste piersi Brenny.

A ona się poruszyła. Tylko odrobinę, a Reilly zacisnął powieki. Instynktownie uchwycił ją za biodra, aby pokierować ich falowaniem. Dziwił się, że jest taki wezbrany od zady, mimo że niedawno kochali się wielokrotnie. Pulsował dziko w jej wnętrzu, z każdym jej ruchem bliższy wyzwolenia.

Ale nie pozwalał sobie na nie. Jeszcze nie. Dopóki ona się z nim nie zrowna. A ona jeszcze była w tyle... lecz wkrótce go doścignie. Poznawał to po rumieńcu, który powlekał urocze policzki Brenny. Odrzuciła głowę do tyłu, odsłaniając białą kolumnę szyi, na której pulsowała tętnica. Zamknęła oczy, przygryzła dolną wargę. Jej dłonie spoczęły na jego dłoniach, które zaciskały się na piersiach Brenny...

I wtedy poruszyła się jeszcze raz - tylko troszeczkę - i Reilly był stracony.

Ale, co stwierdził, wznosząc się na wyżyny kolejnego orgazmu, ona także. Krzyczała, wyginając plecy, unieruchomiwszy biodra. Zastygła w bezruchu, podczas gdy on nacierał coraz mocniej i wbijał się coraz głębiej, zraszając jej wnętrze za każdym kolejnym skurczem...

A kiedy już było po wszystkim, uśmiechnęła się i opadła obok niego, wspierając czoło na barku Reilly'ego.

Leżeli tak przez chwilę, słuchając śpiewu ptaków oraz dochodzącego z oddali pobekiwania owiec.

-Obiecuj mi, że już nigdy nie zajrzysz do mego pamiętnika - leniwie zazała Reilly. - O ile znów zaczął go prowadzić.

-Obiecuję - powiedziała - jeżeli ty mi przyrzekniesz, że nigdy więcej nie wejdiesz do mojej pracowni. Jeśli będzie w niej coś, czego nie zechce ci pokazać.

-To bez znaczenia. I tak nie potrafię odczytać twoich okropnych bazgrołów. - To rzekłszy, odgarnął wilgotne loki z twarzy Brenny.

-Co ci powiedzial lord Glendenning, kiedy opusciliscie domek?

-Niewiele. Czy czesto tak cie nachodzi? Chetnie go tego oducze.

Brenna usiadla. Reilly nie mogli dostrzec wyrazu jej twarzy, poniewaz przyslonily ja wlosy.

-Nie powiedziales mu o nas, prawda?

Odgarnal wlosy, by spojrzec Brennie w oczy.

-Mialabys cos przeciwko temu?

-Tak. - Zwrocila na niego blekitne teczowki. Mial racje, mowiac, ze jej oczy przypominaja mu niebiosa. Teraz byly swietliste jak sierpniowe niebo w samo poludnie. - Bo najprawdopodobniej zechcialby cie usmiercic.

-Naprawde? - Spojrzal na nia leniwie. - A nie dalej jak kilka miesiecy temu powiedziales mi, ze lord Glendenning nie jest taki zly...

-Bo nie jest. Chyba ze ktos zrani jego dume. Jest MacLeodem, przede wszystkim i ponad wszystko, a MacLeodowie to wojownicy.

Reilly uniosl brew.

-Nie wierzysz, ze potrafilbym sie obronic?

-Alez nie. Nie o to chodzi. Tylko ze... on ma naprawde wielki miecz.

Reilly uniosl brwi.

-Na twoim miejscu nie przejmowalbym sie lordem Glendenningiem. W tej chwili zajmuje sie Shelleyem i Pearsonem. Moimi przyjaciolmi, ktorzy przyjechali dzis rano z Londynu.

-A wlasnie, czego chcieli?

-Och - odparl, wciagajac i zapinajac bryczesy - chcieli sprawdzic, jak sobie radze na tym pustkowiu...

Mowil pogodnym tonem, ale wiedzial, ze czas nagli. Bedzie jej musial powiedziec prawde o swoim arystokratycznym tytule, i lepiej to zrobic teraz, nie czekajac, az sama dowie sie tego przypadkiem.

-Posluchaj, Brenno. Musze ci cos powiedziec...

-Och?

-Tak. Wiec... - Jak gleboka jest jej niechec do parow? - myslal. Wstal podenerwowany. - Porozmawiajmy w domu. Wydaje mi sie, ze owce sa coraz blizej. A teraz nie mam ochoty skakac do potoku, by ratowac ktoras z nich.

Brenna pozapinala aksamitna suknie, a potem z pomoca Reilly'ego wstala.

-Mamy do pogadania - zaczal nerwowo.

-Musimy sie naradzic, jak utrzymac nasz zwiazek w tajemnicy przed lordem...

-Och, daj spokoj - przerwal jej Reilly, przeczesujac palcami wlosy. - Potrafie sam zadbac o siebie. Robie to juz od trzydziestu lat.

-Wiem, ale...

-Posluchaj, najpierw musze powiedziec ci cos wazniejszego.

-Dobrze. - Brenna schylila sie, by podniesc pamietnik Reilly'ego. - Ale nie mozemy...

Lecz Reilly nie dowiedzial sie, czego nie mogli. Bo w chwili gdy Brenna sie schylila, rozbrzmial huk, ktory sploszyl siedzace na drzewach ptaki i przerazil owce.

Nastepnie cos bardzo mocno wyrznelo go w bark, zwalajac z nog.

Uslyszal, ze Brenna wola jego imie, i zobaczyl, ze upuszcza pamietnik. Przewracane zbyt wiele razy kartki odkleily sie od grzbietu i rozsypaly po trawie.

Ostatnia rzecz, jaka zobaczyl Reilly, zanim ogarnela go ciemnosc, byly kartki z jego pamietnika, powiewajace w cieplych podmuchach wiosennego wiatru.

24

Gdzie on jest? Charles Pearson zbudzil sie z drzemki, otworzyl oczy i ujrzal zjawe.

A w kazdym razie cos, co wygladalo jak zjawa. Nigdy przedtem nie widzial zjawy - oprócz tej jedynej, ktora ukazala mu sie, gdy podgladal pokojowke, przemykajaca nago o polnocy przez ich ogrod rozany, co wedlug starej celtyckiej tradycji mialo obudzic milosc w sercu ukochanego kobiety, ktora dokonala owego wyczynu. Niestety, w przypadku Colleen skonczylo sie to wyrzuceniem jej z pracy, gdyz pani Pearson zorientowala sie, ze ukochanym pokojowki jest wlasnie Charles.

Teraz, siedzac w komnacie lorda Glendenninga i mrugajac zapuchnietymi od snu powiekami, pomyslal, ze Colleen bardziej przypominala zjawe niz ta tutaj, poniewaz Colleen nie miala na sobie ubrania. Tutejsza zjawa miala na sobie dluga obcisla suknie z niebieskiego aksamitu, o perlowych guzikach, z ktorych nie wszystkie byly zapiete. A poniewaz dziewczyna dyszala, co swiadczylo o tym, ze nie zmaterializowala sie z plomieni

kominka, lecz po prostu przybiegła, Charles mógł dostrzec jej wspaniałe piersi.

-Słyszysz mnie pan? - Dysponowała ochryplym i zniecierpliwionym głosem. Co dobrze współgrało z obfita grzywa jej rudych włosów, które rozsypały się w lokach, przywodząc na myśl węzeł wokół głowy Meduzy. - Pytałam, gdzie on jest?

Wtedy Pearson oprzytomniał i upewnił się na dobre, że to nie zjawą, lecz kobietą. Żywa kobieta z krwi i kości - uderzająco piękna, choć o gwałtownym temperamencie, o czym świadczył pogrzebacz, który przytknęła mu do gardła.

Chwyciwszy się poręczy fotela, na którym był usnął, Pearson gorączkowo rozglądał się w poszukiwaniu pomocy. Jedyną osobą poza nim był w komnacie Shelley, również zapadnięty w fotelu i nadal pogrążony w głębokim śnie. Tego dnia musieli wstać bardzo wczesnym rankiem, aby złapać prom z Lochalsh, i po łanczu, który, na nieszczęście, składał się z huggis, ogarnęła ich nieprzeparta senność.

-Zapytam pana... jeszcze... raz...

-Przypuszczam, że ma pani na myśli hrabiego - odezwał się ostrożnie.

-Tak, pytam właśnie o niego - odparła gniewnie. - Gdzie on jest?

-Bardzo mi przykro, madame, ale nie wiem. Był tutaj przed chwilą. Obawiam się, że musiałem przysnąć...

Wtedy trzasnęły drzwi i hrabia - tak, dzięki Bogu, hrabia - wykrzyknął:

-Co ty tu robisz, Brenno?! I czemu podtykasz ten pogrzebacz pod nos pana Pearsona?

Zimny metal odsunął się od twarzy Pearsona, który z ulgą opadł na oparcie fotela...

Lecz nie był całkowicie obojętny na dramat, rozgrywający się przed jego oczami.

Zjawą bowiem, która nosiła imię Brenna - imię, które, co zabawne, on sam, Shelley i Stillworth przypisywali nieatrakcyjnym kobietom - wywijając pogrzebaczem, zamachnąwszy się na hrabiego, który w ostatniej chwili zdołał uskoczyć.

-Zwariowałaś? - zagrzmiał hrabia i, uchwyciwszy pogrzebacz, pociągnął go ku sobie. - Dlaczego zamierzasz się na mnie pogrzebaczem?

-Bo myślałam, że postrzelisz Reilly'ego! - ryknęła dziewczyna. A następnie zwymyślała hrabiego od ostatnich, posługując się słownictwem, o jakiego znajomość Pearson nie podejrzewałaby damy.

-Postrzelony? - Pearson potarł twarz. - Reilly został postrzelony?

-Tak - mknęła zjawą. Nadal sciskała swój koniec pogrzebacza, usiłując go wyrwać hrabiemu. - Przez tego... - Po czym nastąpiły dalsze niecenzuralne wyrazy.

Coraz bardziej zaniepokojony Pearson wstał i kopnął Shelleya w łydkę.

-Zbudź się, stary - powiedział. - Zbudź się.

Shelley otworzył jedno oko, zobaczył dziewczynę i otworzył obydwójce oczu.

-Coż to za dziewczyna? - zapytał na widok Brenny, przeciągającej pogrzebacz z hrabia.

Właśnie wtedy Glendenningowi udało się wyrwać narzędzie z rąk zjawy i cisnąć je jak najdalej od niej. Zjawą zaś rzuciła się naprzód i wpiła paznokcie w twarz hrabiego.

-Oj, niedobrze - westchnął Shelley. - Gotowa zrobić sobie krzywdę.

-Mówi, że Glendenning postrzelił Stillwortha - powiedział Pearson i wraz z Shelleyem zajęli się odciąganiem Brenny od hrabiego, który osuwał się na ziemię.

-Co? - zapytał Shelley, który zrecznie pochwycił dziewczynę w tali. - Postrzelono Stillwortha?

-Nie wiem, kto to jest Stillworth - odparła Brenna, wrywając się z uchwytu. - Ktoś postrzelił Reilly'ego, i jestem gotowa pojsć o zakład, że to ten wielki...

-Śmiertelnie? - chciał się dowiedzieć Pearson. Oczywiście, słyszał niejedną opowieść na temat tutejszych krewkich gorali. Chwycił dziewczynę za nadgarstki, aby przestała drapać przytrzymującego ją Shelleya, i zapytał: - Reilly? Czy... on... umarł? Brenna natychmiast zaprzestała walki. Obwisała w ramionach Shelleya i w niczym nie przypominała mściwej walkirii. Stała się po prostu bardzo zmęczona dziewczyna.

-Jeszcze nie - odparła z patosem. - Kula nie trafiła w tętnicę, więc udało mi się zatamować krwawienie. Ale nie mogłam jej wyjąć. Znaczący kuli. - Spojrzała na niego zalanymi łzami, zaskakująco niebieskimi oczyma. - Utkwiła zbyt głęboko. Umrze od zatrucia krwi, i to z mojej winy.

-Nie pozwolę na to. - Charles Pearson strzelił palcami. - Zostaw ją, Sinjun. Zaprowadzi nas do Stillwortha.

Dziewczyna potrzaskała głową i zerknęła na przyjaciół Reilly'ego. Glendenninga nie zaszczyciła ani jednym spojrzeniem.

-Ale jak wy możecie mu pomóc? - spytała łamiącym się głosem.

-Jak możemy mu pomóc? - rozesmiał się Shelley. - Moja droga, ma pani przed sobą sir Charlesa Abernathy Pearsona III, jednego z najlepszych lekarzy w Anglii, specjalizującego

sie w usuwaniu pociskow. A ja takze nie jestem najgorszy w te klocki.

Slyszac te slowa, Pearson zbladl, jedyna bowiem rzecza przypominajaca pocisk, jaka ostatnio usunal, byl powiekszony wyrostek robaczkowy. Jednakze poczul wdziecznosc w stosunku do przyjaciela, ktory nadal nieco sensu jego przyglupiemu zyciu. Dziewczyna najwyrazniej poweselala i otarla lzy z oczu.

-Och! - wykrzyknela. - A wiec chodzie ze mna. Chodzie jak najszybciej!

I wybiegla z komnaty.

Shelley spojrzal na hrabiego, ktory rozkiem kiltu ocieral podrapana twarz, powtarzajac:

-Ja tego nie zrobilem. Nie mam pojecia, o czym ona mowi. Nic nie zrobilem.

-Co z nim? - wyszeptal zaniepokojony Shelley.

-Nic mu nie bedzie - odparl Pearson, siegajac po plaszcz.

-Nie o to mi chodzi. A jesli on rzeczywiscie postrzelil Stillwortha? Moze powinnismy... sam nie wiem. Aresztowac go czy jak?

Pearson popatrzyll na hrabiego, ktory usilowal przejrzec sie w ostrzu miecza.

-Nie ruszy sie stad - powiedzial z niesmakiem. - Chodzmy. Wyszli z komnaty i Shelley wyszeptal:

-Myslisz, ze to ta dziewczyna? Ta, z powodu ktorej nie chce wyjechac z wyspy?

-Jesli nie ta - odparl Pearson z przekonaniem - to lepiej by bylo, zeby umarl.

25

Glosy. Stlumione glosy. Przeszkadzaly mu bardziej, niz gdyby ludzie mowili glosno. Nie mogli rozpoznac, kto rozmawia. Kogo ma ochote wyrzucic za zaklocanie mu spokoju.

O Boze. A teraz pochlipywanie. Tak, z cala pewnoscia ktos poplakiwal. Jego siostry. To one pochlipuja. Jego liczne siostry. Dlaczego Bates nie trzyma ich z dala ode mnie? - pomyslal. Tylko tego mi brakowalo, wianuszka oplakujacych mnie kobiet. Czy nie widza, ze nie mam zamiaru umierac? Postrzal to dla mnie nie nowina.

No, moze jednak nowina, ale przeciez nie umiera sie od postrzalu w ramie. Jestem na to zbyt silny.

Dlaczego Bates je tu wpuscil? Pojedynki sa niedozwolone, chyba ze na kontynencie. Teraz beda mielily ozorami o tym, jak przegral z... Wlasciwie z kim sie pojedynekowalem? Nie mogli

sobie przypomniec, by ostatnio mial z kims na pienku.

Ethelridge. Nagle przypomniał sobie to nazwisko. Czyżby się pojedynekował z Ethelridge'em? Ale o co? Jegomość był teraz mężem Christine, a to dla mężczyzny wystarczająca kara, czyż nie?

Nagle się obudził.

Już nie słyszał pochlipywania. Teraz dochodziły do niego miękkie płasniecia...

Karty. Ktoś grał w karty.

Nateżył wzrok. Znajdował się w nieznanym pomieszczeniu, w wielkim lożu o ozdobnie rzezbionym wezglowiu. Za oknami świeciło słońce, a w pokoju unosił się wyraźny zapach pieczonych jabłek.

Ponad głową miał belkowanie, a wyżej strzeche.

Nie, nie miał omamów. Widział strzeche.

W nogach wielkiego loża siedzieli Pearson i Shelley, rozebrani do kamizelek. To nie halucynacje. Gdyby istnieli tylko w jego wyobraźni, z całą pewnością zajmowałiby się czymś bardziej interesującym niż gra w oczko.

-Ha! - powiedział Shelley. - Dwadzieścia jeden. Wygrałem.

-Wypchaj się - odparł oburzony Pearson. - To niemożliwe. Nie mogłeś znowu wygrać.

-Możliwe. Złe potasowałeś.

-Tasowałem przez całą godzinę. Szachrujesz.

-Jak mogę szachrować? Ty rozdawałeś.

Reilly usiłował ich spytać, gdzie się znajduje i czy nic nie stało się Brennie, lecz gdy otworzył usta, wydobyło się z nich tylko skrzeczenie.

Na szczęście usłyszeli je obydwoj. Przestali się spierać i spojrzeli na niego zaskoczeni.

-No proszę! - radośnie zawołał Pearson. - Obudziles się. Najwyższy czas. Jak się masz?

Shelley rzucił na niego okiem. Zebrał karty i powiedział:

-Pokaze ci, jak się tasuje. O, czesc, Stillworth. Reilly znowu zachrypiał. Pearson orzekł:

-Chce pic. Podaj mu wodę, Sinjun.

-Podalem mu cholerne laudanum - odparl Shelley, tasujac karty. - Ty mu daj wode.

Pearson westchnal, wstal i podal Reilly'emu szklanke wody.

Reilly sprobował uniesc prawe ramie, poczul przeszywajacy bol i opadl na poduszki.

Pearson wcale sie tym nie przejal.

-Druga reka, przyglupie. Postrzelili cie z prawej strony. Reilly odebral szklanke lewa reka i wypil wode. Oddal szklanke Pearsonowi i powiedzial prawie normalnym glosem:

-Brenna. Pearson uniosl brwi.

-Tak?

-Czy ona... - Reilly odchrzaknal. - Nic jej nie jest?

-Nie pamietasz? - Pearson spojrzal na przyjaciela.

Reilly zalował, ze ma niewladne prawe ramie. Gdyby byl zdrowy, chetnie przylozylby staremu druhowi.

-Nie, nie pamietam - wychrypial niecierpliwie. - Stracilem przytomnosc, osle. Gdzie ona jest? Jak sie czuje?

-Nic jej nie jest - powiedzial zbity z tropu Pearson. - I musze ci zwrocic uwage, ze nazywanie mnie oslem jest niewdziecznościa. To ja wyjalem ci kule. Twoja wspaniala panna Donnegal nie potrafilo tego zrobic.

-Tylko dlatego - sprostowal Shelley, nie podnoszac wzroku znad kart - ze jest uczuciowo zwiazana z tym nieszczesnikiem. Bala sie, ze zada ci bol. Na szczescie, obecny tu sir Charles nie podzielal jej obaw. Zaparl sie stopa o wezglowie i z calej sily szarpnal. Kula utkwila w kosci. Nie zdziwilbym sie, gdyby ci ja uszkodzil.

-O, przepraszam. Obszedlem sie z nim delikatnie jak z dzieckiem - obruszył sie Pearson. - Z własnym dzieckiem. Panna Donnegal nie zrobilaby tego lepiej, nawet gdyby nienawidzila Stillwortha, do czego zreszta ma wszelkie prawo. Najwyrazniej nie zdaje sobie sprawy, jaki z niego nicpon i lobuz. To bylo zadanie wymagajace bieglego specjalisty i ja je doskonale wykonalem.

-Gadanie. - Shelley odlozyl karty i mruknel do Reilly'ego. - Zanim sie do ciebie zblizyl, dla kurazu musial pociagnac kilka zdrowych lykow whisky.

Obolaly Reilly nie mial cierpliwosci do droczacych sie przyjaciol. Wymamrotal kilka slow podziekowania, a potem zapytal:

-Gdzie teraz jest?

Pearson i Shelley wymienili spojrzenia. Shelley gwizdnął przeciągle.

-A więc tak się sprawy mają - powiedział.

-A nie mówiłem? - odparł Pearson.

-Skąd miałem wiedzieć? - Shelley był zniecierpliwiony i rozczarowany. - Taka wspaniała dziewczyna... co ona widzi w takim bubku jak Stanton?

-Złamałeś mu serce - powiedział Pearson. - I mnie także.

-Nic dziwnego, że nic go nie obchodzi małżeństwo Christine - westchnął Shelley. - Ma taką namietną...

-Gdzie ona jest?! - ryknął Reilly.

-Jezu. Jest w swojej sypialni. I jeśli chcesz wiedzieć, natychmiast zasnęła... ale nie pospi długo, jeśli będziesz się tak wydzierał. A musiałem jej dać dobrego lyka, zanim się położyła.

-Lyka czego? - spytał Reilly, usiłując usiąść.

-Co ty wyprawiasz?! - wykrzyknął zaniepokojony Pearson. - Zepsujesz mój artystyczny opatrunek.

-Odczep się. - Na czole Reilly'ego pojawiły się kropelki potu, ale udało mu się usiąść. - Na miłość boską, Chas, co jej podajesz?

Shelley spojrzał na Reilly'ego.

-Wiesz, co? - powiedział. - Jesteś okropnie trudnym pacjentem, nie zasługującym na dobrego lekarza.

Pearson zacisnął zęby.

-Posłuchaj, Stillworth - powiedział ostrożnie. - Dziewczyna szalęła z niepokoju o ciebie...

-Była gotowa zabić - dodał Shelley.

-Zabić? - Reilly spoglądał to na jednego, to na drugiego przyjaciela. - O czym ty mówisz?

-Kiedy miałem zaszczyt poznać wybrankę twego serca - wyjaśnił Pearson - usiłowała rozwalić pogrzebaczem głowę mężczyźnie, którego podejrzewała o to, że cię postrzelił.

-Boże miłosierny! - wykrzyknął oszolomiony Reilly.

-To było piękne - powiedział Shelley. - I właśnie ja ja w końcu rozbroilem.

-Nieprawda - zaprzeczył Pearson z niesmakiem. - Glendenning wyrwał jej pogrzebacz. Ty tylko powstrzymałaś ją, by nie wydrapała mu oczu.

-Glendenning? - jeknął Reilly. - Przecież wam powiedziałem, że byście go pilnowali.

-Coż - bąknął zakłopotany Pearson. - Zdrzemneliśmy się trochę... Ale tylko na chwilę. - Szybko opowiedział, co się wydarzyło, gdy się obudzili.

-Była rozjuszona jak tygrysica - dodał Shelley. - Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego. Wymachiwała tym pogrzebaczem, jakby się nim posługiwała od kolyski. Jeśli poważnie myślisz, by się z nią związać, bądź ostrożny, Stanton. Dziewczyna jest ładna, ale niebezpieczna.

-Ale nie widziała, że to Glendenning pociągnął za spust? - spytał zaniepokojony Reilly.

-Nic nie widziała - odparł Pearson. - Poza tym, że zwałiła się na ziemię jak worek kartofli. Każda inna dama dostałaby spazmów, a ty byś się wykrwawił na śmierć. Ale nieustraszona panna Donnegal zatamowała krwawienie i bezskutecznie usiłowała wyjąć kule, a potem uznała, że należy ukarać winnego. Wtedy my wkroczyliśmy do akcji.

-Właśnie. Przyszliśmy tutaj, podnieśliśmy cię, otrzepali, zanieśli do łóżka... - Shelley kolejno zginał palce - wyjęliśmy kule, zabandażowaliśmy cię, podaliśmy, co trzeba, twojej przyjaciółce, i zagraliśmy szesnastkę kolejek w oczko, z czego ja wygrałem dwanaście. - Spojrzał na Pearsona. - Pominalem coś?

-Zapomniałaś wspomnieć o tym - dodał Pearson - że wszystkie kobiety z okolicy były w domku przynajmniej jeden raz, aby poplakac u wezglowia mlodego lekarza i zostawic mu ciasto z owocami, aby mial co jesc, gdy sie lepiej poczuje.

-A właśnie - westchnął Shelley. - Zapomniałem o tych ciastach.

-Glendenning wpada od czasu do czasu, aby sprawdzić, jak się czujesz i zapewnić, że nic ci nie zrobił.

-Tak - potwierdził Shelley. - Ale nie przyniósł ciasta, więc nie bardzo wierzymy w jego niewinność.

-Miał coś wspólnego z tym, co się stało? - spytał Reilly.

-Oczywiście - odparł Pearson. - Hrabia nie przyzna się, że pociągnął za cyngiel. Twierdzi, że jeździł konno, aby pozbierać myśli... Nie ma nikogo, kto by go widział... choć jeden chłopiec z ogoloną głową twierdzi, że coś widział...

-Hamish? - zapytał Reilly z ozywieniem.

-Tak mu na imię - odparł Pearson, strzelając palcami. - Widział coś, ale nie chce powiedzieć co. Boi się. Chce rozmawiać z tobą. Tylko z tobą. Wciąż tu zagląda, sprawdzając, czy się nie obudziles.

-Myslicie, że widział Glendenninga? - głośno zastanawiał się Reilly.

-Twoja panna Donnegal jest tego pewna - powiedział Shelley, starannie układając karty. - Dlaczego podejrzewa hrabiego? Wpakowales się w trójkąt miłosny, co, Stillworth? Nawet nie mam ci tego za złe. Ona jest tego warta. Ale ty nie ułatwiles sobie zadania. Nawet jej nie wspomniales o tym, że jesteś markizem.

Reilly milczał. Analizował w myślach wszystko, co dotychczas usłyszał. Brenna jest przekonana, że postrzelił go hrabia? Tak bardzo przekonana, że usiłowała go zabić? Czy Glendenning widział ich - Reilly'ego i Brenne - razem na trawie? Na taki widok ktoś taki jak hrabia mógłby się wściec i usiłować go zabić...

A jednak Reilly nie mógł się pozbyć myśli, że w adorowaniu Brenny przez lorda było coś podejrzanego. Jakby jej nie kochał za to, jaka jest, lecz za to, kim jest... Jak to ujęła sama Brenna: "jestem jedyną kobietą na wyspie, której nie miał".

-Jak tam, stary? - zapytał Pearson. - Masz ochotę na ciasto z owocami?

-Nie - odparł, podejmując decyzję. - Chce ją zobaczyć.

-Panne Donnegal? - zapytał Shelley. - Nie bądź głupi. Dopiero co usnęła. Nie masz pojęcia, co biedaczka przeżyła. Cała noc nie zmrużyła oka, bojąc się, że się wykrwawisz...

-Tak - dodał Pearson. - Ma pewną wiedzę lekarską, ta twoja panna Donnegal. Mówi, że uczyła się od ojca. - Sygnal po oprawione miniatury, stojące na toalecie. - To pewnie ten jegomość. Przypuszczam, że to jego pokój. Jego i żony. - Podał miniatury Reilly'emu, który znowu usiłował podnieść prawą rękę, poczuł fale dotkliwego bólu i sygnal po nie lewą ręką.

Spoglądał na dwa portrety, z których każdy był mniejszy od tarczy jego zegarka kieszonkowego. Pięknie namalowane, przedstawiały przystojną parę: ciemnowłosego mężczyznę, o mocnych rysach, gładko ogolonej twarzy, oraz kobietę, będącą delikatniejszą wersją Brenny, lecz o takiej samej grzywie niesfornych rudych loków i takich samych jaskrawoniebieskich oczach obramowanych czarnymi rzęsami.

Pearson oparł się łokciem o wezglowie łóżka i także przyglądał się miniaturom.

-Pewnie już nie żyją, nieszczęsny.

-Wcale nie - odparł Reilly. - Są za granicą. W Indiach.

-Dobry Boze. - zdumial sie Pearson. - I zostawili dziewczyne sama, na pastwe takich nicponiow jak ty? Nie do wiary.

-Skoro juz musisz wiedziec, zostawili ja pod opieka stryja - wyjasnil Reilly. - A ja mam zamiar ja poslubic, wiec dla wlasnego dobra trzymajcie sie od dziewczyny z daleka.

Shelley znowu gwizdnal.

-To niesprawiedliwe. Dlaczego on ja ma poslubic? Ja jestem znacznie przystojniejszy.

-Dalbys sie dla niej postrzelic? - parsknal Pearson.

-Oczywiscie, ze tak - odparl oburzony Shelley. - O ile blizna nie bedzie zbyt oszpecajaca... Stanton, dokad sie wybierasz?

Bo Reilly zwiesil stopy nad podloga.

-Do Brenny - powiedzial Reilly, zaciskajac zeby z bolu. Stwierdzil, ze gdy nie rusza prawa reka, nie odczuwa dolegliwosci. Wielce obiecujace.

-Daj nam znac, gdybys czegos potrzebował! - wesolo zawolal Pearson.

-Wlasnie - ironicznie dodal Shelley. - Na przyklad noszy. Reilly'emu nie bylo do smiechu. Zbyt zaprzatalo go posuwanie sie naprzod. Dopoki mial sie o co oprzec, jak na przyklad o krzeslo lub o sciane, nie bylo to takie trudne. Krecilo mu sie w glowie, prawdopodobnie na skutek laudanum. Reilly nienawidzil tego swinstwa, uwazajac, ze bardziej szkodzi, niz pomaga, i postanowil, ze wiecej nie da go sobie zaaplikowac...

Na jego widok suka Brenny, Sorcha, zerwala sie ze swego miejsca przy kominku i podbiegla do niego. Jednakze nie skakala na niego. Obwachala jego dlon i, spogladajac na niego z niepokojem, szla obok, merdajac ogonem, jakby rozumiala, ze jest niezdrow. Z wdziecznoscia zaglebil lewa dlon w jej gestym futrze, mowiac sobie, ze ozywienie suki wynika z troski o stan jego zdrowia, a nie jest spowodowane glodem.

Przedziwna sprawa. Postrzelony! - myslal. I to wlasnie wtedy, gdy po wielu miesiacach wyznal wreszcie, co czuje, i pojal, ze znalazl swoje miejsce, w ktorym jest potrzebny. Pomysl, ze ktos sposcrod spolecznosci, do ktorej za wszelka cene chcial przynalezec, nienawidzil go az tak bardzo, by do niego strzelac, byl calkowicie niedorzeczny. Gdyby owym kims byl lord Glendenning, Reilly moglby to zrozumiec. Ale jesli to nie hrabia? Jesli strzelal ktos inny? Kto na tej wyspie pragnal jego smierci? Po tym wszystkim, czego tutaj dokonal, aby udowodnic swoja wartosc?

Na mysl o tym zapragnal sie spakowac i wsiasc na najblizszy prom wraz z Pearsonem i Shelleyem. Niewdzieczni, ciemni, nic niewarci nieszczesnicy! Oto, kto zamieszkiwal wioske Lyming. Skoro nie chca go tutaj po tym wszystkim, co dla nich uczynil, odjedzie z wyspy.

Ale gdy otworzył drzwi do sypialni Brenny, zrozumiał, że nie może opuścić Skye. Chyba że z nią.

Spala. Spala na swojej białej - niebieskiej koldrze, z podłożonym pod głowę ramieniem i rudymi włosami rozsypanymi na poduszce. Koszula nocna, której Reilly nigdy przedtem nie widział, miała barwę ciemnej zieleni. Przy niej twarz Brenny wydawała się niezwykle jasna. Zbyt blada. Dziewczyna oddychała płytko i szybko.

Sorcha wskoczyła na łóżko pani. Obwahała twarz Brenny i usiadła, niespokojnie spoglądając na Reilly'ego.

Kazał jej zejść z łóżka. Usłuchała go i z westchnieniem wyszła z sypialni. Reilly zamknął za nią drzwi i usiadł na łóżku, ostrożnie przytrzymał prawą rękę i ułożył się obok Brenny.

Opadł na poduszki, czując ogromne zmęczenie. To przez laudanum, powiedział sobie ze znajomością rzeczy. Zamknął oczy i zaczął zapadać w sen...

Wtedy Brenna nagle usiadła.

Miała sen. W tym śnie ona i Reilly Stanton stali na trawie obok Burn Cottage, całując się w słońcu. Pocałunki Reilly'ego były takie przyjemne. Po raz pierwszy w jej stosunkowo krótkim życiu Brenna czuła się szczęśliwa. W końcu znalazła kogoś - i to nie był kogoś, lecz bardzo przystojnego mężczyznę - kto zaakceptował ją taką, jaka była. Mężczyznę, którego nie spodziewała się spotkać. Była przygotowana na spędzenie życia w staropanieństwie, prowadząc dziwaczne eksperymenty i wpatrując się w wykresy.

I nagle w jej życiu pojawił się ten mężczyzna. Na początku nie osmielała się w to wierzyć. Czy taki ktoś może w ogóle istnieć? Mężczyzna, który ją kocha, szanuje i nie chce, aby się zmieniała?

I właśnie wtedy otworzyła przed nim serce i duszę... zabrano go jej.

W jej śnie rozległ się wystrzał i Reilly, który jeszcze przed chwilą był pełen życia, osunął się w jej ramiona. Nie miała nawet dość jasności umysłu, by sprawdzić, kto do niego strzelił. Stała jak wryta, podczas gdy ciężkie ciało Reilly'ego osuwało się na ziemię, plamiąc jej suknię krwią.

I wszystkie jej nadzieje rozwiały się w ułamku sekundy.

Brenna rozglądała się nie bardzo przytomnie, dopóki Reilly nie położył dłoni na jej ramieniu. Wtedy odwróciła głowę ku niemu.

Jest przy niej. Mężczyzna z jej snów, tylko że tutaj, na jawie ma na sobie nocną koszulę, a jeden jej rękaw jest dziwacznie wypchany bandażem. Jego twarz porasta gęsty zarost, a pod oczami widnieją ciemne ślady...

Ale oczy sa takie same jak wtedy, gdy zobaczyła je po raz pierwszy - żywe, ciepłe i wesołe.

Zalkała i objęła go ramionami, kładąc głowę na jego piersi.

-Słyszałem - powiedział pogodnie - że usiłowałaś roztrzaskać czaszkę lorda Glendenninga za pomocą pogrzebacza.

Brenna zamrugła powiekami. Do tej chwili pamiętała tylko tyle, że Reilly został postrzelony. Dopiero teraz przypomniała sobie o krwi, bandażach i dwojgu nieznanym, którzy nazywali Reilly'ego Stillworthem...

-Nie mówmy o tym. Teraz, kiedy widzę, że jesteś cały, nie ma to już znaczenia.

-Owszem, ma znaczenie. Gdybyś go zabiła, powieszono by cię za morderstwo. I kto by się wtedy zajął pupilką twojego brata?

Zadrzała.

-To nie jest śmieszne. Myślałam, że umrzesz. A wtedy nie miałabym po co żyć.

Reilly nie wiedział, ile ja kosztowało to wyznanie. Nigdy, nigdy w życiu nie przyznała się do podobnych uczuć. Ale też nigdy w życiu nie czuła czegoś podobnego. Taka jednak była prawda. Bez niego nie miała po co żyć. Tak bardzo go kochała.

Usłyszawszy jej słowa, Reilly poczuł przyspieszone bicie serca.

Tym razem był pewien, że nie z powodu laudanum. Glebia uczuć tej dziewczyny o Isniących niebieskich oczach i arystokratycznych rysach twarzy, dziewczyny, która pasowała do życia w luksusie, a nie w prowincjonalnej osadzie rybackiej, zadziwiła go.

Było to bardzo zawstydzające, a zarazem niesłychanie podniecające doświadczenie. Natychmiast zapominał o tym, że chciał opuścić Lyming przy pierwszej nadarzającej się okazji.

-Bardzo mi to pochwala - powiedział. Boże, po co w ogóle otwierał usta? I dlaczego powiedział coś tak bardzo pozbawionego romantyzmu? - To niezdrowe, lecz niezwykle pochlebne.

Czy belkoce tak na skutek działania laudanum? - zastanowił się w duchu. Najwyraźniej. Czuł, że jego zmysły powleka jakas gęsta chmura.

-Ja czuję coś podobnego w stosunku do ciebie...

-No, to już lepiej. - Powinnismy się jak najszybciej pobrać. Brenna milczała. Dopiero po chwili Reilly zorientował się, że znowu usnęła. Tylko że teraz jej oddech był równy i głęboki.

A na policzki powrocil rumieniec. Wygladala przeslicznie, jak zawsze.

Mozliwe, ze go uslyszala. A moze nie. W kazdym razie byli razem, a dla Reilly'ego tylko to sie liczylo.

Pochylil sie i zlozyl pocalunek na jej gladkim bialym czole.

-Uznaje to za zgode. I takze zapadl w sen.

Zadne z nich nie wiedzialo, ze w najblizszym czasie nie dane im bedzie porzadnie sie wyspac.

26

To byl pan Mackafee. Reilly musial sie pochylic, by uslyzec szept chlopca.-Mackafee? - powtorzyl.

Hamish MacGregor uciszyl go niecierpliwie.

-Ogluchl pan? Nie tak glosno. Powiedzial, ze mnie zabije, jesli komukolwiek zdradze, co widzialem.

Reilly rozejrzal sie po pokoju. Ktos moglby ich podslychac. W Burn Cottage roilo sie od gosci, ktorzy tloczyli sie jak wierni w kosciele podczas niedzielnej mszy. Byli nawet pastor i jego zona. Brakowalo jedynie Brenny, ktora wymknela sie, by podac lekarstwo mlodszemu bratu Hamisha, ktory najadl sie niedojrzalych jagod i cierpial na niestrawnosc.

Brenna niechetnie wyszla z domku, i to tylko po licznych zapewnieniach Reilly'ego, ze podczas jej nieobecności nie zdejmie bandazy i nie bedzie usilowal mscic sie na swoim niedoszłym zabojcy. On zas uparl sie, by wyruszyla pod eskorta sir Charlesa Pearsona, bo ja takze moze trafic kula. Jak dlugo sprawca pozostaje na wolności, Reilly nie zgodzi sie, by wychodzila z domu sama.

Tylko ze teraz poznal juz tozsamosc tajemniczego strzelca.

-To byl Mackafee, mowie panu - szeptal Hamish. - Widzialem go na wlasne oczy. Wycelowal do pana z myslivskiej strzelby. Spozrzegl mnie i zagrozil, ze bede nastepny, jezeli nie utrzymam jezyka za zebami.

-Rozumiem - powiedzial Reilly.

Mackafee. Swiat Reilly'ego, ktory zostal wywrocony do gory nogami, zaczynal wracac do normalności. Byl on bowiem bardziej przejety tym, ze ktorys z mieszkancow Lyming nienawidzil go tak bardzo, by chciec pozbawic go zycia, niz odniesiona rana.

Nie potrafil uwierzyc, ze niedoszłym zabojca byl lord Glendenning. MacLeodowie mogli byc

wojownikami, jak twierdziła Brenna, lecz Reilly czuł, że hrabia nie należał do tych, co strzelają z ukrycia do nieuzbrojonego człowieka, choćby go nie wiem jak nienawidził.

Przygnębienie, jakie odczuwał na myśl, że ktoś spośród tutejszych wiesniaków tak bardzo go nienawidził, było dla Reilly'ego znacznie bolesniejsze niż ból spowodowany raną. Wszystko, czego tu dokonał, wszystkie wiezi, jakie nawiazal, zostały zniszczone tą jedną kulą.

Az do tej chwili.

Mackafee. To oczywiste. Mackafee był jedyną osobą na Skye, która miała powody, by nienawidzić Reilly'ego, która nie miała powodów, by szanować jego starania na rzecz ogółu.

Co więcej, Mackafee poprzysiął Reilly'emu, że mu odplaci za rozkwaszona szczeka i wybite zęby.

Nagle świat Reilly'ego znowu nabrał sensu. Przygnębienie zniknęło. Postanowienie, że opuści Lyming, zabierając stąd Brenne, straciło racje bytu. Wszystko szło ku lepszemu.

Reilly wyprostował się i spojrzał na chłopca, który przyglądał mu się z powagą.

-Wiec skoro ci zagroził - zapytał z uśmiechem - dlaczego mi o tym mówisz?

-Pan wyratował mego psa. I uratował mi życie. Jestem pana dłużnikiem. Wiele panu zawdzięczam.

Reilly uśmiechnął się szerzej. Tylko prawdziwy goral cenił życie psa na równi z własnym.

-Juz mi się odplaciles - powiedział, dotykając ręką kapelusza chłopca. - Jestem ci szczerze wdzięczny za te informacje.

-Dobrze - odparł Hamish, spoglądając na Reilly'ego z ciekawością. - Rzecz w tym, jak ja pan wykorzysta.

Faktycznie. Reilly nie miał pojęcia. Wiedział jedno, nie był to odpowiedni czas na rozprawianie o tym. Zwłaszcza w obecności wielebnego Marshalla i jego żony.

-Porozmawiamy o tym kiedy indziej - powiedział szeptem, a Hamish skinął głową. Następnie wrócili do stołu, przy którym siedzieli pastor i pani Marshall, popijając herbatę.

-Oczywiście nie chodzi o to, że nie mamy zaufania do doktora Stanton - mówił pastor, zwracając się do Shelleya, którego przesładował pech, na skutek czego, podczas gdy Reilly i Hamish oddalili się, by porozmawiać na stronie, on wylądował przy stole wraz z wielebnym i jego żoną.

-Jesteśmy od tego jak najdalej - dodała żona pastora, uśmiechając się do Shelleya.

-Oczywiście, że tak - odparł Shelley, unosząc filiżankę, odstawiając wysoko mały palec, co Reilly uznał za raczej okrutne naśladowanie pani Marshall, która uważała, że będąc żoną pastora, ma prawo wynosić się ponad społeczeństwo.

-Jako człowiek światowy - powiedział wielbny Marshall, przyglądając się, jak Reilly ostrożnie, ze względu na obolałe ramię, przysiadł na krześle - musi mi pan przyznać rację, że nie godzi się, by trzech mężczyzn, jakkolwiek tymczasowo, mieszkało pod jednym dachem z młodą, niezamężną kobietą.

Reilly, zbity z tropu przebiegiem rozmowy, już miał coś uprzejmie odpowiedzieć, gdy Shelley wypalił:

-Nawet gdy wszyscy trzej jesteśmy lekarzami, których profesjonalizmowi można z pełnym zaufaniem powierzyć każdą kobietę?

-E... - wybałał pastor. - Tak czy owak, nadal uważam, że to wysoce...

-Niewłaściwe - odpowiedziała mu pani Marshall.

-...to, że wszyscy trzej mieszkacie tu z panną Brenna, jest nie tylko niewłaściwe - ciągnął pastor - lecz...

-Godne potępienia - dokończyła pani Marshall stanowczym tonem.

-Interesujące - odparł Shelley. - Panna Donnegan wcale tak nie uważa. Gdyby nasza obecność wydawała jej się niewłaściwa, na pewno by nam o tym powiedziała.

Brenna z jakiegoś powodu, ku niezadowoleniu Reilly'ego, bardzo odpowiadało, że jego przyjaciele zatrzymali się w Burn Cottage. Przygotowała im łóżka w sypialni braci. Możliwe, że była im wdzięczna za uratowanie mu życia.

Jednakże Reilly nie mógł się oprzeć wrażeniu, że kryło się za tym coś więcej. Od czasu wyznania, jakie mu uczyniła poprzedniego dnia, ani na chwilę nie chciała z nim zostać sam na sam. Dlaczego? Reilly nie miał pojęcia.

Postanowił sobie, że za wszelką cenę wyjaśni tę sprawę.

-Panna Brenna - powiedział wielbny Marshall - jest bardzo młoda i er... raczej ekscentryczna i nie wie, co jest właściwe.

-Zwłaszcza - dodała pani Marshall - gdy jej droga mama jest o tysiące kilometrów od niej.

-Dlatego właśnie - mówił wielbny Marshall - apelujemy do was, panowie, byście uczynili to, co należy.

-To znaczy? - chciał wiedzieć Shelley.

-Wszyscy trzej - odparł wielebny tonem wskazującym na to, że uważa go za słabego na umyśle - musicie koniecznie przenieść się gdzieś indziej.

-Na Boga! - wykrzyknął Shelley, rzucając Reilly'emu zaniepokojone spojrzenie. - Tylko nie to! Jedynym miejscem, dokąd moglibyśmy się przenieść, jest zamek Glendenning, a tam, przykro mi o tym wspominać, roi się od szczurów!

Na wzmiankę o szczurach pani Marshall wzdrygnęła się tak mocno, że rozlała herbatę. Było jasne, że nie zapomniała ostatecznej wizyty w zamku.

-Moja droga - napomnił ją wielebny, wycierając rozlaną herbatę chusteczką do nosa. A następnie zwrócił się do Reilly'ego i Shelleya: - Istnieją jeszcze inne miejsca poza zamkiem. Moja żona i ja nie mielibyśmy nic przeciwko temu, byście wszyscy trzej zamieszkali u nas...

Pani Marshall nadspodziewanie szybko otrząsnęła się z urazu spowodowanego wzmianką o szczurach.

-Tak! - krzyknęła. - Musicie zamieszkać u nas! Ugościmy was z największą przyjemnością. Nasze córki to naprawdę miłe dziewczyny... będa was traktować jak członków rodziny królewskiej.

Shelley, któremu pomysł bardzo się spodobał, spojrzał na Reilly'ego, unosząc brwi. Jednakże Reilly dyskretnie pokręcił głową, rozwiewając wszelkie nadzieje przyjaciela. Córki Marshallów istotnie mogą ich ugościć po królewsku, lecz trudno będzie się wyrwać z ich szponów, ponieważ są bardzo spragnione męskiego towarzystwa.

Zanim jednak Reilly zdążył obmyślić sposób na wykreślenie się od zamieszkania u Marshallów, wrona Jo wydała przenikliwy skrzek, po czym rozległo się głośne trzaskanie drzwiami.

Piec głów, a właściwie sześć, jeśli policzyć kocia, zwróciło się ku wejściu. W drzwiach, odcinając się na tle południowego słońca, stał Iain MacLeod, dziewiętnasty hrabia Glendenning. W jednej ręce dzierżył swój odziedziczony po przodkach miecz, w drugiej opróżnioną do połowy butelkę whisky od pani Murphy.

-Stanton - powiedział, chwiejąc się lekko. - Mam z tobą na pienku.

Wielebny Marshall i jego małżonka zerwali się z krzeseł i spiesźnie wymamrotawszy słowa pożegnania, opuścili domek.

Pijany Glendenning uprzejmie usunął się im z drogi. Życzył im nawet miłego dnia, czego już nie mogli usłyszeć.

Kiedy znaleźli się na dworze, Glendenning głośno zawołał:

-Dzięki Bogu, że sobie poszli! Nie znosze ich. Wciaz paraduja mi przed nosem z tymi swoimi paskudnymi corkami. Pytam sie, jaki mezczyzna poszedlby z ktoras z nich do lozka?

Zachwycony scena Shelley wybuchnal smiechem. Hamish, ktory przygladal sie wszystkiemu zdumionym wzrokiem, zachichotal. Glendenning odwrocil sie szybko i wycelowal w nich swoj miecz.

-Nie ma sie z czego smiac. To powazna sprawa miedzy mna a Stantonem.

Shelley z trudem opanowal wesolosc. Hamish spowaznial na widok miecza.

-To wole - powiedzial Glendenning. - A teraz posluchaj, Stanton. Wiem, ze Brenna myśli, ze to ja ciebie postrzelilem. Problem polega na tym, ze nie widzialem powodu, dla ktorego mialbym do ciebie strzelac. Przynajmniej do chwili, gdy mnie o to oskarzyla. Nie bede sie tutaj zwierzal... ale uwazam, ze postapiles podle, wiedzac, co do niej czuje.

Wyprostowal sie na cala, liczaca metr osiemdziesiat, wysokosc i, wypiawszy piers, dokonczyl:

-Wracajac do tematu, gdybym wiedzial, co knujesz, na pewno bym do ciebie strzelil. Przeciez ja poznalem ja pierwszy. Mam wszelkie prawa... - Tu wycelowal ostrze miecza w twarz Reilly'ego - by cie poszlachtowac i patrzec, jak wyplywaja twoje wnetrznosci.

Sluchajac tego barwnego opisu, Shelley otworzil szeroko usta, a Hamish usmiechnal sie z zachwytem. Reilly zas spokojnie spogladal na Glendenninga.

-Ale tak sie sklada - ciagnal hrabia, opuszczajac miecz, jakby nagle stal sie dla niego zbyt ciezki - ze nie jestem msciwy. Pochodze z MacLeodow. A MacLeodowie wiedza, kiedy przegrali. W tej bitwie ty zwyciezyles, Stanton. Zdecydowalem, ze mozesz ja sobie wziac. - Zamilkl, unioslszy butelke do ust. - No i - dodal - to nie ja do ciebie strzelalem.

To powiedziawszy, zdrowo pociagnal z butelki.

Reilly chwycil Shelleya za rece i unieruchomil je, zanim przyjaciel zdazyl nagrodzic brawami dramatyczne przemowienie hrabiego.

-Wiem - powiedzial Reilly, zwracajac sie do Glendenninga. Hrabia odjal butelke od ust. Spojrzal na lekarza zdumionym wzrokiem.

-Wiesz?

-Tak - odparl Reilly.

-Niby co wiesz?

-Ze to nie ty do mnie strzeliles. Glendenning wybaluszyl oczy.

-Skąd możesz to wiedzieć?! - wykrzyknął Shelley. Hamish milczał, spoglądając na Reilly'ego spod runda kapelusza.

-Wiem - powiedział Reilly spokojnie. - I to wystarczy.

-I co masz zamiar zrobić? - zapytał Shelley.

-To, mój przyjacielu, jest...

Przerwał, słysząc głosy za drzwiami, które Glendenning pozostawił niedomknięte.

-Może to morderca. Wraca, by dokończyć dzieła.

To nie był morderca. Nadeszli Brenna i Pearson, powracający od MacGregorów. Brenna miała na sobie spodnie, lecz tym razem zamiast swetra włożyła białą koszulę ojca. Reilly szczerze podziwiał efekt, jaki osiągnęła, choć nie był szczególnie zadowolony, że docenili go także Pearson i Shelley, nie wspominając już o hrabim.

Brenna i Pearson rozmawiali sobie w najlepsze, lecz zamilkli, widząc, kto siedzi przy stole ze Stantonem i Shelleyem. Brenna poczerwieniała i zacisnęła pięści.

-Ty! - zawołała głosem pełnym nienawisci.

Reilly i Shelley poderwali się na widok Brenny, a Glendenning pozostał na swoim miejscu... czego Reilly nie miał mu za złe, biorąc pod uwagę stan upojenia alkoholowego, w jakim lord się znajdował.

-Tak, to ja - odparł Glendenning ze smutkiem. - Tylko już mnie nie bij, dobrze? Powiedziałem Stantonowi, że to nie ja go postrzeliłem, i on w to uwierzył. Ty także musisz mi uwierzyć.

Brenna odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem. W jej śmiechu nie było jednak cienia wesołości.

-Niby czemu miałabym ci uwierzyć? - zapytała. - To bardzo w twoim stylu.

-Strzelanie do bezbronnego? - Glendenning, choć pijany, zacisnął szczęki z oburzeniem. - Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. I ty dobrze o tym wiesz. Żaden MacLeod nie strzelałby do nieuzbrojonego człowieka. A zresztą... - dodał, prostując dumnie plecy - ja wolę białą broni.

Brenna uznała, że wobec stopnia zamroczenia hrabiego nie warto się z nim spierać, więc zacisnęła wargi i milczała zawzięcie.

Pearson spostrzegł dodatkowe filizanki i zapytał ciekawie:

-A wiec mieliscie gosci?

-To Marshallowie - odparl Reilly. - W trosce o moralnosc Brenny.

Rumieniec na policzkach Brenny stal sie jeszcze ciemniejszy. Reilly widzial, ze cos ja zaprzata, nie tylko fakt, ze zostal postrzelony. Dlatego cieszyła sie z obecności Shelleya i Pearsona pod jej dachem. Reilly miał ochotę porozmawiac z nia na ten temat...

Ale nie tutaj. Nie w obecności tych wszystkich ludzi.

-Wscibscy staruchowie - skwitował Shelley. - Oto, co o nich mysle. Siadajcie. Napijemy sie whisky lorda Glendenninga.

-Z checia - odrzekl Pearson i opadl na krzeslo, ktore przed paroma minutami zwolnila pani Marshall.

-Co ty tu robisz, Hamish? - spytala Brenna, spostrzeglszy chłopca, siedzacego obok paleniska.

-Nic - odpowiedzial niewinnie, mrugajac wielkimi niebieskimi oczyma.

Rzucila mu spojrzenie, swiadczace o tym, ze chociaz mu nie wierzy, nie ma pojecia, o co moglaby go oskarzyc.

-Brenno - odezwal sie Reilly tonem rownie niewinnym jak Hamish. - Lord Glendenning ma ci cos do powiedzenia. Prawda, milordzie?

Glendenning skinal glowa.

-To nie ja strze...

-Nie, nie o to mi chodzilo - szybko przerwal mu Reilly.

-W takim razie nie wiem... - powiedzial Glendenning z zaklopotaniem.

-O Brennie - przypomniał mu Reilly.

-Nie kaz mi tego powtarzac, Stanton - jeknal hrabia.

-W porzadku. W takim razie ja to powiem. Lord Glendenning zyczy nam wszystkiego najlepszego na wspolnej drodze zycia, Brenno.

Brenna spojrzala zdumionym wzrokiem na hrabiego. Reilly kopnal go pod stolem w kostke.

-Tak - baknal Glendenning.

-W takim razie przepraszam, milordzie, że się rzuciłam na ciebie z pogrzebaczem.

-Och - Glendenning poprawił kołnierz koszuli. - Obeszło się bez sinców.

Zapanowało niezreczne milczenie. Aby je przerwać, Reilly zapytał:

-Jak się ma najmłodsza latorośl pana MacGregora?

-Młody panicz Seumas najadł się niedojrzałych jagód - odparł Pearson.

-Wyzdrowieje? - zapytał jego starszy brat.

-Z pewnością. Podalam mu opium z wodą.

-Doskonale - powiedział Reilly, choć nie bardzo ich słuchał. Wciąż go zaprzatała myśl, co się dzieje z Brenna. Dlaczego boi się zostać z nim sam na sam? Może powiedział jej coś pod wpływem laudanum? Nie wyobraził sobie, by to było prawdopodobne. Nie mógł przecież powiedzieć nic poza tym, że ją kocha nad życie.

A może powiedzieli coś Pearson albo Shelley? Spojrzał na przyjaciół, radosnie popijających whisky Glendenninga. Był nieprzytomny przez cały dzień - pomyślał. Może wygadali się wtedy, że jestem markizem? Nie daj Boże, by Brenna dowiedziała się od nich tego, co już dawno powinienem był sam jej powiedzieć...

Ale on miał zamiar uczynić to w odpowiednim czasie i na swój sposób. Jeśli Pearson lub Shelley nie utrzymali języków za zębami...

Coż, zapłaca mu za to. I tyle.

-Skoro nie postrzelił cię lord Glendenning - drażył sprawę dociekliwy Shelley - kto to zrobił?

-Podejrzewam Mackafeego - powiedział Pearson pogodnie. - Tego, o którym opowiadała nam panna Donnegan.

Brenna spojrzała na niego zdumionymi oczyma.

-Harold Mackafee?! - wykrzyknęła.

-Kiedy się nad tym zastanowić, nie jest to pozbawione sensu - ciągnął Pearson. - Z tego co nam powiedziałas, miał powód, by życzyć Stantonowi śmierci.

-Ale mój ojciec przyłożył mu wiele razy - zaproponowała Brenna - a on nigdy do niego nie strzelał.

-Możliwe, że wreszcie stracił cierpliwość.

-Mozliwe rowniez - powiedzial Reilly - ze strzelal ktos inny, a nie Harold Mackafee.

Nie powiedzial tego, poniewaz nie wierzył Hamishowi, ani dlatego, ze chlopiec zaniepokoil sie przebiegiem rozmowy, lecz dlatego, ze Harold Mackafee byl jego problemem i Reilly sam musial go rozwiaczac.

Reilly potarl brode i spojrzal na Brenne, ktora wciacz unikala jego wzroku. Pod palcami poczul gladka skore. Dzis rano ogolil sie po raz pierwszy od wypadku i samodzielnie ubral, mowiac sobie, ze jest gotowy stawic czolo swiatu i Brennie.

Teraz jednak przeszla mu chec na spotkanie ze swiatem, pragnal jedynie porozmawiac z Brenna... niestety ona nie miala na to ochoty.

Zastanawial sie wlasnie nad tym, co moglo nia powodowac, gdy uslyszal glosy przy drzwiach.

-Co sie stalo, Maeve? - pytala Brenna. - Cos zlego? Reilly odwrocil sie i spojrzal zaciekawiony. W drzwiach stala dziewczyna z piwiarni. Oczy miala zaczerwienione i spuchniete od placzu. Dyszala ciezko, widac bylo, ze cala droge z gospody przebyla biegiem. - Och, panienko, panienko...

Plakala, nie mogac wydusic ani slowa. Brenna postawila garnek na palenisku, podeszla do dziewczyny i polozyla dlonie na jej drzaczych ramionach.

-Co sie stalo, Maeve? - spytala. - Powiedz mi, o co chodzi?

-Och, panienko... - Maeve rzucila okiem w strone lorda Glendenninga. - Chodzi o Flore, panienko. Ona... jest chora.

-Na co? - zapytal Reilly, ale nikt go nie sluchal. Brenna potrzasnela nia lagodnie.

-Co jej jest? Odpowiedz, Maeve!

Lord Glendenning wstal, jak zwykle przewracajac krzeslo. Podeszedl do drzacej dziewczyny.

-Och, wie pani na co! - krzyknela Maeve, kryjac twarz w dloniach. - Dobrze pani wie! Cholera wrocila, panienko! Jestem pewna. To znowu cholera!

27

Wyspe spowijala poranna mgla, tak gesta, ze na odleglosc wieksza niz dwa metry nie mozna bylo dostrzec ludzkiej twarzy. Stojacy na szczycie skaly zamek Glendenning w ogole nie byl widoczny. Z miejsca, w ktorym sie znajdowal, Reilly nie widzial nawet gospody Pod Udreczonym Zajacem, choc wiedzial, ze obecni w niej ludzie zapalili latarnie. Pomimo wczesnej pory rybacy juz odplyneli na lodziach. Wiekszosc mew pospieszyla za nimi, lecz

kilka pozostało i teraz fruwały z nadzieją ponad Reillym i jego przyjaciółmi, czekającymi na przybycie promu. W porannej ciszy słychać było tylko krzyki mew i szum fal...

-Spóźnia się - powiedział Pearson. Nie było zimno, lecz Shelley zadrzał.

-Cholerny głupiec - powiedział z niesmakiem.

Reilly nadstawiał uszu, by pochwycić fałszywe pogwizdywanie Stubena, jedyną oznakę zbliżania się promu.

-To mi się nie podoba - oświadczył Pearson.

-Nigdy nie spóźnia się więcej niż o pół godziny - zapewnił go Reilly. - Pół godziny nie ma znaczenia. Na pewno złapiecie dylizans.

-Nie o to mi chodzi - odparł zniecierpliwiony Pearson. - Mówię o tobie. Powinieneś odpłynąć z nami.

-Dobrze wiesz, że nie mogę.

-Przeciwnie, stary. Twoim moralnym obowiązkiem jest stąd odjechać. Zabrać dziewczynę i wrócić z nami do Londynu. Pozostanie na tej zapomnianej przez Boga wyspie jest grzechem.

-Ona by nie pojechała - odparł po prostu Reilly.

-W takim razie zwiąż ją i zaknebluj - poradził Pearson. - A w razie potrzeby wepchnij ją do worka. Ale uciekajcie stąd, obydwójcie.

Reilly tylko się uśmiechnął. Kochał Charlesa Pearsona i St. Johna Shelleya, jak rodzonego braci, których nie miał. Ale nie był zaslepiiony i dostrzegał ich wady... takie jak samolubstwo i zamilowanie do plotkarstwa.

A to mu przypomniało...

-Czy któryś z was nie napomknął Brennie - zapytał - że jestem markizem Stillworth?

-Zapewniam cię po raz ostatni, że nie - burknął Pearson.

-Ale coś ja bardzo zaprzata - powiedział Reilly. - I jeśli to nie to, sam już nie wiem, co by to być mogło.

-Może nawrót zarazy - podsunął Shelley pogodnie. - Wszyscy tutejsi ludzie są z tego powodu nieco podenerwowani.

-Zaczęła się na mnie dasać wcześniej - powiedział Reilly w zamysleniu. - Zaraz po moim

wypadku.

-Moze sie zorientowala, jakim trudnym jestes pacjentem, i nie chce miec z toba nic do czynienia. Nie dziwilbym sie. Zaden z moich pacjentow nie wybrzydza tak jak ty...

-Zle sie zabrales do rzeczy, Stillworth - przerwal mu zirytowany Pearson. - Powinienes jej powiedziec, ze masz tytul markiza. To by jej zaimponowalo.

-Nie jej - odparl Reilly z emfaza.

-Bzdura. - Pearson wyciagnal z kieszeni zegarek i przygladal mu sie w szarym swietle mglistego poranka. - Myslelismy, ze panna King, to jest lady Ethelridge, dba bardziej o charakter wybranego niz o jego majatek i popatrz, jak bardzo sie mylilismy. Nawet twoja panna Donnegal powiedziala... Pearson zamilk.

-Co powiedziala moja panna Donnegal?

Pearson zatrzasnal koperte zegarka i wsunal go do kieszeni marynarki.

-Och, nic.

Ale widac bylo, ze zaciska ukryte pod wasami wargi.

-Co powiedziala panna Donnegal, Charles? - dopytywal sie Reilly.

-Wtedy, gdy rozmawialismy o pannie King? - zapytal Shelley.

-Rozmawialiscie o pannie King?! - ryknal Reilly. - Z Brenna? Kiedy?

Shelley podskoczyl, lecz bardziej z powodu sojki w bok, ktora wymierzyl mu Pearson, niz z powodu wybuchu Reilly'ego.

-Au! - syknal, rozmasowujac obolale miejsce. - Co z toba, Chas? Zapewniam cie, Reilly, ze to byla zupełnie niewinna pogawedka. Kiedy usnales po laudanum. Chas i ja rozmawialismy o tym, jak przyjales wiadomosc o Ethelridge'u i wtedy... pojawila sie ona.

-Nie wiedzielismy, ze sie juz obudzila - dodal zaklopotany Pearson.

Reilly przyjrzel sie przyjaciolom.

-I co dalej?

-A wtedy ona zapytala, czy rozmawiamy o pannie Christine King - wyjasnil Shelley. - I powiedziala, ze wicehrabia jest lepsza zdobycza niz zwykly lekarz, a my przyznalismy jej racje. Tak. Nie pisnelismy ani slowa o tym, ze uwazamy markiza za lepszego od nich obydwu, co powinnismy jej byli powiedziec.

-Reilly - westchnal Pearson. - Mowie powaznie...

-Cicho. - Reilly uniosl dlon. - Musze sie zastanowic.

A wiec Brenna wie, ze Christine poslubila innego, myslal. Czy to jest przyczyna jej lodowatych spojrzez? Ale dlaczego? Jakie znaczenie ma dla Brenny Donnegal fakt, ze Christine King poslubila wicehrabiego Ethelridge'a?

-A moze - wykrzyknal Shelley - ma to cos wspolnego z tym, co jej powiedzielismy zaraz po przybyciu na wyspe?! Ze przyjechalismy, zeby cie stad zabrac.

-Powiedzieliscie jej, ze przyjechaliscie mnie stad zabrac? - wychrypial Reilly. - Tak jej powiedzieliscie? Powiedzieliscie jej, ze po to przybyliscie na Skye? Zeby mnie zabrac do domu?

-Oczywiscie - odparl Shelley, bardzo zdziwiony pytaniami przyjaciela. - Ale i tak by sie tego domyslila. Przyjechales tu przeciez z powodu panny King. A ona wyszla za maz. Nie ma wiec powodu, zebyś tu pozostal.

Pod Reillym ugiely sie nogi.

-Powiedzieliscie jej, ze chcecie mnie zabrac do domu i nie wspomnieliscie jej o tym, ze odrzucilem wasza propozycje? - wybuchnal.

Jego dwaj przyjaciele, teraz juz byli przyjaciele, wymienili zaklopotane spojrzez.

-To oczywiste, ze ja odrzuciles - odparl Shelley, smiejac sie nerwowo. - Jestes tu tylko dlatego, ze nas odprowadzasz. Nie masz zamiaru wsiadac na prom. Wkrotce sama sie o tym przekona.

-A wiec ona nie ma pojecia... nie ma zielonego pojecia, ze powiedzialem...

-Wcale sie tym nie przeejala, Reilly - pocieszyl go Shelley. - Nawet sobie zartowala. Pamietasz, Chas? Ze lepszy wicehrabia w garosci niz doktorek na dachu...

-Na milosc boska, Stanton - wtracil sie Pearson. - Sam nam powiedziales, ze mamy utrzymac twoj tytul w tajemnicy. I tak sie stalo. Nie mozesz teraz...

Na szczescie w tym momencie rozleglo sie pogwizdywanie Stubena.

-No, jest nareszcie - powiedzial Reilly. - Nie miejcie mi za zle, ale zostawie was, chlopaki. Widze, ze musze ratowac sytuacje.

-Alez, Reilly... - zaczal Pearson.

-Mozecie zostac i pomoc nam w walce z cholera - przerwal mu Reilly.

-O, nie. Bardzo dziękuję. Nie zamierzam narazac życia, nawet jeśli masz się na mnie za to gniewać.

-Pamiętacie, czego uczono nas na studiach? To się chyba nazywa przysięga Hipokratesa...

-Nie wyjeżdżaj mi teraz z cholernymi przysięgami - przerwał mu rozzłoszczony Pearson. - Pozostanie tutaj to szalenstwo. Ci ludzie i tak umrą, nawet jeśli nie wyjedziesz z wyspy. Zabieraj dziewczyny i wracaj z nami.

-Nie mogę tego zrobić, stary - odparł Reilly, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Jestem tutaj potrzebny. Ale życzę wam bezpiecznej podróży. I nie zapomnijcie o moich zamówieniach. Potrzebujemy dostawy leków. Mnóstwa leków.

Pearson w rozrządzeniu poklepał się po kieszeni. Wpatrywał się we mgłę, usiłując dostrzec prom, który zabierze ich z tego piekła, w jakie niebacznie się wpakowali.

-No dobrze. Może i nie - powiedział zagadkowo. Reilly pytająco unosił brwi.

-To nie szalenstwo - wyjaśnił Pearson. - Ty rzeczywiście przejmujesz się ich losem. Naprawdę zależy ci na tych ludziach, prawda?

-Chyba tak - odparł Reilly z pośpiesznym uśmiechem.

-Jeżeli przeżyjecie zarazę, zaproszcie nas na wesele, dobrze? Przyjedziemy.

Reilly uśmiechnął się i zostawił ich na pomostach, czekających, aż Stuben wyłoni się z mgły. Oddalił się śpiesznie, bo miał bardzo wiele do zrobienia.

Najpierw wszedł do gospody Pod Udreconym Zajacem, aby naprawić to, co zniszczyli jego przyjaciele.

Okazało się to niełatwe. Brenna nie chciała rozmawiać o niczym innym, prócz swojej pacjentki.

-Przettrzymała noc - poinformowała go bardzo zmęczona, wyszedłszy z małego pokoiku Flory. - To już coś.

Reilly spojrział przez uchylone drzwi na wyniszczone przez wysoką gorączkę twarz dziewczyny. Nie była to już ta sama krucha i delikatna Flora, która tuż przed porodem kartkowała zurnale mod, zainteresowana najnowszą paryską modą. Ta Flora leżała nieruchomo. Rozsypane na poduszce złociste loki otaczały przeraźliwie bladą twarz. W pokoju unosił się wyraźny odor. Reilly stwierdził, że jest to zapach cholery.

Won śmierci.

Przy łóżku Flory stała ławka zastawiona dzbankami pełnymi płynu. Cholera powodowała u

swych ofiar nieustajace pragnienie. Posrod kolegow Reilly'ego nie bylo zgody co do tego, jaki napoj jest najodpowiedniejszy. Sam Reilly czesto zartowal, ze chorym najlepiej podawac to, czego sobie zazycza, bo najprawdopodobniej beda pili po raz ostatni w zyciu.

Teraz ten zart nie wydawal mu sie ani troche zabawny.

Wkrotce sie przekonal, ze Brenna, zgodnie z radami ojca, najchetniej podawala swoim pacjentom wode z dodatkiem opium, a gdy zaczynalo brakowac opium, serwowala piwo pani Murphy. Poniewaz u doktora Donnegala liczba wyleczonych pacjentow byla dwukrotnie wyzsza niz w sasiednich miejscowosciach, Reilly uznal, ze ojciec Brenny wiedzial, co robi. W kazdym razie to wlasnie opium z woda, wlewane przez cala noc do gardla Flory, utrzymalo dziewczynę przy zyciu... na razie.

W odleglosci dwoch metrow od lozka siedzial lord Glendenning. Rozwalony na rachitycznym krzesle, wydawal sie absurdalnie wielki. Tak samo jak Brenna, spedzil tu cala noc. Nie ruszyl sie takze rankiem. Bylo jasne, ze hrabia bedzie tkwil przy Florze, dopoki dziewczyna nie wyzdrowieje... lub umrze. W ten sposob dawal wzruszajacy, choc nieco spozniony wyraz przywiazania do matki jego czterech corek. Reilly zalowal, ze Flora jest nieprzytomna i nie moze tego widziec.

Brenna usmiechnela sie ze smutkiem.

-Tak - powiedziala. - Wreszcie usnal. Dzieki Bogu. Nie moglam juz sluchac jego opowiesci o tym, jak bardzo zawsze kochal Flore.

-Naprawde? - zdziwil sie Reilly. - Dobrze sie sklada, ze zdal sobie z tego sprawe teraz, gdy ty jestes zajeta.

Brenna nawet sie nie usmiechnela.

-Twei przyjaciele zdazyli na prom?

-Tak. A co do moich przyjaciol. Posluchaj, Brenno. Oni...

-Zajrzales do Seumasa MacGregora? - przerwala mu.

-Tak. Mialas racje. To wcale nie jagody. On takze ma cholere.

-O Boze! - Brenna uniosla reke do czola. - Powinnam sie byla domyslec. Tylko ze tego lata zaraza zaczela sie tak wczesnie. Nie spodziewalam sie...

-Zona MacAdamsa tez zachorowala. I jedna z corek Abercombich. Musialem ja zabrac do szpitalika. Kiepsko z nia... - Reilly spostrzegl, ze, sluchajac go, Brenna pobladla jeszcze bardziej. Zaczal zalowac, ze jej o tym opowiedzial.

-Moze wrocisz do domku i troche sie zdrzemniesz - podsunal lagodnie. Wyjasnienia moga zaczekac. Teraz mieli na glowie wazniejsze sprawy. - Obudze Glendenninga. Poradzi sobie z pojeniem Flory. A ja zajrze do syna MacGregorow i do pani Mac Adams...

-Nie - odrzekla Brenna. - Nie ma czasu na spanie.

Nie odgrywala cierpietnicy. Pomimo zmeczenia powodowala nia chec sprostania wyzwaniu. I tak nie moglaby usnac. Jej szafirowe oczy plonely niecierpliwie z checi zmierzania sie z epidemia.

Reilly dostrzegl ow plomien i zrozumial Brenne. Dlatego powrocila na Skye, ryzykujac wlasna reputacje i niezadowolenie rodziny. Nie dbala o nie. Teraz nawet on sam sie dla niej nie liczył... W tej chwili Brenna zmienila sie w gejzer energii.

-Powiedziales, pani MacAdams? - spytala, siegajac po jego pamietnik. Przez chwile myslal, ze znow zacznie mu suszyc glowe z powodu nie dosc romantycznych zapiskow na jej temat.

Lecz stwierdzil, ze Brenna przywlaszczyla sobie jego zeszyt i prowadzi w nim swoje nieczytelne notatki.

-MacGregorowie - zapisywala. - MacAdamsowie. Flora. Rodzina Abercombiech. Tak samo jak w zeszlym roku. Tylko... tylko ze nadal nie wiem, skad to sie bierze.

-Od chlopaka MacGregorow - podsunal Reilly.

-Tak. Ale skad sie wzelo u niego? - Brenna spogladala na szkic, ktory wykonala. Reilly stwierdzil, ze to mapka okolicy. Zaznaczajac domostwa zarazonych rodzin, Brenna naszkicowala zarys gwiazdy.

-MacGregorowie mieszkaja z dala od osady. Prawie tak samo daleko jak rodzina Mackafeech. Abercombie maja dom na granicy osady, a Flora mieszka w Lyming. Ale tak samo jak poprzednio nie zachorowal nikt z zamku. Nikt sposrod Marshallow oraz ani ja, ani ty.

Reilly skinal glowa. Zblizala sie do nich pani Murphy z zaniepokojonym wyrazem twarzy. Nic dziwnego, ze byla zdenerwowana. Choroba mogla w kazdej chwili zaatakowac nastepne ofiary...

-Doktorze Stanton - cicho powiedziala wlascicielka gospody, podchodzac blisko, by nie obudzic drzemiaczego lorda. - Panno Brenno. Jakas kruszyna czeka na dole, mowi, ze musi sie z wami zobaczyc...

Brenna zamknela zeszyt.

-Pani Murphy - powiedziala autorytatywnym tonem. - Prosze posiedziec przy Florze. Trzeba

ja obudzic i zmusic, by sie napila. Jak najwiecej.

Nastepnie wziala Reilly'ego pod reke i razem zeszli po schodach.

-Wyglada na to, ze najwieksza koncentracja przypadkow zachorowan jest w miastach - mowila, mijajac szynkwasa i podchodzac do drzwi. - To sie zgadza z tym, co wiemy na temat tej choroby. Smiertelnosc wywolana cholera jest w Londynie i innych gesto zaludnionych miastach o wiele wieksza niz gdzie indziej. Szczegolnie duza jest w miastach portowych...

-Co - powiedzial Reilly ostroznie - potwierdza teorie miazmatow. Zgnilizna...

-Nie wydaje mi sie - szybko przerwala mu Brenna. - Juz ci mowilam, ze w poblizu domostw ofiar cholery nie ma zadnych gnijacych odpadkow.

-Na ten temat napisano juz niejedno dzieło...

-W takim razie ich autorzy sie myla.

To powiedziawszy, Brenna gwałtownie otworzyła drzwi i stanęła oko w oko z małą dziewczynką. Pomimo brudu powlekającego jej twarz, widac było, że to Shannon Mackafee.

-Shannon? - Brenna przykucnęła naprzeciw dziewczynki. - Co sie stalo?

Dziewczynka nie byla w stanie odpowiedziec.

-Chodzi o twoja matke? - spytala Brenna, odgarniajac wlosy z twarzy dziecka.

Dziewczynka pokrecila glowa.

-Siostry i bracia sa zdrowi? Dziewczynka skinela glowa.

-To... to moj tata - wyszeptala z trudem, spogladajac na Reilly'ego.

-Twój ojciec? - powtorzyła Brenna. - Co mu jest?

-Od kilku dni bardzo boli go tutaj - wyjasnila dziewczynka, wskazujac na brzuch. - A teraz ciagle chce pic. Mama mowi, ze jest rozpalony, i kazala jak najszybciej przyprawdzic pania i doktora...

Na twarzy Reilly'ego pojawil sie krzywy usmiech. Nie potrafil go opanowac, tak samo jak nie potrafilby zmusic slonca, by przestalo swiecic na niebie.

-Naprawde? - zapytal tonem, ktory sprawil, ze Brenna szybko uniosla glowe.

Ale gdy to uczynila, spostrzegla, ze Reilly w zamysleniu wpatruje sie we mgle.

Rudera, w której gniezdziła się rodzina Mackafeech, była jeszcze gorsza, niż Reilly zapamiętał. Możliwe, że z powodu odoru cholery. Opady oraz woda, pochodząca z topniejącego w gorach śniegu, zmieniła wąską strugę, ciekącą przez podworko Mackafeech, w solidną strugę. Reilly rycersko podał dłoni Brennie, lecz ona zlekceważyła jego uprzejmość i samodzielnie przeszła przez wodę.

Jednak na widok niedzy i brudu straciła nieco animuszu.

-Panie Mackafee - przemawiała do swego pacjenta, który leżał wśród lachmanów, w rogu dusznej szopy, która jego dzieci nazywały domem. - Whisky tylko wzmacnia pragnienie. Niech się pan napije tego.

Podala mu butelkę mieszaniny wody z opium, którą przygotowała przed wyjściem z gospody.

Mackafee, który teraz sprawiał wrażenie o wiele starszego i był bardziej wyniszczony niż wtedy, gdy Reilly z taką przyjemnością przyłożył mu pięcia w szczękę, pokręcił przecząco głową.

-Whisky - zezadł.

Brenna, która przysiadła na brzegu legowiska, ponieważ w pomieszczeniu znajdowało się tylko jedno krzesło i zajęła je bardzo wymizerowana pani Mackafee, odkorkowała butelkę.

-Naprawdę, panie Mackafee - powiedziała. - Niech pan tylko spróbuje. Ten napój dobrze panu zrobi.

Lecz Mackafee chwycił butelkę i, z zadziwiającą u tak chorego człowieka siłą, cisnął ją na podłogę, wylewając większość zawartości na Brenne.

-Nie chce! Słyszysz mnie, jedzo? Nie chce tego swinstwa i nie potrzebuje twojego leczenia. Wynos się! Wynos się stąd!

Zrozpaczona Brenna podniosła się z legowiska. Reilly odprowadził ją na bok i poradził:

-W takim razie zbadaj dzieci, a ja zajmę się panem Mackafee.

-Dobrze - zgodziła się oszołomiona Brenna. - Tak będzie lepiej.

Reilly usiadł obok Harolda i uśmiechnął się do chorego.

-Witam - powiedział przyjacielskim tonem. - Pamiętasz mnie? Mackafee wybaluszył zalawione oczy. Było oczywiste, że doskonale go pamięta.

-To ty - wydyszał poprzez spekane wargi.

-Tak, ja - odparł Reilly wesolo. - A to niespodzianka! Myślałes, że już nie żyje, co? Coz, przykro mi, że sprawiam ci zawod. Nas, Stantonow, nielatwo zabic.

-To nie ja - odparł Mackafee. - Nie wiem, co...

-Och, dobrze wiem, że to ty. Groziles, że mi odplacisz przy pierwszej sposobnoscii za to, że ci dolozyłem. I dotrzymales słowa. Tylko że mnie nie zabiles. Ja żyje.

Na twarzy Mackafeego odmalowalo się przerazenie. Reilly nieomal czuł smrod strachu, tak jak wyczuwał odor cholery.

-Co teraz zrobisz? Oskarzysz mnie? Na Skye tak się tego nie zalatwia. Tutejsi ludzie zalatwiają swoje porachunki między sobą. Nie procesują się w sadzie...

-W sadzie? Moj Boze, nie. Co by nam dal proces? Najwyzej trafilibys do wiezienia, o ile przeżyjesz. A tam leniuchowalbys tak samo jak na wolnoscii, gdy tymczasem twoja zona umarlaby z glodu. Nie, ja mam dla ciebie znacznie surowsza kare.

Mackafee oblizal spekane wargi.

-Ja...jaka kare?

-Tylko taka - odparł Reilly, wyjmujac z kieszeni druga butelke eliksiru Brenny. - Widzisz te flaszke? Wypijesz jej zawartosc. Do dna.

-Ale...

-A gdy ja opoznisz, wypijesz nastepna, ktora ci przysle. Bedziesz wypelnial wszystkie polecenia panny Brenny i nie umrzesz. Bedziesz żył, Mackafee. A wiesz dlaczego? Bo tak sobie zyczy panna Brenna. Ona, w przeciwiensiwie do mnie, nie dostrzega w tobie wyrzutka. Chce, abys żył, abys przestal chlac whisky i stal się mezem i ojcem, na jakiego zaslugują twoja zona i dzieci. A to oznacza, że bedziesz robil wszystko, co ci nakaze panna Brenna. Wtedy wyzdrowiejesz.

-Naprawde?

-O, tak. Wyzdrowiejesz. Przestaniesz pic, wybudujesz przyzwoity dom dla swojej rodziny, zaczniesz się kapac i chodzic do kosciola...

-Nie mozesz... - zaprotestowal Mackafee.

-Nie moge? Uwierz mi, Haroldzie, dopilnuje, by tak się stalo.

-Niczego nie dopilnujesz - odparł Mackafee - jesli ja umre.

-Wyobrazasz sobie, Haroldzie, że pozwolę ci umrzeć? Nigdy!

-Nie możesz mnie powstrzymać.

-Oczywiście, że mogę. Słyszałeś o tym, że nie pozwoliłem umrzeć chłopakowi MacGregorowi? Wywierciłem mu dziurę w czaszce. Az do samego mózgu - ciągnął z uśmiechem. - Bardzo nieprzyjemna operacja. Ale to nie jest jedyny sposób, jaki znam. Wiesz, co zrobię, gdybyś na przykład przestał jeść i pić?

-Co?

-Wziąłbym noż i wywiercił ci dziurę, o, tutaj... - Reilly dotknął gardła Mackafeego. - Wsunąłbym do niej rurkę i podawał ci przez nią jedzenie i picie. - Oczywiście... - dodał i uśmiechnął się z zalem - ...nie mogłbyś mówić, więc nie byłbyś nam w stanie powiedzieć, na co masz ochotę, ale ponieważ i tak przez rurkę można wpychać tylko papki, nie miałyby to wielkiego znaczenia. Kiedy już zrobię ten otwór i umieścisz w nim rurkę, nie będzie jej można usunąć... bo umarłbyś z głodu, zanim dziura zarosłaby na tyle, abyś mógł znowu normalnie przelknąć. W każdym razie musiałbyś się pożegnać z whisky, przyjacielu.

Reilly spojrzał na chorego, zastanawiając się, czy uwierzył w te bajki, których mu naopowiadał.

-Wypij to, co jest w tej butelce - zdecydował Mackafee, nie mrugnawszy okiem.

-Bardzo dobrze - odparł Reilly, klepiąc pacjenta po ramieniu. - Tak właśnie myślałem.

-Zrobię, co mi każe panna Brenna.

-Doskonale.

-Przepraszam, że usiłowałem cię zabić. Nie chciałem tego. Wszystkiemu winna ta whisky. Straciłem głowę.

-Jasne. Ale więcej nie będziesz miał takich problemów. Otwórz usta - polecił i gdy Mackafee go usłuchał, Reilly wlał mu do gardła spora część zawartości butelki.

Mackafee przełknął i uśmiechnął się z przymusem.

-Świetnie - powiedział Reilly zupełnie innym tonem. - Lekarstwo panny Brenny bardzo pomaga, prawda, Mackafee?

Mackafee skinął głową, spoglądając na Brenne, która właśnie do nich podeszła.

-Widzisz, Brenno? - powiedział Reilly. - Smakowało mu.

-Całkiem dobre - potwierdził Harold Mackafee.

Nie do wiary - powiedziała Brenna po upływie dwudziestu minut, gdy rozmontowali bimbrownie Mackafeego.

-Mackafee sam mnie o to poprosił. "Zniszczcie destylatornie", tak mi powiedział. Szkoda, że go nie slyszalas. Był bardzo skruszony.

-Pedził bimber od dwudziestu lat... - zauwazyła w zamysleniu Brenna.

-Coż, człowiek zdaje sobie sprawę, kiedy dokonac zmiany w swoim zyciu. Ciezka choroba moze mu w tym pomoc. Mysle, że obserwowalas podobne przemiany, zachodzace u pacjentow twego ojca.

-Ale nie az tak drastyczne. Zanim wyszlismy, wypil prawie cala zawartosc butelki. Przed zachodem slonca musze mu wyslac nastepna flaszke.

-Kiedy człowiek decyduje sie odmienic swoje zycie, zwykle zaczyna od razu. - Reilly podeptal ostatnie okruchy szkła i otrzepakł dlonie. Brenna przygladala mu sie z wielka uwaga.

-Zagroziles mu, prawda? - spytala.

-Niczego takiego nie zrobilem. Jak smiesz...

-Bzdury. Zagroziles mu, dlatego wypil opium. Ale czym mu groziles? Jest jedna noga na tamtym swiecie.

Reilly wzruszył ramionami i natychmiast przypomniał sobie o ranie. Ilekroć uniosł prawa reke, odzywał się ból w barku.

-Nie pamietam, co mu powiedzialem. Czy to naprawde wazne? Cokolwiek to bylo, odnioslo skutek.

-Najwyrazniej. Pytalam tylko dlatego, że kiedys moglabym sie posluzyc podobnymi pogrozkami.

-Brenno - zaczął Reilly, zmieniając temat. - Co sie tyczy moich przyjaciol, jesli nadal moge ich tak nazywac, powiedzieli ci cos...

-Hola, a to kto? - przerwala mu Brenna. Gdyby jej nie znal, pomyslalby, że celowo unika rozmowy. Obejrzał sie i spostrzegł mala Dorcas Mackafee, która wyszła z rudery i z obrzydzeniem prala jakies galgany w strudze ponad miejscem, w którym stali.

-Co robisz, Dorcas? - spytala Brenna, podchodzac do dziewczynki.

-Plucze brudne pieluchy - odparła Dorcas.

-Och. - Brenna przyglądała się, jak dziewczynka zanurza szmatę w wodzie.

-Cos mi się zdaje, moja droga - powiedział Reilly z niesmakiem - że to ta sama struga, z której bierzecie wodę do picia.

-Słucham? - spytało dziecko, nie rozumiejąc.

-Pijecie wodę z tej strugi, Dorcas? - spytała Brenna.

-Tak. Oczywiście - odparła Dorcas i wróciła do prania. Reilly wzdrygnął się z obrzydzeniem.

-Chodźmy stąd, Brenno, zanim zwymiotuje.

Jednakże Brenna powstrzymała go, opierając dłoń na jego piersi. Ponieważ był to pierwszy dotyk, jakim zaszczyliła go od kilku dni, Reilly znieruchomiał i spojrzał na nią wzrokiem pełnym nadziei.

Brenna zaś nie spuszczała oczu z dziecka.

-Dorcas - powiedziała. - Twoja mama mówiła mi, że dzidzius chorował. Na to samo, co teraz choruje twój tata. Kiedy to było, pamiętasz? Czy malenstwo chorowało, zanim byliśmy tutaj ostatnim razem?

-Tak - powiedziała dziewczynka. - Dlatego tata zbił mamę. Dzidzius płakał po nocach i nie dawał mu spać.

Brenna milczała. Patrzyła na brązową, cuchnącą wodę.

-Lepiej już chodźmy - powiedział Reilly. - Inni pacjenci czekają...

-MacGregorowie biorą wodę ze strumienia, do którego wpada ta struga - powiedziała Brenna w zamysleniu.

-Tak, powinniśmy do nich wstąpić i powiedzieć o tych pieluszkach...

Brenna sięgnęła do kieszeni. Wyjęła pamiętnik Reilly'ego i otworzyła go na stronie, na której naszkicowała mapkę Lyming.

-Potok, do którego wpada ta struga - powiedziała, rysując go na mapie - przepływa w sąsiedztwie domu MacGregorów, których dziecko właśnie zachorowało. W zeszłym roku zmarło dwoje innych dzieci.

-W rodzinie Hamisha? - zapytał Reilly, marszcząc brwi. - Nie wiedziałem.

-A dalej - mówiła Brenna, nie przestając rysować - płynie obok Campbellow. Zeszłego lata umarło czworo spośród nich. Potem obok domu Abercombich...

-Jedna z dziewczynek choruje - powiedział Reilly. Nagle udzieliło mu się podniecenie Brenny.

-A wreszcie wpada do podziemnego źródła - Brenna narysowała kwadracik. - Na którym jest pompa. Z niej biorą wodę MacAdamsowie. - Narysowała linie, wychodzące z kwadracika. - Gospoda Pod Udreczonym Zajacem zaopatruje się w wodę z tej samej pompy. - Narysowała drugą linię. - Właściwie całe Lyming bierze wodę z tego ujęcia.

Z wyjątkiem Burn Cottage - ciągnęła. - Bierzą wodę z potoku. W Burn Cottage nie było przypadków zachorowań na cholere. I jeszcze Marshallowie... - Narysowała linie od potoku w stronę kościoła. - U Marshallów też nikt nie chorował na cholere, a oni biorą wodę z tego samego potoku.

Następnie przeniosła ołówek na południowy skraj mapy.

-Zamek Glendenning - powiedziała. - Ani jednego przypadku cholery, nigdy. Zamek Glendenning zaopatruje się w wodę w źródle, z którego wypływa nasz potok.

Reilly spojrzał na splątane linie na mapie. Chyba zaczął pojmować, tylko że...

Tylko że to było niemożliwe.

-Właściwie co chcesz powiedzieć, Brenno?

-Sam dobrze wiesz, Reilly - odparła. Przytknęła koniuszek ołówka do kwadracika na środku strony, do kwadracika, z którego rozchodziło się wiele linii. Przycisnęła ołówek tak mocno, że złamała grafit.

-To woda - powiedziała.

29

Nie mogła w to uwierzyć. Przez cały ten czas prawda była w zasięgu ręki, bijąc w oczy ją i jej ojca, a żadne z nich nie potrafiło jej dostrzec. Nie przyszło im do głowy, że choroba zaraziło małe dziecko, piorące w strudze brudne pieluchy. Woda. Cholere roznosiła woda.

Dlaczego nie wpadła na to wcześniej? Wszyscy ci ludzie, wszystkie nazwiska wypisane na płytach nagrobnych. Wszyscy pochodzili z rodzin, które czerpały wodę z wiejskiej pompy oraz ze strumienia, który do niej wpadał.

To była owa prawidłowość. To wiązało wszystkie ofiary...

I nad rozprzestrzenieniem się cholery można było zapanować. Udowadniał to fakt, że nie chorował nikt spośród ludzi, pijących wodę z potoku. Choroba atakowała wyłącznie tych, którzy pili wodę, pochodzącą z brudnej strugi, przepływającej obok rudery Mackafeech. W

Londynie i w innych dużych miastach, gdzie choroba szerzyła się nieokiełznanie, działo się podobnie: ludzie wylewali nieczystości do tej samej wody, którą inni pili.

To takie oczywiste. Dlaczego przedtem nigdy o tym nie pomyślano? Zawsze obwiniano miazmaty, gazowe wyziewy, wydobywające się z bagien i wysypisk śmieci...

Dokładne zbadanie topografii okolicy wskazywało na to, że w pobliżu Lyming nie było żadnych bagien ani wysypisk odpadków... Nie było tu żadnych tajemniczych wyziewów, mogących powodować rozprzestrzenianie się choroby. Zaraza była skutkiem ignorancji. Niewiedzy i ubóstwa. Kombinacji, która doprowadziła już do niejednej epidemii.

I z ich powodu corocznie umierały tysiące ludzi.

Ale koniec z tym. Na razie Brenna nie znalazła jeszcze lekarstwa na cholere, ale przynajmniej będzie potrafiła zapobiec szerzeniu się tej choroby. Może nie na skalę światową... ale w Lyming.

Brenna obejrzała się przez ramię. Reilly jechał za nią na swoim wierzchowcu, lecz z powodu rany nie mógł jej dogonić. Jak mam postępować z Reillym? - myślała.

Nie będzie się nad tym zastanawiać. Nie teraz. Nie wtedy, gdy ma tak wiele do zrobienia.

Dopiero wjechawszy do wsi, Brenna wstrzymała swoją klacz. Niezadowolona Willow stanęła dęba, lubiła szybki galop i chętnie pedziłaby dalej. Brenna nie zwracała uwagi na niesforne zachowanie klaczy. Zsunęła się z siodła i popędziła do kowala.

-Przepraszam, panie Cameron - powiedziała bez tchu. - Ale potrzebuje klucza do srub.

Kowal, który właśnie spożywał posiłek, spojrział na nią z ciekawością.

-Proszę sobie wybrać, panno Brenno - odparł.

Brenna przejrzała zestaw kluczy i wybrała jeden z nich o odpowiednich rozmiarach i wadze. Chwyciła masywne narzędzie i, uśmiechnawszy się do pana Camerona, pomknęła w stronę urządzenia, które zaprzętało jej myśli...

Ku wiejskiej pompie.

W pobliżu nie było żywej duszy. Od czasu gdy zachorowały Flora i pani MacAdams, nie handlowano na straganach. Wszyscy mieszkańcy osady, którzy akurat nie byli zajęci wypasem owiec oraz połowem ryb, kryli się w domach, starając się nie wdychać miazmatów, które unosiły się w okolicy.

Brenna wiedziała, że nikt z nich nie spodziewa się, że choroba pochodzi z wody, w której się kapali i którą pili.

Lecz ona wkrótce ich uswiadomi.

Pompa byla nowiutenka. Zanim ja zainstalowano, byla tu studnia. Innowacja, ulatwiajaca czerpanie wody, stala sie przedmiotem zrozumialej dumy mieszkancow Lyming. Brenna wiedziala, ze nie beda oni zachwyceni tym, co miala zamiar zrobic.

Zdawala sobie jednak sprawe, ze nie ma innego sposobu, by polozyc kres pladze.

Przykleknela obok jaskrawo pomalowanej pompy i nalozyla klucz na jedna ze srub, ktore mocowaly dzwignie.

-Brenno, zaczekaj!

Podniosla glowe. Na plac wjechal Reilly Stanton. Ostroznie wstrzymal wierzchowca i spojrzal na Brenne.

-O co chodzi? - spytala. Dlaczego chce mnie powstrzymac? Czyby nie wiedzial, ze to jedyny sposob? - myslala.

-To nie bedzie latwe. Moze ja sprobujecie poluzowac sruby. Brenna podniosla sie z kleczek, a kiedy Reilly zsiadl z konia, podala mu klucz gestem krolowej, wreczajacej miecz nowo pasowanemu rycerzowi.

-Prosze bardzo, doktorze - powiedziala.

Reilly mial pewne trudnosci. Bolalo go ramie, a sruba zardzewiala od wilgotnego powietrza. W koncu udalo mu sie ja poruszyc, a dalej odkrecala Brenna. Juz niemal uporali sie z pierwsza sruba, gdy ze szkoly nadeszla mala Jessie Murdoch, by zaczerpnac wody.

-Co robicie? - spytala dziewczynka bez wstepow.

Reilly, mocujacy sie z nastepna sruba, milczal. Byl zbyt zasapany, by jej odpowiedziec.

-Rozmontujemy pompe, Jessie - wyjasnila Brenna. - Obawiam sie, ze bedziesz musiala przyniesc wode z potoku.

-Z potoku? - spytala zdumiona dziewczynka. - Ale dlaczego?

-Woda z pompy nie jest dobra. - Brenna wskazala Reilly'ego ruchem glowy. - Doktor Stanton i ja nie chcemy, zeby ludzie ja pili. Na razie wszyscy beda brali wode z potoku.

-Ale potok jest tak daleko... - zauwazyla Jessie.

-Wiem. - Brenna usmiechnela sie do dziewczynki. - I bardzo mi przykro. Ale tak teraz bedzie.

Jessie spojrzala na wiadro.

-Lepiej powiem panu Rupertowi.

-Koniecznie - odparla Brenna z powaga i dziewczynka odeszla.

-Nie beda zadowoleni - powiedzial zasapany Reilly. Brenna odepchnela go od pompy i przejawszy klucz, zabrala sie do pracy nad nastepna sruba.

-Ale nie ma innego wyjscia. Dlugi spacer po wode albo smierc. Mysle, ze jednak wybiora spacer.

Sruba ani drgnela. Reilly odzyskal sily i przylozyl pomocna dlon do rak Brenny. Wspolnymi silami udalo im sie obluzowac srube.

Wlasnie ja odkrecali, gdy nadszedl nauczyciel, pan Rupert.

-Przepraszam - powiedzial niesmialo. Byl bardzo wymagajacym nauczycielem, ale Brenna wiedziala, ze prywatnie jest wstydlivy. Podchodzil do nich tak ostrocznie, jakby sie obawial, ze go pogryza jak psy, pilnujace swego terytorium.

-Slucham, panie Rupercie? - Brenna wyprostowala sie i wytarla poplamione rdza dlonie o nogawki spodni.

-Jessie powiedziala mi, ze rozkrecacie pompe. Podobno woda jest niedobra.

-Tak - odparla Brenna. - Woda z tej pompy zaraza cholera. Musi pan powiedziec dzieciom, aby pily wode wylacznie z potoku. Tutejsza woda jest zainfekowana.

Pan Rupert poprawil okulary.

-Dobry Boze - powiedzial. - Jest pani pewna? Myslalem...

-Tak - powiedziala Brenna. - Calkowicie pewna.

-Rozumiem. - Pan Rupert skinal glowa. - Tak, coz, rozumiem. Bardzo interesujace. Natychmiast powtorze to dzieciom. Potok jest bezpieczny?

-Na razie - powiedziala Brenna. Wyjasnila rowniez, ze wszelkie przepierki powinny byc robione z dala od potoku, ktory pozostanie jedynym bezpiecznym zrodlem pitnej wody tylko tak dlugo, jak dlugo nie skaza go ludzkie nieczystosci. Pan Rupert, zatwardzialy stary kawaler, o bardzo staromodnych pogladach na temat kobiet, zaczerwienil sie, sluchajac, jak z jej ust wydobywaja sie takie nieprzyzwoite slowa. Jednakze znal Brenne, odkad byla mala dziewczynka, i wiedzial, ze nalezy ja traktowac powaznie.

-Powiem im - zapewnil Brenne, blednac. - Ja... o rety. Tak. Powiem im. Ja... o rany.

Jednakże pastor, który właśnie nadszedł po odwiedzinach u chorych, nad którymi wznosił modły, nie odniósł się z takim zrozumieniem do rozkrecania pompy.

-Roznosi się poprzez wodę?! - wykrzyknął. - Nie opowiadajcie bzdur! Każdy wie...

-...że cholera jest roznoszona przez miazmaty - skończyła Brenna za niego, tak jak zwykle czyniła to zona pastora. Tylko że następnie wypowiedziała własną opinię, do czego pani Marshall nie miała skłonności. - Ale to nieprawda. I potwierdza to fakt, że chorują tylko ci ludzie, którzy regularnie piją wodę z pompy.

Pan Marshall popatrzył na Brenne.

-Chciałem powiedzieć, zanim mi tak obcesowo przerwano, że cholera jest kara zesłana przez Boga. Nie jest tajemnicą, że pierwsza zachorowała ta fladra z gospody...

Rozgniewana Brenna podeszła do pastora, ale Reilly ją powstrzymał, kładąc dłoń na jej ramieniu.

-Pastorze Marshall - powiedział, stając pomiędzy wielebnym a Brenna. - Doceniamy pański ekumeniczny pogląd na sprawę. Doprawdy, doceniamy. Ale, będąc praktykującym lekarzem, muszę podejmować decyzje oparte na naukowych, a nie duchowych faktach. A naukowe fakty wskazują, że woda z pompy jest niebezpieczna dla tutejszych parafian. Dlatego ja i panna Donnegal nie możemy dopuścić, by ją pili.

Tak przemawiając, Reilly przyjacielskim gestem objął pastora przez plecy i delikatnie odprowadził od miejsca, w którym trzymała się Brenna. Następnie poklepał wielebnego i dodał:

-A teraz proszę być dobrym pasterzem i w niedzielnym kazaniu pouczyć wiernych, żeby brali wodę do picia z potoku... i by, bron Boże, nie prali w nim brudów.

Reilly mrugnął porozumiewawczo, zostawił wielebnego i wrócił do Brenny.

-Co robi? - zapytał szeptem, pochylając się nad pompą. Brenna się obejrzała.

-Przygląda się nam, jakbysmy uciekli z domu wariatów.

-Nieszczęsny głupiec. Jeszcze jeden obrot, Brenno, i po sprawie... - Dzwignia pompy jęknęła i dała się odjąć od metalowej konstrukcji, do której była umocowana. - Dzięki Bogu. Mamy ją.

Brenna odebrała mu dzwignię.

-Doskonale. Dziękuję. Teraz potrzebna jest tabliczka informacyjna.

-Mam coś odpowiedniego. Napiżmy tak: "Ta pompa jest zamknięta z polecenia doktora

Reilly'ego Stantona, lekarza wiejskiego, w celu zapobieżenia dalszemu rozprzestrzenianiu się cholery".

-Brzmi nad wyraz urzędowo - powiedziała Brenna z uznaniem. Reilly otarł ręce o płaszcz.

-Tak - powiedział. - Kiedy chce, potrafię być bardzo oficjalny. I co potem?

-Musimy umieścić inne tabliczki z zakazem picia wody, wzdłuż strumienia, który dostarcza wodę do pompy. A dla ludzi, którzy nie potrafią czytać... a jest ich tutaj mnóstwo, Reilly... będziemy się musieli przejść od drzwi do drzwi. - Spojrzała na dźwignie pompy. - To jest zaledwie połowa sukcesu.

-Ale gra warta świeczki - zauważył Reilly.

Brenna przyjrzała się mu. Na policzku miał smugę smaru, a obandażowany bark nadawał mu wygląd garbusa.

Lecz mimo wszystko był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego dotychczas widziała. Słońce rozświetlało jego niesforne włosy i igrało na pięknie rzeźbionych rysach twarzy. Jego czekoladowobrazowe oczy pełne były inteligencji i poczucia humoru...

Nagle posmutniała i powtórzyła cicho:

-Tak, gra warta świeczki.

30

Ale nie było jej łatwo wygrać. Wiesniaków nie uradowała wiadomość, że źródło wody, które służyło im od dawna, nagle stało się niedostępne. Bez względu na to, że Brenna i Reilly wielokrotnie tłumaczyli im, że woda z pompy jest skażona, nie przestawali się skarżyć: "Pije tę wodę od urodzenia i nigdy w życiu nie chorowałem" albo "Skoro cholera powodowała woda z pompy, jak to możliwe, że Una Murdoch zachorowała po jej rozmontowaniu?"

Brenna usiłowała im wyjaśnić, że pani Murdoch zaraziła się przed usunięciem dźwigni, tylko że objawy wystąpiły u niej później niż u innych osób. Wiedziała też, że po upływie kilku dni, gdy nie pojawi się nowy przypadek zachorowania na cholere, mieszkańcy Lyming będą jej musieli przyznać rację. Ale na razie...

Na razie ona i doktor Stanton nie byli najbardziej lubianymi osobami w osadzie.

Co jej bardzo odpowiadało. Przy tak wielu pacjentach nie miała czasu na życie towarzyskie. Najbardziej niepokoiła się o Flore, która wciąż była poważnie chora i nie wykazywała żadnych oznak poprawy. Była tak wyniszczona, że Brenna spodziewała się usłyszeć wkrótce przerazające, lecz dobrze jej znane śmiertelne rzezenie.

Co gorsza, lord Glendenning zaczął podejrzewać, że dla tej pacjentki nie ma już wielkiej nadziei. Nie ruszał się z pokoju Flory, chyba że Brenna kazała mu zmienić białe pościelowe dziewczyny lub przynieść nową porcję mieszaniny wody i opium, aby wlać ją chorej do gardła. Nie sypiał, tylko siedział, wpatrując się w umierającą dziewczynę i dopytując się Brenny, czy mogłoby dla Flory coś zrobić. Raz zdesperowana Brenna powiedziała mu, że jeśli chce pomóc, niech zejdzie, by porozmawiać z wiesniakami, którzy dobijali się do drzwi Pod Umeczonym Zajacem, dopominając się, żeby Brenna oddała im dzwignię od pompy. Niech im wyjaśni, że Flora by nie zachorowała, gdyby nie piła skażonej wody z pompy. Brenna się ludziła, że usłyszawszy to z ust lorda Glendenninga, wiesniacy w końcu uwierzą. Pomimo swoich flirtów, hrabia był szanowany przez tutejszą społeczność.

Lecz aby rozmawiać z wiesniakami, lord Glendenning musiałby opuścić wezglowie Flory. A tego stanowczo odmówił.

Brenna przeniosła się do gospody. Było to łatwiejsze niż przychodzenie tu co kilka godzin. Innym pacjentom: Seumasowi MacGregorowi i pani MacAdams - zaczęło się polepszać, więc nie wymagali ciągłej pielęgnacji. Reilly zajmował się pozostałymi chorymi: panią Murdoch i swoim ulubieńcem, Haroldem Mackafeem. Do tej pory Flora była ich jedyną porażką.

Brenna nie chciała się jednak poddać. Wlewała płyny do gardła nieprzytomnej dziewczyny i ocierała jej czoło. Prawdziwy cud, że Flora wyżyła tak długo. Gdyby przetrzymała jeszcze jedna noc...

Kiedy lord Glendenning obudził ją z lekkiej drzemki, Brenna spodziewała się najgorszego.

Hrabia, który od przeszło tygodnia nie golił się i nie spał, wyglądał jak dzikus albo jak pustelnik, który zszedł z gór. Brenna otworzyła oczy i wzdrygnęła się na jego widok. Choć podejrzewała, że ona sama wygląda nie lepiej, tyle że nie ma zarostu.

-I co? - spytała szeptem.

Jednakże lord Glendenning nie usiłował zniżyć głosu. Było już po północy, a on wcale się nie przejął, że budzi wszystkich mieszkańców tawerny.

-Mysle, że już po wszystkim - powiedział drżącym głosem. Przerazona Brenna spojrzała na Florę. Z jej twarzy zniknęła śmiertelna bladność, która, niczym maska, spowijała jej ładne rysy. Policzki Flory były różowe, spekane usta miała rozchylone.

Brenna widywała wiele trupów. Wiedziała, że czasem na twarzach zmarłych pojawia się wyraz niebiańskiego spokoju. Pomyslała, że tak stało się teraz.

-O Boże - powiedziała, dotykając ramienia lorda. - Tak bardzo ci współczuje, łanie.

Twarz hrabiego wykrzywił wyraz smutku. Pochylił się nad Brenną i oparł twarz na jej

ramieniu. Jego ogromnym ciałem wstrzasaly lkania.

Brenna, zupełnie nieprzygotowana na taki wybuch uczuc, niezrecznie poklepała go po plecach, szepczac jakies banaly.

Krzyki hrabiego obudzily co najmniej jedna osobe. Reilly, ktory nocowal na lawie, tej samej, ktora zaoferowano mu pierwszej nocy po jego przybyciu do Lyming, stanal na progu, mrugajac powiekami.

Na widok Glendenninga, obejmujacego Brenne, od razu oprzytomnial. Spostrzeglszy go, Brenna uniosla dlon, ktora poklepywala plecy hrabiego, i wskazala nia Flore.

Reilly nie trafil czasu. Chwycil stetoskop i, usiadlszy przy lozku chorej, przylozyl go do piersi Flory, nasluchujac bicia serca lub oddechu.

-To moja wina - lkal lord Glendenning, wtulajac twarz w ramie Brenny. - Gdybym sie z nia ozenil, nie zachorowalaby. Nie pilaby tej zepsutej wody i bylaby zdrowa.

-To nie twoja wina. Nie wiedziales. Nikt z nas nie wiedzial... Reilly uciszyl ich syknieciem. Brenna poznala po jego zachowaniu, ze dzieje sie cos niezwyklego.

-O co chodzi, Reilly? - wyszeptala.

Reilly nie odejmowal stetoskopu od ucha.

-Przedziwna sprawa. Oddycha zupełnie normalnie, a bicie serca...

Wlasnie wtedy Flora raptownie otworzyla oczy. Lord Glendenning krzyknal ze zdumienia, nawet Brenna nie wierzyla oczom.

-Co... - powiedziala Flora. - Co tu robicie?

Glos miala bardzo slaby, ale nie bylo to juz goraczkowe bredzenie, jakie od kilku tygodni dobywalo sie z jej ust.

Lord Glendenning wykrzyknal jeszcze raz i z hukiem rzucil sie na kolana obok lozka Flory.

-Floro! - zawolal. - Jak sie czujesz? Flora spojrzala na niego ze zdziwieniem.

-Chyba niezle - powiedziala. - Chociaz jestem okropnie glodna.

Zdumiona Brenna zamrugala oczami.

-Glodna. Slyszalas, Brenno? - powiedzial Reilly, odejmujac sluchawke od piersi dziewczyny.
- Ona mowi, ze jest glodna.

Dopiero wtedy Brenna przyłożyła dłonie do policzków, po których spływały łzy.

-Och - powiedziała, spoglądając z niedowierzaniem na swoje wilgotne od łez palce, które odjechały od twarzy. O rety.

-Co powinna zjeść? - dopytywał się lord Glendenning. - Co mam jej podać?

Brenna spojrzała na Reilly'ego.

-Chleb. Może namoczony w mleku?

Reilly spostrzegł, że Flora i hrabia spoglądają na siebie wzrokiem pełnym miłości.

-Może zejdziemy do spiżarni, panno Donnegal?

-Oczywiście - odparła Brenna, ocierając łzy rękawem. Zeszli po ciemku na dół. W głównej sali było zupełnie pusto.

Wszyscy stali bywalcy gospody przebywali w domach, pielęgnując chorych krewnych. Postępując za Reillym, który przytomnie zapalił świecę, Brenna rozmyślała o tym, że poza Flora i hrabia, są tu teraz jedynymi nie pograżonymi we śnie osobami. Pani Murphy i jej mąż położyli się spać, jeszcze raz poprosiwszy Brenne, by zechciała im oddać dzwignię od ich własnej pompy, która mieli przy zlewie w kuchni.

Nikt mnie nie rozumie, myślała ponuro. I dopóki nie zmuszę tych durniów z Akademii Królewskiej, aby zaakceptowali moją teorię, nikt mi nie uwierzy.

-I co my tu mamy? - powiedział Reilly, otwierając drzwi do spiżarni. - Mleko. Tego nam trzeba. Pokroisz go na kromki? - poprosił, podając jej bochenek chleba.

Brenna wzięła od Reilly'ego chleb i zajęła się krojeniem, myśląc: Jesteśmy tu teraz zupełnie sami, ciekawe, czy mnie zapyta...

-Wiem, o co ci chodzi, Brenno - odezwał się Reilly, wciąż zaglądając do spiżarni. - Dobrze wiem.

Cholera! Omal nie skaleczyła się w palec.

-O co ci chodzi? - spytała, grając na zwłokę. Bądź silna, powtarzała sobie. Im dłużej będziesz to odkładać, tym trudniej ci będzie. Zupełnie jak... jakbys miała odciąć kawałek własnego ciała.

-O ten mur, którym się ode mnie odgradziłaś. - Reilly wyniósł ze spiżarni mleko i zamknął za sobą drzwi kopniakiem. Ustawił świecę na stole, na którym Brenna kroila chleb. - Wiem, o co ci chodzi. Ale ja nie mam zamiaru stąd wyjeżdżać.

-Nie? - spytała Brenna, mrugając powiekami.

-Nie. - Tym razem w jego ciemnych oczach nie było wesołości. - Wbrew temu, co naopowiadali ci moi dwaj nieodpowiedzialni przyjaciele. Co się tyczy ślubu Christine... w ogóle się nim nie przejąłem. Na miłość boską, Brenno, przecież musisz rozumieć, że Christine King nic już dla mnie nie znaczy.

Brenna zacisnęła wargi. Nie powie mu tego. Zachowa się jak dystyngowana dama. Nie odezwie się...

-Christine?! - wykrzyknęła oburzona. - Myślisz, że mi chodzi o Christine?

-Coż, tak mi się wydawało - odparł zakłopotany. - Rozmawiałem z Pearsonem i z Shelleyem. Wszystko mi powiedzieli. Nie próbuj zaprzeczać, Brenno. Zrób mi tę przyjemność i bądź ze mną szczerą.

-Tak jak ty byłeś szczerą ze mną, milordzie?

-Tak - odparł, odzyskując animusz. - Właśnie tak... Zamilkł gwałtownie.

-Jak się do mnie zwróciłaś? - zapytał po chwili.

-Chyba słyszałaś, lordzie Stillworth.

-Ach, tak - powiedział. - Który z nich się wygadał?

-Zaden - odparła Brenna. Wyjęła z kieszeni jego pamiętnik i otworzyła na pierwszej stronie, gdzie widniał napis: Edgar Reilly Willoughby Stanton, osmy markiz Stillworth.

Reilly wpatrywał się w litery, jakby ich nigdy przedtem nie widział. Następnie unosił wzrok i Brenna spostrzegła, że jego oczy znowu poweseląły.

-A więc wiesz już najgorsze. Podejrzewałem, że tego się nie da utrzymać w tajemnicy. Teraz nie mam zamiaru zaprzeczać faktom. Tak, to prawda. Naprawdę nadano mi imię Edgar.

Brenna zamknęła pamiętnik.

-A niech cię, Reilly - powiedziała, czując, że do jej oczu napływają łzy. Wszystkiemu winne to napięcie, myślała. Choroba Flory i krzyki rozgniewanych wiesniaków, domagających się uruchomienia pompy. Dlatego płacze. Tylko dlatego.

Nie. Nie dlatego. Miała złamane serce. To był powód jej płaczu. Na widok jej łez Reilly natychmiast zaprzestał żartów.

-Brenno - powiedział łagodnie. - Wiem, że powinienem był ci o tym powiedzieć. I nawet

probowałem... Ale pomyślałem sobie, że zaczekam z tym do chwili, gdy ci udowodnię, że nie jestem taki jak oni, jak ci durnie, którzy tak źle potraktowali twego ojca. Bo ja naprawdę nie jestem taki. Nie każdy lekarz, który urodził się arystokratą, musi być szarlatanem...

Odsunęła się od niego, nie dlatego, że jego bliskość była dla niej przykra, lecz dlatego, że pozwoliwszy się mu dotknąć, nie miałaby siły na uczynienie tego, co musiała zrobić.

-Okłamales mnie, Reilly - powiedziała.

-Nie - odparł, krecąc głowę. - Pominałem prawdę milczeniem, ale cie nie okłamałem.

Brenna wyceLOWAŁA w niego palec.

-Pozwoliłeś, abym uwierzyła, że jesteś wiejskim lekarzem. Zadowolonym ze swojej sytuacji.

-Bo to prawda! - wykrzyknął. - Chce nim pozostać!

-Ale to niemożliwe. Nie możesz być wiejskim lekarzem na Skye i markizem w Stillworth Park.

-Nie mogę? A to dlaczego?

-Masz mnie za głupia, Reilly? Urodziłam się tu, na Skye, ale wiem, że arystokraci mają obowiązki wobec swoich poddanych. Nie mogą sobie, o tak, odejść... i zajmować się leczeniem ludzi na końcu świata.

-Nie mogą? O toż ja mogę.

-Przecież twoi ludzie już się o ciebie upominają.

-Moi ludzie? To nie są moi ludzie. To tylko Pearson i Shelley. Oni się nie liczą.

-To na nic, Reilly - powiedziała Brenna, spoglądając na niego gniewnym wzrokiem. - Wiem, co usiłujesz zrobić, ale to się nie uda. Ja nie mogę.

-Czego nie możesz, Brenno? O czym ty mówisz?

-Nie mogę zostać lady Stillworth - powiedziała ze łzami w oczach. - Mogłabym być panią Stanton. Z przyjemnością byłabym panią Stanton. Ale nie mogę być lady Stillworth. Nie rozumiesz? To niemożliwe. Nie zrobię czegoś takiego. Nienawidzę przyjęć i herbatek z księżnymi, balów oraz wypraw do modystek, pouczania służby i, na Boga, Reilly, nie wytrzymałabym ani miesiąca!

Przyglądał jej się ze zdumieniem. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

-I nawet gdybym się bardzo starała, że względu na ciebie, nigdy by mi się nie udało -

ciagnela Brenna. - Nigdy nie stane sie taka, jak ta twoja panna King. I po jakim czasie, moze nie od razu, zaczalbys miec do mnie zal, a potem... a ja nie moglabym tego zniesc - mowila, starajac sie wyrazic to, co dreczylo ja przez kilka ostatnich tygodni. - Kiedy zostales postrzelony... - znizyla glos do szeptu - i pomyslam sobie, ze nie potrafię bez ciebie zyc... Reilly, nigdy nie bylam rownie przerazona. Czegos podobnego nie wytrzymalabym po raz drugi.

-I nie bedziesz musiala, Brenno - zapewnil, chwytajac ja za rece. - Przysiegam ci, ze cos takiego nigdy sie nie powtorzy. Mackafee i ja jestesmy teraz przyjaciolmi... - Skrzywil sie nieco. - No, moze niezupełnie.

-A wiec to byl pan Mackafee - westchnela. - Nigdy mi nie powiedziales...

-Nie powiedzialem. Ale przysiegam ci, Brenno, ze to ostatni sekret, jaki przed toba mialem. Teraz wiesz o mnie wszystko...

-To nie ma znaczenia - powiedziala Brenna, krecac glowa. - Nie rozumiesz, Reilly? To bez znaczenia, poniewaz ja nie moge byc z toba. Nie moge byc lady Stillworth, a ty... coz, nie wierze, ze oni pozwola ci byc zwyklym doktorem Stantonem. Mysle, ze lepiej od razu polozyc kres calej tej sprawie. Zanim... zanim trudniej bedzie mi sie z toba rozstac. - Ku jej wielkiemu zaskoczeniu Reilly wybuchnal smiechem i choc sie bronila, chwycil ja w objecia.

-Cieszę sie, ze tak cie rozbawilam - warknela. - Moze zechcesz mi wyjasnic, co cie rozsmieszilo.

-Przepraszam - wykrztusil Reilly. - Chodzi o to, ze Christine pragnela czegos zupełnie innego. Chciala zostac lady Stillworth, a nie pania Stanton...

-Znowu ona - jeknela Brenna. - Nie moge juz sluchac o pannie Christine King...

-Powinnas jej byc wdzieczna - przerwal jej Reilly. - Po pierwsze, to wlasnie z jej powodu przybylem na Skye...

Brenna ponowila probe uwolnienia sie z jego uscisku, lecz bezskutecznie.

-Ale nie ona jest powodem, dla ktorego tu pozostaje. - Odsunal Brenne nieco od siebie, aby moc spojrzec w jej oczy. - To prawda. Przyjechalem tu, aby cos udowodnic. Wmawialem sobie, ze chce cos udowodnic mojej bylej narzeczonej, ale juz dawno przestalem w to wierzyc. Przyjechalem tutaj, aby udowodnic cos sobie samemu, Brenno. I wiesz co? Udalo mi sie. Jestem zdolny do czegos wiecej, niz wypisywanie recept na puder do stop i leki przeciwko histerii.

Ujal twarz Brenny w dlonie i zajrzal gleboko w jej oczy.

-Ty mi w tym pomoglas, Brenno. Ty uczynilas ze mnie lepszego lekarza, ty sprawilas, ze

stałem się lepszym człowiekiem. Rzuciłaś mi wyzwanie, odepchnęłaś mnie... a ja zakochałem się w tobie. Powiem ci tylko tyle: jeśli zechcesz pozostać na tej wyspie i być panią Stanton, nie mam nic przeciwko temu. Nie dbam o to, gdzie zamieszkamy, pod warunkiem że będziemy razem. - Złożył na jej czoło czuły pocałunek. - Bog jeden wie, że w Stillworth Park nikt się nie troszczy o to, gdzie jestem, bylebym tylko wrócił w grudniu, na czas, by rozdać moim dzierżawcom świąteczne szynki.

Brenna nie wierzyła własnym uszom.

-Ale... - zdołała wyjąkac. - Ale...

-Ale co? Możemy się natychmiast pobrac. Jesteśmy w Szkocji. Nie potrzebujemy żadnych specjalnych świadectw ani żadnych głupich...

Brenna przytuliła się do niego w niemym zdumieniu. Po ostatnich przeżyciach miło było wdychać zapach jego świeżo wypranej koszuli.

-To lubię - powiedział. - Pocałuj mnie, żeby przypieczętować naszą umowę.

Uniosła twarz i przytknęła wargi do ust Reilly'ego. Dziwne, po tym wszystkim co zrobili w jej sypialni, czuła się zawstydzona.

Ale tak właśnie było. Teraz całowała kogoś zupełnie nowego...

Przynajmniej przez pierwszą sekundę. Bo potem pocałunek stał się głębszy. Reilly objął ją mocniej i Brenna poczuła, że rozgorzał w niej dobrze znany płomień, jak zawsze, gdy znajdowała się blisko niego...

I znowu całowała go z dawną zarliwością...

Do chwili gdy odezwał się drżącym głosem:

-Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek to powiem, ale... zapomnieliśmy o naszej pacjentce, moja droga.

-Flora! - wykrzyknęła Brenna.

-Czeka na śniadanie. Dokonczymy to później.

Brenna skwapliwie skinęła głową. Siegnęła po miskę z mlekiem, w której miała namoczyć chleb.

-Musisz mi coś obiecać - powiedział, Reilly, podnosząc się z kłeczek.

-Co?

-Ze wprowadzisz w domku kilka zmian - odparł, rozmasowując swoje obolale ramie. - Chce tam zainstalować porcelanową wannę, w której mogłbym się wyciągnąć, w razie gdybym musiał moczyc jakieś nowe rany. Pozwolisz mi na to?

-Obiecuje - powiedziała, uśmiechając się w świetle świecy.

31

Jeżeli ktoś z zebranych - powiedział wielebny Marshall - wie o jakiejś przeszkodzie w zawarciu tego małżeństwa, niech o niej powie teraz lub...Pastor zamilkł na chwilę, jak to zawsze bywało po wygłoszeniu powyższych słów. Jednakże w kościele nie zapanowała cisza. Parafianin, Hamish MacGregor, pisnął na widok małej brązowej myszy, która jego młodszego brata Seumas, całkowicie uleczony z cholery, wsunął mu do kieszeni odświetnej marynarki.

Reilly posłał chłopcom karcące spojrzenie i obydwaj natychmiast się uspokoili. Hamish wiercił się trochę, gdy mysz rzucała się w jego kieszeni. Harold Mackafee, wysoki i wyprostowany w otoczeniu rodziny, wystrojony w prawie nowe ubranie, które kupił za pieniądze zarobione za prace na łodzi Adama MacAdamsa, w niczym nie przypominał dawnego obszarpanca. Spojrzał surowo na swoje młodsze dzieci, chichoczące na widok myszy Hamisha. Nawet cztery złotowłose dziewczynki, z których najmłodsza, nie umiejąca jeszcze siedzieć, spoczywała w ramionach starszej siostry, wysunęły się z rzędu, by zerknąć na zabawne stworzonko.

W chwili gdy wielebny Marshall miał się zwrócić do pana młodego, by go spytać, czy bierze za żonę te tu kobiety, rozległ się głos, dochodzący z głębi kościoła.

-Ja się sprzeciwiam!

Wszyscy zebrani obejrżeli się, by zobaczyć, kto ma obiekcje wobec zawarcia węzła małżeńskiego przez tak miłą parę. Wzdłuż nawy zbliżał się nieznany nikomu, przystojny siwowłosy mężczyzna, ubrany w strój londyńskiego dżentelmena.

Nikommu, z wyjątkiem Brenny, która skuliła się, chowając za Reillym.

-Zadam, by natychmiast zakończono te farse! - huknął dżentelmen.

Wielebny Marshall spojrzał na niego zdumiony. Jego żonie, siedzącej przy organach, trzeba było podać sole trzeźwiące, by nie zemdlała, jak to stało się jej zwyczajem od owego wieczoru, gdy została zaatakowana przez szczura w jadalni zamku Glendenning.

-Cz...czy mogę zapytać, sir - wyjąkał pastor - jakiej natury są pańskie zastrzeżenia?

-Idzie o to, że moja bratanica, panna młoda, nie ma pozwolenia rodziców na wstąpienie w związek małżeński. - To rzekłszy, przystojny starszy pan podszedł do panny młodej, której

twarz skrywał welon z weneckiej koronki, i powiedział: - Wstyd mi za ciebie. Natychmiast wracaj do Burn Cottage. Mam także coś do powiedzenia temu niepoprawnemu młodzieńcowi.

Panna młoda odsunęła welon, ukazując ładną twarzyczkę o kształcie serca, otoczona przez burzę jasnych kedziarów.

-Przykro mi - powiedziała Flora gniewnym tonem - ale pan nie jest moim stryjem.

Siedząca za przystojnym i, w tej chwili, bardzo skonsternowanym mężczyzną, Brenna odchrząknęła.

-Stryju Euanie - powiedziała, machając do niego ręką. - Tu jestem.

Przystojny starszy pan spasował. Był jeszcze czerwieniej niż pan młody, lord Glendenning, który na tę okazję przywdział swój najlepszy płód w kratę.

-Co to ma znaczyć? Psujesz moją uroczystość zaślubin. Wynos się stąd, zanim rozwalę ci łeb.

-Lepiej wyjdźmy - szepnęła Brenna do Reilly'ego.

-Masz rację - odrzekł, pomagając jej wstać.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, mężczyzna, do którego Brenna zwracała się per "stryju", bezzwłocznie natarł na krnąbrną bratanicę.

-Co to ma znaczyć? - zagrmiał. - Co robisz na Skye? Masz przecież być w Bath. I coż to za historia z poślubieniem jakiegoś nieznanego nam jegomoscia?

-Stryju Euanie - zaczęła Brenna z cierpliwością, której Reilly mógł jej pozazdrościć. - Wszystko ci wyjaśnię...

-I słusznie. Będiesz mi miała wiele do wyjaśnienia. Najpierw stwierdziliśmy, że do Akademii Królewskiej nadeszła nowa rozprawa naukowa na temat rozprzestrzeniania się cholery, opatrzona nazwiskiem twego ojca, a następnie otrzymałem to... - Wuj zamachał wyjetym z kieszeni listem. - List, w którym wyjaśniasz, że jesteś na Skye i masz zamiar poślubić jegomoscia, o którym nikt z nas nie słyszał. A wszystko to w czasie, gdy twoja ciotka i ja jesteśmy przekonani, że mieszkasz u Elizabeth Sexton w Bath...

-Przepraszam pana, sir - Reilly poczuł się w obowiązku przerwać tyradę stryja Brenny - lecz nie podoba mi się sposób, w jaki beszta pan moją żonę.

-Wasza miłość! - zagrmiał stryj Euan.

-Słucham pana? To chyba jakieś nieporozumienie. Nie jestem księciem.

-Pan nie! - zakrzyknął stryj Brenny. - Ale ja jestem! Tak się składa, że jestem księciem Camden, młody człowieku, i proszę się do mnie zwracać tak, jak wymaga tego mój tytuł. I co ma znaczyć nazywanie mojej bratanicy pańska żona?

Skonfundowany Reilly spojrzał na Brenne. Jej stryj księciem? To by znaczyło...

-Stryju Euanie - powiedziała Brenna, biorąc go pod rękę. - Reilly i ja pobraliśmy się w minioną sobotę. Mój list, hm, musiał nadejść z opóźnieniem. Dlatego pomyślałam, że przyszła sobota oznacza tę sobotę, ale jak widzisz...

-W takim razie - przerwał jej stryj - zadam anulowania.

-Stryju Euanie - odparła Brenna, wznosząc oczy do nieba. - Nie bądź śmieszny.

-Nie widzę w tym nic śmiesznego - powiedział stryj, nawet na nią nie spojrzawszy. - Moi prawnicy w mig przygotowują odpowiednie dokumenty.

-Zwążywszy na to, że około Bożego Narodzenia stanie się pan stryjecznym dziadkiem córki lub syna Brenny, nie sądzę, by anulowanie ślubu było najrozsadniejsze, wasza miłość. A reszta my się kochamy - powiedział Reilly.

Stryj Brenny oniemiał.

-Stryju Euanie? - odezwała się zaniepokojona Brenna. - Co się stało?

Stryj ani drgnął.

-Wykonczyliśmy go - powiedziała, zwracając się do Reilly'ego.

Reilly spojrzał na starszego pana zaniepokojonym wzrokiem. Książe szybko doszedł do siebie i rzekł z oburzeniem:

-Ty pozbawiony skrupułów kundlu! Ślub w zeszłym tygodniu, a już spodziewacie się dziecka...

-Milordzie - przerwał mu Reilly.

-Słucham? - zapytał zaskoczony książę.

-Nazwał mnie pan kundlem. A tak się składa - powiedział Reilly łagodnym tonem - że jestem osмым markizem Stillworth i będę wdzięczny, jeśli będzie się pan do mnie zwracał tak, jak tego wymaga mój tytuł.

Książę szeroko otworzył oczy. Brenna poklepała go po ramieniu i powiedziała:

-Wiem, stryju, że jesteś rozgniewany, ale myślę, że dogadacie się z Reillym. Podczas

epidemii cholery wyratował dziesiątki chorych. To dzięki niemu udało mi się udowodnić teorię mego ojca. I mamy zamiar zostać na wyspie, aby kontynuować dzieło ojca... przynajmniej do chwili, gdy on i mama wróca z Indii. Wtedy przeniesiemy się jeszcze dalej na północ. Jak więc widzisz, Reilly wcale nie jest nicponiem.

-Markiz Stillworth. - Stryj Brenny bardzo się zmienił. Nie sprawiał już wrażenia apoplektyka. Wyglądał na kogoś, kto przeprowadza w myśli szybkie kalkulacje. - Markiz Stillworth - powtórzył. - Przecież ja znam pańską matkę.

-Doprawdy? - spytał Reilly niechętnie, wciąż żywiąc urazę do stryja Brenny.

-Ależ tak. Jedną z bardziej uroczych gospodyń w całym Londynie. Markiz Stillworth. A niech mnie! Nie miałem pojęcia.

Reilly od razu zyskał w jego oczach, zwłaszcza że książę wiedział, że markiz Stillworth jest wart ponad dwadzieścia tysięcy funtów rocznie, który to fakt, choć Brenna o tym nie wiedziała, był znany prawie każdemu ojcu pańien na wydaniu, a do takich zaliczał się książę.

Choć raz Reilly musiał przyznać, że jego tytuł na coś mu się przydał. Ułatwił mu stosunki z rodziną Brenny.

-Proszę mi wybaczyć - powiedział książę. - Ale kiedy usłyszałem o tym ślubie... Coż, to jedyna córka mego brata i ja...

-Juz w porządku - powiedział Reilly z kwaśnym uśmiechem.

-W takim razie poczekajcie tu chwilę, dobrze? Muszę coś... Po prostu zaczekajcie.

To powiedziawszy, książę Camden ruszył w kierunku powozu... powozu, który musiał przyjechać z Portree, bo z całą pewnością nie należał do nikogo z Lyning.

Brenna, zaskoczona nagłą zmianą nastroju stryja, paplała radośnie.

-Polubił cię, Reilly! - wykrzyknęła. - Nie sądziłam, że tak się stanie. Zwłaszcza gdy powiedziałeś mi o dziecku. Myślałam, że to już koniec. Ale dobrze z tego wybrnął.

-Właśnie. Powiedz mi, Brenno, czy nie zapomniałaś mi czegoś wyjaśnić?

-Czy zapomniałam? Chyba nie...

-Na przykład, że twój stryj jest księciem?

-Och. - Brenna przygryzła dolną wargę. - Chyba masz rację.

-Co oznacza, że twój ojciec jest synem księcia?

-Tak, w istocie. Reilly uniosł brwi.

-Co oznacza, że ty jesteś wnuczka księcia. Policzki Brenny poróżwiały.

-Tak - przyznała. - To prawda.

-A więc wszystkie te rzeczy - mówił Reilly, starając się zachować spokój - które opowiadałaś o pogardzie dla parów, wybierających karierę medyka, aby sobie dodać chwały...

-Ale mój ojciec - poinformowała go spiesźnie - jest zupełnie inny. Jest wprawdzie synem księcia, ale naprawdę chce niesć pomoc ludziom. Niby po co przyjechałby na Skye? I nie używa swego tytułu...

-Ale fakt pozostaje faktem - przerwał jej Reilly. - I ty jesteś, i byłaś od urodzenia, lady Brenna.

-Tak - odparła zakłopotana. - Ale nigdy nie chcieliśmy się z tym obnosić. Nie chcieliśmy, żeby ludzie myśleli, że zadzieramy nosa...

-I powodem... - Reilly zaczął dostrzegać zabawną stronę sytuacji. - I powodem, dla którego lord Glendenning tak bardzo pragnął cie poślubić, nie było to, że jesteś jedyną kobietą na wyspie, która go nie chce, lecz to, że byłaś jedyną kobietą na wyspie, która ma tytuł...

-Myśle - powiedziała Brenna, spoglądając na Reilly'ego przepraszającym wzrokiem - że kierował się jednym i drugim.

Lecz nie miała powodu do niepokoju. Jej mąż dławił się ze śmiechu, choć wiedział, że jego zachowanie nie jest na miejscu wobec powagi uroczystości, odbywającej się w kościele.

Na widok miny Brenny opanował niewczesną wesołość. Patrzyła poza niego, na parę ludzi, wysiadających z powozu, którym przyjechał jej stryj. Był to wysoki, dystyngowany mężczyzna i drobna kobieta. Obydwoje wpatrywali się w Brenne.

Reilly domyslił się, kim byli, zanim Brenna rzuciła się ku nim. Rozpoznał ich dzięki miniaturze, która oglądał w jej sypialni.

-Panscy tesciowie - wyjaśnił księżu, podchodząc do Reilly'ego. - Właśnie wrócili z Bombaju. W zeszłym tygodniu. Nielatwo było mi ich przekonać, by zostali w powozie. Niall, panski tesc, był gotów pana zabić. W koncu udało mi się go uprosić, żeby zaczekał, aż wyjaśnię sytuację.

Reilly przyglądał się lordowi Niallowi, sciskającemu córkę. Sprawiał wrażenie człowieka, któremu lepiej się nie narazac.

-Mairi jest nieco bardziej wyrozumiała - mawiał Euan. Reilly przyglądał się, jak matka Brenny, filigranowa przy swej posagowej córce, bierze Brenne w ramiona. - I zawsze miała więcej zrozumienia dla romansów niż Niall. Wyjaśniłem mu, jak sprawy stoja, i chyba odwiódłem go od pomysłu, by pana zabić.

Reilly przelknął ślinę, patrząc, jak Brenna bierze rodziców za ręce i prowadzi ich w jego stronę.

-No - odezwał się książe. - Na co czekasz, chłopie? Idź!

I Reilly, z uniesioną głową, ruszył ku swojej nowej rodzinie.

OD AUTORKI

Położona na wyspie Skye wioska Lyming jest fikcyjna. Niestety, prawda jest, że w okresie począwszy od roku 1831 aż po lata pięćdziesiąte, epidemie cholery nekaly większą część Europy, a zwłaszcza miejscowości nadmorskie. W wyniku pierwszego ataku choroby na Wyspach Brytyjskich zmarło ponad 52 tysiące ludzi, czyli jedna piąta ówczesnej populacji. Brytyjscy lekarze byli całkowicie nieprzygotowani i bezbronni wobec tej azjatyckiej choroby, która w niczym nie przypominała dotychczas znanych epidemii. Jesienią 1848 roku, zgodnie z historią opowiedzianą w niniejszej książce, nowa fala cholery odebrała życie 50 tysiącom ludzi, to jest prawie tyle samo, co w roku 1831. Stało się tak, ponieważ, pomimo faktu, że niektórzy lekarze zaczęli dostrzegać związek pomiędzy skażoną wodą a wybuchem zarazy, tradycyjne środowisko lekarskie upierało się przy wierze, że choroby w rodzaju cholery są wywoływane samorzutnie poprzez nieczystości i przenoszone przez niezdrowe wyziewy, czyli miazmaty. Ta wiara utrzymywała się jeszcze wtedy, gdy John Snow, który jest dziś uznawany za ojca nowoczesnej epidemiologii, usunął w 1854 roku dzwignię pompy przy Broad Street, wierząc, że pochodziła z niej zatruta woda, czym położył kres rozprzestrzenianiu się choroby w tej części Londynu.

Autorka pragnie podziękować epidemiologowi, pani magister ochrony zdrowia publicznego, Melissie Ehman, za jej wydatną pomoc przy ustaleniu faktów, opisanych w książce. Wszelkie historyczne niescisłości są, oczywiście, winą samej autorki.

* Mayfair - elegancka dzielnica Londynu (przyp. tłum.).

* Faeton - lekki czterokołowy powóz konny na resorach, bez drzwiczek (przyp. tłum.).

** Królowa Bodicea lub Boudikka - królowa plemienia Icenów, która w 60 r. n.e. stanęła na czele powstania przeciwko Rzymianom (przyp. tłum.).

* Burn - oznacza po angielsku "plonacy", a w Szkocji także "potok" (przyp. tłum.).

* Haggis - szkocka potrawa narodowa z podrobów baranich - serce, płuca i wątroba owcy ugotowane w zoladku z sadłem i makią owsianą (przyp. tłum.).

* Gainsborough Thomas, jeden z najwybitniejszych ang. portrecistów i pejzazystów XVIII wieku (przyp. tłum.).

* Leviticus (z łac. dotyczący Lewitów) - Księga Kapłńska, trzecia księga biblijnego Pięcioksięgu (przyp. tłum.).

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-25

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/